



Zbigniew Białas

Korzeniec



Korzeniec

Zbigniew Białas

Wydawnictwo MG

CZĘŚĆ PIERWSZA

28–30 CZERWCA 1913

ROZDZIAŁ 1

A

Pan Alojzy Korzeniec klęczał na posadzce i z trudem łapał oddech. Tymczasem młody człowiek o rękach ubrudzonych po łokcie zaprawą murarską stał nad nim w milczeniu i z odrazą przyglądał się jego blademu karkowi pokrytemu grubymi kroplami potu. „A żebyś zdechł, ty wieprzu, żebyś zdechł”, złorzeczył w myślach młodzieniec. Pan Alojzy jednak nie zdychał, jeszcze nie teraz. Klęczał nie dlatego, że oczy mu zasłyły mgłą przedśmiertną, nie dlatego, że dłużej już nie mógł ustać na ziemskim padole i w agonii runął na kolana, na znak stosownej pokory w obliczu Prawdziwego Mistrza. Nie, pan Alojzy klęczał, ponieważ był w pracy i na świeżo wyłożonej posadzce w sieni sosnowieckiego domu przy ulicy Żytniej 16 z wielką starannością przyklejał swój firmowy kafelek. Wszystkie pozostałe ułożył ponury młodzieniec, lecz ten jeden, ostatni, wymagał szczególnej uwagi: lśnił blado, jak kark właściciela firmy, a błękitne litery prześwitywały niczym żyły na skroniach lub tatuaż siłą farbą kłuty. Na tym kafelku nie było zwyczajowego wzoru – żadnych kwiatowych esów-floresów, żadnych pseudo-antycznych fanaberii. „A. Korzeniec” stało bardzo konkretnie u góry, a poniżej: „Sosnowice”. Nic więcej.

– Proszę spojrzeć, oto w prostocie swej szlachetna symetria, żadnej tu nie ma dekadencji – tłumaczył panu Alojzemu wymizerowany grafik,

rewolucjonista z 1905 roku a jednocześnie galopujący suchotnik, który za ciężkie pieniądze zaprojektował poblady wzór.

– Sy-me-try-ja, tam, akurat – pomrukiwał pan Alojzy z powątpiewaniem, ale w końcu kupił projekt i kafelek stał się z czasem jego sygnaturą, osobistą pieczęcią, krwią z krwi niemalże.

„A. Korzeniec”, nie „Alojzy Korzeniec”, ponieważ właściciel firmy nie był zadowolony ze swego imienia. Imię to kojarzyło mu się z człowiekiem opasłym i niezbyt inteligentnym, a on, owszem, był opasły i niezbyt inteligentny, ale o tym nie wiedział. W każdym razie nie dopuszczał do siebie nawet cienia takich podejrzeń.

Ów kafelek, mozolnie osadzany w posadzce, był repozytorium wielu znaczeń i kilku tajemnic. Otóż pan Alojzy marzył o tym, by mieć syna. Dałby mu na imię Adam. Gdyby Adam odziedziczył firmę, mógłby wciąż sygnować posadzki kafelkiem „A. Korzeniec. Sosnowice”. Później Adam poznałby żonę swoją i z ich związku narodziłby się kolejny A. Korzeniec. „Gdzieżeś?”, wołał więc czasem w myślach niepokieszony mozaicysta niczym zdumiony Bóg szukający człowieka po edeńskich zakamarkach. „No, gdzieżeś?”. Niestety, tym razem Adam ukryty był dużo sprytniej niż w najgłębszych zaroślach: istniał w odmętach niebytu.

Żona pana Alojzego, Jadwiga, była konsekwentnie bezpłodna. Uporczywie i skutecznie nie zachodziła w ciążę i pan Korzeniec, dławiony astmą, utwierdzał się w przekonaniu, że będzie żreć kurz i czołgać się po posadzkach po kres żywota swego, bez względu na to, kiedy on nastąpi. W chwilach zwątpienia metaforyka biblijna opanowywała myśli majstra i gdy dłonie zajmowały się szlifem fugi posadzkowej, wyobraźnia tworzyła fugę patetyczną i nieokiełznaną. Zawsze wtedy – nie wiedzieć czemu – do pana Alojzego przyklejał się nieznośnie obraz pełzającego węża.

Adama syn pierworodny, czyli wnuk pana Korzeńca, mógłby mieć na imię Adolf. Adolf to ładne imię, w sam raz dla młodego artysty, na przykład malarza albo aktora. Adolf to imię szlachetne; wnuk o imieniu

Adolf na pewno nie byłby wykolejencem ani gburowatym pijakiem, wiódłby życie godne, używałby prawideł do butów. Adolf Korzeniec nie byłby posadzkazem Alojzym, dodajmy: rozlazłym Alojzym, sprośnym i rubasznym Lośkiem; o nie, byłby szczupły, miałby może mały wąsik, ruchy dziarskie, zdecydowane i czyste, a poglądy umiarkowane, bez żadnych szaleństw. Cały kłopot w tym, że w związku z brakiem Adama Korzeńca, Adolf Korzeniec pozostawał w sferze odległych marzeń. Pan Alojzy stracił nie tylko nadzieję na Adama czy Adolfa. Stracił też małżeńską motywację w wiadomej dziedzinie. Brak motywacji ograniczał się wszak jedynie do Jadwigi o jałowym łonie, bowiem pan Alojzy odczuwał jednocześnie niepokonaną motywację względem służącej, Żydówki imieniem Estera. Niestety, Estera mogła mu najwyżej urodzić Aarona, a na to pan Alojzy tak bardzo nie mógł sobie pozwolić, że kiedy już potencjalny Aaron pojawił się na horyzoncie jego życia, Estera została natychmiast odprawiona bez szczególnych ceregieli, po uprzedniej nocnej wizycie u pewnej starszej i mrukliwej kobiety. Protesty i płacze nie zdały się na nic. Pokażna suma pieniędzy złagodziła szlochy, bo podłe to były czasy, nie to co dzisiaj, kiedy takie rzeczy są nie do pomyślenia. W każdym razie pan Korzeniec pocieszył się, że to nie on ponosi odpowiedzialność za niezstępowanie „A. Korzeńca” z niebytu. Po incydencie z Esterą uznał, że wina leżała po stronie Jadwigi (no i oczywiście jej matki, tej starej histeryczki). Nie wiedział, że Estera kochała się na zabój w jego czeladniku, zaś czeladnik na swój sposób kochał Esterę, oboje nienawidzili Korzeńca i przeklinali go bez ustanku, a Aaron, gdyby się nawet urodził, z pewnością nie byłby Aaronem Korzeńcem.

Poza tajemnicą imienia, blady kafelek zawierał też w sobie manifest polityczny, pewien element dysydencji względem coraz bardziej odurzonego wódką proletariatu, ślad uporczywej lojalności wobec instytucji ojcującej nowemu miastu, a przez to nieszczególnie ukochanej, bo zarówno miasto, jak i jego proletariat pragnęliby zapomnieć, że owej żelaznej

instytucji zawdzięczali swoje nieopierzone istnienie. Przecież każde miasto o stu tysiącach dusz wołałoby być lokowane na prawie brandenburskim, ba, bodaj na prawie piekielnym, byle nie na nasypie kolejowym, nie na hałdzie węglowej, a niestety właśnie na hałdzie i na nasypie zostało miasto założone w 1902 roku, z Najwyższej Woli, czyli ukazem carskim, co bynajmniej splendoru mu nie dodawało.

Cóż to ma wszystko wspólnego z politycznym manifestem pana Korzeńca? Mniej więcej pół wieku wcześniej, w 1859 roku, Zarząd Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej zbudował kolejową odnogę z dworcem Sosnowice Warszawskie na samej granicy Imperium Rosyjskiego, co teraz umożliwiało panu Korzeńcowi robienie interesów na dużą skalę. Wymurowano stację oraz celnicę i zmieniono nazwę na Sosnowice. Krótsza nazwa wygodniejsza, argumentowano słusznie. A zresztą, gdzie Sosnowice, a gdzie Warszawa?

Była to pierwsza stacja Imperium Rosyjskiego – albo ostatnia, zależy z której strony na to patrzeć – zarówno okno na zachodni świat, jak i okienko dla zachodniego świata, więc dworzec musiał być po pierwsze kopią głównego dworca petersburskiego, tylko mniejszą, dużo mniejszą. Po pierwsze, niech psubraty cudzoziemskie wiedzą, gdzie przyjechali *po wysoczajszemu powjeleniju*, z łaski cara miłościwie panującego, albo jakie potężne imperium opuszczają; po drugie, musi być dworzec porządnie wykafelkowany od posadzek po sufity, bo kafelki dobrze się czyści, a higiena w imperium chyba obowiązuje; po trzecie, nieopodal ma stanąć cerkiew, żeby jej lojalne cebule z peronów było widać, żeby się nie dało z okna pociągu ortodoksyjnych cebul przeoczyć. Żadnych drzew między cerkwią a peronem nie sadzić. Niech wiedzą Polaki, Austriaki, Prusaki oraz naród wszelki, gdzie przyjechali albo skąd w głupocie swojej wyjeżdżają. Dwie cerkwie, psiakrew. Jeszcze lepiej.

W ten sposób miłościwie panujący car dawał żyć i zarobić, bo gdyby nie Najwyższa Wola i nie Zarząd Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej pan

Alojzy nie miałby dobrze prosperującej firmy. Ba, w pięćdziesięciu okolicznych wsiach nie było tylu kafli, iloma wyłożono posadzki i ściany samego dworca kolejowego. A skoro stacja błyszczała od kafelków ze stosowną carską ornamentyką, to i wszystko, co chciało lśnić w okolicy dworca, też musiało schować się pod kafelkami. Stał się kafelkowy cud i nastał kafelkowy raj, manna z nieba i hossa, i miasto wprawdzie nazwy miało dwie, ale króla kafelkowego jednego.

Nieprawda. Tak byłoby w świecie idealnym, w świecie, w którym istniałby na przykład Adam Korzeniec. Tymczasem w świecie rzeczywistym królów było dwóch, tyle że pan Alojzy wolał o tym nie myśleć. Zdarzało się czasami, że ktoś go najmował do pracy i prezentował całe połacie, które należało jak najprędzej zaglazuirować, po czym we wciąż pustych i dudniących wnętrzach potencjalny zleceniodawca sugerował, że chciałby u pana Alojzego zamówić „kafle, wie pan, takie jak od Kredyckiego”. Mistrz Alojzy purpurowiał ze złości i rzucał krótko:

– Proszę w takim razie iść do Kredyckiego. – Po czym odwracał się na pięcie i wychodził obrażony. Usłyszał bowiem największą obelgę.

Jan Kredycki miał duży zakład przy ulicy Polnej i produkował Kafle Artystyczne. Otrzymywał wiele zleceń od fabrykantów urządzających swe nowe pałace, mieszczan urządzających kamienice, tak jakby to były pałace, a nawet z głębin Imperium Rosyjskiego od ludzi urządzających pałace, tak jakby to były kamienice, dlatego czasem odmawiał grzecznie, z powodu nawału i natłoku, szczególnie w mniej artystycznych przypadkach. Jeśli więc pan Alojzy usłyszał, że ma coś zrobić w stylu Kredyckiego, wiedział, że posłano po niego właśnie dlatego, że Kredycki odmówił, posłano po niego, by wyglądało na to, iż Kredycki nie odmówił; jakby nie liczyła się sygnatura Korzeńca, jakby nie Korzeńca należało w pierwszej kolejności wzywać. Wówczas odmawiał stanowczo. Jeśli zdziwiony, a czasem lekko skruszony potencjalny – ale właśnie niedoszły – klient pytał (o ile jeszcze

zdążył), co złego powiedział, zaś pan Korzeniec akurat miał ochotę na odchodnym coś wyjaśnić, wołał, niemal doprowadzając się do apopleksji:

– Kafle Kredyckiego! Dobre sobie. Przecież on tylko małpuje obce wzory.

– Ale w mieszczańskich domach... – (Założmy, że klient skłonny byłby do polemiki, na co rzadko miał czas).

– W mieszczańskich domach, ha! – piekliłby się dalej pan Alojzy. – Mój panie, tylko w tych, w których udają Niemców albo Rosjan. Rosjanie zresztą też udają Niemców. A co, może Żydzi nie udają Niemców? Chyba tylko Litwini udają Polaków. – Czując jednak, że traci wątek, puentowałałby: – Nikt nie powinien u Kredyckiego nic zamawiać, bo te jego Kafle Artystyczne to zwykła blaga.

Było więc kafelkowych królów dwóch i pozostawali oni w stanie Wielkiej Wojny.

Tymczasem ogółu obywateli nie interesowały wybujałe ambicje glazurników. Majolika czy nie, jak ją zwał, tak ją zwał, *wsio rawno*. Najpierw może by trzeba ustalić nazwę miasta?

A zatem Sosnowiec czy Sosnowice?

Każdy, kto używał nazwy „Sosnowice”, sabotował popularne i proletariackie sentymenty, bo utożsamiał się z Zarządem Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. A ponieważ to kolej dała Korzeńcowi żyć godnie, Korzeniec opowiedział się jednoznacznie po stronie „Sosnowic” i taką właśnie wersję nazwy miasta umieścił na firmowym kafelku.

Pan Korzeniec nie mógł wiedzieć w ten czerwcowy dzień roku 1913 o wielu rzeczach. Ile by nie przykleił sabotujących sygnaturek do posadzek i ścian, ile tysięcy razy by nie zostawił po sobie siną farbą kłutych „Sosnowic”, i tak Polska Akademia Umiejętności miała orzec pięć lat później, w 1918 roku, że w kwestii rzeczonoego desygnatu etcetera, etcetera, obie proponowane wersje są jednakowo uzasadnione. Rada Miasta obruszyła się jednak i w tym samym roku, uznając, że hasło „jedno miasto,

jedna nazwa, jeden naród” ma więcej sensu niż „jedno miasto, dwie nazwy, jeden naród” – wybrała „Sosnowiec” na wieczne czasy. (A przydomkiem „Świniogród”, tyleż uwłaczającym, co uzasadnionym, zajmiemy się w stosownej chwili).

Pan Alojzy wstał z kolan. Nie było to wcale takie łatwe, ponieważ w jestestwie majstra wszystko podejrzanie skrzypiało. Podejrzanie i, zdaniem pana Alojzego, pogardliwie. I nie chodziło tylko o stawy czy kości. Te, owszem, skrzypiały znacząco, ale przede wszystkim postękiwała dusza. Wydawać się wręcz mogło, że złorzeczenie czeladnika jest jedynie uzewnętrznieniem skrzypienia i zgrzytania korzeńcowego jestestwa. Majster otarł spocony kark. Zdawał sobie sprawę, że golgota podnoszenia się z klęczek była wyraźnym sygnałem czegoś, czego jeszcze nie pojmował, ale co nie mogło się dobrze skończyć.

– Posprzątaj porządnie – burknął.

– Zaraz się zrobi, szefie – odparł ponury młodzieniec, a że repertuar myśli, które przeszywały mu głowę, był raczej ubogi, dodał sobie tylko zwyczajowe: „I żebyś zdechł, ty wieprzu”.

Pan Korzeniec wszedł do sporej izby obok schodów, gdzie mógł się przebrać. Pomieszczenie służyło lokatorom domu jako składzik. Stał tu bordowy, wiklinowy stolik z zakurzonym okrągłym blatem, który pokrywała kolorowa mozaika ze skorup malowanych talerzy. Różowe, czerwone, a nawet zielone kwiaty puszyły się niedokończonymi, wypukłymi płatkami. Na środku wkomponowano w blat stołu fotografię kilkunastoletniej dziewczyny, w wystudiowanej pozie, z upiętymi do góry włosami, ze sznurem pereł na szyi. Obok stolika koślawił się taboret. W izbie znajdował się ponadto wielki czarny kufer, na którego wieku jakaś dłoń wymalowała kiedyś białą farbą adres: „J. Goldblatt. Hütteldorfer StraÙe 224, Wien 14, Austria”. I adres nadawcy: „R. Goldblatt, 614, 2nd Ave. New York 28, USA”. W jakiś sposób kufer znalazł się w Sosnowicach,

w izbie o ścianach pachnących wapnem. O tak, Kolej Warszawsko-Wiedeńska pełniła zdecydowanie ważną rolę w życiu ulicy Żytniej.

Było już późne popołudnie. Mistrz Alojzy przebrał się i przejrzał w jednym z kilku luster. To co miał po lewej stronie, odbijało się po prawej, a to co po prawej – po lewej. Jak na razie, świat wydawał się funkcjonować należycie i można było wyjść na dwór.

Wokół bujnie rosły pokrzywy, a wyliniały, bezpański pies z podkulonym ogonem powarkiwał z bezpiecznej odległości. Pan Korzeniec skręcił od razu w krótką i wyboistą ulicę Dziką, założył ręce na plecy i niespiesznie podreptał w stronę Orlej. Tu wsiadł w dorożkę.

- Do Parku Sieleckiego. I nie musi pan jechać najkrótszą drogą.
- To którędy? Od strony „Emmy”? – Dorożkarz ujął lejce w dłonie.
- Może być.

Pan Korzeniec lubił dorożki i ich rytmiczny turkot. Przypominały mu dzieciństwo spędzone w Tucznej Babie. Kiedy był berbeciem, dziadek zabierał go czasem na jarmark, sadzał między kolanami i pozwalał powozić. Chłopiec ścisnął lejce w spoconych dłoniach, wołał „prrr” i „wio”, albo „hetta”, i telepał się z dziadkiem aż do Koziegłów. To było bardzo, bardzo daleko. Tak mniej więcej jak do Mombasy. Teraz niewiele już z tych Koziegłów dziecięcych pamiętał, poza samą jazdą na drewnianym wozie, faktem, że konie oganiały się ogonami od much oraz strasznym tłokiem, kwikiem, buczeniem i gdakaniem na jarmarku, bo dziadek chyba kupował kury czy też cielęta, a może sprzedawał beczki za kury. A kiedyś jeden wujek w czasie żniw spadł z wozu pełnego snopków, bo był pijany, uderzył nietrzeźwą głową o kamień i zabił się na miejscu. W dodatku nie wierzył w Boga i chociaż wszyscy liczyli na to, że kiedyś uwierzy, niech no tylko przestanie pić – nie zdążył. Za to jak on pił! Och, jak on pił! Kto dzisiaj tak potrafi pić? Ponieważ z powodu nagłej śmierci wujek w Boga nie zdążył uwierzyć, ksiądz miał wątpliwości, czy należy go pochować w poświęconej ziemi. Dał się w końcu ubłagać wdowie, czyli

cioci małego Alojzego, która przysięgała, że „mąż już, dobrodzieju, prawie wierzył, naprawdę już prawie wierzył i gdyby tylko żył, to po żniwach już by całkiem uwierzył”. Tak czy owak mama małego Alojzego zawsze drżała, kiedy syn gramolił się na furmankę.

Dorożka skręciła przy figurze Świętego Antoniego. Kopyta zastukały o kocie łby, koła skrzypnęły.

– Święty Antoni, od bydła i koni... – dorożkarz ni to zaśpiewał, ni to powiedział, ni to do siebie, ni to do pana Korzeńca, bo nie wiedział, czy przy tym zamyślonym kliencie należy zagadywać, czy raczej nie. O polityce lepiej nie mówić, ale jakąś mądrą sentencję zawsze można rzucić.

– Wygląda na zmęczonego – podjął pan Alojzy, bo rzeczywiście święty ugiął się pod ciężarem bezwładnego Chrystusa.

– O, prawda. – Dorożkarz machnął batem, ale nie uderzył konia. – Wie pan, jak się niesie trumnę na cmentarz, to właśnie tu koło figury jest zmiana i do Antoniego trumnę się dźwiga lekko, ale za to od Antoniego trumna zaczyna ciężać na ramionach. – I mimo że dorożkarz siedział na koźle tyłem do pana Alojzego, zademonstrował, jak bardzo nieboszczyk potrafi ciężać. Najpierw opadło mu prawe ramię, a potem lewe, jeszcze niżej, i zdawać by się mogło, że ramię aż stęknęło.

Koń truchtem minął zabudowania „Emmy”. Kiedyś była tu kopalnia, ale zbankrutowała i na jej terenach założono walcownię. Teraz Towarzystwo Kopalń i Zakładów Hutniczych zatrudniało prawie setkę robotników, wytwarzało rocznie ponad dwieście tysięcy pudów blachy cynkowej, a w fabryce zbudowanej obok produkowało każdego roku kilkadziesiąt tysięcy centnarów bieli. Komin „Emmy” dosłownie krztusił się dymem i dławił, a z maszynowni dochodził łomot jak z piekła. Bruk przed walcownią był zakurzony, a płyty na placu dojazdowym mocno popękane. Dorożka zakołysała się raz w prawo, raz w lewo, tak jakby sama zaczęła stękać, od kiedy przejechała obok figury Świętego Antoniego.

– Prrr – zawołał wreszcie stangret, aż mu zadrżał wiecheć rudych wąsów.

Pan Korzeniec znalazł się w Sielcu, w parku założonym przez fabrykanta Mauvego. Popękane płyty ustąpiły miejsca krótkiemu trotuarowi, a ten z kolei bez ostrzeżenia zmieniał się w serpentyny ścieżek, które pełzały swobodnie w różne strony. Buczyna wdzięczyła się w czerwcowych barwach: parasole zielonych liści szumiały hen nad głową, a wokół gołe, siwe pnie wznosiły się jak maszty okryte węzową skórą, jak słoniowe trąby. W koronach rozbrzmiewał ptasi świergot, a szpaki w czarnych mundurkach chowały się za drzewami.

Korpulentny jegomość w granatowej czapce z lakierowanym daszkiem rozlepił afisze:

W dniu 27 lipca 1913 r., t. j. w niedzielę, odbędzie się

WIELKA

Z A B A W A

W parku Sieleckim

Na dochód budowy kościoła w Nowym Sielcu

Program ze względu na mających przybyć gości
Będzie wielce urozmaicony.

Dwie orkiestry, Confetti, Zabawa dziecinna.
Ognie sztuczne i fajerwerki. Wzloty balonów.
Koszki szczęścia z niebywale cennymi UPOMINKAMI.

Popisy na koniach Greków, którzy zaprezentują się Sosnowiczanom
na ulicach miasta w rannych godzinach.

Cukiernia i bufety obficie zaopatrzone.

Początek o 2-iej po południu

Cena wejścia dla dorosłych 40 groszy, a dla dzieci 10 groszy

O liczne przybycie do parku komitet najuprzejmiej prosi.

Pan Alojzy zatrzymał się. Jegomość z plakatami był wyraźnie podekscytowany.

– Przyjechali Grecy. I przywieźli własne konie. Proszę pana, jakież to piękne zwierzęta. Widziałem je w stajniach.

Pan Alojzy nic nie powiedział.

– Należy mieć nadzieję, że to nie są konie drewniane – odezwał się przypadkowy przechodzień, który również zatrzymał się, by przeczytać świeżo naklejone ogłoszenie.

Pan Korzeniec i człowiek z naręczem plakatów spojrzeli po sobie.

– Że niby jak, drewniane? Konie? Na biegunach?

– No, jak Grecy przywożą do miasta własne konie, to wcale nie musi być dobry znak. – Przechodzień roześmiał się i odszedł.

Pan Alojzy wzruszył ramionami.

– Chyba jakiś wariat.

– Mało ich tu przyjechało? – Plakaciarz odchylił czapkę z daszkiem i znacząco postukał się w czoło. Czyż nie jest ważniejsze, że na wielką zabawę w parku przyjdą modniarki, mamki, szwaczki, prasowaczki? Z fanfarą reklamową zjadą cyrkowcy, mocarze będą na oczach gawiedzi przegryzać łańcuchy, a klauni w maskach będą się tygodniami śnili bachorom po nocach. Będzie lemoniada w budkach, loterie w trafikach. Ech... żyć, nie umierać.

Tymczasem nastał wczesny wieczór, łagodny i ledwie półmroczny. W suchym rowie przydrożnym umilkły pasikoniki, a w bajorze na skraju parku wśród woni wody, iłu i wysychającego błota żaby nadymały się i – wyciągając głowy z brunatnej mazi – kłębiły w galarecie skrzeku. Lance tataraku i sitowia dojrzewały w milczeniu.

Przy dworcu kolejowym pan Alojzy wszedł do niewielkiego kościółka. Zbudowano go w 1862 roku staraniem miejscowych kolejarzy i był to pierwszy sosnowicki kościół z prawdziwego zdarzenia. Gdyby nie kolej, nikt by go tu nie stawiał. Pan Korzeniec miał do niego sentyment; głównie dlatego, że kilka lat temu układał w nim posadzkę. Poprzednia była z ciemnych desek, podobnie jak sufit. Przez cały miesiąc pan Alojzy i jego

czeladnicy (wówczas zatrudniał zaledwie kilku) mozolili się na kolanach i zginali karki, jak przystało na prace w domu bożym – chociaż i w diabelskim trzeba by harować tak samo. Po miesiącu sufit kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Bożego pozostał sufitem z ciemnych desek, za to posadzka stała się jednym wielkim podpisem Korzeńca. Pan Alojzy długo zastanawiał się, co zrobić, by było oczywiste, że to on kładł posadzkę w kościele, a jednocześnie wiedział, że nie powinien na progu kościoła umieszczać swojego kafelka firmowego, bo to świadczyłoby o próżności i byłoby grzechem. W efekcie posadzka składała się z wzorów w dwóch zaledwie barwach: w kolorze żył na karku pana Alojzego i w kolorze jego skóry, czyli bladobłękitnym i sinoróżowym. Gdyby na tę posadzkę spojrzeć z wysokości, na przykład z nieba, to wyglądałaby jak firmowy kafelek – ta sama kolorystyka – a jednak ani słowa tam nie było o A. Korzeńcu. Mimo to Bóg widział i wiedział.

Pan Korzeniec niespiesznie przeciął ulicę i minął kwartał drewnianych, jednopiętrowych domków. Chociaż był sobotni wieczór i szabas już się skończył, przy Warszawskiej kramy pozamykano i panowała cisza. Jedyne stary, głuchawy Kerszenblat stał przed sklepem, wsparty o sękatą laskę. („Zapraszamy: kapusta kiszona i ogórki! Gwarancja koszernej receptury! Za gotówkę a także na kredyt, jest możliwość na rabat przy większych zakupach – prosimy uprzejmie dzwonić do bramy!”). Wystawiał pomarszczoną twarz w stronę zachodzącego słońca i pomrukiwał sobie tylko znane *majufes*.

Poznał mistrza Alojzego, znał zresztą niemal wszystkich.

– Dobry wieczór szanownemu panu Korzeńcowi. – Ukłonił się.

– Ładny mamy dzień, panie Kerszenblat.

– A dziękuję, jakoś jeszcze kuśtykam.

Widocznie całej kwestii Kerszenblat nie dosłyszał, zresztą pan Alojzy nawet się nie zdziwił.

– A jak idą interesa? – zawołał głośniejszym głosem.

Kerszenblat machnął laską.

– Ano jakoś idą, od handelku do handelku, szanowny panie, tylko w kościach łamie.

– Trzeba jechać do wód, panie Kerszenblat, leczyć reumatyzm.

Stary pokiwał głową niepewnie. Tymczasem na chodniku przystanął jakiś zdezorientowany przyjezdny z ceratową walizką i karteczką w dłoni. Dotarł właśnie wieczornym pociągiem i poszukiwał kogoś w centrum miasta. Wnuk Kerszenblata wyrósł jak spod ziemi.

– Powiedz mi, Izaak, kogo on szuka? Bo nie bardzo dosłyszałem. Knepfisza? – dopytywał Kerszenblat niecierpliwie, przystawiając do ucha dłoń zwiniętą w trąbkę.

– Nie, dziadku! Nie Knepfisza. Klepfisza!

– Fiszela Klepfisza – doprecyzował przyjezdny grzecznie.

– Fiszela Klepfisza! – wrzasnął wnuczek dziadkowi prosto do ucha.

Kerszenblat pokiwał głową.

– Aha. Klepfisza. Tak, tak. Abrama?

– Abrama!?! – ryknął wnuczek do przyjezdnego, tak jakby i ten nagle ogłuchł.

– Nie Abrama! – przyjezdny krzyknął w kierunku wnuczka. – Fiszela! Tego co handluje olejem i smarami!

Wnuczek wywrzeszczał wszystko dziadkowi do ucha.

– Aj, przecież to zaraz tutaj przy Modrzejowskiej – rozpromienił się Kerszenblat. – Knepfisz, wie pan, też sprzedaje oleje, ale on handluje przy Kościelnej... Izaak pana zaprowadzi, to kawałeczek. Izaak, wiesz gdzie?

Wiedział, bo to oznaczało parę groszy do kieszeni.

– No pewnie. W prawo za sklepem Kołtona, tam gdzie kupujemy jajka.

– No, no, jaki sprytny chłopak – mruknął zadowolony Kerszenblat. – To zaprowadź pana i zaraz wracaj.

Pan Alojzy ruszył przed siebie. Przecinając skwer przed jednopiętrowym hotelem Victoria, zwolnił kroku, dostrajając się do

wieczornego tempa. Nadeszła ta szczególna pora dnia, gdy konie zaprzężone w dorożkach instynktownie stają bliżej siebie i niżej spuszczają łby, jakby nieobce było im uczucie melancholii z powodu zmarnowanych lat, a przykurzone elewacje brudnego miasta nabierają, przy pewnej dozie wyobraźni i uporu, niemal szlachetnych odcieni sepii. W szybach okien, zarówno tych najzwyczajniej prostokątnych, jak i tych sklepionych fantazyjnie łukami, odbija się światło, którego już niemal nie ma, zaś turkotanie kół, z powodu jakiegoś akustycznego cudu wykoncypowanego zmyślnie przez przyrodę, słychać głośniejsze niż w ciągu dnia.

Jedynym wyraźnym elementem w ciemniejącej plamie wyznaczonej przez kilka dorożek były białe pęciny końskich nóg. Wokół nich, jak uprzykrzone satelity, latały wyjątkowo dorodne muchy. Konie od czasu do czasu leniwie zamiatały ogonami, sygnalizując zniecierpliwienie, muchy jednak ignorowały powstające w ten sposób zawirowania, gdyż rytm ich bytowi nadawało właśnie latanie wokół końskich pęciny i nic na dłuższą metę nie mogło w tym przeszkodzić, choćby i wojna.

Dorożki przyczyły się w oczekiwaniu na klientów Victorii. Stopień hojności gości pozostawał w relacji wprost proporcjonalnej do stopnia ich rozchwiania. Dorożki zabierały też bywalców wznoszącego się nieopodal hotelu Metropol, który jednak nie stał przy samym skwerze, więc jego właściciel musiał zainstalować na dachu metalowe rusztowanie z napisem „Hotel Metropol”, by – zgodnie z instynktownie wyczuwaną logiką dżungli – przewyższyć konkurencję o jedno piętro. Ponieważ samym budynkiem o piętro przewyższyć nie mógł, przewyższył sztyldem. Victoria mogła za siebie pozwolić na to, by sztyld mieć tylko nad drzwiami, co dzięki Bogu jest o wiele tańsze i wygląda przyzwoicie, a nie tak, jakby ktoś stał z zadartą kiecką na dachu. Między Victorią i Metropol wcisnęła się jeszcze maleńka piwiarnia Oaza, ale szanujący się klient, jeśli miał gdzieś wstępować, to wstępował do Victorii. Pan Alojzy pchnął więc drzwi, wszedł i zmrużył oczy.

W sali restauracyjnej panował gwar. Kelnerzy uwijali się jak w ukropie – dumni żołnierze w małej armii roznosiciele piwa. A to korpulentny pan Dobija z podkreconymi wąsami i wybałuszonymi oczami, a to chuderlawy pan Gryzło w okularach o rogowych oprawkach. I jak w armii obowiązywał wyuczony na pamięć zestaw gestów-poleceń, gestów-rozkazów między kelnerami i klientami. Pękate beczki toczyły się ciężko i odbijano je na bieżąco na blaszanym i powyginanym kontuarze; słychać było dźwięczny klekot nosideł do kufli, migwały ciemnobłękitne fartuchy kelnerów, ekwilibrystycznie omijających coraz szerzej rozkraczonych klientów. Barman zaś z jednakowym namaszczeniem odszpuntowywał beczkę za beczką.

Pan Korzeniec przecisnął się do drugiej sali. Tu siedzieli zwyczajowo artyści, miejscowi i przyjezdni. Tu w oparach piwa i chmurach tytoniu wrzała prowincjonalna dyskusja. Pan Alojzy lubił przysiąść przy jednym ze stolików i posłuchać, o czym to rozprawiają dzisiaj młodzi ludzie, tym bardziej że na ogół rozmawiali bardzo głośno. Na stole, przy którym usiadł mistrz Korzeniec, leżał najnowszy numer „Iskry”. Na pierwszej stronie anons: „Casino de Paris w Sosnowcu: Sensacja! Wszystkie szczegóły w poniedziałkowym wydaniu!”. Na ostatniej stronie kolejny odcinek najnowszej powieści Klandestyna Bizukonta *Okowy namiętności*. Pan Korzeniec skrzywił się z niesmakiem i odłożył gazetę na kraj stołu.

Pojawił się kelner z wypomadowanym wąsem. Jak każdy klient, pan Alojzy automatycznie wykonał nakazane piwno-modlitewne gesty: najpierw kufla zamawianie, potem kufla nabożne przyjęcie, wreszcie niespieszne kufla wznoszenie i bulgotliwe pustoszenie. Pan Alojzy wierzył w naturalne prawo do piwa, niezbywalne prawo do tego, by na kontuarze zawsze stała wielka zaszpuntowana beczka.

Tymczasem jeden z dyskutantów przy sąsiednim stoliku – wysoki, szczupły człowiek o rozwianych włosach, długiej rudej brodzie

i patykowatych rękach, którymi wymachiwał we wszystkie strony – zawołał kaznodziejskim tonem:

– Ja zaś powiadam: dokończyć rewolucji!

Dyskusja znów toczyła się wokół sosnowieckiego proletariatu, bo tylko wówczas pan Emanuel nieodmiennie apelował o dokończenie rewolucji. Powtarzalność argumentów ułatwiała panu Alojzemu obserwowanie bieżących wydarzeń, ponieważ mógł się bez trudu domyślić, o czym dyskutowano wcześniej.

Mówiono zapewne o procesach politycznych prowadzonych przez rosyjskich sędziów po 1905 roku. Albo o Kronenbergu, carskim policmajstrze Sosnowca, który nie zgodził się, by sotnie Dońskiego 14 Pułku Kozaków zmiażdżyły demonstrację („Był z polskimi robotnikami!”, „Bzdura, po prostu się bał!”, „Gdyby się bał, wypuściłby Kozaków!”), a potem gdzieś zniknął („Wyjechał na Śląsk!”, „Zatłukli go po kryjomu!”).

Albo rozprawiano o Niemojewskim: czy jego wiersze z cyklu *Polonia Irredenta* miały wartość literacką („Miały!”, „Nie miały!”, „Może i miały!”, „Nie wiadomo!”, „Podziemia były dobre!”, „Za to Łuny do dupy!”, „Historia to i tak osądzi!”); czy jego wielka akcja budowy teatru miała sens („Miała!”); czy na prapremierze powinien był czytać swój napuszony *Prolog* („Powinien!”, „A ja wątpię!”); czy jego wyjazd do Warszawy był rozsądnym posunięciem („Tak!”, „Nie!”, „Mógł zostać jako Sekretarz Towarzystwa Kopalń i Hut!”, „Mógł wyjechać dużo wcześniej!”), czy jego odczyt *Lud i literatura*, z którym przyjechał w 1906 roku, po tym, co się działo w 1905, był przemyślany („Był!”, „Nie był!”, „Był!”, „Gówno prawda!”), czy jego śmierć w ubiegłym roku pograża Sprawę („Pograży!”, „Nie pograży!”, „Taka sprawa to się sama grąży!”, „A Kronenberga zatłukli!”, „Nieprawda, uciekł na Śląsk!”).

A zatem:

– Ja zaś powiadam: dokończyć rewolucji!

Podniosły ton, do którego uciekł się pan Emanuel wynikał z faktu, że mimo iż był Żydem, stał się protestantem z winy swego dobrowolnie przechrzczonego ojca. I teraz pan Emanuel nawoływał jako protestant, a nie jako Żyd. Nad wszystkie inne słowa lubił słowo „powiadam”, wymawiane koniecznie z palcem groźnie uniesionym, bo w słowie tym – tchnącym zarówno eschatologią, jak i gawędą – mieszkał żar prawdy skromnej, a niezbitej. To zaś, o czym powiadał pan Emanuel, nie miało szczególnego znaczenia, ponieważ on nie znaczeniem kazał, ale głosu brzmieniem; oczami wywracając, nawracał; a włosów stosownym rozwichrzeniem lotności i postępowości myśli swej dowodził. Wytyczając szeroko rozłożonymi rękami rozmiary zakładanej rewolucji, przewrócił kufel z piwem i spieniony płyn pociekł na jego ideologicznego przeciwnika, konserwatywnego pana Neumanna, który jednak był w owej chwili zbyt pijany, by to zauważyć, tym bardziej że przedzemał część argumentacji. Dopiero po chwili ocknął się.

– Kto mnie oblał piwem? I po co?

Młoda kobieta, która siedziała przy stoliku artystów, zachnęła się:

– Ależ pan jest dociekliwy, panie Andrzeju.

– Bo mnie chodzi o prawdę – oznajmił pan Neumann z pijacką powagą i kilka razy pokiwał głową.

Pan Emanuel natychmiast podchwycił i ten wątek.

– O tak. Prawda jest potężnym afrodyzjakiem. Doświadczyłem tego osobiście. – I znów rozłożył szeroko ręce, tak aby nikt nie mógł w to wątpić. Poza słowem „powiadam” rozłożenie rąk było kolejnym filarem mądrości.

Młoda kobieta, panna Izabela, była esperantystką. Ba, była pionierką esperantyzmu, znała osobiście doktora Zamenhofa, traciła po nocach wzrok, ucząc się sztucznego języka i pisząc w tym języku odczyty na tematy związane z oświatą, a wraz z grupą kilkunastu zapaleńców prowadziła kursy w wynajętych salach przy ulicy Mikołajewskiej. Przed

rokiem uczestniczyła nawet w Światowym Kongresie Esperanto, który odbywał się w Krakowie. Po powrocie z kongresu zmieniła modystkę. Zaczęła się ubierać w Magazynie Marii Galewskiej. Kupowała u niej suknie, rękawiczki i kapelusze, ponieważ u Galewskiej pracowały krawcowe z Francji. Okrycia wierzchnie natomiast zamawiała w wykwintnej pracowni Mademoiselle Angele przy Warszawskiej 10 („Szyk Paryski!”). Piwa nie piła. Tego wieczoru jadła jabłkowy kisiel ze śliwkami, podany w kryształowym pucharku.

Pan Korzeniec zupełnie nie znał się na sztuce, ale na swój ograniczony sposób podziwiał artystów. Chciałby, żeby było ich więcej w Sosnowicach. Niechby tu mieszkali i umierali jacyś znani literaci, niechby się tu rodziła operowi śpiewacy, niechby aktorki brały śluby z oficerami w sosnowickich kościołach, niechby z Krakowa zjeżdżali witrażyści. Pan Korzeniec podziwiał pana Emanuela, który doświadczył, jak potężnym afrodyzjakiem jest prawda. Podziwiał nawet tę dziwną młodą kobietę, mimo że była esperantystką i w dodatku... Pan Alojzy zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć, kim właściwie była w dodatku. Fruktażystką. Chyba fruktażystką. W każdym razie jakoś tak. Pan Alojzy zauważył kilka razy, że kiedy mężczyźni siedzący przy stole miejscowych artystów, nieznający wcześniej panny Izabeli, dowiadywali się o tej przypadłości, to albo uśmiechali się z dobrotliwą aprobatą, albo spoglądali z niechęcią skrywaną pod postacią entuzjazmu, albo robili dziwne miny wzbogacone czymś między kaszlem a chichotem. Wyglądało więc na to, że fruktażystki miały jakiś problem. Może nawet niejeden.

Pan Neumann chwilowo nie zwracał uwagi na pana Emanuela i jego traumatyczne przeżycia, tylko przypominał sobie, co chciał powiedzieć sufrażystce, zanim zapadł w odrętwienie.

- Wczoraj w nocy napisałem dla pani wiersz. Czy mogę przeczytać?
- Proszę – westchnęła panna Izabela. Odłożyła łyżeczkę na talerzyk obok pucharka.

Pan Neumann wstał na chwiejnych nogach, chrząknął, poprawił okulary i zaczerwienił się.

– Właściwie to ja mogę z pamięci... No więc tak... więc tak:

Ni to błazen, ni papuga.
Wierny sługa, droga pani;
Gdy w jedwabnej rękawiczce
Śledzę zarys twojej dłoni.
A w meandrach lśniących tafli
Twoich włosów stu strumieni
Spadam prosto w twe ramiona;
Coraz niżej – uniżenie.
W twojej szyi nieboskłonie
Galaktycznie rozbiegany
W ciemnych stawach twoich oczu
Po wielokroć zatapiany.
Ni to błazen, ni papuga
Miła pani, wierny sługa.

Pan Neumann wyrecytował wiersz z przejęciem, a sufrażystka zarumieniła się lekko.

– Dziękuję. To miłe – powiedziała nieco skrepowana.

Zapadła niezręczna cisza. Po chwili pan Neumann westchnął ciężko:

– Widzę wniosek i go ciągnę. – Pokiwał głową ze smutkiem i usiadł. –
Wzrok mi rzędzie.

Pan Emanuel chrząknął i zmienił temat:

– A wiecie, że Platon...

– O nie! Tylko nie Platon! I nie ta nieszczęsna ponura jaskinia!

– ...sugeruje w *Sympozjonie*, iż dyskusowanie na tematy wzniosłe jest funkcją słabości organizmu po picciu dnia poprzedniego, a zatem substytutem picia dnia kolejnego, jako takie potrzebuje zatem usprawiedliwienia. Niezbędna jest też zgoda uczestników biesiady, by zamiast działać, to znaczy pić, rozprawiać o wzniosłości.

– A właśnie, kto mnie oblał piwem? – przypomniał sobie pan Neumann.
– Czy może ty, Emanuelu?

– Nie pamiętam. To było dawno temu. Teraz akurat mówiłem o Platonie.

– Wszystko jedno zresztą. Oblewajcie mnie, czym chcecie. Jestem wolny chrześcijanin dnia piwnego.

– Wszyscy jesteśmy judeochrześcijanami – powiedział pan Emanuel na zgodę, ale pan Neumann zachichotał, aż mu się zatrzęsł brzuch:

– Naturalnie. Judeochrześcijaństwo to ja i Emanuel. Bardzo zabawne. Tyle że ja jestem chrześcijaninem...

Pan Emanuel spurpurowiał.

– O tak, częściej mi to powtarzaj, przyjacielu, jeszcze częściej, żebym nie zapomniał. To ja ci coś powiem... Wszyscy zresztą posłuchajcie. Oto, jakie paszkwile wypisują w dzisiejszej „Iskrze”. – Pan Emanuel zerwał się z krzesła, rozejrzał, chwycił gazetę ze stolika pana Korzeńca. – Pan wybaczy. Zaraz oddam. Bez najmniejszego uszczerbku. – I zawołał z oburzeniem: – Proszę! – Zewnętrzzną częścią dłoni pacnął w gazetę: – „Nie przesadzimy chyba, jeśli powiemy, że co trzeci robotnik znajduje się na łasce i niełasce żyda, który mu kredytuje towary i artykuły spożywcze, pobierając za nie takie ceny, że robotnik właściwie tylko na żyda pracuje”. I co? Nic panowie nie mówicie? Wierzycie, że wszystkiemu winne są żydowskie szwindle? A co ty na to?

Pan Emanuel, licząc na wsparcie, spojrzął znacząco na Tadeusza Meyerholda, siedzącego obok. Był to młody Żyd, poeta, który przed dwoma laty regularnie drukował wiersze w „Kurjerze”. Meyerhold wzruszył lekko ramionami. Po pierwsze dlatego, że jego rodzina była jedną z najbogatszych w mieście (banki, handel, komisy, kamieniołomy, finanse i przemysł), a po drugie dlatego, że uważał się przede wszystkim za poetę młodopolskiego i właśnie odczuwał dogłębnie dekadencje zmęczenie. Perfumował się bardzo dyskretnie, na szyi miał biały fular, na nogach czarne sztyblety, w głowie mętlik, a w żyłach laudanum. Zawodowo robił

wrażenie bardzo przygnębionego i chciał, żeby wyglądało to na kliniczną i absolutnie nieuleczalną melancholię. W chwili, gdy pan Emanuel zwrócił się do niego o wsparcie, młody Meyerhold gładził czarne faworyty i skupiał się na fortepianie, który złośliwie szczyrzył na niego kły z ciemnego kąta. *Pallik und Stiasny: Wien*. Z jakiegoś powodu nazwisko Stiasny napawało go niepokojem. Trzydzieści kropli laudanum podpowiadało poecie, że w monarchii austro-węgierskiej takie nazwisko mogło należeć najwyżej do samobójcy – powiedzmy do wydawcy ambitnych i niedochodowych książek, ale nie do producenta fortepianów.

Pan Emanuel nie doczekał się żadnej reakcji, więc mruknął gniewnie:

– Robotnik kontra Żyd. Jak zwykle. Tylko czyja to polityka? Proletariatu polityka? Na pewno nie. Więc z jakiegoś powodu w 1903 roku podczas święta Rosh Hashana polscy robotnicy obrzucili Żydów kamieniami? – Odłożył gazetę na stolik pana Korzeńca, podziękował i usiadł. – Smutno mi. Zwyczajnie, po ludzku smutno – dodał i zamilkł.

Meyerhold poprawił biały fular, pokiwał głową i dopiero po chwili odezwał się cichym głosem:

– Dobrze, dobrze, Emanuelu, to wszystko prawda. Żydzi, robotnicy, agitatorzy, obrzucanie kamieniami... masz rację. – Zawahał się. – A Polska?

– Co, Polska? – Pan Emanuel skrzywił się, jakby go kopnięto w podbrzusze. Nie spodziewał się takiego ataku.

– No, Polska.

– Co z nią? – zdenerwował się pan Emanuel.

– Właśnie. Co z nią? Czy ona cię obchodzi? Czy w twoim obrazie spraw...? – Nie dokończył.

– Nie ma Polski. W moim obrazie rzeczywiście jej nie ma. A co, może ma znów powstać? Jaka? Ta, o której już Kochanowski pisał, że stoi nierządem i przekupstwem?

Meyerhold zmarszczył brwi i zastanawiał się przez chwilę.

– Wolałbym inną – powiedział. – Ale jeśli innej nie ma, to choćby tą.
Pan Emanuel pokręcił głową.

– Na szczęście twoje postępowanie jest dużo bardziej zrozumiałe niż twoje przekonania.

Pan Neumann zamknął oczy i znieruchomiał.

– Naprawdę wzrok mi rzednie.

Sufrażystka Izabela ukłuła go szpilką wyciągniętą z włosów.

– Co to jest? – mruknął. – Kołek osikowy?

I dalej znieruchomiał. Chwilę ciszy wykorzystał pan Adam Kowalczewski, który wolał wszakże, żeby mówiono nań Siedlecki. Uaktywniał się w najmniej spodziewanych momentach. Nikt się temu nie dziwił, ponieważ cierpiał na padaczkę i w czasie ataków dostrzegał prawdy niewidoczne dla innych. Wszyscy wiedzieli, że jest naznaczony przez Boga. Oczywiście, jeśli w Boga wierzyli. Jeśli nie wierzyli, trudniej było im patrzeć na to, jak Kowalczewski vel Siedlecki pienił się bez widocznego powodu. Tego wieczoru jednak nie męczyły go żadne ataki, nie siedział z na wpół otwartymi ustami, mógł więc przedłożyć wszystkim obecnym swoją nową inicjatywę.

– Właśnie zamierzam zredagować jednodniówkę literacko-zakulisową poświęconą w całości scenie i sztuce. Nazwę ją „Pierwszy Diabeł Sosnowiecki”. I oczywiście zapraszam was do współpracy.

– Nie może pan wydać jednodniówki z numerem pierwszym. To przecież nielogiczne – zauważyła panna Izabela. – Jednodniówka to pismo jednorazowe i okolicznościowe, a nie „pierwsze”.

Pan Kowalczewski stropił się nieco, a pan Andrzej otworzył lewe oko.

– Tak w ogóle jednodniówki to są jętki, a nie pisma poetycko-zakulisowe.

– Literacko-zakulisowe – poprawił pan Kowalczewski.

– Wszystko jedno – machnął ręką pan Andrzej.

– Mnie nie.

- Zapewne.
- A co to są jętki? – zainteresowała się panna Izabela.
- Jętki jednodniówki. Takie owady podobne do ważek. – Pan Andrzej otworzył teraz i prawe oko.
- I one rzeczywiście żyją jeden dzień?
- Jeden, czasami kilka, jeśli im się poszczęści. Ale śmierć mają straszną!
- Jaką?
- Samce padają zbiorowo w tańcu godowym.
- Przed czy po? – zainteresował się pan Emanuel.
- Po. Przed nie miałyby przecież sensu, Emanuelu, bo gatunek wymarłby już dawno temu.
- Skoro po, to nie tak źle.
- No, nie wiem. Wyobraź sobie, że jako samiec jętki najpierw sobie fruwasz w radosnym obłoku i popisujesz w tańcu godowym. Wymachujesz rękami, broda ci powiewa na lekkim wietrze. I oto w tłum samców wlatują samice. Kilka metrów nad ziemią następuje orgia...
- Kopulacja! – jęknął Kowalczewski vel Siedlecki i przewrócił oczami, jakby miał zaraz doznać ataku epilepsji.
- Pan Andrzej zignorował go.
- Tuż po orgii spadasz martwy. Trup samczy ściele się tak gęsto, że trawa wygląda jak pokryta śniegiem.
- A samice? – zapytała panna Izabela.
- Samice odlatują, składają jaja i zaraz potem też umierają.
- Nie wierzę. Chyba pan zmyśla... – Roześmiała się niepewnie panna Izabela.
- Pan Neumann pokiwał głową.
- Niestety, nie zmyślam.
- A skąd to wiesz? – zapytał Meyerhold.
- Pan Andrzej wzruszył ramionami i nic nie powiedział.

Mistrz Korzeniec spojrział na zegarek. Nie słuchał dalszej części rozmowy. „Niech no tylko mi się uda”, pomyślał. „Niech no tylko dobrze doprowadzę sprawy do końca. Ależ wszystkim zawistnikom w pięty pójdzie”. Zapłacił za piwo, włożył kapelusz i wyszedł na dwór.

Grubo po północy pan Neumann znów spał w najlepsze na stoliku, a tysiąc kilometrów na południe od Sosnowca armia bułgarska rozpoczynała ofensywę przeciwko Serbom. Pan Emanuel – nieświadom, iż gdzieś daleko właśnie zaczyna się druga wojna bałkańska – nie ustawał w agitacji. Wykorzystując sen pana Andrzeja, zwrócił się ponownie do programowo smutnego Meyerholda:

– Przyznasz jednak, Tadeuszu, że generalnie jest coraz gorzej. Coraz gorzej. Sam o tym piszesz. Czytałem twój ostatni wiersz o zgniliźnie. Że z każdej strony nas otacza.

– Hm. Jest źle, owszem, ale jeszcze nie wiem dlaczego. Ty wiesz?

Pan Emanuel tylko czekał na tak postawione pytanie.

– Ja odnoszę wrażenie – powiedział konspiracyjnym tonem i do taktu powoli pokiwał głową – że Bóg chce sprawdzić, ile wytrzymamy, rozumiesz, Bóg patrzy, ile my możemy znieść. Ale my mamy dla niego niespodziankę. – Podniósł palec. – Albowiem powiadam: możemy znieść bardzo dużo. Szczególnie jako Żydzi, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Nie mam, Emanuelu. Mnie się czasem nawet wydaje, że ja już nie mam nic przeciwko niczemu. A może sobie jeszcze zamówimy po kufelku?

– Zamówmy. I nie traćmy nadziei.

– Obawiam się, że na to może być już za późno – mruknął Meyerhold.

Minęła kolejna godzina, a pan Emanuel nadal wymachiwał rękami w politycznym ferworze.

– Potrzebujemy teraz rewolucjonistów. Jeszcze bardziej niż w 1905 roku. Jeśli Sosnowiec kiedyś czymś zasłynie, to tylko proletariatem.

– O Boże, to klątwa? – Pan Andrzej ocknął się, znów gotów do kłótni.

– M-może nie p-politykujcie t-tyle, bo z-z-zanim się opa-pa-pa-miętacie, od-d-dadzą nas w k-kamasze – mruknął jeden z artystów, który nie uczestniczył dotychczas w sprzeczkach, pan Lechosław Lech-Leszka. Należał do Klubu Cyklistów, napisał rozzwierający dramat społeczny o muskularnych giserach w odlewniach żelaza, grał nieme role w kilku teatrach amatorskich, tworzył dzienniki intymne i, jak to sam określał, miał pewną grzeszną skazę na własnej płciowości. Poza tym od maleńkości okropnie bał się śmierci. – P-p-przed paroma go-godzinami siedział tu p-p-pewien tłu-tłuścioch. Za-za-zauważyłem, że on cz-często siedzi przy tym sto-stoliku. Skąd wie-wiecie, że nas nie po-po-podsłuchuje? Nigdy nic nie ga-ga-gada. Może to na przykład ca-ca-carski po-policma-ma-majster? A-albo nie-niemiecki szpi-pi-picel?

– On? – Pan Andrzej roześmiał się, aż coś w nim zaświszczało. – Nie, to jest taki miejscowy artysta od podłóg, który lubuje się w kolorystyce spleśniałego sera. Kafelki kładzie. Nazywa się Korzeniec.

– To-to jeszcze o n-niczym nie ś-ś-świadczy. – Pokręcił głową pan Lech-Leszka. – Ca-ca-carska ochrana po-potrafiła u-umieścić a-agenta na-nawet w Za-za-zakładach Kąpielowych. Na-na przykład w u-u-ubiegłym ro-roku so-socjaliści nie mo-mogli po-pojąć, w jaki spo-sposób na po-po-policję docierają me-me-meldunki o ich ze-zebraniach w ła-ła-łazni u Zielińskiego. I co-co się o-okazało? Ła-ła-łaziebny b-był sz-szpiegiem, s-s-sukinsyn...

– Sami sobie winni. Rewolucji proletariackiej nie robi się w mokrych majtkach, a miejska bania służy do kąpieli.

– Za-zapewne. Ale ła-ła-łaziebny jest do-do-do po-podawania r-r-ręczników, a nie do-do szpi-szpiclowania. Na oko nie-niewinny chu-chu... – (W tym momencie pan Andrzej zachichotał). – ...chu-dziaczek, a jaka świ-świ-świnia.

– A skąd pan zna, panie Andrzeju, tego kafelkarza? – Sufrażystka Izabela postanowiła zmienić kierunek dyskusji.

– Poprzez proboszcza z Najświętszego Serca Bożego. Jeśli chcecie zobaczyć, w jakiej estetyce pracują miejscowi artyści, to wejdźcie do kościoła obok dworca. Naprawdę można odnieść wrażenie, że posadzkę wyłożono plastrami spleśniałego sera.

– Niesmaczne – skomentowała sufrażystka Izabela.

– To na pewno bardzo pasuje do Sosnowca – zachichotał Kowalczewski vel Siedlecki. – Mam nadzieję, że twój znajomy proboszcz od serca bożego mu nie zapłacił.

– Zapłacił, zapłacił. Poza tym proletariatu podoba się estetyka zgnilizny...

– Mnie się też podoba – zawołał pan Emanuel, wymachując długimi rękami. – I może niepotrzebnie kpicie z tego człowieka. Może tak być, że jeśli on potrafi się wznieść w swych kafelkach ponad burżuazyjne koncepcje piękna, to świadczy tylko o tym, że ma głowę na karku.

Pan Emanuel nie mógł mylić się bardziej, bowiem akurat w tym momencie pan Alojzy zdecydowanie nie miał głowy na karku. I do niczego nie miał już głowy, ponieważ jego zakrwawiony, bezgłowy korpus leżał przy moście kolejowym wsamym centrum miasta, nieopodal dworca, kilkadziesiąt metrów od restauracji.

ROZDZIAŁ 2

„ISKRA”

Dwudziestego dziewiątego czerwca 1913 roku o godzinie szóstej rano na nasypie kolejowym w centrum Sosnowca znaleziono ciało pozbawione głowy i na podstawie dokumentów, które znajdowały się wciąż w wewnętrznej kieszeni marynarki, ustalono natychmiast, że zwłoki należą do Alojzego Korzeńca, syna Józefa, urodzonego we wsi Tuczna Baba, właściciela firmy kafelkarskiej.

Sosnowiec to jednak nie Moskwa i trudno nawet z dzisiejszej perspektywy zakładać, że zniknięcie głowy pana Alojzego było wynikiem najazdu diabła ze stosowną świtą. Śmierci raczej nie spowodował szatańską ręką kierowany tramwaj. Sprawą musiał zająć się policmajster. Podstawowy problem polegał na tym, że kiedy już pan Korzeniec runął na kolana na znak stosownej pokory w obliczu Prawdziwego Mistrza, kiedy już z jakiegoś niewyjaśnionego powodu pan Korzeniec nie miał głowy na karku, ta, najzwyczajniej zniknęła. Stwierdzenie, że runął na kolana na znak stosownej pokory jest nieco spekulatywne, gdyż nie wiadomo, czy to głowa miała powziąć taką refleksję, czy bezgłowe ciało osuwające się – jak mniemam – na ziemię. Metafizykę jednak zostawmy innym, ponieważ teraz pojawił się – z punktu widzenia kryminalistyki – problem czysto praktyczny.

O godzinie ósmej rano w redakcji „Iskry”, w kamienicy przy ulicy Krzywej, redaktor naczelny pisma Walerian Monsiorski pracował nad

artykułem na pierwszą stronę poniedziałkowego wydania gazety. Właściwie był w redakcji incognito, ponieważ przed budynkiem tabliczka wyraźnie głosiła: „Redaktora można zastać od 12 do 1 w południe i od 6 do 8 wieczorem. Redakcja otwarta dzień i noc”. Oznaczało to mniej więcej tyle, że stróż Ignacy pilnował budynku. Pan Walerian każdego ranka przychodził do pracy i srogim głosem oznajmiał:

– Panie Ignacy, proszę pamiętać, że ja tu jestem teraz incognito.

– Tak, tak – kiwał głową znudzony stróż. – Inkoguto. Tylko jakby naprawdę coś ważnego. – Gęste, płowe wąsy zakrywały mu usta w ten sposób, że nie było widać, kiedy mówi.

Redaktor Monsiorski zaczął obmyślać treść artykułu, który zatytułował *Niemcy w razie wojny*. Wszyscy wiedzieli, że będzie wojna. I co wówczas? Redaktor rozłożył na stole mapę Europy, której jeden niesforny róg przycisnął metalowym pudełkiem na okulary. Gdyby Anglia zamknęła kanał La Manche i przeprowadziła blokadę morza od brzegów szkockich aż po Norwegię, co jest bardzo prawdopodobne, to... Redaktor Monsiorski przygryzł pióro, wczuwając się w rolę pruskiego generała von Lubitza. Pan Walerian nie miałby nic przeciwko temu, by naprawdę jako von Lubitz z wielkim nosem i małym wąsem wisieć nad mapą Europy. Z fajką w zębach i w otoczeniu posłusznych adiutantów planowałby strategię i taktykę Niemiec, szkicowałby optymalne linie umocnień, tłumaczyłby, dlaczego Anglia zablokuje akurat ten fragment morza, a nie inny, żartowałby na przykład, że Anglia to kraj brudasów... Otóż, jako wyimaginowany von Lubitz (cóż za cudownie pruskie nazwisko z delikatnym słowiańskim posmakiem jak goryczka w piwie), uznał, że jeśli Anglia zamknie morze, na lądzie zaś z jednej strony mamy Rosję, a z drugiej Francję, przy czym na Belgię i Danię nie ma co liczyć, Holandia tymczasem... – redaktor Monsiorski w roli generała von Lubitza machnął tylko ręką na Holandię, która musiałaby słuchać rozkazów Anglii – więc zostaje Turcja, ale Turcja z kolei odcięta jest przez Serbię i Grecję, czyli

znowu rodzi się dylemat – i pióro żwawo pobiegło po papierze: „Tu jawi się problem Rosji, bo jeśli Rosja zapanuje na Bałtyku, to zamknie Niemcom drogę ku Szwecji i Norwegii, a wtedy...” – redaktor Monsiorski podrapał się w głowę – otóż wtedy...

Wtedy ktoś otworzył drzwi i brutalnie wyrwał von Lubitza ze środka batalii. Do pokoju wsunął się uśmiechnięty chłopiec.

– Czegóż chcesz, nicponiu jeden? Nie przeszkadzaj mi! – warknął generał von Lubitz.

– Da mi pan dziesięć groszy?

– Na co ci dziesięć groszy? – zapytał podejrzliwie von Lubitz.

– Na Greków w Parku Sieleckim.

– Masz coś dla mnie?

– A mam. – Chłopiec wyciągnął kopertę zza pazuchy i pomachał nią z zadowoleniem.

Na widok koperty generał stał się na powrót redaktorem Monsiorskim. Zdjął z nosa okrągłe okulary w czarnych metalowych oprawkach i włożył je do pudełka, którego wieczko trzasnęło z brzękiem. Uwolniony róg mapy zwinął się, chowając całą zachodnią Europę, jakby była ona czymś wstydliwym. Anglia szybko zrolowała się i pokryła równie szybko rolujące się Niemcy.

– Dawaj, nie mam czasu na przekomarzenie się z tobą.

Chłopak podał redaktorowi kopertę. Pan Monsiorski niecierpliwie ją otworzył, przeczytał informację od zaprzyjaźnionego oficera z kwatery policmajstra i oniemiał.

– To może pan da dwadzieścia groszy?

Pan Walerian spojrzał na posłańca mało przytomnym wzrokiem.

– Ech, ty łobuzie, co z ciebie wyrośnie?

– Ze mnie? – Chłopiec uśmiechnął się szeroko. – Wczoraj mi powiedziała Cyganka, że będę sławnym na cały świat śpiewakiem.

– Pewnie. Wierz Cygance, nicponiu. A nie mówiła ci czasem, że ja zostanę pruskim jenerałem?

– O panu nic nie mówiła – potrząsnął głową posłaniec. – Tylko, że ja będę sławnym śpiewakiem.

– No dobrze. Masz tu swoje dwadzieścia groszy. I zmiataj.

Chłopakowi nie trzeba było tego powtarzać. Chwilę później redaktor słyszał już tylko tupotanie nóg na drewnianych schodach.

Pan Walerian przeczytał jeszcze raz wiadomość o znalezieniu zwłok bez głowy w samym centrum miasta i zatarł dłonie. Otworzył szeroko okno i wyjrzał na dwór. Świat, którego głęboko nabrał w płuca, nie mógł zachwycać aromatem. Tego akurat ranka letni wiaterek przynosił fetor świń i kloaczno-karbolowe wyziewy z pobliskiej targowicy. Mimo to pan Monsiorski z satysfakcją zaczerpnął skisłego powietrza, z aprobatą spojrzął na ulicę Krzywą, która zataczała się w lewo i w prawo w klasycznym pijackim zygzaku, a parę metrów dalej prostowała znowu jak gdyby nigdy nic, rozłożył ręce i zawołał:

– Kocham cię... – tu zawahał się chwilę nad odpowiednią formą wołacza i dokończył mniej pewnie – ...Sosnowcze!

Sam zdziwił się tą formą, bo o ile łatwo było wołać „Kocham cię, Warszawo” albo „Kocham cię, Jasna Góro”, nie mówiąc już o trywialnych zawołaniach w stylu „Kocham cię, Jadwisiu”, o tyle nikt dotychczas nie słyszał, by ktoś zwracał się w ten sposób do Sosnowca, i redaktor Monsiorski miał święte prawo zawahać się, stworzył bowiem zwrot, który rzadko w przyszłości miał być przez kogokolwiek wykorzystywany, chyba że w celach czysto szyderczych. Tymczasem owo poranne wykrzyczone przez okno „Kocham cię, Sosnowcze” było absolutnie szczere. Jeśli jest się redaktorem poczytnego pisma, to fakt, że w mieście ludzie gubią głowy jest może godny napiętnowania, ale jakimż jest cudownym powodem do zamieszczenia pilnej depeszy, która oczywiście ma konkretny wymiar finansowy.

Redaktor Monsiorski wrócił do biurka i zlikwidował Europę, stanowczo rolując mapę. Znikało wszystko po kolei, na samym końcu zniknęła zaś Rosja. Na pierwszej stronie jutrzejszego wydania pisma nie znajdzie się tym razem artykuł o tym, jak Niemcy mogą się zachować w obliczu zbliżającej się nieuchronnie wojny, ani o tym, że Niemcy muszą swe siły militarne doprowadzić do potęgi. Tak, polityka von Lubitza chwilowo ustąpi miejsca lokalnej depeszy.

Ponieważ z ulicy Krzywej do nasypu przy moście kolejowym było dosłownie dwieście metrów, redaktor Monsiorski postanowił natychmiast się tam udać.

– Panie Ignacy, zaraz wracam. Wydarzyło się coś okropnego – zawołał radośnie, w biegu zakładając kapelusz.

Stróż nie zareagował. Myślał akurat o pieczonej brukwi, tudzież o parujących sypkich kartoflach, i to było znacznie ciekawsze.

Nagła śmierć – ów nader fatalny moment, kiedy życie potyka się o zbyt wielką przeszkodę – jeśli ma miejsce na ulicach miasta, na rogatkach, w ciemnych sieniach, w zatęchłych podwórcach, to zupełnie coś innego niż nagła śmierć na wsi. Wiejska śmierć jest mniej anonimowa. Siekiera uwalana krwią, cembrowina wysoka jak wawóz, konar stękający pod wisielcem, wszystko to elektryzuje wieś na kilka tygodni; wtłacza ją w bulgoczący kocioł mitu, cofa w czasy, kiedy na świat spoglądało się wytrzeszczonymi oczami. Nagła śmierć w mieście pachnie metropolią, jest zgrzytem wysoce niemiłym, ale jak najbardziej zasadnym i pożądanym, jak pisk kół hamującej lokomotywy, jak cierpkość absyntu na podniebieniu, jak smród naftaliny w szafie – tak przynajmniej rozumował redaktor Monsiorski, który żwawo zmierzał ku nasypowi kolejowemu i z każdym krokiem coraz bardziej przeistaczał się w filozofa.

„Budujesz ulice, budujesz zaułki, a zbudujesz miejsce zbrodni” – i to również przyszło do głowy panu Walerianowi, ponieważ w myśleniu

preferował proste, dobrze brzmiące rozwiązania, szybko przekładające się na nagłówki.

Wspiął się na gliniasty nasyp przy moście. Większość magazynów różnych Domów Komisowo-Handlowych połączono z koleją żelazną, były też w okolicy wyspecjalizowane pochylnie przeładunkowe: rampa zbożowa, rampa tekstylna, a nawet rampa świńska. Wszystkie połyskliwe nitki zbiegały się w pobliżu dworca.

Tablice głosiły, iż stanowczo zabrania się samodzielnie przekraczać tory kolejowe, jednak pan Walerian bez obawy przeskakiwał przez skomplikowaną pajęczynę szyn. Policjanci obstawili miejsce dramatu, a spora grupka gapiów zebrała się przy wielkiej pompie z długim czarnym dziobem. Pompa stała przy ślepym torze. Z jej pomocą uzupełniano wodę w lokomotywach. Wokół wały się zapomniane, strawione korozją truchła jakichś urządzeń, sterty matowych cegieł oraz brudne szmaty nasączone oliwą.

Istnieją dwie główne kategorie gapiów: pierwsza to gapiący się z daleka, czyli ci, którzy chcą być niemal na miejscu wydarzeń, ale nie daj Boże zbyt blisko, ponieważ lepiej, wygodniej, a już na pewno bezpieczniej jest tak się ustawić, by móc w razie czego chyłkiem odejść. Do tej kategorii należą ludzie tchórzliwi oraz ludzie mądrzy, przy czym ci mądrzy są zbyt bojaźliwi, by w ogóle nie uczestniczyć w zbiorowym gapiostwie. Nieraz przecież tak się dzieje, że nogi same wiodą człowieka w miejsce, gdzie nie chce wcale być, tyle że nóg nie można o tym przekonać. Druga kategoria to gapiący się z bliska, ci, którzy, gdyby mogli, najchętniej położyliby się tuż obok zwłok. Do tej grupy gapiów należą ludzie, którzy nie mają pomysłu na to, jak zaistnieć w świecie, natomiast odczuwają przemożną potrzebę publicznej chwały: choćby raz, na chwilę; innymi słowy: ludzie, którzy chętnie byliby kimś, gdyby tylko zależało to od tego, by być blisko czegoś, co przytrafiło się komuś innemu. Ci gapie nie mają skłonności do ucieczki,

wręcz przeciwnie, wykazują umiejętność uporczywego trwania na miejscu i gadulstwa. Cechy te uważają za coś w rodzaju bohaterstwa.

W obu grupach przekazywano sobie istotne informacje:

– I co? Widzisz coś?

– Nic. A ty?

– Też nic, bo policjanci zastawiają.

– A ja widzę tylko, że ktoś tam leży przykryty szarym kocem.

– Trup?

– No pewnie, że trup.

– O Jezuu, ja się boję trupów.

– A czego tu się bać? Trup ci nic nie zrobi.

– Ale tak jakoś... strasznie.

– E tam. Co, nie dotknąłbyś trupa?

– Daj spokój, nigdy w życiu, a ty?

– Postawisz flaszkę, to go mogę nawet pocałować.

– Ciekawe w co, bo podobno nie ma głowy.

– No to choćby w...

Redaktor Monsiorski przepychał się energicznie. Czuł wszędzie zapach taniego tytoniu.

– Przepraszam... przepraszam, ja służbowo.

Dotarł do policjantów.

– Gdzie leziesz, bałwanie jeden? Nie widzisz, że zabronione? – Stójkowy nie chciał przepuścić pana Waleriana.

– Ja muszę koniecznie do oficera.

– A idźże, człowieku, do cholery. – Stójkowy spojrzał spode łba. – Kim pan właściwie jest?

– A rzeczywiście, przepraszam, nie przedstawiłem się. – Dotknął runda kapelusza. – Walerian Monsiorski, do usług. Proszę, tu jest moja wizytówka.

Stójkowy przeczytał, co następuje:

Walerian Monsiorski
Redaktor Naczelny
„ISKRA. Dziennik polityczny, społeczny i literacki”
Sosnowiec, ul. Krzywa numer 1

Redaktor drżącymi dłońmi wyjął z teczki jeszcze kilka arkuszy papieru i rozłożył je w efektowny wachlarz:

– Proszę też przekazać oficerowi, że mam zezwolenie, a właściwie nawet poparcie stosownych władz... O, tu napisano: „udziela się generalnego, nieograniczonego zezwolenia”, chodzi o wykonywanie czynności redakcyjnych, rozumie pan...? Tu jest pieczęć prezydenta miasta, a tu jest druga, proszę... – postukał w papiery wskazującym palcem – ... i kontrasygnata policmajstra, z kwatery głównej przy Iwangrodzkiej.

Dla rosyjskiej władzy, zwłaszcza tej najniżej postawionej, pieczęć to argument ostateczny. Kto urzędnika bije między oczy odciskiem wielkiej pieczęci, bije bez litości. Osoba urzędnicza, zdzielona takim argumentem, może jedynie zaskowycić żałośnie i może nawet słabym głosem protestować, ale musi bezwzględnie ustąpić, i wszyscy o tym wiedzą. Nic się tak w Rosji nie liczyło jak zestaw pieczęci. Kto to pojął, pojął wiele i posiadał władzę. Kto tego nie pojął, przepadał.

Pieczęcie zrobiły wrażenie na stójkowym. Widząc to, pan Walerian zachował się jak bokser, który, gdy przeciwnik siania się na nogach, dokłada mu jeszcze lewym sierpowym w szczękę, kalkulując jedynie, ile trzeba włożyć siły w ostateczny cios.

– Sam pan przecież widzi. Plenipotencja. Mam pełną plenipotencję. Będę bardzo wdzięczny, jeśli pan przekaże moje upoważnienia oficerowi. Muszę przygotować pilną depeszę na pierwszą stronę. – Redaktor mówił szybko i głos mu drżał. Dodajmy jednak, że jego zamiarem wcale nie było nokautowanie szeregowego policjanta. Chciał tylko jak najszybciej dotrzeć na miejsce wydarzeń.

Stójkowy podrapał się w głowę. Tak, możliwe, że tego intruza nie da się przepędzić. Jednak myli się każdy, kto doszedł do wniosku, że stójkowy przestał walczyć. Jak półprzytomny bokser, który udaje, że gdzie mu tam do końca (mimo że ledwie stoi na nogach i niemal nic nie widzi przez zapuchnięte oczy), jak zawodnik, który zapędzony do rogu, podskakuje jeszcze i młóci chaotycznie rękami, pozorując ochotę do dalszej walki, stójkowy oglądał dokumenty, mimo że nic z nich nie rozumiał. Tracąc rezon, zaczął bezwiednie cmokać nad pieczęciami, celem zyskania choćby kilku cennych sekund.

Wówczas pan Walerian znów uderzył.

– Niechże pan nie cmoka jak Żyd na wybrakowany towar, bo ja nie mam czasu.

Och, jak mocno redaktor Monsiorski bił. Punktował celnie, bowiem czuł, że moc pieczęci policmajstra zdecydowanie przewyższa moc niechęci stójkowego.

– Chwileczkę – mruknął policjant. Powlókł się do oficera, zameldował, że przyszedł jakiś zdyszany jegomość z pieczęciami i potencją.

Pan Walerian powiódł wzrokiem dookoła. Z każdej strony nasypu kolejowego, jak okiem sięgnąć, snuły się dymy okolicznych hut i kopalń. O tym, że jest niedzielny poranek, świadczyło tylko dudnienie kościelnych dzwonów.

Stójkowy wrócił.

– Może pan przechodzić – burknął i machnął ręką lekceważąco, bo już tylko machnięciem mógł wyrazić swój sprzeciw.

Redaktor Monsiorski pomknął naprzód. Lekko jak tancerz przesakiwał przez tory. Obok kopczyka przykrytego kocem stała mała grupka osób. Rozpoznał medyka, który założywszy ręce na plecy, cicho rozmawiał z umundurowanym policjantem.

Był to doktor Mojkowski, lekarz główny Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Został wezwany zapewne dlatego, że urzędował najbliżej –

w służbowym gabinecie na dworcu. Tęgi mężczyzna o wydatnym brzuchu łąskał wysokim czołem i monokłem w oku. Wyglądał, jakby ktoś go wypolerował. Ubranie miał pachnące, wszystko w nim sugerowało kompetencję i dobrobyt. W nagłych przypadkach policja często wzywała doktora Perelmana, ale od kiedy ten szanowany specjalista z Modrzejowskiej zaprzedał duszę i ciało idei esperantyzmu, tak często wyjeżdżał z apostolskim przesłaniem w trasę, że najpewniej i tego poranka nie było go w Sosnowcu.

– Dzień dobry, panie redaktorze – lekarz uklonił się pierwszy.

– Dzień dobry.

Obok doktora stał oficer policji z Pierwszego Cyrkułu. I tego człowieka redaktor Monsiorski znał. W ubiegłym roku miał wątpliwą przyjemność być przez niego odprowadzany do aresztu. Teraz, jak widać, oficer awansował w hierarchii.

– Dzień dobry, panie inspektorze. Pan tutaj? Spodziewałbym się raczej kogoś z Drugiego Cyrkułu.

Oficer pokręcił głową.

– Kancelaria policmajstra przekazała tę sprawę nam. Drugi Cyrkuł w ubiegłym roku przeniesiono na Plebańską...

– A tak, tak. Pisaliśmy nawet o tym w „Iskrze”. Czy mogę zanotować w depeszy, że zwłokami na nasypie kolejowym zajmuje się Pierwszy Cyrkuł? – Redaktor Monsiorski wyciągnął z teczki duży notes.

– Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby pan nic nie notował. Ale zdaję sobie sprawę, że nie mogę tego od pana oczekiwać.

– Nie może pan. Czytelnicy będą chcieli dowiedzieć się jak najwięcej o tym bulwersującym wydarzeniu. Więc gdyby pan mógł mi cokolwiek...

Policjant pokręcił głową i powiedział oschłym tonem:

– Wybacz pan, ale szczegóły zachowam dla siebie. – Po chwili jednak dodał nieco łagodniej: – Muszę działać bardzo ostrożnie. Sam pan wie, w jakich czasach żyjemy.

Redaktor Monsiorski udał, że nie rozumiał aluzji. Czas spędzony w areszcie był dla niego ciągłym źródłem koszmarów. Przez chwilę stał bezradnie i rozmyślał, jakim sposobem może się czegoś dowiedzieć. Pracownicy kolei wyglądali na przestraszonych. Postanowił wyciągnąć informacje od doktora Mojkwskiego.

- Mój Boże, takiej tragedii jeszcze u nas nie było – zagał.
 - Bez wątpienia – zgodził się uprzejmie lekarz.
 - I w jaki straszny sposób ten biedak odszedł ze świata, prawda?
- Lekarz pokiwał głową w zamyśleniu i zapytał:
- Chce go pan zobaczyć?

Redaktor Monsiorski tego akurat nie był pewien. Nie mógł jednak oderwać wzroku od przykrytego kocem pagórka, co lekarz uznał za odpowiedź twierdzącą.

– Proszę bardzo. – Doktor Mojkwski nachylił się i szybkim ruchem odsunął koc położony na ciało.

Zręczny ruch doktora przypominał gest torreadora. W ubiegłym sezonie w Teatrze Miejskim w Gleiwitz wystawiono *Carmen*, a zaprzyjaźniony recenzent z gazety „Der Oberschlesischer Wanderer” zaprosił redaktora Monsiorskiego na premierę. Teatr był bardzo dziwnym miejscem, gdzie intensywny zapach perfum drażnił nozdrza. Kiedy artystka przedstawiająca Carmen śpiewała habanerę, redaktor Monsiorski odczuwał mrowienie w kroczu, a kiedy ta sama artystka śpiewała arię z kartami, odczuwał ciarki w kręgosłupie.

Teatr był też miejscem festiwalu pudrowanych dekoltów, ale dla pana Waleriana najbardziej zdumiewające było odkrycie, że na Śląsku żyje tak wiele kobiet z wąsami i gęstymi, połączonymi brwiami, szczególnie jeśli były to kobiety w wieku średnim. Żyło tu też wiele kobiet, które nie miały talii i równie wiele takich, które jednocześnie nie miały talii, ale za to gęste ciemne brwi i wąsy. W teatrze brzydkie niewiasty śmiało odsłaniały tłuste dekolt. Możliwe, że chciały, by odwróciły one uwagę od brwi i wąsów,

a może nawet od powodującej mrowienie Carmen. Redaktor Monsiorski doszedł wówczas do wniosku, że to wszystko jest bardzo niesprawiedliwe, ponieważ wąsate śląskie kobiety w średnim wieku były na pewno za młodu subtelnymi pannami i naiwni śląscy kawalerowie pożenili się z nimi w dobrej wierze, by po kilkunastu latach zbudzić się obok wąsatych małżonek. Śląskie kobiety w wieku średnim miały też często kwadratowe twarze i redaktor Monsiorski z ulgą i rozrzewnieniem skonstatował, że polska twarz kobieca, jakby cyrkielkiem obrysowana, jest znacznie ponętniejsza niż kobieca twarz śląska, kwadratowa i wąsata. O tym, że twarz śląska mogłaby jednocześnie być twarzą polską pan Walerian nie pomyślał, bo – powiedzmy sobie bez hipokryzji – w roku 1912 nikt przy zdrowych zmysłach tak nie uważał ani nie mógł takiej herezji od nikogo oczekiwać. Nawet w Sosnowcu tak zwany „żywiół polski” zaczął się uaktywniać dopiero po wydarzeniach z 1905 roku, więc gdzie by tam komukolwiek mogło przyjść do głowy, żeby się jakiś dodatkowy element polski miał uaktywniać na Śląsku. Równie dobrze mogłoby do tego dochodzić wśród Zulusów i Hotentotów.

Wracając do zamaszystych torreadorskich gestów: w czwartym akcie wyszminkowany Escamillo, mężczyzna szczupły, bez wąsa, o zdumiewająco długiej twarzy – nawet jak na Prusaka – nie mówiąc już o tym, że o zdecydowanie zbyt długiej twarzy jak na torreadora, w obcisłych portkach i w kaftanie nabijanym tanimi cekinami, pastwiąc się nad malowanym bykiem, wymachiwał zrecznie czerwoną płachtą właśnie w taki sposób, jak teraz doktor Mojkowski. „Może doktor też się tego nauczył w operze”, pomyślał redaktor, ale nie dokończył tych rozważań, bo jego wzrok przykuł zgoła inny widok.

A oto co zarejestrował wzrok pana Waleriana w ciągu kilku sekund.

Najpierw buty, ponieważ zwłoki zwrócone były do redaktora Monsiorskiego gładkimi podeszwami: wyślizgane spody, w jasnym brązie. Końcówki sznurówek ginęły gdzieś w trawie i wyglądało to tak, jakby

stopy nieboszczyka przywiązano sznurówkami do ziemi. Może dlatego się przewrócił i nie mógł wstać. Oglądanie podeszew butów stykających się z ziemią jedynie noskami nosi znamiona perwersji, ponieważ spód podeszwy nie powinien być wystawiany na widok publiczny. Powinien przylegać do podłoża. Oglądanie spodów butów to trochę jak podpatrywanie kogoś w dziurawych skarpetach albo w trakcie robienia czegoś wstydliwego. Redaktor Monsiorski zapamiętał też nogawki: ciemnoszare w prążki. Jedna z nich podwinęła się niefrasobliwie na owłosionej łydce. Nieboszczyk leżał na brzuchu, a poły marynarki wywróciły się na lewą stronę, odsłaniając fragment koszuli. W trawie chowała się biała dłoń. Mogło to sugerować, że pergaminowe palce próbowały przeczesywać źdźbła, ale nie próbowały, bo skierowane były do góry jak przewrócone grabie z koślawymi zębami. Rigor mortis na wieki wieków amen. Faktura marmuru, która ustąpi fakturze rozkładu. Po wnętrzu dłoni, wzdłuż linii życia, tyle że w odwrotnym do zakładanego kierunku, spacerował żuk w chitynowym pancerzu. Gdyby nieboszczyk z chrzęstem zacisnął pięść, nierozważny owad zginąłby w okamgnieniu. Druga dłoń mistrza Alojzego, blada jak podbrzusze ropuchy, spoczywała bezwładnie na wysokości uda. Wreszcie: szerokie ramiona w marynarce i widok tego najgorszego. Tego, czego nie było, a powinno być. I ciemny ślad w miejscu, gdzie wsiąknął strumień krwi.

Redaktor Monsiorski poczuł, że policzki ma zimne jak lód, język sztywny, a usta suche. Czyżby dostał gorączki? „W śmierci nie ma żadnej godności”, przemknęło mu przez głowę. Postanowił otrzeć chusteczką pot, który nagle obficie zrosił mu czoło, ale nie zdążył sięgnąć do kieszeni. Świat najpierw przekręcił się o dziewięćdziesiąt stopni, a potem zupełnie zniknął.

Nie było niczego, nawet świadomości, że niczego nie ma. Po jakimś czasie świat jednak wrócił, chociaż w bardzo ograniczonej formie. Redaktor Monsiorski ujrzał błękitne niebo. Nie mógł stwierdzić, czy widzi je nad

sobą, pod sobą czy z jakiejś innej pozycji, ponieważ nie miał żadnego punktu odniesienia. Jego wzrok po prostu zarejestrował znany mu z codziennych doświadczeń błękit. I nic poza tym. Nagle na błękit coś się nasunęło i pół nieba zastawiło słońce. Było rumiane i miało monokl w oku. Łańcuszek monokla dyndał swobodnie nad okiem redaktora Monsiorskiego, nawet dosyć blisko, jeśli wziąć pod uwagę zwyczajową odległość ciał niebieskich od ziemi. Słońce miało twarz ludzką, a dokładniej lekarską. To był bez wątpienia doktor torreador, znany z czasów, zanim świat się obrócił. Redaktor Monsiorski przymknął powieki i słońce wraz z niebem znowu zniknęło. Otworzył oczy po chwili, bo kiedy miał zamknięte, kręciło mu się w głowie, a poza tym wróciła mu świadomość, że coś istnieje, nawet jeśli on sam niczego nie widzi. Niebo zastawiały dwa słońca. Jedno miało twarz doktora torreadora, drugie twarz policjanta.

– Chyba już dochodzi do siebie – powiedziało słońce z monoklem w oku do tego drugiego, a wzrok redaktora Monsiorskiego pilnie rejestrował te astronomiczne dziwy.

– Podetkaj mu pan jeszcze raz – powiedziało słońce o twarzy policjanta.

Do mózgu redaktora wdarł się ostry odór. Oczy zapiekły. Niedobrze. Bardzo niedobrze. Pan Walerian dostał torsji, ktoś obrócił go szybko na bok. Teraz miał przed oczami trawę i ziemię, nieba nie widział. Mrówki szły szeregiem przez dżunglę. Niosły stanowczo za dużo bagaży. Redaktor powoli zaczął sobie wszystko przypominać i już wiedział, gdzie jest.

Mocne dłonie podniosły go, pociągnęły i ułożyły na trawie kilkanaście metrów od miejsca, gdzie torsje zniszczyły szlak mrówek.

– Nie, nie leżymy, proszę pana. Opieramy się o murek i siedzimy.

Oddychał ciężko.

– Może niech powącha jeszcze raz...

– Nie, chyba już wystarczy.

– Proszę... Nie trzeba – wyszeptał redaktor. Kosztowało go to sporo wysiłku.

– Na pewno?

Nie mógł z siebie nic wydusić, ale jakoś zebrał siły.

– Na pewno... Co to jest? – Wykrztusił zdławionym głosem. – Okropnie śmierdzi.

– Amoniak – wyjaśnił doktor uprzejmie.

– Co się stało?

Redaktorem Monsiorskim wstrząsała teraz czkawka silna jak konwulsje.

– Zemdlał pan. Tak pan szybko mdlał, że zanim się zorientowaliśmy, już pan leżał jak długi.

– O, Boże... – Usiłował jeszcze coś powiedzieć, ale głos znów odmówił mu posłuszeństwa. – Okropność... – Szczękał zębami. Było mu jednak nieco wstyd i czuł, że powinien się wytłumaczyć. – Przepraszam. Czuję się jak pijany – wystękał. – To jednak trochę za dużo dla mnie. Nie jestem szczególnie odważny.

– Przecież sam pan chciał.

Redaktor Monsiorski zdziwił się. O ile dobrze pamiętał, to lekarz mu zaproponował oględziny, a potem odsłonił nieboszczyka torreadorskim ruchem.

– Wie pan, widziałem w życiu to i owo, ale w mojej pracy nieczęsto się ogląda zakrwawione zwłoki bez głowy.

Doktor pokiwał głową.

– Oczywiście. W mojej też nie. Już panu lepiej?

– Tak... Chyba tak... Serce mi łomocze. – Redaktor siedział jeszcze, bo nogi miał wciąż jeszcze jakby daleko od reszty ciała, ale w rękach odzyskiwał już władzę i nawet otrzepał rękawy marynarki z trawy i grudek ziemi. Chciał też dłonią przeczesać włosy, ale głowa znajdowała się na razie za wysoko.

– Zaraz wstanę – powiedział. – Już mi jest naprawdę dużo lepiej.

– Niech pan jeszcze posiedzi. Najlepsza jest pozycja pozioma, ale tu jest zbyt brudno, żebym panu to zaordynował.

– A mówią, że ruch to zdrowie – jęknął redaktor.

– Zgodnie z zaleceniami autorytetów, w przypadku najmniejszej nawet niedyspozycji należy odpoczywać w pozycji horyzontalnej – oznajmił surowo lekarz. – Więcej pan wypocznie, leżąc przez pół godziny, niż odpoczywając w jakiegokolwiek innej pozycji przez dłuższy okres czasu. Stwierdzono to naukowo i bezspornie.

– A po obiedzie spać zdrowo?

– Zdrowo.

– Bo ja lubię.

– To dobrze.

Pan Walerian odwrócił się tyłem do straszego kopczyka pod kocem. Kilkakrotnie przetarł ręką oczy, jakby odganiał koszmarny sen. Kwadrans później podniósł się niepewnie. Spojrzał w stronę policjantów i gapiów. Nie śmiali się z niego, ale spoglądali z wyraźnym zainteresowaniem.

Przeczesał włosy i strzepnął resztki trawy. Oficer podał mu teczkę i kapelusz.

– Proszę.

Z miasta znów dochodziło bicie kościelnych dzwonów.

– Dziękuję.

Redaktor Monsiorski chciał zapytać, czy to prawda, że morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni. Gdzieś tak wyczytał, ale nie był pewien, czy znalazł tę regułę w *Przygodach Tomka Sawyera* czy w *Zbrodni i karze*. Obie powieści poznał mniej więcej w tym samym czasie i ich treść nieco mu się wymieszała. Jeśli zasada powrotu na miejsce morderstwa zawarta jest w *Tomku Sawyerze*, to lepiej jej nie przytaczać. Co innego, gdyby w *Zbrodni i karze*. Tyle że nie był pewien. Powiedział zamyślony:

– Wygląda na to, że zło zaczyna się panoszyć w mieście.

– To akurat nie byłoby najgorsze – mruknął doktor Mojkowski.

– Tak?

– Panoszenie się zła wymusza aktywność sił dobra. Znudzone dobro zaczyna próchnieć.

Pan Walerian uniósł brwi.

– Wie pan, doktorze, słyszałem wprawdzie podobną teorię, ale dotyczyła ona znudzonych żołnierzy. Przyznam, że o kwestiach dobra i zła nie myślałem w tych kategoriach.

Pacjent Monsiorski zmieniał się w redaktora pilnej depeszy miejscowej. Zwrócił się do oficera:

– A zatem nie dowiem się, co pan o tym wszystkim sądzi, inspektorze?

– Na razie nic nie sądzę. – Policjant wzruszył ramionami. – Za wcześnie na wnioski. Poza tym zajmowałem się głównie panem, a nie formułowaniem hipotez. I naprawdę byłbym wdzięczny, gdyby pan się powstrzymał od spekulacji.

– Mogę się powstrzymać, ale jako redaktor dziennika politycznego i społecznego po prostu nie mogę nic nie napisać. Sam pan rozumie. Wystarczy, że mam kłopoty z konkurencją, dlatego proszę mnie nie stawiać w trudnym położeniu.

– W trudnym położeniu to jestem ja. Na przykład muszę jak najszybciej odnaleźć głowę. To wystarczający problem na razie. – Policjant zasępił się. – Mam dziwne przeczucie, że z tego wyniknie jakiś większy smród.

– Rozumiem pana doskonale, ale może...

– Dajże pan spokój. Bardzo proszę – oficer przerwał mu gniewnie. Spojrzał w dokumenty wyciągnięte z marynarki nieboszczyka. – Alojzy Korzeniec... Przede wszystkim trzeba jak najszybciej powiadomić jego rodzinę.

– Tak... oczywiście. Wie pan, ja nawet znam jego żonę. – Redaktor pokiwał głową.

– Zna pan żonę denata? – Inspektor wyraźnie się zdziwił.

– Tak. Jego żoną jest Klandestyn Bizukont.

Inspektor wlepił w niego takie spojrzenie, jakby miał przed sobą człowieka obłąkanego. Zirykowało to redaktora, bo seria przykrych wrażeń zaczynała go przerastać.

– Proszę łaskawie nie spoglądać na mnie jak na wariata. Klandestyn Bizukont to żona Korzeńca. W dodatku on nawet o tym nie wiedział.

Inspektor trochę się pogubił.

– Kto nie wiedział? Klandestyn?

– Nie. Korzeniec.

ROZDZIAŁ 3

KLANDESYN

Jeśli już mowa o tajemnicach, które mnożyły się w nowym mieście jak pluskwy – wygląda na to, że Sosnowiec w roku 1913 był tak pełen sekretów jak, nie przymierzając, Praga albo Görlitz w złotych czasach alchemików. Otóż skrzętnie skrywaną, prywatną tajemnicą było i to, że swoją bezpłodność biologiczną pani Jadwiga rekompensowała sobie niezwykłą płodnością na niwie literackiej. W jej głowie, zwieńczonej za dnia wysoko upiętymi włosami, bez przerwy rodziły się pomysły. Co tydzień wychodziły spod jej pióra kolejne odcinki powieści. Heroiny w literackim świecie pani Jadwigi uparcie obsypywały nikczemnych brunetów „gradacją gorących pocałunków”, mimo że ze strony tychże brunetów niemal w każdym odcinku spotykały je „karkołomne awantury”, i bez względu na to, ile razy zdesperowany redaktor literacki „Iskry” zmieniał gradację pocałunków na grad, a karkołomność awantur na ich karczemność, pani Jadwiga w następnym odcinku uparcie proponowała nową gradację, tak czy owak zakończoną karkołomną awanturą, ewentualnie najpierw była karkołomna awantura, a dopiero potem kochankowie sycili się gradacją. Redaktor literacki wielokrotnie apelował do pana Monsiorskiego, by zakończyć współpracę z Klandestynem Bizukontem, czyli z ukrywającą się pod tym pseudonimem Jadwigą Korzeńcową, ale nie było to takie proste, ponieważ pan Walerian podejrzewał, i słusznie, że sukces „Iskry” opierał się w dużej mierze na

nieogarnionych połączeniach namiętności kreślonych nieokiełznanym piórem Klandestyna („–Ach, jakież uroczy wąsik, proszę pana – szepnęła i nie mogąc się dłużej powstrzymać, okryła twarz przystojnego hrabiego gradacją gorących pocałunków”). Redaktor literacki złośliwie udawał, że nie może zapamiętać pseudonimu „Klandestyn Bizukont” i nazywał autorkę a to „Porfirymanem Grafomanem”, a to „Innocentym Karbinadlem”, zaś w chwilach najwyższej rozpaczy „Koryfej Ryczywołem”. Wbiegał czasami do pokoju redaktora naczelnego, teatralnym gestem rwał włosy z głowy i wołał:

– Błagam pana, zaklinam na wszystkie świętości, zrezygnujmy już z usług Porfirego Grafomana! Mnie od tej pisaniny wypadają włosy.

– Właśnie widzę, że sam je pan sobie wyrywasz – odpowiadał przytomnie redaktor Monsiorski.

Albo:

– Na litość boską, proszę powstrzymać Innocentego Karbinadla. Panie redaktorze, albo ja, albo Karbinadel, niech pan wybiera.

Pan Monsiorski milczał taktownie.

Albo:

– Nie, po stokroć nie. Koryfej Ryczywół wstydu nie ma! Że też go Pan Bóg za to jeszcze nie pokarał!

Pan Monsiorski nie odzywał się i wówczas, a redaktor literacki po chwili wybiegał, wołając „Votum separatum” albo wręcz mruczając pod nosem ordynarne przekleństwa i trzaskając drzwiami.

Pan Alojzy Korzeniec przeglądał czasem „Iskrę” – czy też może należy powiedzieć, że czynił to za życia – ale omijał odcinki drukowanych na jej łamach powieści. Uważał, że szkoda jego czasu na *Ofiary przeznaczenia* w czterystu odcinkach czy *Okowy namiętności* w trzystu pięćdziesięciu. Pojęcia przy tym nie miał, że Klandestyn Bizukont to jego żona.

W niedzielny poranek 29 czerwca pani Jadwiga nie wiedziała jeszcze, co wydarzyło się w nocy. Mąż od dawna korzystał z osobnej sypialni i jeśli

w sobotę po ukończonej pracy wracał późno, po takiej czy innej libacji, jak to miało czasem miejsce po większych zamówieniach, w niedzielę spał do południa. Nikt nie wchodził do jego pokoju dopóty, dopóki nie zawołał o dzbanek gorącej kawy albo sam nie przyczłapał do salonu w – pozał się Boże – kraciastych pantoflach, obwisłych kalesonach zapinanych na białe guziki i w długiej koszuli nocnej. Żeby aż taki despekt serwować? Nie chodzi o to, by w niedzielę miał paradować po domu w marynarce czy w surducie, choć ujmy by mu to nie przyniosło, ale w kalesonach? Do salonu? Taki nieświeży w dodatku? We flakonach stoją bukiety bławatków, a ten się gramoli jak wyleniały borsuk.

– Ubrałbyś się – mówiła wówczas chłodno pani Jadwiga i odwracała wzrok od męża.

– Zaraz. Nie pali się.

– Nie lubię, kiedy chodzisz po domu w samych kalesonach.

– Powiedziałem, że się nie pali.

„Mam, czego chciałam. Popełniłam mezalians, to teraz mam. Rzemieślnik, mój Boże, posadzkarz. Czego się spodziewałam? A choćby był marmurnikiem, a nie kafelkarzem, choćby był, no sama nie wiem, najwybitniejszym mozaicystą Zagłębia, to i tak potrafi tylko układać wzorki z odłamków kamieni. A gusta jego... takie prozaiczne... Arcyprozaiczne... Kiedy ja... otóż ja...”.

Otóż ona tworzyła prawdziwie. Z nicości, a nie z odprysków. Poza tym mniej więcej przed dwoma miesiącami postanowiła zostać poetką i któregoś wieczoru na białym papierze formatu kancelaryjnego napisała utwór o wieczności i doczesności. Siedziała wówczas, pamięta doskonale – bo pomyślała od razu, że to może być ważny moment w jej życiu, a takie chwile należy zapamiętać w najdrobniejszych szczegółach – w jasnobłękitnej sukni z długimi rękawami zakończonymi koronką i ta koronka przy nadgarstku rzucała na papier tajemniczy cień. Gdyby ktoś scenę natchnienia Jadwigi malował albo gdyby ona sama kiedyś pisała

wspomnienia, cień koronki przy rękawie rzucony na białą kartkę i zasłaniający nieco tekst jej pierwszego wiersza odgrywałby znaczącą rolę. Podobnie jak sekretera, szufladki i ich misterne intarsje.

Utwór okazał się mieć zabarwienie antyklerykalne, co pani Jadwiga uzmysłowiła sobie z niejaką zgrozą. Składała rym do rymu i zanim się zorientowała, stworzyła medytację o duszy i dylematach życia pozagrobowego. Pierwsza wersja była, jej zdaniem, nadspodziewanie udana i brzmiała tak:

Kantyczka o duszy

Po kumotersku, ba wręcz zalotna
Twarz nieboszczyka już nie istnieje.
W palcach zbielełych ulga ulotna;
Duszka zziębnięta w nogach sinieje.

Chciała grzeczniutko opuścić ciało,
Bo ponoć taki los jest pisany,
Lecz z ciasnej trumny wyjść się nie dało.
Pewnie przypadek niespodziewany.

Nikt nie nauczył, jak lecieć do nieba
I jak się na sąd wydostać z cmentarza
Dawno spóźniona, a wyleźć by trzeba
Z trumny, bo zimny nieboszczyk przeraża.

Tydzień skrobała drżącym paluszkiem
O wieko trumny i płakała w trwodze
Dla trupa tydzień była podnóżkiem
I nikt nie pomógł duszce niebodze.

Aż padła z bólu, strachu i głodu
Złożyła życie wśród zgniłych kości
Kolejny trupek z niewinnych rodu
Mamionych wizją nieśmiertelności.

Pani Jadwiga była z tej wersji zadowolona, więc postanowiła wysłać wiersz do oceny Niekwestionowanemu Autorytetowi Literackiemu z Warszawy: słynnemu smakoszowi poezji, miłośnikowi i znawcy wysokiego stylu, arbitrowi elegancji i fundatorowi stypendiów dla zdolnej młodzieży. Nigdy go nie spotkała, ale czytała Jego artykuły w „Tygodniku Ilustrowanym”. To on grzmiał na cztery strony świata, że twórczość jest przezwyciężaniem, och, przezwyciężaniem bez końca; to on rozdawał wieńce laurowe lirykom nowej epoki; to on – jak nikt – pisał żarliwie o aluzyjnych formach i syntezach. Wszystko wiedział o relacjach między poetą a dziełem. Pani Jadwiga nawet potrafiła wyobrazić sobie, jak wygląda. Był bez wątpienia – sądząc z soczystej namiętności jego krytycznego pióra – kruczym brunetem z bródką oraz wąsem i nosił ciemne welwetowe ubrania.

Jako poetka pani Jadwiga postanowiła używać innego pseudonimu niż jako twórczyni romansów. Armand Roy-Leżeński: to wydało jej się odpowiednie.

Po miesiącu nadszedł list z warszawskim stemplem na kopercie. I co? I co? Mój Boże, i co?

„Szanowny Panie Roy-Leżeński! Dziękuję bardzo za poetycką przesyłkę. Niewątpliwie w Pańskim wierszu, jak to się mówi, coś jest...” – zaczął Autorytet. „Najogólniej biorąc, podoba mi się kierunek myślenia i tak wyjątkowa obecnie intencja dbania o rygory formalne”. Serce Pani Jadwigi zatrzepotało. A potem już Autorytet nie zostawił suchej nitki na *Kantyczce*.

„Jeśli chodzi o rymy: lepiej nie stosować żadnych, niż stosować tandetne”, pisał. Za przykład podał: zalotna – ulotna, istnieje – sinieje, pisany – niespodziewany. Tłumaczył, że są to rymy dla szanującego się poety nie do przyjęcia, z wyjątkiem niektórych efektów specjalnych, ale to wielka rzadkość i wyższa umiejętność. Równie wątpliwe, przeczytała pani Jadwiga, są „nieba – trzeba”, „kości – nieśmiertelności”, bo wprawdzie jak

najbardziej poprawne, ale tak zużyte, że należy ich unikać, podobnie jak przysłowiowych w tej kategorii „serce – rozterce”, „człowiek – powiek” i „żagle – nagle”, które byłyby świetne, gdyby je zastosowano po raz pierwszy, a nie pięćsetny.

Pani Jadwiga drżała na całym ciele, ale dzielnie brnęła dalej. Z listu dowiedziała się jeszcze, że – mimo wszystko – dbałość o rymy należy do jej ważnych zalet.

„Niechże Pan tej dbałości nie zarzuca, ale udoskonała ją”, apelował Autorytet do Armanda Roya-Leżeńskiego i sugerował: „Radziłbym przeczytać na ten temat mój esej *Klasyka i materia rymu*, który ukazał się w ubiegłym roku w «Tygodniku Ilustrowanym»”.

Łzy płynęły strumieniem po twarzy pani Jadwigi. A to jeszcze nie był koniec. Autorytet wytykał jej brak precyzji w linijkach 1, 3, a także w 15, 18. Gromił za nalot banału w linijkach 6, 8, 16, 17. Kpił z naciągniętej i sztucznej formuły przedostatniej linii. Kap, kap, chusteczka już całkiem mokra, można ją wyżywać. „Inaczej mówiąc, wiersz jest niezły, ale co chwila troszkę nadpęknięty”. Pani Jadwiga z nadzieją zaczęła czytać dalej. „Ponieważ zaś do jego charakterystycznych cech należy postawa swoistej naiwności, zatem nie wolno dopuścić, aby ta naiwność istniała również w formie; bo wówczas można by wziąć naiwność za nieumyślną i wiersz byłby skompromitowany...”.

– Skompromitowany – szepnęła do siebie poetka i powtórzyła powoli: – Skompromitowany... Otóż tak... – westchnęła. – Dnia 30 maja 1913 roku mój świat się zawalił.

Przez chwilę siedziała z opuszczonymi ramionami, ściskając list w dłoni, ale bała się dotrzeć do końca. Jednak przemogła strach i podniosła zroszone łzami kartki.

„...Natomiast przy starannym oddzieleniu naiwnej treści od wyszlifowanej formy widać dystans; widać, że naiwność to świadomy

wybór poety, a nie jego cecha osobista. Wydaje mi się, że dobry przykład tego typu rozróżnienia znajdzie Pan w moim wierszu *Pasterka i Faun*”.

„Muszę używać więcej średników”, pomyślała pani Jadwiga. Na koniec Niekwestionowany Autorytet Literacki z Warszawy zostawił promyk nadziei. „Kiedy już coś Panu wyjdzie z udręk nad tym utworem, proszę o wiadomość. Łączę pozdrowienia”. Tu następował zamaszysty i nieczytelny podpis. Na końcu zaś krótkie postscriptum: „Panie Armandzie, proszę o rok urodzenia”.

Przez dwa tygodnie lizała rany, na pocieszenie miała to, że Autorytetowi podobał się jej kierunek myślenia i intencja dbania o rygory. „Gdybym była młodsza, może ufundowałby mi stypendium”, westchnęła.

Wieczorem 28 czerwca doznała olśnienia. Usiadła do pracy. Nie tylko rozumiała wszystko, co Autorytet miał na myśli, co powiedział, co chciał powiedzieć i co napisał, bez względu na to, czy chciał, czy nie. Pisała, kreśliła, wstawiała z fotela, chodziła po pokoju i o drugiej w nocy przepisała poprawioną wersję. I chociaż nie wstawiła ani jednego średnika, była zadowolona.

Rano wstała wcześniej, obudzona pianiem kogutów. Była przekonana, że mąż śpi. Jeszcze raz przeczytała poprawioną wersję wiersza.

Kantyczka o duszy

Twarz nieboszczyka niezbyt zaszczytnie
Gnije, a biały całun ją pęta.
W palcach stwardniałych robactwo kwitnie,
W nogach sinieje duszka zziębnięta.

Chciała grzeczniutko opuścić ciało,
Zgodnie z tradycją i paragrafem,
Lecz z ciasnej trumny wyjść się nie dało.
Gdyż jej akurat przedziwnym trafem

Nikt nie nauczył, jak lecieć do nieba

Jak się wydostać w niebo z cmentarza
Trumnę przygniotła tłusta gleba,
W dodatku zimny nieboszczyk przeraża.

Tydzień skrobała drżącym paluszkiem
O czarne wieko. Płakała w trwodze.
Łykała duszka łyzy duszące duszkiem,
Lecz nikt nie słyszał cichutkich zawodzeń.

Wreszcie skonowała – głównie z głodu
Trumna, choć ciasna, bez trudu gości
Sinego trupka z żałosnego rodu
Zwiedzionych wizją nieśmiertelności.

Pani Jadwiga chrząknęła z zadowoleniem. „Zobaczymy, co teraz powie Autorytet. Na przykład na ten wers: «łykała duszka łyzy duszące duszkiem»”. Ona sama była przekonana, że może zostanie on kiedyś uznany za jedną z pereł polskiej poezji.

Z zamkniętej szafki kredensu wyjęła butelkę absyntu, kieliszek, ażurową łyżeczkę i kostkę cukru z cukierniczki. Słyszała, owszem, że piołunówka bardziej jest narkotykiem niż alkoholem, ale kieliszek piołunówki wyostrzał jej jasność widzenia. Nie piła absyntu na sposób czeski, ale francuski. Sposób czeski był zbyt skomplikowany. Podpalanie cukru z alkoholem i czekanie, aż się stopi, było dobre w jej powieściach, ale zbyt czasochłonne w życiu. Niejeden z jej bohaterów pił absynt na czeską modłę po karkołomnych awanturach. Wówczas bohaterowi drżały dłonie i scena podpalania cukru rozdygotanymi palcami pojawiła się już w kilku odcinkach. Tymczasem na własny użytek pani Jadwiga po prostu odmierzyła pół kieliszka, a na jego brzegu położyła delikatnie ażurową łyżeczkę z kostką cukru. Chwilę wpatrywała się w tę subtelną piramidę. Absynt, zielona wróżka. Przez cukier wlała na łyżeczkę nieco wody. Cukier topił się jak posmutniały bałwan podczas odwilży, a woda gryzła się z zielenią piołunówki. Pani Jadwiga mogłaby długo podziwiać to zjawisko.

Poza poezją była jednak praca. Należało napisać kolejny odcinek *Okowów namiętności* dla pana Monsiorskiego. Pani Jadwiga usiadła na szeszlunku i pogрузzyła się w myślach. Nie mogła się zdecydować, czy w najbliższym odcinku bohaterka powinna wpadać w konwulsje ekstazy, czy też lepsze będą ekstazy konwulsji. A może uprzeć się przy paroksyzmie udręki? Dwa tygodnie temu ustąpiła z paroksyzmu, kiedy redaktor literacki, ten zasuszony koczokodan, skrzywił się i zapytał, czy jest na pewno konieczny. Nie jest, ale byłby mile widziany, chciała odpowiedzieć, zgodziła się jednak na wykreślenie frazy. Teraz tego żałowała. Może należałoby wrócić do paroksyzmu, chociaż rzecz jasna nie w jednym odcinku, bo zdawała sobie sprawę, że przeżywanie przez bohaterkę, kimkolwiek by nie była, zarówno konwulsji ekstazy, jak i paroksyzmu udręki, to za wiele. Chociaż oczywiście w jej własnym życiu taki nadmiar byłby mile widziany.

Do drzwi saloniku ktoś zastukał.

Najpierw ukazała się głowa Zosi, pokojówki wynajętej w zeszłym miesiącu za pośrednictwem Kaucjonowanego Biura przy ulicy Warszawskiej, a potem zza pleców dziewczyny wychynął policjant w mundurze. Nastąpiło trzaśnięcie obcasami, zdjęcie czapki, stękanie o bolesnym obowiązku, zdziwienie, poinformowanie szanownej pani i pozostawanie z wyrazami serdecznego współczucia. A potem: zasłabnięcie, sole trzeźwiące, ogólne poruszenie i chaos; pierwszą zaś myślą pani Jadwigi było to, że w domu będzie pachniało nieboszczykiem i gnijącymi kwiatami, które tak czy owak zawsze pachną nieboszczykiem, i ona tej mdłej woni najzwyczajniej nie zniesie, oszaleje, ba może nawet dozna koszmarnego paroksyzmu udręki.

Kieliszek z absyntem pozostał nietknięty. Ażurowa łyżeczka natomiast, jak w najlepszych scenach powieści *Klandestina Bizukonta*, spadła na dywanik, podskoczyła raz niemrawo i tam już została.

Wczesnym wieczorem pan Monsiorski siedział w redakcji wśród oprawnych roczników „Iskry”, „Katolika”, „Dziennika Śląskiego”, a nawet „Gazety Robotniczej” – strażnik bezcennych foliałów. Czekał na zecera, który miał mu przedstawić do zatwierdzenia pierwszą stronę porannej gazety. Był zmęczony. Mimo że policjant sam nie chciał nic mówić, pomocnikowi dróżnika kazał trzymać gębę na kłódkę, zaś naczelnika stacji poprosił o daleko posuniętą dyskrecję, pokusa znalezienia się na pierwszej stronie gazety była dla pomocnika dróżnika zbyt wielka, żeby tak całkiem nie pisać słowa. Chociaż więc pewnych rzeczy pan Monsiorski absolutnie nie mógł napisać, to wiedział już nieco więcej o tym, co wydarzyło się o świcie.

O piątej rano pomocnik dróżnika szedł jak zwykle wzdłuż torów, patrolując zwrotnice i stan podkładów. „Wie pan, redaktorze, trzeba sprawdzić, czy sabotażyści nie powrzucaли jakiegoś świństwa na szyny, na przykład drągów, a co pan myśli, to jest odpowiedzialność, a nawet jak nie ma akurat sabotażu, to i tak sprawdzić trzeba, bo niektóre podkłady są trochę zbutwiałe, no więc miałem ze sobą lampę, chociaż ją już wyłączyłem, bo było widno, gdzieś tak po trzeciej się rozwidnia i lampę można od razu zgasić, szkoda nafty, nafta droga, a przed czwartą to już całkiem jest, proszę pana, dzień, no więc idę ja sobie, tu stuknę w szynę, tu w śrubę, a tu w podkład, no i widzę, ale niestety nie mogę nic mówić, bo mi policjant zabronił, ale sam pan wie, co zobaczyłem, bo pan też widział, a ja niczego nie ruszałem, no to co, nie powiem, porzygałem się, ale tak fest, kto by się nie porzygał na taki widok, i przyleciałem po naczelnika, bo wie pan, u nas jak coś jest nie tak, to nie wolno nic samemu robić, tylko do pana naczelnika piorunem, a pan naczelnik, ten to jest twardy, nie spał wcale, tylko akurat drzemał sobie z lekka, ale normalnie w mundurze był i nawet czapkę miał na głowie, on taki jest, panie, obowiązkowy, że co jakiś czas spędza noc na kolei i sprawdza osobiście, czy wszystko jest w porządku, no to ja od razu do pana naczelnika i melduję mu posłusznie, ale pan naczelnik

mi nie uwierzył, nie mogę powiedzieć, co to, to nie, żeby tak od razu uwierzył, zapytał najpierw, czy piłem, ty chyba, kurwa, piłeś Ociepa, tak dokładnie ryknął na mnie, więc ja mu na to, że na służbie nigdy nie piję, bo chciałbym kiedyś awansować na dróżnika, więc nie piję i tak sobie myślę, że może po tym dniu dzisiejszym, kiedy znalazłem nieboszczyka i regulaminowo się zachowałem bez zarzutu, zameldowałem, a pan naczelnik do mnie, ty chyba, kurwa, piłeś Ociepa i jeśli to, co mówisz, to są twoje pijackie omamy, to ty, cholero, ruski miesiąc popamiętasz, jak słowo daję, ale pójdę tam z tobą, i módl się do Pana Boga, żeby to była prawda, a nie twoje *de lirum*, tak powiedział, po francusku mu się wtedy nawet chciało mówić, widzisz pan jaki oficer, zerwał się i od razu poleciliśmy we dwóch, no i powiem panu, że się przez chwilę bałem, że może mi się przywidziało albo przyśniło, albo to może pijak leżał, Jezus Maria, żeby tylko z roboty nie wylecieć, bo jak ja pięcioro dzieci wyżywię, skoro co rok to prorok, ale gdzie tam, odetchnąłem z ulgą, leży jak leżał, po prawdzie to jak miał nie leżeć, pan naczelnik, gdy go zobaczył to tylko trochę zbladł, ale się nie porzygał, nie powiem, szanuję człowieka, zaraz poleciliśmy z powrotem i pan naczelnik kogoś tam wysłał po policję i ja już później nie miałem co robić, ale ta cała policja, panie redaktorze, jak oni mnie maglowali, to to, a to tamto, Jezu kochany, co za ludzie i kazali trzymać gębę na kłódkę, pod karą, już nie pamiętam jaką, bo nie zrozumiałem, jakieś takie to słowo było głupie, trudniejsze niż *de lirum*, no ale dobrze, nic nie mówię, czego by pan i tak nie wiedział, ale jakby pan coś pisał w gazecie, niech pan za nic nie wspomina, że pan wie wszystko od Ociepy, tylko niech pan napisze, że jeden z szanujących tajemnicę służbową pracowników kolei nazwiskiem na O. powiedział, że to i tamto, i ja będę wiedział, że to ja byłem, i pokażę rodzinie, a potem, jak mnie policja zwolni z tajemnicy, to pan napisze, że to ja i wtedy wszyscy będą wiedzieli, że O. to ja”.

Delikatne puk, puk – zecer w poplamionym błękitnym fartuchu wcisnął wątle ciało do gabinetu redaktora i wyrwał go z letargu. Słabowity i drżący pan Klaja, lekko zgarbiony od ciągłego pochylania się nad kasztą, miał jak wszyscy przedstawiciele tego zawodu siną skórę, cierpiał na chroniczne bóle i zawroty głowy, drżały mu mięśnie w sposób niekontrolowany, ale wszystko to nic, wszystko byłoby dobrze, gdyby się tylko nie śmiał, ponieważ śmiał się, niestety, całą gębą, a wówczas odsłaniał niebieskoczarną obwódkę na dziąsłach. Pan Klaja reprezentował swoją osobą podręcznikowy przypadek zecerskiej ołowicy. Ale pracował sprawnie, potrafił czytać tekst do góry nogami szybciej, niż wykształcony człowiek czytał tekst normalny, i pan Walerian był z niego zadowolony, byle pan Klaja nie odsłaniał wampirycznych dziąseł.

Redaktor Monsiorski spojrział na przyniesione szpalty. Jego wzrok przykuła nie tyle pilna depesza o śmierci Alojzego Korzeńca, ani nawet nie informacja, że Bułgaria uderzyła tego ranka na Grecję, ba, nawet nie wiadomość, że parlament norweski przyznał kobietom prawa wyborcze. Jego wzrok przykuł anons, który zgodnie z obietnicą sobotniego wydania miał zapowiadać występy trupy Casino de Paris w Sosnowcu.

C A S I N O D E P A R I S

S e n s a c j a!

Pierwszy raz w Sosnowcu

Z. Zalewska: zn. tanc. art. Warsz. Teatr Rz.

Ulub. Warsz. Publ.

Benita – Znak. Ang. śpiew. i tanc.

L. Dorina – Ros. Subr. (Premjowana Piękność)

Bronia Tosińska (pols. Subr.)

– Panie Klaja – chrząknął redaktor Monsiorski – przepraszam, ale co to ma być?

– Jak to co? Kazał mi pan zamieścić ten anons na pierwszej stronie pod samym tytułem gazety.

– I kazałem panu napisać, że wystąpi zn. tanc. art. warsz. teatr rz. ulub. warsz. publ? Tak panu kazałem? – Redaktor Monsiorski starał się nie podnosić głosu. – Rozumie pan w ogóle ten bełkot?

– No... że znana... nie... znakomita... no tak... znamienita tancerka artystyczna albo tancerka artystka, chyba tak, warszawskiego te...

– Jezus Maria – jęknął pan Walerian. – A co to za Teatr Rz.?

– Nie pamiętam. Chyba Rzeczywisty. Albo Rzeczywistości. Albo Rzymski?

Pan Walerian nie wytrzymał.

– Niech mnie ktoś trzyma, bo zaraz zabiję durnia! Pan sam jest wy. par. ze Świ. Rozumie pan?

– Nie bardzo.

– Wybitny partacz ze Świniogrodu. Czy ja wydaję gazetę, czy szyfrogram? Czy pan uważa, że „zn. tanc. art. warsz. teatr rz. ulub. warsz. publ.” przyciągnie liczne rzesze widzów? Albo to! Co to jest? „Znak. ang. śpiew. i tanc.”! O tak! Już widzę, jak ludzie walą drzwiami i oknami na „Benitę znak. ang.”! Rzeczywiście wyborna reklama. Nawet nie wiadomo, czy to chłop, czy baba.

– Panie redaktorze. – Pan Klaja poczuł się urażony. – W ostatniej chwili, kiedy już wszystko miałem elegancko ułożone, pan mi doniósł depeszę o nieboszczyku na nasypie. I kazał ją pan umieścić na pierwszej stronie. No to się zrobiło mało miejsca i musiałem wszystko ścisnąć.

– Ale premiowanej piękności jakoś pan nie ścisnął.

– No, nie ścisnąłem... – I w tym momencie nastąpiło to, czego redaktor Monsiorski usiłował uniknąć. Otóż pan Klaja obdarzył go swym upiornym uśmiechem.

Pan Walerian szybko przymknął oczy.

– Proszę, niech pan już idzie – powiedział cicho.

– Ale puszczać na maszyny czy nie? Panie redaktorze... Bo pan mnie wciąga w spektakulacje, a ja nie wiem, co z gazetą.

– A puszczej pan, wszystko mi jedno.

– No, to już się robi... Aha, miałem przypomnieć, że trzeba wymienić pojemnik.

– Słusznie. Zajmę się tym jutro. – Stara niemiecka maszyna typograficzna na pedały była już mocno zdezelowana.

– To by mi zależało – chrząknął zecer – bo ja teraz jedną ręką wkładam arkusze, a drugą muszę wybierać wydrukowane egzemplarze, i nie nadążam, a pojemnik się połamał i wszystko mi leci na posadzkę.

– Wiem, wiem, będę pamiętał.

– I przydałaby się większa kaszta, bo czcionek się namnożyło, a w tej starej jest za mało przegródek. – I pan Klaja na odchodnym jeszcze raz uśmiechnął się do swego szefa.

Pan Walerian opadł na fotel i podniósł wzrok ku sufitowi, wzdychając ciężko. Z żyrandola zwisał lep na owady: długi, żółtawy pasek posmarowany miodową substancją, pełen much w różnej fazie zdychania albo całkiem zdechłych, przyklejonych a to jednym skrzydłem, a to dwoma, czyli na wznak, raz nogami, raz głową, czasem jedna mucha przylepiała się tuż obok drugiej, a nieraz zachowywały względem siebie spory dystans. Pod sufitem latała duża, brunatna ćma. Pan Walerian obserwował ją przez chwilę w nadziei, że i ćma przylgnie do miodowego paska, ale ona wolała z uporem taranować sufit.

Lepy na muchy porozwieszane były w całym mieście. Koniec czerwca zawsze oznaczał sezon dla producentów wszelkiego rodzaju pułapek na owady. Dyndał więc lep także przy lampie w kancelarii policmajstra, kiedy wieczorem dotarła tam nader poufna wiadomość. Głowa Alojzego Korzeńca, niestety, znajduje się chwilowo za granicą.

– A skąd niby wiadomo, że to jego głowa?

– A jak pan myśli, ile głów wala się w jednym dniu po okolicy?

– Ja tego nie wytrzymam – jęknął policmajster. – Dawajcie mi tu oficera z ochrony.

ROZDZIAŁ 4

ŚWINIOGRÓD

Dwadzieścia osiem lat po tym, jak zarząd Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej zbudował kolejową odnogę z dworcem Sosnowice Warszawskie, konkurencyjny zarząd Drogi Żelaznej Iwangrodzko-Dąbrowskiej zbudował odnogę z Dworcem Iwangrodzkim – jeszcze bliżej granicy, przy samych pruskich łąkach nad Brynicą. Aby nie wyolbrzymiać znaczenia tej trasy, wyjaśnijmy na wszelki wypadek, że ИВАНГРОДЬ nie leżał, jak mogłaby wskazywać jego egzotyczna nazwa, gdzieś na Syberii. КРЕПОСТЬ ИВАНГРОДЬ to Twierdza Dęblin, więc początku Drogi Żelaznej należy szukać raczej pod Warszawą niż pod Jakuckiem. Jest to istotne, ponieważ do sosnowieckiego Dworca Iwangrodzkiego prowadziła – dużym łukiem omijając Warszawę – rosyjska kolej. Z głębi imperium zwożono zboże, które miało być transportowane dalej do Niemiec, i tu kończyły się szerokie tory. Potem już ugór, rzeka, granica i wąziutkie tory europejskie.

No ba, czy na tym się nie da zarobić? Kiedy pociągi stały w Sosnowicach, czekając na przeładunek, można było trochę ukraść, to i owo przehandlować, to i owo przerzucić na wozy i Iwangrodzką ulicą, coraz dalej od kolejowych zabudowań, wywieźć szybko w nieznanym kierunku.

Nie tylko zboże podróżowało z daleka, z ukraińskich pól. Podróżowały także wieprzki: żywiec zjeżdżał z Kielecczyny, z Lubelszczyzny, z Podola

– legalnie i nielegalnie. Z Sosnowca eksportowano wszystko do Niemiec. Na świniach można było zbić fortunę, szczególnie na tych, których przechodzenia przez granice nigdzie nie ewidencjonowano. Kopalnie kopalniami, huty hutami – wszystko to złote żyły niewątpliwie, ale gdyby nie świńska rampa, czyli dodatkowa złota żyłka, Sosnowiec nie rozwijałby się tak szybko. Na kopalniach i hutach bogacili się Francuzi, Niemcy i Żydzi, a na świniach Żydzi i Polacy.

Żydzi? A dlaczego nie? A czy oni tych świń dotykali? A czy oni tych świń jedli? Oni tylko tych świń prędko pozbywali się za granicę. Ale, ale. Co jest prędko? Co jest w dzisiejszych czasach prędko? Panu Bogu mogło się to nawet podobać. Jeśli się syna dało do rabina na naukę, to pieniądze – czy one same z nieba spadają? I ja, szanowny panie, może nawet płacę nad tym, że tak dobrze ostatnio zarobiłem. Bo jeśli ja tak dobrze zarobiłem, to czy nie może być, że ktoś zarobił jeszcze lepiej?

W ciągu paru lat między dworcem Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, a dworcem Drogi Żelaznej Iwangrodzko-Dąbrowskiej rozrosła się targowica. Rozprzestrzeniła się tak, że Sosnowice zaczęto nazywać Świniogrodem, a kwaśny odór na stałe zawisł w powietrzu. Na ścieżkach czarnych od błota, przed drewnianymi wrotami prowizorycznych chlewów, walały się wiadra z resztkami jedzenia, pod przegniłymi ścianami piętrzyły się góry gnojnej mazi. W wielkich kotłach na okrągło parowano ziemniaki, bo świnie kwiczały wniebogłosy, kiedy nie dostawały jeść. Wystarczyło, że jakaś kaprawa kawka próbowała zbliżyć się do koryta, a już zawistne wieprzki zgodnie wyciągały utyłane ryje i chrząkaniem wyrażały sprzeciw. Opasłe maciory leżały przy brudnych korytach na zeschniętym gnoju i sapały ciężko; prosięta przepychały się ku nim z piskiem. Ich ogony podrygiwały jak noga zdechłej żaby potraktowana elektrodą.

– Trzeba by wieprzkom jadło ugotować! – ktoś wołał zza wrót.

– Teraz nie mogę, przecież gnój rzucam!

– Gdzie mi tu leziesz z pomyjami? – krzyczała jakaś kobieta kilka metrów dalej.

– Bierz się za widły! – wołał zniecierpliwiony świniarz do pomocnika.

Parobek obuty w wysokie kalosze rękawem ocierał spocone czoło.

– Kiedy tu ciężko nabierać, bo nawóz rzadki.

– Dawno niesprzątane, to i nawóz wodnisty. Zmieszaj ze słomą.

– A gdzie rzucać?

– Pod ścianę. Ale zamykaj wrota, bo mi świnie uciekną.

I rzucono gnój pod ściany. A potem przed chlewy. Brudną wodę z chluśnięciem wylewano do prowizorycznych, płytkich rynsztoków. Wszystko dezynfekowano karbolem, którego odór gryzł w oczy. Kanalizacji nie było.

Kiedy budowano Dworzec Iwangrodzki, który umożliwił powstanie Świniogrodu, panna Jadwiga, późniejsza żona pana Korzeńca, miała czternaście lat. Dla niej rok 1887 był pamiętny nie dlatego, że otwarto dworzec Drogi Żelaznej Iwangrodzko-Dąbrowskiej, ale dlatego, że zmarł jej ojciec. Zaraz po Zielonych Świątkach, które przypadały na dzień 29 maja, oświadczył ni stąd, ni zowąd, że nie chce już żyć i będzie umierał. Przebrał się od razu w długą koszulę nocną i wciągnął białe kalessy. Starannie zasznurował wiązadła, wcisnął na głowę szlafmycę z pomponem, położył się do łóżka i już z niego nie wstał. Ponieważ nic mu nie dolegało, a w każdym razie nikomu nic na ten temat nie było wiadomo, trudno było uwierzyć w powagę jego zamierzeń i zarówno młoda Jadwiga, jak i jej matka uważały, że były to zwykłe fanaberie. W fanaberiach ojciec był mistrzem niedościgłym.

Panna Jadwiga spokojnie zatem notowała w dzienniczku: „Obiecałam sobie, że spróbuję napisać coś ładnego... Z powodu upałów nie da się oddychać. Zasypiam przy otwartych oknach. Dzisiaj zbudziłam się, gdy do świtu było jeszcze daleko. Pierwszym dźwiękiem, który usłyszałam, był śpiew słowika. Przypuszczam, że przysiadł na jabłoni rosnącej niedaleko

domu. Głucha cisza i ten jego słodki, pełen tęsknoty śpiew, który przeszywa człowieka na wskroś. W takim stanie leżałam w łóżku i czekałam na dzień. Do pokoju wpadało świeże poranne powietrze. Aż wreszcie znowu zasnęłam”.

Ponieważ ojciec panny Jadwigi przez kilka dni nie wstawał z łóżka i gołym okiem widać było, jak marnieje, posłano po lekarza.

Medyk domowy, doktor Pędzik, przyjechał niezwłocznie. Sumienny, obdarzony intuicją, rzadko stawiał chybione diagnozy. Tyle że nie przemawiał zbyt jędrnie i w związku z tym nie wszyscy go lubili. Ludzie bowiem wolą słabszego lekarza, który jest jednocześnie jowialnym spowiednikiem, niż sprawnego mruka.

– Panie doktorze, mąż zaniemógł. – Matka panny Jadwigi, pani Antonina Zimorodzik („Zimorodzik, tylko Zimorodzik, proszę do mnie nie mówić Zimorodzicowa”) stała przy łóżku w ciemnej, długiej po kostki sukni.

– Gorączka jest? – Lekarz używał względem pacjentów i ich rodzin form bezosobowych, tak jakby to mogło uchronić go od zarażenia się tym, czym można się od innych zarazić.

– Nie ma. – Matka panny Jadwigi pokręciła stanowczo głową.

– Kiedy ostatni raz mierzono?

– Nie mierzono.

– To skąd wiadomo, że gorączki nie ma?

– Bo nie słyhać śpiewu, panie doktorze.

– Nie rozumiem.

– Jak mąż ma gorączkę, to śpiewa. Jak nie śpiewa, to nie ma gorączki.

– I zawsze tak?

– Zawsze. Podobno od dziecka.

Lekarz westchnął.

– Proszę wyjść. Zbadam pacjenta.

Drzwi zamknęły się cicho. Ojciec panny Jadwigi przyglądał się medykowi podejrzliwie, sprawdzając, czy w dłoniach doktora nie pojawi się strzykawka. To, że umierał, nie oznaczało wcale, iż pozwoli się kłuć zastrzykami.

– Tylko bez igieł – ostrzegł.

– Panie Zimorodzie... – Doktor Pędzik pokręcił głową z dezaprobatą. – Co właściwie panu dolega?

Ojciec panny Jadwigi powiedział mu w zaufaniu, że już sobie pożył, dłużej mu się nie chce, bo go to kosztuje mnóstwo wysiłku. Lekarz osłuchał pacjenta, zapisał medykamenty, doradził, że trzeba by wziąć coś na poty, spakował torbę i wyszedł lekko urażony.

Wieczorem panna Jadwiga notowała w dzienniczku: „Wstaję z reguły wcześniej, ale bardzo dużo czasu zajmuje mi dojście do siebie. Dlatego, aby umilić sobie trudne chwile poranka, zawsze gdy tylko zrobi się już dostatecznie pogodnie i ciepło, schodzę do ogrodu. Po prostu, tak jak jestem, w koszuli i koniecznie boso. Rano powietrze jest rześkie i cudownie pachnie kwiatami, szczególnie teraz, gdy kwitnie bez. Więc chodzę sobie po mokrej od rosy trawie. Co za uczucie – zimne źdźbła przesuwające się między palcami. Jest jeszcze jedna rzecz, którą lubię o tej porze dnia: pajęczyny porozpinane między łodygami kwiatów. Wspaniały widok, każda nitka udekorowana jest przez miniaturowe kropelki wody. Czasem trawnik wygląda tak, jakby był odziany w jakąś delikatną koronkową pelerynkę. Później cały dom się budzi i zaczyna się codzienna krzątania...”

Gospośia zastukała do drzwi.

– Tak?

– Panienko? – Do pokoju wsunęła się głowa w czepku. – Pan prosi.

Ojciec wezwał wszystkich domowników: żonę Antoninę, córkę Jadwigę, gospośię Martę oraz służącego Józefa, i oznajmił, że od tej chwili nie będzie się już do nikogo odzywał, bo go to nudzi, a zebrał ich, żeby się pożegnać. Wszystkim życzy jak najlepiej, do nikogo nie ma o nic żalu,

córcie błogosławi i niech mu nikt tego nie ma za złe, ale będzie milczał, ponieważ chce umrzeć w spokoju, a nie w jazgocie.

Odwrócił się do ściany i usnął. Nazajutrz rzeczywiście do nikogo nie powiedział ani słowa. Leżał, spoglądał w sufit i nie reagował na żadne pytania. Matka panny Jadwigi nie chciała już wzywać lekarza, ale zawołała starą Maciejową, która po pierwsze wiele w życiu widziała, a po drugie wyjątkowo dobrze znała się na śmierci. Umiejętności zresztą miała dosyć szczególne. Swetra na drutach nie potrafiłaby zrobić, ale za to skrobankę drutem do robienia swetrów – owszem.

Pani Zimorodzie chciała usłyszeć, że mąż wyczynia fanaberie.

Maciejowa stanęła nad łóżkiem i długo spoglądała na chorego.

Potem nachyliła się nad głową pacjenta, wyprostowała i powiedziała:

– Wołajcie po księdza ze świętymi olejami, bo on już długo nie pożyje. Nie wiem, czy do rana dociągnie.

– Cóż wy to, Maciejowa, opowiadacie? – Matka panny Jadwigi zbladła.

– Po uszach widzę. Robią się przezroczyście. – Maciejowa pokiwała głową.

Panna Jadwiga spojrzała na uszy ojca. Rzeczywiście robiły wrażenie pergaminowych i jakby przeświecających. Ale może to tylko od słońca, które wpadało przez okno i lizało poduszkę.

– Maciejowa, no co wy gadacie? Jak to? – Matka panny Jadwigi wciągnęła głośno powietrze.

– A tak. Jak uszy chorego robią się przezroczyście, to już nie pożyje. Jak różowieją, niby u prosiaka, to jeszcze pociągnie. Wszystko, pani kochana, po ludzkich uszach widać.

– Zawołam cyrulika, żeby krew puścił.

– Nic już nie pomoże. – I Maciejowa wyszła z pokoju, szeleszcząc długą czarną spódnicą. Zawsze ubierała się na czarno. Miała po kim. Pochowała już dwóch mężów. Trzeciego kandydata nie znalazła.

Pani Zimorodziec stała chwilę bez ruchu i wpatrywała się uważnie w uszy męża.

– Może dobry pan Bóg... – zaczęła, ale po chwili westchnęła ciężko i powiedziała do Józefa: – Leć po księdza.

Ksiądz długo nie przyjeżdżał, bo ministrant od dzwonka gdzieś się akurat zapodział, a jak już go odnaleziono, to z kolei dzwonek się zawieruszył. A bez dzwonka ani rusz. Ale koniec końców, dobrodziejko, ważne, że na czas, najważniejsze, że na czas.

Ledwie drzwi się za księdzem zamknęły, zapukała Maciejowa.

– A, wróciłam, bo tak sobie pomyślałam, że może trzeba by umierającemu gromnicę przygotować.

– Po co?

– Żeby trzymał w dłoniach podczas konania.

– Nie, Maciejowa... dziękuję.

– I jeszcze pani coś doradzę. Z poczucia współczucia. Żeby śmierć ułatwić, gdyby się konanie przedłużało, trzeba męża kropić wodą święconą. I okno otwierać. Albo jakby pani chciała, to ja mogę konającego okadzać ziołami, to tanio wyjdzie, a pomoże.

– Na co pomoże?

– Na śmierć lekką – wzruszyła ramionami Maciejowa.

Przyszło Boże Ciało, 9 czerwca, dzień, w którym niebo wyglądało jak brudny sufit. Ojciec panny Jadwigi zmarł i nikt nie wiedział dlaczego.

– Słyszeliście? Zimorodziec nie żyje. – Sąsiedzi nie mogli się nadziwić.

– Podobno sprzykrzyło mu się.

– E tam. Katar kiszek... I komplikacje.

Zegar w pokoju zatrzymano, lustro i okna zasłonięto. Maciejowa, towarzyszka kostuchy, znów zapukała do drzwi.

– Do mycia zwłok pani czasem kogoś nie potrzebuje? Lepiej, żeby tego nie robił nikt z rodziny, bo... – zawiesiła głos i wbiła oczy w podłogę.

– Bo co? – zapytała pani Zimorodziec niezbyt przytomnie.

– No... żeby zmarły nikogo za sobą nie pociągnął. – Wciąż nie podnosiła wzroku. – Ja umyję, wiem, co z wodą należy zrobić, oczy mu zamknę. Pani przygotuje tylko ubranko...

– Ubranko... – jęknęła matka panny Jadwigi i zgodziła się na wszystko. Jeszcze coś przyszło jej do głowy.

– Maciejowa, a nocne czuwanie poprowadzicie? Umiecie Różaniec Bolesny?

– Pani kochana! – Towarzyszka kostuchy rozpromieniła się. – Ja niby mam nie umieć? Trzy noce mogę przewodzić. Różaniec bolesny to ja z pamięci śpiewam. A ile ja znam pięknych pieśni na czuwanie! – Klasnęła w dłonie. – O Męce Pańskiej z tuzin. I o Świętych Męczennikach. Póldarmo, z poczucia współczucia. Lepszej kobiety do czuwania pani nie znajdzie!

I rzeczywiście Maciejowa przewodniczyła obrządkom z zapalem, by nie rzec – z entuzjazmem. Jej beczący głos słychać było aż do dnia pogrzebu. Wówczas dopiero ucichła i, wycieńczona, usnęła na taborecie przy zasłoniętym oknie, z głową na piersi, z półotwartymi ustami. Pochrapywała cicho, a z kącika ust spływała jej na czarną bluzkę cienka strużka śliny.

Tymczasem rodzina zebrała się po raz ostatni wokół otwartej trumny.

– O Boże, jak on źle wygląda – chlipnęła matka panny Jadwigi, kiedy spojrzała na martwego męża.

– Trudno, żeby dobrze wyglądał, skoro jest nieboszczykiem – powiedział rzeczowym tonem jej brat, Jakub.

Ciekawy to był jegomość. We wczesnej młodości smagnięty ostrą nerwicą, później przy pomocy alkoholu nieco się psychicznie znieczulił. W wieku średnim, choć już nie fircyk, pozostawał grymaśny. W karty grał nałogowo, dziewczki bezcześcił, a na ich spazmatyczne szloch reagował jedynie nerwowym tikiem lewej powieki. Czarny wąż pomadował elegancko na szydło. Fizjonomię miał nietuzinkową, tyle że przekrwiony nos psuł nieco efekt końcowy.

Stał teraz przy siostrze, stękał półgłosem faryzejskie ojczenasze i wieczne odpoczynki raczmu daćpanie, ale jednocześnie żółtymi od nikotyny palcami lubieżnie pieścił dewizkę. Przyjrzał się szwagrowi uważniej. Rzeczywiście, nie wyglądał najlepiej.

– Ależ on jest w ogóle do siebie niepodobny – chlipnęła znów pani Zimorodziec.

– Jak to nie? – zdziwił się jej brat. – Prawda, trochę inaczej wygląda, ale to może dlatego, że się nie rusza?

– Proszę cię, nic już nie mów. – Matka panny Jadwigi zaczęła szukać chusteczki ukrytej w rękawie.

– Dam ci chusteczkę, poczekaj. – Brat usłużnie wyciągnął swoją.

– Nie, nie mogę.

– Dlaczego?

– Nie. – Pokręciła głową i chlipnęła. – Chusteczek się nie pożyczają.

– Ależ jest czysta, proszę, weź.

– Nie chodzi o to. Nie pożyczają się i już. Jest taki przesąd. Jak się pożyczają chusteczkę, to się płacze.

– No przecież ty właśnie płaczesz.

– To nic. Przejdzie mi.

Brat pani Zimorodziec wzruszył ramionami.

– Jak chcesz.

Z samego pogrzebu panna Jadwiga zapamiętała żałobne chorągwie i chudego chłopca w białej komeżce, tego samego, który towarzyszył księdzu ze świętymi olejami. Ministrant otwierał kondukt, niósł wielki krzyż, miał czarny kołnierz i dużo pryszczu na twarzy.

Przez miesiąc po śmierci męża matka panny Jadwigi niemal nie jadła. Skubała najwyżej bezmyślnie suchą bułkę i popijała słabą herbatkę. Płakała, wymiotowała i cierpiała na biegunkę. Gosposia kręciła bezradnie głową. Dopiero po czterech tygodniach nastąpił przełom.

– Ugotuję pani coś lekkostrawnego – zaproponowała Marta chyba po raz setny.

– Dobrze, ugotuj, ale ja i tak nie mogę nic jeść.

– No to może jakąś papkę? Ryż z jabłkami?

– Niech już będzie ten ryż z jabłkami, byle niedużo.

– Ryż z jabłkami i cynamonem, tak jak pani lubi. – Klasnęła w dłonie gosposia.

Matka panny Jadwigi pokręciła głową.

– Ryż z jabłkami bez cynamonu. Cynamon powoduje chęć na amory, a ja już nie mam męża – powiedziała poważnym tonem.

Panna Jadwiga, słysząc to, oniemiała. W dzienniczku napisała lakonicznie: „Mama popada w otmęty obłądu”.

Rok 1887 trwał w najlepsze. Po koniec lipca Ludwik Zamenhof opublikował pierwszy podręcznik do nauki języka esperanto, w sierpniu panna Jadwiga oglądała przez zakopcone szkiełko całkowite zaćmienie słońca. Matka zarządziła pakowanie wszystkich ubrań zmarłego męża w wielkie worki.

– Oddamy na cele dobroczynne. Niech sobie te ubrania noszą jacyś biedni ludzie. Ksiądz proboszcz z kościoła Najświętszego Serca Bożego mówił, że pod plebanią można zostawiać odzież, z której już się nie będzie korzystało. Będzie rozdzielona między potrzebujących. Niech Józef weźmie kogoś ze sobą i wywiezie wszystko pod kościół Najświętszego Serca Bożego.

Józef wrócił po dwóch godzinach. Na nogach miał lakierki nieboszczyka pana.

Pani Zimorodziec zauważyła to natychmiast.

– Czy Józef zrobił tak, jak kazałam?

– Zrobiłem, proszę pani. Wszystko wywaliłem pod kościołem, ale tam już czekała zgraja szmaciarzy i zanim worki dotknęły ziemi, wszystko rozgrabili. Jeszcze się z niektórych ubrań śmiali, łachudry. Jedną parę

butów dla siebie uratowałem. Po mojemu to trzeba było ubrania sprzedać żydowi i pieniądze na przytułek jakiś dać, jak pani chciała być taka dobra, ale nie moja to sprawa. – Józef wzruszył ramionami.

Nazajutrz matka panny Jadwigi chodziła po domu blada.

– Co się stało, mammo?

– Śnił mi się ojciec. I miał do mnie pretensje. Wołał: „Co uczyniłaś, kobieto, z moimi ubraniami? Dlaczego moje koszule walają się po podwórkach wśród sosnowieckich pijaków i dziwek? Nie wstyd ci poniewierać moją garderobę? Masz to wszystko pozbierać i pamiętać po mnie uszanować”. I co ja mam teraz zrobić? Ojciec mnie będzie w nocy straszył.

– Nie będzie, mammo. Przecież chciałaś dobrze.

– A może wyślę Józefa, żeby pojechał pod kościół i zebrał to, co jeszcze zostało?

– Mammo, tam już nic nie zostało. Daj spokój, proszę.

– To może chociaż Józefowi zabiorę lakierki ojca?

– Mammo, to był tylko sen. Masz skołatane nerwy.

Tego samego dnia, kiedy panna Jadwiga ubrała się i zerwała w ogrodzie bukiet kwiatów na grób, matka poprosiła:

– Nie jedź na cmentarz sama.

– Dlaczego?

– Proszę cię, nie jedź.

– Ale dlaczego? Przecież byłam tyle razy.

– No właśnie. A dowiedziałam się, że to wielka lekkomyślność. Podobno na cmentarzu grasuje pomylenieć. Nie chcę, żeby cię zaczepiał.

– Dobrze, zabiorę ze sobą Józefa.

– Tylko nie w butach ojca.

– Mammo, niech Józef chodzi, w czym chce. Ojciec nie miałby nic przeciwko temu.

Pod koniec października, wyjątkowo wcześniej tego roku, pierwszy mróz zwarzył kwiaty na grobach. Na dzień Wszystkich Świętych pyszne pąki chryzantem przypominały przegniłe ulęgałki. Po Zaduszkach matka panny Jadwigi powiedziała córce konspiracyjnym szeptem:

– Józef chce wykopać ciało ojca z cmentarza.

Panna Jadwiga zbladła.

– Co też mama opowiada?

– Sam mi się przyznał.

– Niemożliwe.

– Zapytaj go, to się przekonasz.

Panna Jadwiga zapytała. Józef powoli zdjął z głowy szary, filcowy kapelusz i spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami.

– Panienko kochana, na rany boskie. – I uczynił znak krzyża.

– No to o co chodzi? Mama mi tak powiedziała.

Józef westchnął.

– W zeszłym tygodniu pani kazała zaprzęgać bryczkę i pojechaliśmy na cmentarz. I stoimy tak nad grobem świętej pamięci pani ojca, niech mu ziemia lekką będzie, i tak mi się smutno zrobiło, że tu mogiła na wierzchu, a pod spodem pan leży, że powiedziałem pani: „Ech, jaki to też ludzki los. Wierzyć się nie chce, że tam pod spodem nasz pan spoczywa. I jak go kładliśmy w garniturze, tak on tam teraz leży. Pewnie że ciało się rozkłada, ale jakby mogiłę ktoś odkrył i trumnę otworzył, to przecież ten sam nasz pan by był, tak jak żył, w swoim ubraniu”. Coś takiego powiedziałem i tak mi się smętnie zrobiło, że się na tę myśl rozpłakałem. A pani stała cichutko. Już się więcej nie odezwałem. A kiedy wsiadaliśmy do bryczki w drodze powrotnej, pani na mnie spojrzała dziwnie i powiedziała: „Niech się Józef grobu nie waży rozkopywać”. Panienko kochana, stanąłem jak wryty. No, jak to tak? Czy ja jakaś hiena jestem? Ja to z żalu za panem mówiłem. I teraz jeszcze jak sobie przypomnę, to mi się płakać chce.

Józef rzeczywiście otarł łzę rękawem.

Panna Jadwiga pokiwała głową.

Wydarzeniem roku 1887 w Sosnowcu był jednak przede wszystkim sukces targowicy. Świnie kwiczały, żarły pomyje i otręby, tuczyły się na potęgę. Powietrze wprawdzie jełczało, ale interesa rozwijały się niesłychanie i na Boże Narodzenie zaczęła się orgia szweinefestów. Na tyłach targowicy zbudowano kilka rzeźni, które, prawdę mówiąc, wyglądały jak jarmarczne budy. Tłuszc mężczyźni w grubych fartuchach wiecznie uwalanych krwią rznąli tuczniaki bez litości. Nawet brakło w aptekach lewatyw, tyle kiszek masarze musieli wypchać, a wiadomo, że najlepiej się świńskie jelita wypełnia lewatywą. Biada temu kto chciał wówczas lewatywę kupić dla celów medycznych, a nie kiełbasianych. Nie dostał za Boga. Pieprz pozniakał ze sklepów kolonialnych, a nawet jak się pieprz pół na pół z gorczycą zmieszało (co jest procederem nagannym i nielegalnym, ale ze wszech miar opłacalnym, bo jednak proszę się zastanowić, gdzie pieprz rośnie, a gdzie gorczyca), to też był ciągły deficyt. Żydzi na pniu wyprzedali cały zapas czosnku i cebuli. W sklepach haki się ugiwały: salcesony, podgardla, wędzonki, szynki, ryje, nóżki, kopyta, wątroby. Świeżo przepołowione świnie – też dawać na hak. Krew niech się leje strumieniami: siekanki, rąbanki. Tłuszcz niech płynie rzekami: smalec. Wódka też rzekami. Kabzy pęczniały, kałduny puchły, międzycesarskie szwarcownictwo kwitło w najlepsze. Bóg się rodzi, moc truchleje, raj, panie dzieju, istny raj.

Minęły cztery lata. Osiemnastoletnia panna Jadwiga zupełnie nie mogła porozumieć się z matką. Krzyczały na siebie nawzajem o wszystko, a służba uciekała przed nimi, byle dalej. Na ogół zaczynało się od drobnej różnicy zdań. Po kwadransie były już płacze, palpacje i pretensje.

– Biłaś mnie skakanką po nogach! – buczała panna Jadwiga, zapominając, że przecież w ten sposób młoda panna nie powinna zwracać się do matki. Jakże to „na ty”?

– Nieprawda. Niczego takiego nie pamiętam! – Matka bladła.

– Może ty nie pamiętasz, ale ja pamiętam! Miałam pręgi na łydkach przez dwa tygodnie! – Panna Jadwiga nie panowała nad głosem i nad drzeniem ciała. I wciąż mówiła do matki „na ty”.

– Co ty, dziecko, wygadujesz? Może i byłam surową matką, ale zawsze byłaś dla mnie najważniejsza. – Pani Zimorodzik usiłowała ratować sytuację.

– Tak?! To czemu chciałaś mnie wyrzucić przez okno?!

– Rany boskie! Kiedy?

– Jak to kiedy? Pamiętam doskonale! Jeszcze wtedy mieszkaliśmy na trzecim piętrze w starej kamienicy!

– Tak? I co jeszcze wymyślisz?! – Matkę zaczynała ogarniać furia.

– A to mało? Złapałaś mnie w kuchni, nie wiem nawet co takiego zrobiłam, pewnie nic, jak zwykle! Może się na przykład źle uczesałam! Potrząsałaś mną, ciągnęłaś do okna i krzyczałaś, że masz mnie dosyć i zaraz mnie wyrzucisz!

– To kłamstwo! Jak możesz?!

– Mogę! Bo to prawda!

– Nieprawda! Przecież tam stała szafka!

Panna Jadwiga prychnęła, odwróciła się na pięcie i wypadła do ogrodu. Po kilku dniach matka i córka znów skakały sobie do oczu.

– A jak miałaś dziewięć lat – krzyczała panna Jadwiga – i twoja siostra była niemowlęciem, to zrzuciłaś ją z parapetu!

– Ale na podłogę! Nie przez okno!

– Co za różnica, skoro mieszkaliście w parterowym domku?!

– No wiesz, ty to chyba już jesteś wariatka. Z tobą nie można porozmawiać. Tylko na mnie krzyczysz! Wszyscy ciągle na mnie krzyczą!

Potem pojawił się taki jeden, w garniturze przyzwoitym, chociaż lekko znoszonym; trochę huncwot, romantyk, nosił laskę z kościaną główką i Jadwiga na złość matce, z ciekawości, pozwoliła, żeby rączki dotknął, skromnie ucałował w dłoń. Oczami przewracał przy tym tak ładnie. Ekstaza

udręki była, i owszem – pierwsza w życiu, tym bardziej, że drogi perfum jej kupił i tak sprytnie podarował, że niby nic, ale niech panienka weźmie. Jak jelonek miękko spoglądał... Nie wzięłaby może, ale skusiła ją piękna buteleczka, taka pękata i w dodatku zaopatrzona w pompkę, a ona zawsze chciała mieć buteleczkę z pompką, a poza tym nie umiała odmówić, nie wiedziała, jak się to robi, bo skąd miała wiedzieć. Wzięła prezencik, dygnęła, coś pisnęła i uciekła. Zastanawiała się tylko, jak przed matką podarunek ukryć. W końcu włożyła do szafy, w majtkach schowała, przekonana, że gdzie jak gdzie, ale w majtkach to matka jej grzebać nie będzie. Błąd. Matka perfum znalazła w ciągu jednego dnia. Bieliznę córki od paru lat codziennie kontrolowała, liczyła skrupulatnie, czy nie za często zmieniana, bo wiadomo jak jest. Strzeżonego Pan Bóg strzeże, krew nie woda – czy jakoś tak – majtki nie pokrzywę.

Z perfumem w wyciągniętej dłoni, z miną pełną obrzydzenia matka wparowała do saloniku i wrzasnęła:

– Co to ma być?!

Pannie Jadwidze zadrżała broda.

– Co to ma być!? – Matka spurpurowiała ze złości. – Czy ja ciebie na kokotę wychowałam?! Zaczynij się jeszcze sztafirować jak jakaś lafirynda! Czego w majtkach perfum chowasz? Skąd masz? Za co?

Panna Jadwiga przyznała się.

– Ten safandula za tobą łązi? Ta trąba jerychońska? – Matka uniosła brwi. – Jeszcze czego! Wszędzie tu dziadostwo. Gesty szerokie, a w kieszeni dziury. W znoszonym garniturze łązi. W dodatku rudy.

Obserwator nieżyczliwy, a skłonny do krytykanctwa, mógłby opisać panią Zimorodziec tak oto: cechowała ją chroniczna niechęć do wszystkich oprócz samej siebie, głęboka podejrzliwość względem świata, przekonanie o własnej nieomyślności i dobroci. Obserwator życzliwy mógłby dodać na jej usprawiedliwienie, że miała skąd czerpać przykłady podobnej postawy, gdyż choroba podejrzliwości była przypadłością endemiczną w tym

regionie, w miasteczkach i wsiach ciasno oplatających pęczniejący Sosnowiec – jak pętla albo jak pierścień, wedle uznania. Niemal każdy był „fałszywy” („fałszywiec” – to o mężczyznach; „fałszywa baba” – o kobietach), prawie każdemu można było, a wręcz należało przypisywać „złe intencje”, wszyscy byli „głupi”.

Z formalnego punktu widzenia pani Zimorodziec wyrażała niechęć do sąsiadek i znajomych przy pomocy językowej morfologii. Jeśli którejś dołożyła „-ka” na końcu nazwiska, wiadomo było, że jej nie lubi. Były takich osób dziesiątki (nie będę wszystkich wymieniał, bo byłoby to dość nużące). I tak pani Cieplickowa (pracująca w perfumerii) była „głupią Ciepliczką”, pani Klimaszowa (żona fryzjera) była „głupią Klimaszką”, pani Czepiałowa (żona kolejarza) – „głupią Czepiałką” i tylko pani Jagódkowej (wdowie po komorniku) udało się i pozostawała „Jagódkową” (tyle że „głupią”), bo nie można było przezwać „Jagódką” kogoś, kto się już nazywał Jagódka. A poza wszystkim innym „wredna Jagódkowa” brzmiało lepiej niż „wredna Jagódka”, więc tutaj decydowała eufonia, a nie sympatia. Tak czy owak, nieodmiennie durne i wstrętne Ciepliczki, Czepiałki czy Klimaszki – wymieniam w porządku alfabetycznym – przewijały się jak refren w dzieciństwie i młodości panny Jadwigi.

Może i nie powinno się mieć pretensji do pani Zimorodziec, może miała trochę racji, może w tych okolicach ludzie byli niezbyt udani, ale na pewno nikt nie potrafił tak przeinaczać słów i intencji jak ona, nikt tak jak ona nie przerywał rozmówcy w połowie zadawanego pytania, nikt nie odpowiadał tak jak ona – zupełnie bez sensu i nie na temat, co nie miałyby miejsca, gdyby potrafiła kogokolwiek wysłuchać do końca, gdyby w ogóle słuchała, co się do niej mówi. Tymczasem ona zawsze miała gotową odpowiedź i spieszyła z nią, zanim jeszcze usłyszała, o co chodzi w pytaniu. Może byłoby inaczej, gdyby mąż nieboszczyk, zamiast jej ustępować dla świętego spokoju i umrzeć, prał ją po gębie i żył? A może nic by to nie dało? Może była po prostu bardziej od innych podatna na mikroba prostackiej

niezyczliwości wiszącego w zagłębiowskim powietrzu? Tak czy owak, z każdym rokiem było coraz gorzej. Aż dziw, że w tym oceanie swołoczy nikt jej nie okradł, nie napadł czy nie zabił, choć ona i tego nie byłaby pewna, bo kto wie, czy właśnie w tym momencie ktoś jej właśnie nie napadał, nie okradał czy wręcz nie zabijał.

To że ludzie byli coraz podlejsi, a sąsiedzi okazywali się coraz większymi fałszywcami, to jedno, gorzej, że cały świat schodził na psy i zmierzał do nieuchronnego upadku.

Byle najmniejszy problem, najmniejsza awaria, najdrobniejsze niedociągnięcie czy utrudnienie, a już pani Zimorodziec pomstowała. Klucz się w zamku przekrzywił i nie można było kredensu otworzyć; Żyd, który sprzedawał za rogiem zbankrutował i trzeba było iść do sklepu o jedną ulicę dalej; łańcuch przy studni się poluzował – już było narzekanie, już każdy biegł, naprawiał przerażony, usiłował pomóc, nie wchodząc w drogę. Ale i tak każdemu się oberwało, a ponieważ wszystko należało naprawiać natychmiast, świat przywrócić do ustalonego funkcjonowania od ręki, w trymiga, to często naprawiano świat byle jak, byle szybciej, prowizorycznie, dla świętego spokoju, byle łańcuch pozornie działał tak jak przedtem, byle niedogodność sklepową zlikwidować, a kluczyk wyprostować. Tylko że świata nie da się naprawić od ręki, ba, czasami w ogóle nie da się go naprawić i jest on trochę gorszy, niż był dnia poprzedniego. W każdym razie ponieważ złe poprawki wychodziły szybko na jaw – jak miały nie wyjść, skoro były byle jakie – czym prędzej poprawiano złą poprawkę na jeszcze gorszą, co eskalowało pomstowanie.

Ona jedna – pani Zimorodziec – nie poddawała się degeneracji.

Żeby już nie mieszkać w domu z matką, panna Jadwiga postanowiła wyjść za mąż. W sukurs przyszedł jej złe czasy, ponieważ decyzję podjęła w roku 1893, w ramach panieńskiego postanowienia noworocznego, choć kandydata nie miała jeszcze na oku.

Oj, nie był to dobry rok dla Sosnowca: zły na zaloty, ale przez to dobry do szybkiego zamążpójścia.

Wiosną zaczęła się szerzyć epidemia cholery. Początkowo wyglądało na to, że tylko Żydzi będą mieli problem, bo po pierwsze – jakoś liczniej umierali, a po drugie – mocniej ich ta cała cholera uderzała po kieszeni niż Polaków, ponieważ ci mieli już tani choleryczny cmentarz przy Królewskiej, zaś Żydzi jak świat światem – no, prawie – chowali zmarłych w Będzinie. Na wieść o grasującej zarazie Lejb Będziński szybko podniósł sosnowieckim Żydom opłaty za pokładane, ale później, z powodu coraz większego zagrożenia epidemią, musiał zacząć respektować zakaz przewożenia zwłok do Będzina, bo z rosyjską władzą sanitarną zadzierać nie chciał. („No to już teraz musicie mieć cmentarz w Sosnowcu”. – Lejb Będziński pokiwał głową. Zależało mu i na pieniądzach, i na dobrobycie gmin). Zaczęli się sosnowieccy Żydzi głowić, gdzie by im było najlepiej po śmierci. Wybór padł na grunt przy Królewskiej. Rajcher zapłacił za dom przedpogrzebowy, Oppenheim sfinansował ogrodzenie, Bergman – wykopanie studni do ablucji, i wkrótce na cmentarzu ofiar cholery zaczęły się coraz częściej pojawiać żydowskie nagrobki. To, co straciły kasy Będzińskiego Okręgu Bóżniczego, zyskało bractwo pogrzebowe Chewra Kadisza, które zdzierało z wiernych pieniądze za sosnowieckie pochówki. „Wszystko przez świńską targowicę”, mruclili tu i ówdzie oburzeni Żydzi, ale targowica trwała jak opoka, a Świniogród coraz bardziej był Świniogrodem, w sensie dosłownym – z krwi i kości.

Gdyby cholera tylko na Żydów padła, nijak by się to miało do zamążpójścia panny Jadwigi i w ogóle byśmy się tutaj tym nie zajmowali, bo co by nas to obchodziło? Trzeba było Jezusa Chrystusa nie krzyżować. Ale późną wiosną choroba zaczęła zbierać żniwo także wśród Polaków, zupełnie nie mając baczenia na religię i na to, komu się bardziej należy kara boska. Na nic też zdało się palenie rozmarynu na ulicach.

Matka panny Jadwigi doszła do wniosku, że dobrze by było jak najszybciej wydać krnąbrną córkę za mąż, byle za zdrowego katolika. Kiedy zaś po wiosennej choleryze przyszedł wielki lipcowy pożar („Wszystko się spali, ratuj się kto może!”), to już nie było się na co oglądać.

Kawaler się w sam raz trafił, niejaki Alojzy Korzeniec. Nie wypadało wprawdzie indagować kandydata na zięcia o oczywiste symptomy cholery, bo niby jak: „Czy pana... ehm... odchody cuchną rybą?”, „Czy jak pan wydała, to... hm... tak, jakby rzadkim ryżem?”, ale poprzyglądać się zawsze można i nawet należy. Pan Korzeniec miał poza tym dom rodzinny w Tucznej Babie, więc w razie kolejnych epidemii czy pożarów można by się schronić na wsi.

Młodzieniec był zażywny, wzrostu średniego („O Jezus, jakiego sobie znalazła ociążałego narzeczonego”, „Jakaż to gęba nalana,” „I cera ziemista”, szeptały sąsiadki). Brzuch miał lekko wydęty („Na pewno w dzieciństwie obierki od kartofli jadł”). Twarz miał, powiedzmy, pełną, wargi nieco mięsiste, na nosie piegi („Pani kochana, a cóż to za morda chłopska”. „Trochę jakby mongolska, prawda?”), kark walcowaty od głowy niezbyt oddzielony, obwód czaszki i obwód karku – bez zasadniczej różnicy; powieki grube i ciężko na oczy opadające („A widziała pani, jakie on ma czoło?”. „Nie. A jakie?”. „No, jakieś takie... rozsądzone”. „O Jezus Maria, a co to wróży?”. „Może dzieci będą miały wodogłowie”. „Dajże pani spokój”. „No, to niech ich Pan Bóg uchroni, ale w każdym razie kawaler łąsieć szybko będzie”. „Aj, niepotrzebnie, zupełnie niepotrzebnie”).

Alojzy Korzeniec był niespieszny i w ruchach, i w intencjach („Widziała pani, jaki ten piernik jest ospały?”), ale skoro nie spieszył się z deklaracjami, to może po prostu znaczyło, że rozważny i stateczny? („Dawniej kawalerowie biegali za pannami, a dzisiaj?”. „Ano, właśnie”. „Wie pani, jak za mną latali?”. „A co, za mną to nie?”. „Ech, ja miałam taki

wybór, a za takiego łajzę w końcu wyszłam. Jak ja to zrobiłam, że najgorszego wzięłam?”. I sąsiadki zmieniły temat).

Matka z córką odbyły jeszcze taką rozmowę.

– A ty byś chciała, żeby kim był twój mąż?

– Pisarzem – powiedziała Jadwiga bez zastanowienia.

– Kim? – Matka wytrzeszczyła oczy.

– Pisarzem.

Cisza. A potem:

– Ha, ha, ha, ha... Ha, ha, ha, ha, ha... To ja ci coś powiem. – Pani Zimorodziec spoważniała i nachyliła się do córki. – Mąż nie tylko nie musi być pisarzem. Mąż nie musi być nawet czytarem. Chłop jest zupełnie od czegoś innego.

We wrześniu panna Jadwiga chadzała już z panem Korzeńcem na spacer po pruskich łąkach.

A, takie tam łąki. Między Dworcem Iwangrodzkim, a graniczną Brynicą ciągnęły się szerokim pasem ugory. *Sosnowiec-des-Prés*. Ubitym traktem wzdłuż rzeki konne patrole kozackie strzegły granicy imperium. Poza tym było na ogół pusto, rosły tylko zielska. Czasem o świcie srebrzyła się rosa i ścieliła nadrzeczna mgła, a w upalne ranki, gdy rosa wyschła, terkotały koniki polne. Od strony dworca toczyły się pociągi towarowe, równoległe do rzeki. Maszynista wychylał się przez okienko i spoglądał na konnych Rosjan, Rosjanie spoglądali na maszynistę i na długi pociąg. Koński nawóz, fetor świń, dymy z hut. I to tyle. Pruskie łąki.

– Zaopiekujesz się mną? – zapytała panna Jadwiga podczas jednego ze spacerów. Zatrzymała się i z uwagą patrzyła na czubek parasolki, którą wwiercała nerwowo w ziemię.

– Tak – bąknął zdziwiony kawaler. – Pewnie.

Czuł, że należy jeszcze coś dodać.

– Będzie dobrze...

Chwyciła go za dłoń i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Bo mamy siebie, prawda?

Zesztywniał i mruknął coś pod nosem, ale nie usłyszała dokładnie co. Słowa cedził niechętnie, na szczęście oporu nie stawiał.

„Intymność i opiekuńczość to jedno i to samo”, zapisała tego dnia w dzienniczku.

W Boże Narodzenie cholerycznego i pogorzeliśkowego 1893 roku panna Jadwiga – w białej sukni, w mirtowym wianku i z bukietem kremowych róż, sprowadzonych nie wiadomo skąd – stała się panią Korzeńcową.

Uderzył ją tylko raz w życiu, kilka lat po ślubie. A właściwie nawet jej nie uderzył. Pchnął za ledwie. Aha, no i kiedyś szarpnął ją tak, że oderwał jej guzik od płaszcza. Pani Jadwiga stała przerażona („O Boże, zaraz mnie zabije!”), a on tymczasem niezdarnie, gorączkowo, zaczął rozglądać się za guzikiem. „Gdzież się do cholery potoczył?”. Duży, granatowy guzik z dwiema dziurkami. Gdyby był szyty na krzyż, na cztery dziurki, nie oderwałby się tak głupio. „No, gdzież on się podział?” Tak jakby odnalezienie guzika oznaczało cofnięcie samego czynu. Troska o nadszarpniętą garderobę byłaby dowodem obiecannej opiekuńczości. Znalazł guzik. „O, jest”, odetchnął z ulgą i pokazał go na wyciągniętej dłoni. „Widzisz? Mam go”. „Widzę”, powiedziała drżącym głosem.

W czerwcu 1913 roku czterdziestoletnia pani Jadwiga Korzeńcowa została wdową (na pogrzebie wystąpiła w fałdowanej woalce z kiru).

Chociaż taka zbieżność wydarzeń mogłaby się wydawać naciągana, miejsce, gdzie pan Alojzy Korzeniec, spacerując z panną Zimorodziec, obiecał jej opiekę, było – trzynaście lat wcześniej – sceną ważnego wydarzenia w życiu innego z naszych bohaterów. W roku 1880 dwunastoletni Walerek Monsiorski uczęszczał do sosnowickiej szkoły, formalnie wciąż szkoły wiejskiej, chociaż miejscowość liczyła już prawie dziesięć tysięcy dusz; miała kilkanaście fabryk, browar, kolej i teatr amatorski.

Problemów z nauką uczeń Monsiorski nie miał, ale za to nie umiał się bić. Bał się wszelkich konfliktów z kolegami tak panicznie, że nie tylko oni mieli go za tchórza i słabeusza, ale i on sam miał siebie za tchórza i słabeusza. O tak, w marzeniach był kowbojem i Indianinem, zdierał ociekające krwią skalpy, po czym wygłaszał szlachetne mowy w narzeczu Apaczów, ale na jawie myśl o biciu się była mu tak nienawistna, że od razu robiło mu się słabo. Gdy widział, że dwóch chłopców z klasy okłada się pięściami, słyszał plask uderzeń i chrzęst kości, czuł się podle. Kiedyś w jego obecności pewien dorosły mężczyzna rzucił się na innego. Sam dźwięk towarzyszący zajściu, całe to stękanie, tłuczenie kości o kości – wszystko to napawało go obrzydzeniem. Dlatego usiłował trzymać z największymi zabijakami, podlizywał im się, żeby go wzięli pod ochronę. Oni gardzili nim, a on nimi. Ale inaczej nie przeżyłby w klasie.

No, ale żeby tak całkiem przejść przez szkołę i ani razu się nie bić, to było nie do pomyślenia. Tak się nie dało. To mogło poskutkować tylko i wyłącznie ogólnoludzką pogardą. Walerek wymyślił więc fortel ratunkowy. Był w klasie chłopczyk chudy, ale to tak chudy, że go niemal nie było widać. Mały, czarny jak Cygan, może i Cygan, albo znajda, w każdym razie był najchudszy, najślabszy, najmniejszy i nikt go nie lubił, bo do nikogo się nie odzywał. Biedny był jak mysz kościelna, pochodził z jakiejś parszywej rodziny. Jak to się stało, że taka chuda powsinoga w ogóle była przez kogoś posyłana do szkoły? W dodatku chłopiec był brudasem. Kiedy przed ćwiczeniami gimnastycznymi zdejmował koszulinę z kościstych pleców, na jego łopatkach ukazywały się plamy zaschłego brudu i koledzy przekrzykiwali się: „Rzepa! Rzepa! Rzepa ci rośnie na ramionach, brudasie jeden!”. Chudy milczał, na następne zajęcia znów przychodził z rzepą na ramionach i tak się to wszystko toczyło. Na tym to brudasie postanowił Walerek zbudować sobie autorytet zabijaki. Właściwie nie znajdował żadnego powodu, żeby chcieć się z Chudym bić. A jednak któregoś dnia w szkole zaczął go zaczepiać i poszturchiwać.

– No bo jak ci maznę! – zawołał nawet w którymś momencie.

Chudy długo to znosił, aż w końcu nie wytrzymał.

– Uważaj, żebym ja ci nie maznął – warknął.

Walerek zbladł. Nikt dotąd nie słyszał, żeby Chudy komukolwiek groził. Czyli – nie boi się.

Chłopcy, ta cholerna zgraja małopoludów, natychmiast to podchwycili i zawołali:

– Bić się! Będą się bić. Dzisiaj po lekcjach.

Zrobił się rejwach i zapanowała radość. Po lekcjach staną gdzieś kołem wokół tych dwóch i będą szczuli jednego na drugiego. Chudy, który nigdy nie miał przyjaciół, nagle znalazł kilku trenerów i popleczników.

– Nie bój się go. Natrzaskasz mu. On jest słaby – judzili Chudego.

Kiedy Walerek usłyszał, że mówią o jego słabości, poczuł się słabszy niż zazwyczaj.

– Pewnie, że mu natrzaskam. – Chudy roześmiał się, zdumiony, że nagle znalazł tylu kolegów, którym nic a nic nie przeszkadza rzepa na jego ramionach.

Walerkowi żołądek podszedł do gardła.

– No nie, panowie – powiedział pozornie lekkim tonem. – Nie możemy się bić po lekcjach, bo ostatnia jest religia... a po religii...

Chłopcy zawyli.

– Ha, ha, bardzo dobrze. Po religii! Pójdziemy na pruskie łąki. Tam się będziecie bić.

– To może lepiej jutro? – pisał Walerek.

– Nie, nie. Nie boisz się chyba?

– Kogo się mam bać? Tylko... co go będę bił, brudas. Szkoda mi go.

Niestety, odwrotu nie było. Koledzy przebierali już entuzjastycznie nogami.

– Nie gadaj. Dzisiaj po religii na pruskich łąkach.

Walerek przesiedział sztywno do końca lekcji, czując się tak, jak może czuć się szlachetny Indianin, który na skutek perfidnego podstępu zostaje przywiązany do pała męczarni. Bał się jak nigdy w życiu. Chudy wydał mu się nagle bardzo groźny. Miał gębę mordercy i spoglądał na niego z nienawiścią.

Jak na złość, ksiądz katecheta wyrwał Walerka do odpowiedzi, ponieważ jego przerażoną minę uznał za minę ucznia nieprzygotowanego.

– No, Monsiorski, kim jest Bóg?

– Bóg... – zaczął Walerek, no przecież wiedział doskonale, bo w sprawach boskich był nieźle oblatany, ale jakoś zapomniał. – Bóg...

– Bóg jest... – podpowiedział ksiądz katecheta życzliwie.

– Bóg jest – zgodził się z ulgą Walerek.

– Co Bóg jest, gałganie? Bóg jest to duch...

– Bóg jest to duch nieskończenie doskonały, który... który...

– ...który sam...

– ...który sam z siebie istnieje... – wybąkał Walerek.

– Monsiorski, co ci jest? Na jutro masz się nauczyć, bo dzisiaj się z tobą nie dogadam. – Ksiądz katecheta machnął ręką.

Po religii chłopcy poszli na pruskie łąki. Walerek nie pamiętał, jak się tam znalazł. Możliwe, że ktoś go zawłókł na siłę, jak wtedy, gdy kowal miał mu wyrwać ząb. Teraz znalazł się w zwartym kręgu spoconych ciał, książki związane paskami leżały w trawie, naprzeciwko stał milczący Chudy z zaciśniętymi pięściami opuszczonymi wzdłuż ciała. Przecież Walerek tego wcale nie chciał!

– Nooo! Noooo! Bijcie się! – wrzeszczeli zniecierpliwieni koledzy, kiedy tych dwóch nie kwapiło się do niczego.

W końcu ileż można czekać? Ktoś pchnął Chudego od tyłu. Chudy bezwładnie runął w stronę Walerka. Utrzymał jednak równowagę, zatrzymał się. Zauważył, że Walerek unosi ręce w odruchu obronnym. Chudy chciał się cofnąć o krok, potknął się jednak i wówczas Walerek,

widząc, że Chudy pada na plecy, machnął mu pięścią przed oczami, tyle że nie trafił, a kiedy Chudy już leżał, znów nad nim machnął nieudolnie ręką i znowu chybił.

Chłopcy zawyli. Chudy skoczył na równe nogi, bo był nie tylko chudy, ale, jak się okazało, także zwinny. Stanął w pozycji obronnej, czekając na atak Walerka.

Walerek jednak już nie chciał, już nie mógł. Wolał znieść każde upokorzenie, byle się nie bić, byle móc iść do domu.

– No, dobra, wystarczy, co nie? – Serce mu łomotało i głos się łamał.

– Czego wystarczy? – ryknęli chłopcy.

– No, tej bitki. Nie będziemy się już bili, co nie? Ja w sumie nic do ciebie nie mam. – I wyciągnął rękę do Chudego. Liczył na to, że koledzy uznają to za szlachetny indiański gest.

Chudy spojrzał na wyciągniętą do zgody drżącą dłoń.

– Jak tam chcesz – powiedział, ale nie zmienił pozycji. Ręki nie podał. Stał z zaciśniętymi pięściami i z zaciśniętymi zębami.

– Nie, no dobra. Naprawdę, chłopaki, to nie ma sensu. Nie chcę go bić. – Walerek zachichotał nerwowo.

Nikt oprócz niego się nie śmiał.

– Ty tchórze – syknął jego sekundant. – Bij się, do cholery. Lej go.

– Nie, nie – Walerek uparcie bagatelizował sprawę, a głos drżał mu coraz bardziej. – Po co?

„Tchórz! Tchórz!” – wołali koledzy. Sytuacja wydawała się bez wyjścia. Na szczęście akurat w tej chwili nadjechał traktem wzdłuż Brynicy patrol graniczny: dwójka Kozaków na dorodnych bachmatach. Widząc grupkę wrzeszczących bachorów jeden z żołnierzy zawołał gromko:

– *A wy szto!?* – I pogroził im pięścią.

Nikt się tym nie przejął, jednak na chwilę impet wydarzeń został przerwany. Walerek szybko podniósł z ziemi książki i ruszył w stronę domu. Bał się, że chłopcy pobiegną za nim. Kiedy odważył się zerknąć

przez ramię, Kozacy dalej jechali wzdłuż brzegu na swoich pięknych koniach, a koledzy z klasy poklepywali Chudego po brudnych plecach.

Do domu wrócił, powłócząc nogami, i spóźnił się na obiad.

– Co tak późno? – zawołała matka.

Spojrzał na nią ze zboląłą miną.

– Co ty? Chory?

– Nie.

Przy obiedzie siedział ze spuszczoną głową i matka jeszcze raz zapytała:

– Dlaczego tak późno wróciłeś?

– Biłem się dziś – powiedział nonszalancko.

– Biłeś się? Z kim? – Ojciec odłożył łyżkę.

– A z takim jednym. – Wzruszył ramionami.

– Ale po co?

– A tak. Lubię się bić – mruknął. Wyszczrzył zęby w uśmiechu, ale kąciki ust zadrgały mu dziwnie. Po chwili odsunął talerz, odsunął krzesło i wybiegł do swojego pokoju. Rodzice spojrzeli po sobie. Matka wstała od stołu i cicho otworzyła drzwi pokoju syna. Walerek leżał na łóżku i płakał.

– Mamo – zawołał – proszę cię, proszę, przenieś mnie do innej szkoły! Ja tam nie wrócę za nic w świecie.

Upokorzenia, którego wówczas – w wieku dwunastu lat – zaznał, nie zapomniał nigdy. Nie zapomniał też nigdy, że jest sakramenckim tchórzem.

ROZDZIAŁ 5

TRÓJKĄT TRZECH CESARZY

Maul halten und weiter dienen. Należy zdać sobie sprawę, iż jest to kwestia wagi państwowej. A nuż mamy do czynienia z bezczelną prowokacją polityczną? Incydent nie może zostać nagłośniony, głowa musi jak najszybciej przekroczyć granicę, wrócić do tego imperium, z którego przybyła, nie robić po pruskiej stronie żadnego zamieszania. Najlepiej, żeby tej głowy w ogóle w Niemczech nie było, ale skoro już chwilowo jest, to ktoś musi ją dyskretnie zabrać, bez rozgłosu i, o ile to możliwe, bez żadnej biurokracji, bowiem jeśli przyjdzie co do czego, to łatwo sobie wyobrazić, jakiego rodzaju awantura rozpęta się w kwestii ekstradycji głowy z jednej strony granicy na drugą, a te granice są w dodatku coraz bardziej zwaśnione. Biurokracja w Imperium Rosyjskim jest bizantyńska, zaś w Niemczech, kto wie, czy nie bardziej bizantyńska, bo porządna. Porządek czasami – chociaż rzadko – bywa gorszy niż nieporządek. No więc, tak czy owak, po prostu ktoś musi zabrać tę głowę z naszego państwa, szybko przewieźć ją do drugiego i sprawy żadnej nie ma, żadnego nagłośnienia nie będzie, bo czy ktoś potrzebuje incydentów dyplomatycznych i politycznych? Czy ktoś potrzebuje sterty pism i okólników, i wyjaśnień? Czy ktoś potrzebuje kontroli z ministerstwa? Czy ktoś potrzebuje choćby najdelikatniejszej sugestii, że na granicy panuje nieład? W dzisiejszych trudnych czasach w dodatku? Otóż nikt niczego takiego nie potrzebuje. Głowa musi zniknąć.

Tak sprawy przedstawiono kapitanowi Schulte, a on zrozumiał doskonale zarówno powagę sytuacji, jak i logikę niezbędnych kroków naprawczych.

Już i tak padają sugestie, że tu, na granicy świętych cesarstw, uprawia się proceder przemytniczy. Że kwitnie międzynarodowe szwarcownictwo na nigdzie indziej niespotykaną skalę. Ale nawet gdyby istotnie tak było, nawet gdyby rzeczywiście jakieś baby nosiły salcesony pod spódnicami, gdyby przekupieni celnicy przymykali oko na świnię i krowy, to, za przeproszeniem, jest zdecydowana różnica między przemyceniem świńskiej nogi, czy, powiedzmy, krowiego ogona, a przemyceniem ludzkiej głowy. Bo tego żadna baba pod spódnicą nie przeniesie. Co innego wyroby tytoniowe. Jest na przykład taka kobieta z wielkim wolem. Kołysze się na tłustych nogach, a w majtki ma wszyte cygara. Albo inna, o rzadkich włosach koloru mysiopolskiego – od razu wiadomo, że szwarcownica z zapyziałego miasta: małe oczka, czerwona gęba i skrzeczący głos. Jezus Chrystus z ust jej nie schodzi, a pod spódnicą dyndają pęta kiełbasy.

A jeszcze wczoraj było tak pięknie.

W ogrodach nieopodal miejsca, gdzie Biała i Czarna Przemsza zlewają się, tworząc granice trzech cesarstw, na tarasie restauracji Drei Kaiserreich-Ecke mieszkańcom umilała czas wojskowa orkiestra regimentu piechoty z Gleiwitz. Od kiedy w Teatrze Miejskim wystawiono *Carmen*, a recenzent „Der Oberschlesischer Wanderer” zaznaczył, że specjalne słowa uznania należą się orkiestrze pełnej energii, siły dźwięku i muzycznego wyrazu, radośnie grający wojskowi muzycy koncertowali plenerowo w wielu miastach Górnego Śląska. W każdą niemal niedzielę ustawiano gdzieś orkiestrowy buńczuk zwieńczony orłem, strojono klarnety i smyczki, a później zaczynało się! Ach, te melodie z *Preussischer Zapfenstreich* – od ćwierć wieku kwintesencja lekkości i finezji. Wczoraj muzycy – ubrani w letnie białe spodnie, ciemnoszare mundury i czapki z czerwonymi pióropuszcami – wykonali repertuar marszowo-patriotyczny, rzecz

niezwykle stosowna na granicy cesarstwa. Na umowny bis, chociaż aplauz spacerowiczów był umiarkowany – orkiestra zagrała jeszcze kilka walców Straussa.

No dobrze, osobiście uważam, że gra plenerowa nijak się ma do gry marszowej. Maszerowanie równym krokiem na pewno sprawiłoby muzykom większą radość niż samo dmuchanie w rury, ale i dmuchać trzeba z entuzjazmem, ponieważ kwestia entuzjazmu w tym miejscu i w tych czasach jest politycznym oraz moralnym obowiązkiem, a nie sprawą czyjegoś widzimisię.

Tak, wczoraj było pięknie. Tłumy pań i panów ciągnęły Promenadą od dworca przez ogrody Drei Kaiserreich-Ecke. Pieniądze płynęły strumieniem; migały parasolki; na pokładach statków wycieczkowych serwowano piwo i słone precle; plenerowe konkursy rozwijały wyobraźnię obywateli. Wczoraj było może nawet piękniej niż w inne dni, bo znów jechał do restauracji w Mysłowitz pan Dietel z rodziną. Wielki przemysłowiec. Jego ojciec przyjechał z Saksonii, usadowił się po rosyjskiej stronie i zbudował przedzalniane imperium. „Król wełny”, tak o nim mówili wszyscy z podziwem i zazdrością. Dwa lata temu zmarł, a jego syn odziedziczył fabryki. W Rosji mają się Dietlowie jak pączki w maśle. Siedzą przy samej granicy, więc w razie czego zdążą ujść z życiem, jeśli nie z majątkiem. Jednego im tylko brakuje: prawdziwego pilznera. Ten sprzedawany w Sosnowcu jest oczywiście gorszej jakości. Więc od czasu do czasu wielki pan z rodziną fatyguje się przez most, żeby w Mysłowitz skosztować lanego pilznera. I całe szczęście, że się fatyguje, bo jak przyjeżdża rodzina Dietlów w sobotę albo w niedzielę, to często towarzyszy im młoda bona. Wiem, że ma na imię Emma, w końcu po coś te dokumenty sprawdzam. Wczoraj panna Emma tak na mnie spojrzała, że mi nogi zmiękły. A potem pomyślałem sobie, ech, Klaus, wydawało ci się pewnie. Kilka godzin później wracali. Zasalutowałem panu Dietlowi, palce do kaszkietu, bo tak się należy, ale potem ze szczególną atencją

zasalutowałem pannie Emmie. Wyrężyłem się jak struna, *acht*, nogami trzask i do panny Emmy salut. I, Boże, Boże, uśmiechnęła się do mnie, skinęła głową, a potem jeszcze, kiedy już wjeżdżali na most do Rosji, obejrzała się, a ja wciąż stałem *acht* i rękę miałem w salucie uniesioną. Głowę delikatnie ku mnie skłoniła. Nie jakaś tam pierwsza lepsza lafirynda, która od razu łapskami wymachuje, tylko prawdziwa bona u wielkiego pana, a wiadomo, że byle kogo by nie najął do dzieci.

Wziąłem ja tę pannę na spacer pod Dąb Bismarcka, albo nie, pod Wieżę Bismarcka. Moglibyśmy tam pójść w wieczór letniego przesilenia, kiedy obywatele rozpalają na wieży ogień i płomienie bijące z misy widać w trzech cesarstwach. Stanęlibyśmy we dwoje pod kolumnami, na stopniach u betonowej podstawy, wśród młodzieży, a ona by mnie trzymała pod ramię. Czuję dumę narodową. Powiedziałbym: „Emmo, ta wieża została zbudowana, podobnie jak wiele innych w Niemczech, według projektu słynnego drezdeńskiego architekta, którego nazwisko znam doskonale, tyle że chwilowo uszło mi z pamięci. Nazywamy ten monument Wieżą Bismarcka, ponieważ Bismarck zasługuje na najwyższy szacunek. Wskazał, gdzie Niemcy mają wrogów. Niestety, Emmo, mają ich wszędzie. A szczególnie mają wrogów w tych prymitywnych Polakach. Bismarck kazał Polaków bić tak długo, aż utracą wiarę w sens życia. Polacy mają jednak wyjątkowo zakute łby, więc bardzo powoli do nich dociera, że życie nie ma sensu. Albo oni wytępią nas, albo my ich, tak rzekł przenikliwy Bismarck. Dlatego właśnie, powiadał, musimy ich wybić, chociaż składam im z tego powodu najszczerze wyrazy współczucia. Nie było w Niemczech mądrzejszego i bardziej wrażliwego polityka. Wiem o tym, bo tak mnie uczono w akademii oficerskiej. Jeśli więc pozwolisz, Emmo, nasz pierwszy syn będzie miał na imię Otto”. A ona ucisnęła lekko moje ramię. „A gdybyśmy mieli dwójkę dzieci, bo wiadomo, że jedno źle się chowa, i gdyby to drugie to też był syn, dalibyśmy mu na imię Eugen, jeśli nie masz nic przeciwko temu. To z kolei na cześć najsilniejszego człowieka

świata, Eugena Sandowa, pruskiego bohatera, niezwycięzonego siłacza. Wprawdzie teraz przyjął obywatelstwo angielskie, ale nic nie szkodzi. Dziwisz się, Emmo, skąd to wszystko wiem, o obywatelstwie i w ogóle? Otóż wiem, bo czytałem. Czytam dużo – gazety, kalendarze, biuletyny... Odbiegam od tematu... W każdym razie nie ma silniejszego człowieka na świecie. Prawda, Eugen Sandow występuje teraz w cyrkach i w wodewilach, ale gdzie by nie występował i tak przynosi Prusom chwałę. Może sobie być Anglikiem albo Amerykaninem z wyboru, ale gdyby w nim nie płynęła niemiecka krew, nie osiągnąłby tej mocy, wierz mi, nie osiągnąłby, choćby nie wiem co”. Emma dużo by się ode mnie dowiedziała.

Dzisiaj też mogło być pięknie. W porannych depeuszach podano, że w Reichstagu przegłosowano ustawę ustalającą liczbę wojska na czas pokoju na prawie dziewięćset tysięcy żołnierzy, czyli armia będzie dwa razy liczebniejsza niż armia francuska. Na wypadek wojny postanowiono powołać pod broń pięć milionów mężczyzn. Półtora miliarda marek przeznaczono tego roku na budżet pruskiej armii. Co jak co, ale bezrobocie nie zagląda oficerom w oczy.

Słusznie ktoś powiedział, że Prusom też należy się miejsce w słońcu, nie tylko Anglikom, Francuzom czy Holendrom. Ten wiek będzie należał do Niemców. Dokonamy czynów, jakich świat jeszcze nie widział.

Tyle że chwilowo na zapleczu kancelarii tajnej, w worku z lodem, leży ludzka głowa, w dodatku – jak się wydaje – głowa polska. Zakuty, sześcienne łeb z wiechciem włosów. No naprawdę, gorzej być nie mogło.

W południe kapitan Schulte otrzymał polecenie udania się przez most do Rosji, w cywilnym ubraniu. W Modrzejowie, tuż za granicą, miał spotkać specjalnego wysłannika policmajstra z Sosnowca. Kapitanowi podano hasło i wytłumaczono, gdzie dokładnie należy pójść.

Schulte ściągnął mundur w obowiązującym od paru lat kolorze *feldgrau* i powiesił go starannie na krześle. Poprzednie mundury – granatowe – były ładniejsze, ale teraz pozwalano je nosić tylko od święta. Jegrom zostawili

grüngrau – na osłode. Rosjanie też mieli zielonkawoszare mundury, a Austriacy wprowadzili szaroniebieskie. Jeśli wybuchnie wojna, to jak my się w ogóle będziemy rozpoznawać? Tylko Francuzi biegają jeszcze w czerwonych czapkach. Eleganciki, nie założą hełmów ani nawet pikielhaub. Nie bez powodu na strzelnicach prowadzi się ćwiczenia w celowaniu do czerwonych główek. Ale czy Francuzi w ogóle znają się na wojnie?

Kapitan Schulte włożył cywilne ubranie, przejrzał się w lustrze, przygłądził włosy i wyszedł na dwór. Zmrużył oczy. Dzień był bardzo słoneczny.

Przy tęgich słupach granicznych na brzegu Czarnej Przemszy sterczeli nieruchomo żołnierze; posterunek przy posterunku. Drewniany, ponad dwustumetrowy most prowadził z pruskich Mysłowic do Modrzejowa, gdzie trzeba było przejść przez rosyjską komorę celną drugiej klasy i okazać paszport.

Interesów cara strzegą pod błękitnym niebem trzy pierścienie. Pierwszy to sama granica, jej celnice, komory i przykomórki. To tu się rewiduje kogo należy, cło się nakłada, cło pobiera, paszporty wizuje, to i owo unieważnia. Każdego ranka zgrzytają łańcuchy i na rogatkach zaczyna się urzędniczy korowód. Pogranicznicy z zielonymi wypustkami na mundurach, błękitni żandarmi, a do tego policjanci, akcyźnicy i komorowi – wszyscy cara miłują i chronią jego własności. Łomot, krzyki i przekleństwa. Towary importowane trzeba koniecznie wymierzyć, bo parametry muszą się zgadzać z formularzami. Kontrolerzy chodzą niespiesznie między izbą pomiarową a składowiskiem skrzyń, wspinają się na wozy, aplikują przyrządy: gdy toczą się z turkotem beczki, inspektorzy wbijają w nie szpikulce i sprawdzają poziom wypełnienia, pobierają próbki, by sprawdzić, czy to, co w beczce zadeklarowano (na przykład olej), nie jest przypadkiem wódką; gdy ktoś wiezie worki – wagowi wrzucają je na wielkie przenośne szale i sprawdzają, czy waga zadeklarowana zgodna jest

z wagą rzeczywistą. Jedzie chłopska furmanka wyładowana koszykami – rewidują. Pakunki sianem chłop przywalił? Inspektorzy łapy wsadzą, siano trochę przetrząsną, machną ręką albo i nie machną.

W murowanym budynku celnicy znajdują się biura, a w nich siedzą oficerowie. Piją herbatę i martwią się sprawami osobistymi. Temu się urodziło dziecko („Moja żona nie może karmić... Szukamy mamki Polki”), a temu się nie poszczęściło w kartach, temu się członek z lekka owrzodził i nie wiadomo, czy to nie syfilis („Ej, Alosza, po czym się poznaje syfilis?”). „A bo co?”. „Bo mi się taki wrzód zrobił”. „Gdzie? Tam?”. „No, tam”. „Jeden?”. „Jeden”. „Boli?”. „Trochę”. „To może być syfilis, ale nie musi. Gorzej, jeśli nie boli”. „Jak to?”. „No, najgorsze są węzowe ślady, takie szare wrzody. Nie bolą, a wyglądają, jakby ci po interesie pełzał wąż”. „O Boże, to nie mam takich”. „A masz gorączkę?”. „Nie. Chyba nie”. „A czerwoną wysypkę na skórze masz?”. „Nie”. „Pokaż łeb. Łysiejesz plackami?”. „Nie, nie!”. „To chyba nic ci nie jest. Ale na dziwki chodzisz?”. „No”. „To zaniechaj”. „Nie potrafię”).

– Gdzie się płaci cło? – W drzwiach pojawia się głowa zdezorientowanego interesanta.

– W pokoju obok. My stemplujemy dokumenty.

Tutaj, w sercu pierwszego pierścienia siedzi komendant placówki. Siedzi, a właściwie chodzi po pokoju ze szpicrutą w rękę i rozmyśla. Ma w gabinecie duży sejf, a na nim plakat: „Strzeż Tajemnicy Państwowej”. W sejfie trzyma futro z lisa.

Z każdym nowo przybyłym oficerem komendant przeprowadza taką samą rozmowę:

– Zaczynacie zaszczytną służbę. Wszystko wam już wytłumaczono?

– Tak jest.

– Wiecie, co należy do waszych obowiązków?

– Tak jest.

– To posłuchajcie jeszcze i tego. Dam wam trzy przykazania – chrząkał – filozoficzne, które wam pomogą w służbie. – Zawieszał głos. – I w życiu. – Postukiwał nerwowo szpicrutą w cholewę oficerek, jakby alfabetem Morse’a wybijał te przykazania na butach. – Po pierwsze, zawsze powinniście podejrzewać, że prawdą nie jest to, co się wam ukazuje. Rozumiemy się?

– Tak jest.

– Po drugie, prawdziwe mogą być rzeczy między sobą sprzeczne.

Chwila ciszy.

– Tak jest.

– Po trzecie, nie każda prawda jest dla każdego. Rozumiemy się?

Bogiem a prawdą rzadko kiedy rozumiano się. Raczej wpatrywano się bezrozumnie, ale można było odpowiedzieć tylko:

– Tak jest, wszystko zrozumiano, panie komendancie.

– No to odmaszerować.

Komendant na pięcie odwracał się w stronę okna (firanki z koronki i kwiaty w doniczce; na parapecie zdechłe muchy), ręce zakładał na plecy i wówczas można by pomyśleć, że szpicruta, którą trzymał, wisiała za nim jak diabelski ogon. Młody oficer salutował do tego ogona i wychodził tak samo głupi, jak wchodził.

Komendant lubił wyglądać przez okno. Miał widok na rzekę, na drewniane pomosty i na przymocowane do nich pochylnie z desek. Zawsze cumowało tu kilka wielkich drewnianych tratw. Tymi prymitywnymi, czworobocznymi galarami spławiano Przemszą węgiel i tłuć z kamieniołomów, a nawet towary ze stali, najpierw do Krakowa, a dalej Wisłą choćby do Sandomierza. Długie na dwadzieścia metrów, niskie barki potrafiły transportować kilkadziesiąt ton węgla. W jeden albo dwa dni, zależnie od stanu wody, docierały do Krakowa, chyba że rzeka zamarzała. Za to z powrotem było gorzej. Nawet puste tratwy były bardzo ciężkie, a załoga składała się tylko z czterech osób. Do galarów zaprzęgano więc

konie. Poganiacz szedł z nimi wzdłuż brzegu, a zwierzęta ciągnęły tratwę mozolnie, pod prąd, z Krakowa do Sosnowca.

Komendantowi żal było koni. Często widział, w jakim stanie docierały na miejsce.

Ból – niedorozwinięte dziecko pamięci.

Komendant zamykał na chwilę oczy i przypominał sobie tamte rozmowy: „Ja już sama nie wiem, kim jestem!”. I zduszony płacz. Albo: „Wiem jedno: będą kłopoty, prędzej czy później. Tylko mi nie mów, że przesadzam. Oboje daliśmy się wciągnąć w coś i to nie jest niewinna zabawa”. „Kobieto, przecież w nic się jeszcze nie daliśmy wciągnąć!”. „Jaki ty jesteś pewny siebie, że ja niby tak tylko udaję, że się martwię. O, ty mnie jeszcze nie znasz”. A potem jęk: „Nie możesz, nie możemy...”. I stwierdzenie: „Teraz już nie ma odwrotu, wszystko jest jasne”. Nic nie było jasne. Może tylko to, że niegodziwość to kategoria podlegająca stopniowaniu.

Komendant otwierał oczy i przenosił wzrok dalej: za przystanią widział bure, obłe mielizny. Jeszcze dalej płożyły się piaszczyste uroczyiska zarosłe omszałymi sosenkami.

Drugi pierścień chroniący imperium cara to linia kordonów: brzeg rzeki patrolowany przez grupki carskich gwardzistów z najeżonymi bagnetami. Pogranicznicy podpułkownika Rosińskiego z III Oddziału i podpułkownika Czernogłazowa z IV wspomagani przez dwie sotnie Dońskiego 14 Pułku, specjalnie detaszowane z Będzina, sprawdzają, czy nikt nie przekroczył zabronowanych wzdłuż granicy traktów, czy gdzieś nie odcisnięto nielegalnie stopy, czy kontrabanda – spirytus i cygara, koronki i zegarki, albo, nie daj Boże, bibuła – nie została przez te zabronowane pola przeciągnięta na stronę rosyjską, przeszmyglowana wbrew wszelkiemu prawu.

Jeśli szwarcownik pokonał rzekę, posterunki i kordony, jest jeszcze jeden pierścień, nazywany trzecią linią. Uznano bowiem, że sto pięćdziesiąt

kilometrów od granicy to wciąż jest granica (przecież imperium jest olbrzymie, więc to i tak ledwie otoczka jest) i każdego podejrzanego można zrewidować na okoliczność przestępstwa.

Nocą roгатki zamyka się na wszystkich przejściach poza kolejowymi. Pierwszy pierścień znika w mroku; drugi pierścień zmienia taktykę: żołnierze chowają się po „sekretach” i mają rozkaz strzelać do każdego, kto zechce naruszyć granicę.

Trzeci pierścień działa zawsze – nikt nie zna dnia ani godziny.

A tak w ogóle granica to błogosławieństwo. Parę słupów stoi, a za słupami ceny od razu inne. Tu tańszy stolarz, a tu tańsza dziwka, tu lepsze bale, a tu szpitale. A kto na granicy najbardziej korzysta? Celnik i inspektor, bo prawa pilnując, przestrzegać go nie musi. *Tamoznia*. Tam można. Niejedno.

Pospolity stupajka, jak mu się zapłaci, to nie tylko sam towar przeszwarcuje, ale jeszcze karabin da w zastaw. Wyższy oficer ekspedytorom lewe papiery wystawi albo nawet osobiście handluje. Jak ich urobić? Nic łatwiejszego. Celnikom podoba się nie to, co im się podoba, ale to, co im się wręczy. *Wot*, mała grzeczność. Temu zegareczek, temu wiedeński drobiażdżek, temu paczka pruskich cygar. Ruski oficer najbardziej jest łasy na polskie amory i pruskie przybory. Za miłość polskiej dziwki i za pruski nóż myśliwski przymknie oczy na wszystko. Stupajce dziwek dawać *nie nada* – za drogo, wystarczy nóż.

Handlowano tu na potęgę, świątek piątek, rosyjskim i polskim zbożem, bo ziarno z Rosji było śmiesznie tanie, z Królestwa nieco droższe, ale i tak dużo tańsze niż w Niemczech czy Francji. Można więc było zarobić. Dwaj komisjonerzy wracali z niemieckiej strony i czekali w kolejce. Nie spieszyli się, byli zadowoleni z dokonanych transakcji.

– Wie pan, ile zarobił Berek Brauner przed tygodniem?

– Nie, ale wiem, ile zarobił Rubaszkiewicz. Otóż Rubaszkiewicz zarobił krocie.

– Patrz pan, że na zbożu zarabia Brauner, zarabia Rubaszkiewicz, zarabia Lipszyc, zarabia Sztolcman, tylko Polacy jakoś nie mogą zarobić.

– Ano, nie mogą, bo ceny na zboże ustala się komisyjnie, a słyszał pan, żeby Polak coś z Polakiem mógł komisyjnie uzgodnić?

– No, nie. Polak z Polakiem się nie dogada. To już prędzej się Polak z Ruskim dogada niż z drugim Polakiem.

– Z Ruskim się też nie dogada. Za nic.

– Dogada się. Z Ruskim się dogada. Tylko z Polakiem się Polak nie dogada.

Oficer rosyjski sprawdził dokumenty komisjonerów, machnął ręką, żeby przechodzili dalej, i podszedł do kapitana Schulte.

– *Otkuda?*

– *Myslowitz.*

– *Dokuda?*

– *Sosnowitz.*

– *Legitymacjonnyj bilet.*

Chwila ciszy.

– *Półpasek pokazać!* – Oficer rosyjski wziął kapitana za niegramotnego Polaka.

– *Entschuldigen Sie, aber...*

– *Halbpass, bitte.*

Był nowy na posterunku. Ostatnio Rosjanie często wymieniali celników na modrzejowskim moście. (A tak zupełnie na marginesie: podczas rozruchów w 1905 roku ten sam oficer, jadąc na koniu, kopnął w twarz biegnącą obok kobietę. „Zmiataj stąd, polska dziwko!”, wrzasnął i tym wyczynem zyskał sobie uznanie kompanów).

Kapitan Schulte powiedział, że nie ma półpaszportu, ale pokazał swoją legitymację. Pogranicznik zsalutował i przepuścił go bez dalszych pytań.

Za mostem, przed budynkiem celnicy zebrało się kilkanaście osób. Z Sosnowca przyjechał fotograf, jeden z braci Altmanów („Pierwszorzędny

Zakład Fotograficzny. Bracia Altman. Fotografują Wszystko i Wszędzie”). Pierwsza trójka Kozaków właśnie pozowała do pamiątkowego portretu. Wąsaty major w ciemnym mundurze, w czapce z daszkiem przekrzywionej na bakier, pewnie po to, żeby cień nie padał na twarz, siedział na drewnianym krześle wyniesionym z posterunku. Po jego bokach stali podoficerowie: ten z lewej z knutem w garści i szablą u pasa, ten z prawej z harapem; obaj przepasani rzemieniami, ściśnięci w talii jak osy, aż im oczy na wierzch wyłaziły. Pan Altman, ukryty do połowy pod czarną płachtą, kazał oficerowi siedzieć bez ruchu. Dłonie polecił mu oprzeć na biodrach („...ale proszę, bardzo proszę delikatnie zacisnąć pięści, knykiami się wesprzeć pod boki, o tak właśnie, kciuki odstawić nieco, żeby dotykały pasa..., tak proszę, dziękuję, dobrze!”), nogi w kolanach kazał lekko rozstawić, dla przyzwoitości kaburę przesunąć („proszę krocza nie eksponować, tylko je pistoletem zakryć... tak proszę, dziękuję, bardzo dobrze!”), łydki skrzyżować, tak żeby nogi od kolan w dół miały kształt litery x („...równo w połowie łydek nogi się mają krzyżować. Prosto siedzieć i nie garbić się, proszę, dziękuję, tak, bardzo dobrze!”). Oficerki nie powinny się opierać o ziemię podszwami, tylko czubkami od zewnętrznej strony lekko, tanecznie powinny ziemi dotykać.

Siedział więc pan major, jakby się do samoistnej katapulty sposobił; jakby mu na solidnym kontakcie z gruntem granicznym nie zależało; jakby przyklejony do krzesła jednocześnie tańczył. Podpierając się pod boki i nogi krzyżując, wycinał nieruchomo hołubce.

Żaden z tej trójki się nie uśmiechał, bo pan Altman zabronił, z powodu tego mianowicie, że we trójkę nie mieli tylu zębów ile jeden człowiek mieć powinien, więc po co się szczerbić w obiektyw? „Uwaga, usta proszę zamknąć, panowie żołnierze!”, zawołał fotograf spod płachty i uniosł prawą rękę, wywijając palcami, żeby kozacy skupili wzrok. A ich to śmieszyło, ten człowiek, któremu tylko nogi chude było widać zza czterech nóg statywu; śmieszyło ich to bardzo, te sześć czarnych patyków, a nad nimi

szmata sowita, dziób aparatu w nich wycelowany i ręka kreśląca w powietrzu zawijasy. Ale rechotać nie wolno, więc im twarze puchły w śmiechu niewyklutym. Zastygli tak, jakby mieli gęby pełne klusek.

Właśnie w tym momencie przechodził nieopodal kapitan Schulte. Rosyjskich wołań fotografa nie rozumiał, niemniej zainteresowała go ta dziwaczna grupka: major przyklejony do krzesła oraz podoficerowie spętani rzemieniami, a wszyscy z policzkami wydętymi w zabronionych półuśmiechach. Wyglądali, jakby już byli własną fotografią. Kolejni chętni do zastygania w bezruchu niecierpliwili się w kolejce.

Kapitan Schulte ruszył naprzód. Trakt prowadzący od mostu wyglądał marnie i pełen był dziwnych wgłębień. Skoro nawet w suche dni przeświecały tu i ówdzie brunatne kałuże, to w dni deszczowe cała ulica musiała być podmyta błotnistą wodą.

Kilkaset metrów za posterunkiem wyrastał wianuszek domów. Przy ryneczku rozsiadły się byle jak sklecone, pękate chałupy żydowskiego Modrzejowa. W podcieniach niemal zawsze kłębił się tłum handlarzy. Wszędzie wisały szyldy z hebrajskimi, niemieckimi i rosyjskimi napisami. Na koślawych płotach wisały schnące ścierki. Rozrastały się tu dziko krzaki leszczyny, o niektóre ściany opierały się czarne gałęzie olchy. Drewniane skoble, pokrzywy przy płotach, przedwcześnie opadłe jabłka otoczone rojem much. Pod domami, w których pachniało dymem, ługiem i starzyzną, bawiły się dziewczynki z warkoczami, ubrane w szare fartuszki na szelkach. Aby wejść do środka, trzeba było pochylić się w drzwiach i, wysoko unosząc nogi, przekroczyć nadspodziewanie stromy, często wykoślawiony i niemal zawsze nadbutwiały próg z drewnianych bali.

Kapitan Schulte poszukał wzrokiem drewnianej drwalni z drzwiczkami zamykanymi na haczyk. To pod nią miał się spotkać ze specjalnym wysłannikiem z kancelarii sosnowieckiego policmajstra. Tymczasem żadnego wysłannika nie było widać. Jakiś koślawy dziadek grzebał drutem w ziemi, a na ławeczce przed drewnutnią siedziała młoda kobieta i dziergała.

Kapitan zatrzymał się zdezorientowany.

Kobieta podniosła wzrok znad robótki i uśmiechnęła się.

– Pan kogoś szuka? – zapytała czysto po niemiecku. Za czysto.

Kapitan otworzył szeroko oczy.

– Tak... chyba tak... ale... chyba nie...

Kobieta nadal uśmiechała się do niego. Mogła mieć około trzydziestu lat, jej duże czarne oczy skrzyły się inteligencją i rozbawieniem. Robótkę położyła na kolanach.

– Szukam... – zaczął niepewnie. A później przypomniał sobie. – Mam do sprzedania słowniki niemiecko-rosyjskie i szukam kupca.

– A gdzie wydano te słowniki?

– W Lipsku.

– Sama chętnie kupię osiem sztuk, bo udzielam lekcji.

Więc jednak. Wysłannikiem policmajstra jest ta młoda kobieta dziergająca robótkę na ławce przed żydowską drewnią. Pokiwał powoli głową.

– Proszę spocząć. – Kobieta przesunęła się.

Usiadł.

Wyobrażał sobie, że w szopie niemal po dach piętrzyła się góra drewna na opał: brzozowe bierwiona nieodarte z kory, szczapy ze ściętych sosenek, gałązki z igliwem i opasłe kłody. Z pewnością w drwalni były też pająki i komary.

– Nie spodziewałem się... Myślałem... – Kapitan nie dokończył, a kobieta nie podjęła tego tematu.

– Mamy problem, prawda? I wy, i my. – Od razu przeszła do rzeczy.

Kiwnął głową.

– Musicie przewieźć słowniki przez most. My je tutaj odbierzemy i was to więcej nie interesuje.

– Ale jak? Jak mamy przewieźć? Czy celnicy wasi...?

Zmarszczyła brwi.

– Celników w to nie mieszajmy, a wy się tym nie przejmujcie. Celnicy podlegają innym urzędom.

– Myślałem... że za zgodą... że celnicy...

– Są przekupni?

Milczał taktownie.

– A rosyjscy przede wszystkim? Tak pan uważa, prawda?

– Powiedzmy, że już w Biblii nie pisano za dobrze o celnikach – mruknął.

– To zależy, który fragment się czyta.

– Ci, którzy zadawali się z celnikami, uważani byli za zbrukanych... – Sam się zdziwił, że wdaje się w taką dyskusję.

– Ale Chrystus przebywał w ich towarzystwie bez oporów. – Znowu się uśmiechnęła.

– Przebywał też w towarzystwie prostytutek, a to nie znaczy, że Biblia pochwała nierząd.

Roześmiała się cicho.

– A to było o celnikach? „Prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne...”.

– To było o bogaczach. I mam nadzieję, że nie daje mi pani do zrozumienia, że przez granicę nie da się niczego przeszwarować.

– Ma pan rację. To było o bogaczach. O celnikach było coś innego. „Dlaczego wasz Nauczyciel jada wspólnie z celnikami i grzesznikami?”.

– „Nie potrzebują lekarza zdrowi, lecz ci, którzy się źle mają... Bo nie przyszedłem powoływać sprawiedliwych, ale grzeszników”. – Wzruszył ramionami. – Ale to wiemy od Mateusza albo od Łukasza, nie pamiętam, od którego, a jak ktoś sam był celnikiem, zanim został apostołem, to wie pani... – („Co on tu wygaduje? Po co?”). – Możliwe więc, że w Nowym Testamencie nie poznamy prawdy o celnikach.

– A jednak pytali Jezusa, jak być dobrym celnikiem.

– Czy Jana Chrzciciela? – „No rzeczywiście, do czego mi to potrzebne?”.

Zawahała się.

– Nie pamiętam.

– Mniejsza z tym.

– Ale Jezus nie powiedział, że mają przestać współpracować z Rzymianami. Kazał współpracować, ale po ludzku. Mówił tylko, żeby nie pobierali więcej niż to, co im wyznaczono.

– Dziwnie się z panią rozmawia.

– Dlaczego? Nie lubi pan rozmów o religii?

Spojrzała mu prosto w oczy. Poczł się zażenowany, ponieważ nie był przyzwyczajony, by kobiety spoglądały w ten sposób na nieznanym męczyzn. Chociaż wiedział, że nie robi niczego zdrożnego, odnosił wrażenie, że mówi cały czas nie to, co powinien, że ta kobieta wodzi go za nos i że on, w efekcie, błąduje. A usiłując tego nie robić, czuł, że błąduje jeszcze bardziej.

– Mam wrażenie, że pod pozorem rozmowy o religii pani usiłuje mi przekazać jakąś wiadomość, której ja nie rozumiem. Ale nawet gdyby tak było, to ja nie chcę rozmawiać o Biblii i celnikach, nie zamierzam odczytywać pani aluzji, tylko pozbyć się problemu.

– No, to przyświeca nam ten sam cel.

– Mam nadzieję.

– Przyświeca nam ten sam cel w tej konkretnej sprawie – poprawiła się.

– To brzmi uczciwiej.

– Z obu stron jest to uczciwość, powiedzmy, wymuszona sytuacją.

– Wybaczy pani, ale ja jestem oficerem posterunku granicznego, a nie tajnym agentem. Obawiam się, że rozmowa z panią o uczciwości bądź nieuczciwości pracy na granicy cesarstw pod pozorem rozmowy o Biblii nie wyszłaby mi na dobre.

Przez chwilę milczeli oboje. Kapitan odezwał się w końcu.

– Jeśli pani sądzi, że mnie pani w ten sposób zwerbujecie, to powiem od razu: strata czasu. Ja naprawdę chcę się tylko pozbyć... ehm... słowników.

– Sądzę – powiedziała powoli – że są znacznie skuteczniejsze sposoby werbowania agentów, ale doprawdy, ja nie mam z nimi nic wspólnego. Jeśli chodzi o słowniki, zrobimy to jeszcze dzisiaj przed zamknięciem rogatek.

– Im szybciej, tym lepiej. – Zawahał się. – Mam wrażenie, że rozmawiam z panią o rzeczach, o których w ogóle nie powinniśmy rozmawiać. Nie spotkaliśmy się tu na pogawędce. Ale, jeśli mogę zapytać...

– No nie wiem... – Ukazała białe zęby w uśmiechu.

– Dlaczego tędy? Jeśli już się tak porobiło, z niczyjej winy, czy nie łatwiej byłoby przez większe przejście? Przecież są celnice w Sosnowcu i w Granicy. Tu jest mała celnica, pewnie bardziej szczelna. Łatwiej byłoby gdzie indziej.

– Ależ chyba pan nie sądzi, że ja podejmuję takie decyzje. Nie wiem, gdzie jest łatwiej, wiem tylko, co mam panu przekazać.

Decyzja zapadła w kancelarii policmajstra. Trywialna sprawa, ponieważ chodziło o zwykłą arytmetykę. W Modrzejowie celnicy pobierali rocznie ponad dwieście tysięcy rubli cła. W celnicy sosnowieckiej – siedem milionów rubli rocznie. W Granicy – cztery miliony rubli. Każdy, kto przechwyił przeszwarcowany towar, otrzymywał jedną trzecią sumy uzyskanej z jego sprzedaży. Tu, gdzie obroty są najmniejsze, celnicy są najbardziej pazerni. Natomiast jak się ma obroty po parę milionów, to pograniczników byle czym się nie zadowoli. A kancelaria policmajstra ma fundusze ograniczone, szczególnie na przemyt głów.

A zatem most w Modrzejowie. Inne przejścia nie wchodzi w grę.

Kapitan milczał przez chwilę.

– No więc jak ja, zgodnie z pani instrukcjami, miałbym to zrobić?

Powiedziała mu.

Było w pół do pierwszej. Jeśli nie wydarzy się nic nadzwyczajnego, o godzinie dwudziestej głowa nie będzie już jego problemem. Tylko trzeba się do wszystkiego żwawo zabrać.

– Do widzenia. Życzę panu miłego dnia. – Podniosła robótkę z kolan.

Nie było w tej kobiecie zalotności, a jednak czuł się przy niej dziwnie.

Wstał.

– Do widzenia pani.

„Ech, wziąłbym ja tę pannę na spacer pod Wieżę Bismarcka i inaczej by zaśpiewała”, pomyślał, idąc powoli w kierunku granicznego mostu. Fotograf wciąż pracował przed celnicą.

– *Legitymacjonnyj bilet.* – Z zamyślenia wyrwał kapitana ten sam oficer, który poprzednio sprawdzał jego dokumenty z drugiej strony mostu.

Wątpliwe, by został tu przysłany, żeby wymienić jakiegoś skorumpowanego celnika. Od kiedy to Rosjanie karali za korupcję? Owszem, mogli awansować, ale nie ukarać. Po prostu, wojna coraz bliżej i Rosjanie wymieniają cały personel na szpiegów.

Obaj przyjrzeni się sobie uważniej.

– Ach, to pan – mruknął Rosjanin i machnął ręką. – Przepraszam, nie poznałem was. Przechodźcie. – Mówił po niemiecku z ciężkim akcentem.

Adiutant kapitana Schulte siedział na krześle, palcem grzebał w nosie, a myślami w mieliznach mózgu. Od kilku lat żywił przekonanie graniczące z pewnością, że wyznaczono dla niego jakiś szczególnie ważny los i on musi tylko cierpliwie czekać na moment, w którym przeznaczenie samo go dopadnie i nada sens jego życiu. Każda myśl mówiła adiutantowi, że to nie może być tak! Życie nie może być aż tak mdłe. Skoro został obdarzony cudownie funkcjonującym poczuciem własnego ja, to chyba jest w tym głębszy zamysł. Cel życia zaatakuje go kiedyś z całą mocą, powali z nóg, rzuci w wir i od tej chwili wszystko będzie miało znaczenie.

Trzasnęły drzwi. Kapitan skrzywił się, widząc, że ordynans, zamiast czyścić mu oficerki, siedzi i gapi się w okno.

Tu nastąpił mozartowski kwartet staccato. Myśli kapitana – tenor liryczny; jego polecenia – tenor bohaterski; myśli adiutanta – fałszetto; jego odpowiedzi – kontratenor.

- Czego tak siedzisz? („Kretyn leniwy”).
- Wszystko zrobiłem. („Znowu się czepia”).
- A buty moje? („Tamta dziewczyna...”).
- Przecież są czyste. („Trochę się martwię...”).
- Przebierz się szybko. („Cholernie sprytna”).
- W co się mam przebrać? („...bo jak zostanę...”).
- W cywilne łąchy. („Może Rosjanka?”).
- Gdzieś trzeba lecieć? („...zawsze człowiekiem...”).
- Znasz skład żelazny? („Albo Żydówka?”).
- A kto by nie znał? („...któremu nigdy...”).
- No to tam pójdziesz. („No, bo nie Polka”).
- Wedle rozkazu. („...ale to nigdy...”).
- Zakupisz piecyk... („Na to za sprytna”).
- Piecyk? Na lato? („...nic nie wychodzi?”).
- Piecyk. I taczkę. („Więc może Niemka?”).
- A to dopiero. („A ten tu mruczy...”).
- Piec ma być nowy. („E nie, nie Niemka”).
- Będzie nowiutki. („...jakieś rozkazy”).
- I wracaj szybko. („Raczej Żydówka”).
- Taczka też nowa? („...a ja mam w dupie...”).
- Nie. Używana. („Albo Rosjanka”).
- A co z rachunkiem? („...jego zlecenia”).
- Na posterunek. („Rosjanie bardzo...”).
- To tak jak zawsze. („Też mi figura!”).
- Wypisz formularz... („...są niebezpieczni”).
- Jaki formularz? („Sztabskapitanik!”).
- ...na cło do Rosji.

- Aha, rozumiem.
- Właściciel sklepu pracuje dla nas. Dasz mu dyskretnie liścik ode mnie.
- Wedle rozkazu.
- Wróć od zaplecza.
- To wezmę klucze.
- Aha, po drodze... z nikim nie gadaj.
- A co mam gadać.

Adiutant poszedł się przebrać, a kapitan Schulte skreślił kilka słów do sklepikarza Franzkego.

Skład żelazny kojarzył się młodemu oficerowi z salą tortur. Można tam było kupić nie tylko gwoździe, młotki, siekiery, taczki, czy piecyki, ale także monstrualnej wielkości tasaki, sierpy i kosy, wszystko naostrzone i poustawiane równo wzdłuż białych ścian. Schulte myślał, że gdyby dobrze poszukać, w składzie na pewno znalazłyby się narzędzia do wyrywania paznokci.

Nie ma to jak oficerska wyobraźnia.

Złożył kartkę, wsunął ją do koperty i zakleił.

Najważniejsze, że już dzisiaj w nocy głowy nie będzie w Prusach.

ROZDZIAŁ 6

ABISYNIA

Chociaż letnia noc była ciepła, ten wyższy (z gęstą czarną brodą) miał na sobie kufajkę przewiazaną w pasie powrozem. Zatrzymał się i zdjął parciany wór z ramienia. Ten niższy (z rudą brodą), w długim zgrzebnym kubraku, też przystanął.

– Co się stało? – zapytał z niepokojem w głosie.

– Co się niby miało stać?

– Nie wiem. Myślałem, że może chcesz się naradzić.

– O czym tu radzić? Przystanąłem, bo chyba teraz na ciebie kolej. Nie uważasz?

Niższy skrzywił się.

– No, dobrze. Pewnie tak będzie sprawiedliwie. Chociaż akurat, powiem szczerze, mam dzisiaj takie wzdęcia... tak mnie rżnie w brzuchu... – Zawiesił głos, licząc na współczucie kompana.

– Nażarłeś się za dużo kapusty. Bierz wór. Nie będę tego sam niósł tylko dlatego, że ciebie akurat dzisiaj musiało wydać. Zresztą, ty masz codziennie wzdęcia.

– Codziennie nie mam. – Skrzywił się niższy, zarzucając worek na plecy. – Ale owszem, często na nie cierpię.

Przez chwilę szli w milczeniu. Słyszać było tylko szuranie buciorów.

– Łatwiej by było na tej taczce – odezwał się niższy, bo cisza go niepokoiła. – Nie rozumiem, dlaczego kazali nam oddać taczkę i piec zaraz

w Modrzejowie.

– Żebyśmy się mniej rzucali w oczy.

– Ale dźwiganie czegoś takiego na plecach jest dość obrzydliwe, no nie?

– Takie dali polecenie, to trzeba wykonać. Gdzie byś ty tu teraz po ciemku, po wertepach chciał jeździć taczka z piecem?

– To po co był ten cyrk na granicy?

– Bo w worek celnicy zaraz by łapska wrazili. A z piecem i taczka jakoś to było wcześniej ugadane. Nie wiem zresztą. Nie zawracaj mi głowy rzeczami, które nie do nas należą. Dostałeś pieniądze?

– Dostałem.

– Dobre pieniądze?

– Bardzo dobre.

– No to taszcz worek i nie gadaj tyle.

Po chwili ten niższy znów się odezwał.

– Posłuchaj, bo mam ważne pytanie. Czy mamy to wyrzucić tak, żeby znaleziono, czy tak, żeby nie znaleziono?

– Tak, żeby znaleziono.

– To ja nic z tego nie rozumiem. Ty rozumiesz?

– Nie. Ale ty się tym nie zajmuj, mądrzejsi się zajmują. Wiem tyle, że głowa musi się szybko znaleźć, bo jak inaczej zrobią człowiekowi porządny pogrzeb?

– Niby racja. Ale najpierw mi się wydawało, że mamy tę głowę schować.

– Źle ci się wydawało. Jakby ją trzeba było chować, to i po niemieckiej stronie jest dość miejsca. Chodzi o to, żeby ją niby znaleźć w Sosnowcu.

– Aha, żeby ją niby znaleźć. Dobre. – Parsknął. – Bo jakby ją trzeba jednak chować, to pomyślałem o kamieniołomach.

– Ty lepiej nie myśl... O których kamieniołomach?

– No tych, gdzie jest wapień.

– Zdurniałeś do reszty? U Meyerholda?

- A czy ja mówię, żeby Meyerholdowi do sypialni głowę podrzucić?
- Mowy nie ma.
- Dlatego, że Meyerhold to Żyd?
- A co mi zależy, czy Żyd, czy Eskimos. To człowiek bogaty i ma wielkie wpływy. To byśmy sobie narobili.
- A co to właściwie znaczy, że u Żydów coś jest koszerne?
- No, podobno, że ryba musi mieć łuski, a zwierzę, jak ma cztery nogi, to musi mieć kopyta.
- Bo co?
- Bo jak ryba nie ma łuski, to jej nie można jeść. I jak zwierzę nie ma kopyt, choć ma cztery nogi, to też nie można. Rozumiesz?
- Czyli że na przykład królika się nie je?
- Na przykład.
- Ani kota... Ani psa...
- Będziesz teraz wymieniał wszystkie zwierzęta bez kopyt?
- Nie. Ale posłuchaj, przecież wszystkie ryby mają łuski.
- Skąd to wiesz?
- Nie wiem, ale tak myślałem.
- Już ci mówiłem, żebyś nie myślał.
- A gdybyśmy podrzucili głowę w kamieniołomach, to kto by wiedział, że to my zrobiliśmy?
- Choćby ci, którzy nam dali zlecenie i pieniądze. I kazali zameldować na posterunku, że znaleźliśmy przypadkiem, wracając...
- No to już rozumiem, czemu to ma być Abisynia.
- Bo gorszego miejsca nie ma na świecie.
- To też. A poza tym ani Żydów tu nie ma, ani Niemców, ani Ruskich. Nikomu się nie można narazić. Sami swoi i wszyscy bandyci. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy przy okazji jakiegoś nieboszczyka znaleźli, wcale go nie szukając.

– No wiesz, ja strachliwy nie jestem, tego nie można o mnie powiedzieć, ale Abisynii unikam jak morowego powietrza. Za darmo nikt by mnie nie zmusił, żebym tam poszedł.

– No, teraz nie idziemy za darmo.

– Nie. Za darmo na pewno nie – zgodził się ten wyższy.

Abisynia, zakazana część Sosnowca. Niskie, poprzyklejane do siebie chałupy. Tu nikt nie sypiał w łóżku – tu się spało na przegniłych siennikach rzuconych na podłogę. Tu nikt nie miał mebli – siedziało się na drewnianych skrzynkach. Nie było ścian między izbami, a jedynie zasłonki ze starych szmat porozwieszane na drutach pod powałą. Z tej strony zasłonki piec, czyli kuchnia, a z drugiej barłóg, czyli sypialnia.

A wokół chałup: śmieci, odchody, błoto, nędza, plugastwo i smród, zdziczałe koty, sparszywiałe psy, spasione szczury.

Po kwadransie ten niższy w kubraku zatrzymał się.

– A dlaczego na te budy mówią Abisynia?

– Bo tu ludzie żyją jak Murzyni. – Wyższy odwrócił się, ale nie zwolnił kroku.

– Widziałeś kiedyś Murzyna?

– Nie.

– Ja też nie. Mnie to się nawet wydaje, że Murzynów nie ma.

– Są. Jeden mój znajomy widział.

– Żywego?

– Żywego.

Niższy dogonił wyższego.

– O, ja pierdołę. Ciekawe jak to jest być czarnym.

– Może tak samo, jak być białym, no nie?

– Nie wiem. Myślisz, że to może być tak samo?

– A skąd ja mam wiedzieć? Ten znajomy mi mówił, że Murzyni rodzą się biali, a dopiero potem są czarni.

– Jak oni to robią?

– Co?

– No, że się robią z białych czarni.

– A dajże mi spokój. Widocznie mają swoje diabelskie sztuczki.

Szurali dalej buciorami, ale po chwili niższy znowu się zatrzymał.

– Czasami to się zastanawiam, czy diabeł istnieje.

– I co? – Ten wyższy nawet się nie odwrócił.

– No, i nie wiem. – Chrząknął. – Zdzisiu...?

– Czego chcesz? – Wyższy przystanął jednak.

– Może byś teraz ty poniósł? Jakoś mi się zrobiło dziwnie.

– Dawaj.

Wyższy w kufajce zarzucił wór na plecy.

– Coś się ten łeb coraz cięższy robi – stęknął.

– Przestań. – Niższy wzdrygnął się i zaczął nerwowo wyskubywać rude włosy z brody. – Nie mów tak.

Znów szli w milczeniu.

– Co zrobisz z pieniędzmi? – zapytał wreszcie niższy.

– Pójdę do burdelu w Mysłowicach.

– Dlaczego nie w Sosnowcu?

– Bo ja chcę, żeby dziwka miała majtki koronkowe, a nie jakieś stare barchany.

– Aha. A to ważne, jakie ma majtki?

– Dla mnie ważne.

– Dla mnie by było ważne, co ma pod majtkami.

– Boś jest prostytut.

– I czy nie ma mend na przykład. To jest ważne. Bo nie lubię, jak się baba drapie po kroczu.

– Przecież ty się też ciągle iskasz.

– To co innego. A ty się nie iskasz?

– Wiesz co? Pogadajmy o czymś innym... Myślisz, że mu stwardniał kołek, jak mu odcinali głowę? – zapytał wyższy.

- Że co?
- No, że mu stanął.
- Ale ty głupoty wygadujesz. Dlaczego miał mu stanąć? Co ty nie wiesz, kiedy chłopu staje?
- Wiem lepiej od ciebie. Ale podobno jak człowieka wieszają, to mu staje.
- Niższy zatrzymał się.
- No, nie gadaj.
- A tak.
- Skąd to wiesz? Widziałeś?
- Nie widziałem, ale wiem. Też coś. Gdzie niby miałem widzieć?
- Ale dlaczego staje?
- Bo to ma coś wspólnego z karkiem, tylko nie wiem co. Zapytaj medyka, jak cię interesuje.
- Mnie nie interesuje. Ciebie interesuje. Ja nawet o tym nie wiedziałem. Poza tym tego, co mamy w worku, przecież nie wieszali.
- Ale pomyślałem sobie, że jak to ma coś wspólnego z karkiem, to rozumiesz, że może przy odcinaniu głowy...
- Daj pokój, nawet nie wypada...
- Wyższy zatrzymał się i rozejrzał dookoła.
- Tutaj? – zapytał niższy.
- Tutaj. Ja niosłem, to ty otwieraj worek.
- Szkoda człowieka. W takim plugawym miejscu.
- Długo tu nie poleży.
- Niższy spoglądał na worek.
- Nie martw się, głowo. Nie będziesz tu leżała długo w tej dzielnicy wszy i pluskiew. – Zawahał się. – Zdzisiu, a może ty otworzysz?
- Ech, do cholery. Dawaj. Nie wiem, Zbyszek, po co ja ciebie wziąłem do pomocy.
- Czego chcesz? Ja to robię pierwszy raz.

- A ja, myślisz, który?
- No nie wiem. A słuchaj, skąd właściwie wiadomo, jeśli coś się robi po raz pierwszy, że w ogóle to coś można zrobić? Wiesz, o co mi chodzi?
- Nie.
- Nieważne.
- Dawniej nie byłeś taki miękki.
- Jakoś się z tym źle czuję... Otwarłeś już?
- No pewnie.
- Cuchnie strasznie?
- Nie wążam przecież, ośle. Chcesz, to sobie sam powąchaj.
- Nie chcę. Ale chyba nieboszczyk musi trochę cuchnąć.
- Ja sobie myślę, że ty teraz bardziej cuchniesz.
- To ze strachu. I od tych wzdęć. – Przeżegnał się. – Może w człowieku głowa nie śmierdzi, tylko cała reszta?
- Przecież mówią, że coś tam się psuje od głowy.
- No to nie wiem. Ale teraz co? Wyrzucamy tu, tak po prostu, w trawę? Może by jednak wypadało jakąś modlitwę zmówić?
- Chcesz, to zmów. Ja żadnej nie pamiętam... A teraz...
- Niższy odwrócił się. Pacnął się w czoło.
- Co za noc. Jeszcze te cholerne komary tną jak opętane.
- ...siup... turlaj się...
- Wyższy klepnął kompana w plecy.
- Chodź, dupku – zarechotał. – Już po wszystkim. Pomyśl, że lepiej wytrząsać z worka głowę niż flaki. A mogłoby i takie zlecenie być. Teraz, raz dwa, idziemy na policję i zgłaszamy znalezienie głowy. Wiem, do kogo mamy iść i co trzeba mówić. Ty się nic nie odzywaj. Najlepiej udawaj niemowę, bo coś spartaczysz.
- A co z workiem?
- Wywalimy go do rowu. Albo nie. Może mi się na coś przydać.
- A szczur albo kot nie zeżrą głowy?

– Do diabła... Mogą. A jeszcze gorzej, jeśli gdzie indziej zawloką, a my wrócimy z policją i niczego tu nie będzie.

– To może trzeba zostawić głowę w worku?

– Worek szczura ani kota nie odstraszy. Zresztą tu koty i szczury mają używanie. Chodź już, musimy się spieszyć.

– I policja się nas na pewno nie będzie czepiać?

– Nie będzie. Im nie zależy na żadnym śledztwie. – Wyższy zatrzymał się i odwrócił tyłem do towarzysza. – Poczekaj. – Rozpiął spodnie i zaczął oddawać mocz. – Chodzi tylko o to, żeby głowa wróciła i żeby był spokój z tym wszystkim. Co ty myślisz, że mi wszystko tłumaczyli?

– A te pieniądze, co nam dali, to myślisz skąd?

– Nie wiem. Nigdy się nie pytam, skąd są pieniądze.

Wyższy zapiął spodnie. Szybkim krokiem ruszyli w stronę cyrkułu, bo zaczynało świtać.

– Letnia noc, jaka krótka – powiedział wyższy. – Ledwie słońce zaszło, a już wschodzi. Zły czas dla złodziei.

– A jeszcze cię o coś zapytam – odezwał się niższy po chwili. – Czy jemioly zabijają drzewa?

– Co?

– Bo tak słyszałem. A tu jest dużo jemioli. To zabijają drzewa czy nie?

– Nie wiem. Jemioly mnie interesują tylko wtedy, jak się pod nimi można całować z dziewczuchami. Ale że ty teraz z jemiolami wyskoczyłeś...

– Bo ja już nie chcę o tym myśleć, cośmy robili. Skoro rano głowa wróci do nieboszczyka, to jeśli o nas chodzi, sprawa skończona.

– Zgadza się.

– Popełniliśmy jakiś grzech?

– Po mojemu, żadnego.

– Jesteśmy może sosnowieckie zabijaki, ale nie grzesznicy?

– Amen.

– No to dla kogo ta sprawa nie jest skończona, niech się dalej męczy.

CZĘŚĆ DRUGA

20–30 WRZEŚNIA 1913

ROZDZIAŁ 7

DETEKTYW MONSIORSKI

Redaktor Monsiorski zamknął okno, kiedy usłyszał wołanie: „Sz-maaaaa-ty! Bu-teeeeeel-ki! Sku-pu-jeeeeeeeeee!”. Wrócił do biurka i podniósł z podłogi nowe buty. Eleganckie, sztywnie wyglansowane, ale trochę za ciasne. „Rozchodzą się, panie redaktorze”, zapewniał krótkowzroczny mistrz szewski, Kulik Waław. „Trochę jednak gniotą”, nieśmiało protestował pan Walerian. „Gdzie?”. Szewc przyklęknął przed stopą klienta na jedno kolano. „Tu, w palcach ściskają zanadto”. Kulik Waław nacisnął kciukiem czubek buta: „Tu?”. „Tu i trochę z boku pije. Mały palec”. Szewc postukał lekko zgiętym palcem wskazującym. „Do wytrzymania?”. Pan Walerian zawahał się. „Tak... no, tak”. „Eee, to nic. Na początku muszą pić. Taka już ich uroda”. Pan Kulik wstał, zawinął buty w papier pakowy i wręczył klientowi.

Stukanie do drzwi.

Redaktor Monsiorski schował trzewiki pod biurko.

– Proszę!

Rozczochrana głowa wsunęła się do pokoju.

– Nie ma pan jakichś starych ubrań albo butelek, bo szmaciarz jedzie?

– A ty, Janek, skąd się tu wziąłeś? – zapytał podejrzliwie pan Walerian. – Czy ty nie biegasz czasem za dziadem? Podobno miałeś zostać śpiewakiem, a nie pomocnikiem szmaciarza.

– Za pięć butelek i parę starych szmat dziad daje lizaka. – Chłopiec wsadził ręce do obu kieszeni spodni i wyciągnął długie lizaki zawinięte w papierki. Miał ich całą garść. – O! – powiedział.

– No to już chyba obleciałeś pół Sosnowca. Ja nic nie mam, ale zejdź do Ignacego na dole...

Chłopiec skrzywił się.

– Już byłem.

– Opłaciło się?

– Jeszcze jak.

– A czego miał więcej?

Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Tymczasem zawołanie „Sz-maaaaty! Bu-teeeeeel-ki! Sku-pu-jeeee!” oddalało się.

– Szkoda że pan nic nie ma. Muszę lecieć, bo stracę z oczu szmaciarza.

– I po co ci tyle lizaków? – zawołał za nim pan Walerian.

– Sprzedam – krzyknął chłopak i już go nie było.

Redaktor Monsiorski schylił się po buty, ale znów ktoś zapukał. Janek wsadził głowę przez drzwi.

– Czego jeszcze chcesz?

– Będzie pan za godzinę? Bo potrzebny byłby mi klucz do piwnicy. Chciałbym sobie sprawdzić klatki na myszy.

– Za godzinę mnie nie będzie. W ogóle po południu mnie nie będzie, bo mam ważne spotkanie. Weź sobie klucz od Ignacego.

– Ale on mi nie chce dać. Powie mu pan?

– Powiem. A nie mógłbyś tych myszy zabrać jutro?

– Nie. Bo dzisiaj po południu jestem umówiony z górnikiem.

Górnicy kupowali żywe myszy i zwozili ze sobą do kopalni. Na przodku gryzonie ratowały życie. Człowiek niczego jeszcze nie czuł, a mysz w klatce – wrażliwa zarówno na drgania ścian czy stempli, jak i na gazy wyłazące ze szczelin – niespokojnie kręciła się w kółko.

– A na tych myszach sporo zarabiasz?
– Da się zarobić, ale konkurencja jest coraz większa.
– Chyba myszy tu nie brakuje?
– Prawda. Chociaż u pana w piwnicy ostatnio było kiepsko.
– Bo już wszystkie wyłapałeś. A szczury też chwytacie?
– Szczury są za duże i górnicy ich nie chcą. Przepraszam, ale muszę lecieć.

– A ty, Janek, nie powinieneś być w szkole? Przecież nie ma wakacji.
– Krylenko zwolnił mnie z lekcji.
– Ejże, ejże, a z której?
– Z literatury rosyjskiej.
– Czy aby na pewno? – Tego pytania nikt już nie usłyszał.

Chłopak uczęszczał do Męskiej Szkoły Handlowej. Jego ojciec, Franciszek, miał piekarnię na Pięknej, a matka, Żydówka imieniem Miriam, grała na skrzypcach.

– Poczekaj, łobuzie, powiem wszystko rodzicom! – mruknął pan Walerian do zamkniętych drzwi.

Otworzył szufladkę biurka, wyjął okrągłe lustro i kościany grzebyk, zaczesał starannie przedziałek na środku głowy. Spojrzał krytycznie w swoje odbicie. Zmrużył oczy. Hm, czerstwy, nazbyt jednak pucołowaty i twarz przemęczona. Oczy podpuchnięte. Przydałoby się więcej przebywać na słońcu. Taki generał von Lubitz..., a zresztą.

Schylił się po buty. Może ślepawy szewc źle miarę pobrał, kiedy mu kazał stawać na szarym papierze i obrysowywał stopy kopiowym ołówkiem? Trzeba by jednak trzewiki dzisiaj założyć. Nie będzie wiele spacerował, więc niech się buty rozchodzą podczas siedzenia.

Czego jak czego, ale cukierni w Sosnowcu nie brakowało. Pan Monsiorski wybrał Café Express przy ulicy Głównej 20.

Właściwie dlaczego teraz, trzy miesiące po pogrzebie Alojzego Korzeńca, ośmielił się zaprosić wdowę do cukierni, narażając ją – wiedział

o tym – na skandal, a siebie na śmieszność? Ona też wiedziała, że nie powinna się umawiać z redaktorem Monsiorskim, a jednak przyjęła zaproszenie. Zamierzała zapytać, czy „Iskra” wydrukowałyby jej wiersze. Co prawda, mogła się o to dowiadywać w redakcji. On z kolei chciał dyskretnie indagować o wynik śledztwa w sprawie tajemniczej śmierci posadzkarza.

Pani Jadwiga, ubrana na czarno, wysiadła z dorożki i powoli ruszyła w stronę cukierni. W domu przy ulicy Główniej 16, u szczytu niskiego okna, jaskółki uwiły gniazdo. Wdowa przyglądała się przez chwilę małym jaskółczym łebkom. „Alojzy brał mnie tylko w ciemnościach i nigdy nie zdejmował koszuli. Może dlatego nie mieliśmy dzieci”, pomyślała. Przypomniało jej się miarowe skrzywienie sprężyn łóżka. Poczowała, że ma zimne dłonie.

Na ulicę wypadła z sieni pulchna kobiecina i załamała ręce.

– Patrzy pani, jakie mam ubrudzone okna? Prawda, ale nie mam sumienia wygnać jaskółek.

– Nie... Ależ skąd...

– Ciągle muszę okno po nich czyścić. Najgorzej jest, zanim małe nie wyfruną z gniazda. Potem już lżej. Od trzech lat te jaskółki siedzą. Skaranie pańskie z nimi.

– Nie, nie. – Pani Jadwiga uśmiechnęła się smutno. – Nie patrzę na okna. Oglądałam pani jaskółki.

– No to niech siedzą. – I kobieta zniknęła w sieni równie szybko, jak się w niej zjawiała.

Café Express. W szklanych gablotach przy kontuarze z marmurowym blatem stały lukrowane torty, pianki, roladki, barwne ciastka z owocami i zbyt dużą ilością bitej śmietany. Na kryształowych paterach gwiazdki bez dziurek i z dziurkami, wypieczone na blasze wyłożonej pergaminem; te bez dziurek przykryte tymi z dziurką. Posypane siekanymi migdałami.

Wypełnione konfiturami. Oprószone cukrem pudrem. Polane ciemną wedlowską czekoladą. Zapachy morelowe i porzeczkowe.

Pan Monsiorski czekał i bezmyślnie spoglądał na sprzedawczynię w fartuszkach pachnących krochmalem. Buty go gniotły, ale siedząc przy stoliku, opanował sztukę podwijania palców u stóp w taki sposób, że nie czuł bólu. Na widok pani Jadwigi wstał i szarmancko odsunął krzesło. Podziękowała, usiadła i rozłożyła fałdy czarnej sukni. Na głowie miała czarny toczek z woalką zapiętą do góry.

Woalka. W czasie pogrzebu mistrza Alojzego pani Jadwiga, która spoglądała na świat zza czarnej siateczki, zdziwiła się, kiedy niemal na samym końcu poruszającego się powoli węża uczestników pogrzebu składających kondolencje przed jej oczami pojawiła się rumiana twarz redaktora Monsiorskiego, poszatkowana na drobniutkie kwadraciki przez niteczki woalki. „Moje najszczerze wyrazy współczucia”, bąknął pan Walerian niezbyt pewnie. Ciężkie krepy, głębokie czernie, marsz żałobny Chopina, chrobot powrozów i głuchy łoskot trumny objadającej się o kamienie i glinę – wszystko to powodowało w jego głowie zamęt. Właściwie nie wiedział, co należy powiedzieć, więc powiedział to, co jego poprzednicy, tyle że starał się położyć nacisk na słowo „najszczerze”. Redaktor Monsiorski nie znał męża pani Jadwigi, więc wdowa zdziwiła się jego obecnością na pogrzebie. Uniosła nawet lekko brew, pozostało to jednak niezauważone. Woalka to wygodny wynalazek. Bez względu na to, czy człowiek płacze, czy też nieszczęśliwie, i tak wygląda, jakby był opętany przez spazmy żalu.

Pani Jadwiga stała lekko zgarbiona, podtrzymywana przez brata swojej matki. Kiedy pani Korzeńcowa podała redaktorowi dłoń w czarnej rękawiczce i powiedziała „Dziękuję”, woalka lekko zadrżała od jej oddechu. Panu Walerianowi ta krótka chwila zatrzepotania czarnej koronki mocno utkwiała w pamięci.

Ilekcroć pani Korzeńcowa pojawiała się w redakcji, zawsze miała eleganckie kapelusiki, a teraz w kawiarni pan Walerian uznał, że w czerni było jej wyjątkowo do twarzy. Pani Jadwiga dotychczas interesowała go wyłącznie jako Klandestyn Bizukont, autorka sentymentalnych powieści w odcinkach. Owszem, jak na kobietę czterdziestoletnią była atrakcyjna, ale cóż z tego? On sam, zatwardziały stary kawaler, nie bardzo wiedział, do czego jest mu potrzebna ta obserwacja.

Po pierwszych dwóch kwadransach ośmielił się zapytać o śledztwo. Pani Jadwiga westchnęła.

– Policja nabrała wody w usta. Niczego nie ustalili, nic nie mówią. Niczego nie mogę się dowiedzieć. Wystawiono list gończy za czeladnikiem. Zniknął jeszcze przed pogrzebem, więc nie udało się go przesłuchać.

– Dlaczego uciekł?

– Nikt nie wie. Ustalono, że przystał do greckiej trupy, która przyjechała na występy, i w przebraniu, jako kuglarz, wyjechał za granicę. Policja zakłada, że może być winien. Czekają na niego.

– A on miałby powód?

Cisza.

– Może miałby... Kochał się w Żydówce, która u nas kiedyś służyła.

– A cóż to za powód?

– Została odprawiona... – Pani Jadwiga zaczerwieniła się. – Zaszła w ciążę.

– Z nim?

Pani Jadwiga wzruszyła ramionami.

– A skąd ja mam wiedzieć? Czy z takimi... coś wiadomo? – Zaczerwieniła się. – Przepraszam. Nie chcę o tym mówić.

Zmienił temat.

– Chyba jednak policja wysnuwa jakieś hipotezy?

– Morderstwo, wypadek albo samobójstwo. Przy tego rodzaju śmierci nie ma innych hipotez, panie redaktorze.

– Samobójstwo? Chyba... Że niby... Ukartowane z kimś innym? Hm. To musiałyby być Japonia.

Pani Jadwiga spojrzała na niego pytająco.

– Podobno w Japonii jest taki zwyczaj popełniania samobójstwa, że przyjaciela prosi się o odcięcie głowy po dokonaniu harakiri i wyświadczenie tej przysługi jest wielkim zaszczytem. Ale Japończycy to dziwni ludzie. Inaczej podchodzą do śmierci, a samobójstwo jest dla nich aktem odwagi, a nie grzechem. W każdym razie u nas nie ma takich zwyczajów i nie sędzę, żebyśmy mogli coś takiego podejrzewać, nie mówiąc już o tym, że dla takiego rytualnego aktu wybiera się miejsce... – Pan Monsiorski poczuł, że się zagalopował.

– Bardziej godne? – powiedziała cicho pani Jadwiga.

– Właśnie. Bardziej dostojne. Mniej anonimowe. Centralny plac miasta, w dzień, a nie nasyp kolejowy w nocy. Nie, nie. Osobiście wykluczyłbym, żeby to było samobójstwo dokonane przy pomocy kogoś innego.

– Tak. Zresztą samobójstwo męża od razu wydawało mi się niemożliwe. Redaktor Monsiorski zawahał się.

– Wybaczy pani, ale uważam, że każdy człowiek może nagle znaleźć się w desperacji i samobójstwo nigdy nie jest wykluczone.

– Tak pan sądzi? Zna pan kogoś...? – Pani Jadwiga urwała, bo pomyślała, że to pytanie jest bardzo niestosowne.

Redaktor Monsiorski milczał przez chwilę, a potem podniósł wzrok, spojrzał pani Jadwidze w oczy i powiedział spokojnie:

– Moja młodsza siostra popełniła samobójstwo dziesięć lat temu...

Pani Jadwiga nie wiedziała, jak zareagować. Redaktor Monsiorski dodał:

– Usiadła na grobie naszych rodziców i wypila żrący ług.

– O Boże...

– Umierała przez kilka godzin. Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś tak krzyczał. – Zamyślił się. Zaplatał i rozplatał frędzle serwety, którą

przykryty był stolik. – Krzyk to nie jest dobre określenie, to było wycie... Nie wiem właściwie, dlaczego to pani mówię. Tak jakby pani nie miała własnych zmartwień.

– Ależ nie... – Pani Jadwiga przez chwilę miała ochotę wziąć redaktora Monsiorskiego za rękę, ale opanowała ten impuls. – Dobrze, że mi pan powiedział. To strasznie przykre. Nie chcę być wścibska, ale... dlaczego w taki sposób... w dodatku na mogile rodziców?

Pan Walerian wpatrywał się w pucharek. Szkło było tak ciemnozielone, że aż wpadało w czerni.

– Nie wiem – przyznał z rozbijającą szczerością.

„Może była w ciąży”. Pani Jadwiga miała tę sugestię na końcu języka, ale powstrzymała się. Wiedziała, że nie może tego wykorzystać w żadnej powieści i z jednej strony współczuła redaktorowi Monsiorskiemu, że miał za sobą takie przeżycia, a z drugiej strony zmartwiła się, że nie wypada jej nigdy opisać tej sytuacji. Nie tylko w powieściach do „Iskry”, ale nigdzie. Redaktor Monsiorski z pewnością powiedział jej to w zaufaniu.

– Wszystko wydarzyło się dziesięć lat temu – westchnął pan Walerian. – Z nikim o tym nie rozmawiałem. Możliwe... – Nie dokończył, a pani Jadwiga nie nalegała.

– Wykluczmy samobójstwo. Zostaje nieszczęśliwy wypadek albo morderstwo. Ale tak czy owak jest problem. – Tym razem to redaktor Monsiorski zawiesił głos i zastanawiał się, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

– Chodzi o głowę męża? – Pani Jadwiga pomogła mu.

– Właśnie. – Spojrzał na nią z podziwem.

– Najbardziej prawdopodobne jest morderstwo?

– Tak sądzę. Zbyt dużo tu dziwnych okoliczności jak na nieszczęśliwy wypadek. Ciało tutaj. Głowa najpierw za granicą, a potem ni stąd, ni zowąd odnaleziona. Nie wiem sam... Zapytam teraz jak policjant: czy pani mąż miał jakichś wrogów?

Pani Jadwiga wzruszyła ramionami.

– Każdy ma wrogów. Mógł mieć. Ale nie śledziłam jego życia aż tak dokładnie. Wiem, co pan teraz myśli, ale mój mąż był bardzo skrytym człowiekiem. – Po chwili poprawiła się: – Dziwnym człowiekiem. O wielu rzeczach mogłam nie wiedzieć.

– Obcięcie głowy mogłoby też sugerować, moim zdaniem, albo jakąś perfidną zemstę, albo mord rytualny.

– Mord rytualny?

– Ja uważam, że to brednie, ale są ludzie, którzy twierdzą, że Żydzi dokonują mordów rytualnych na chrześcijanach, przerabiając dzieci na mace i takie tam.

– Ależ to głupie. Żydzi na pewno niczego takiego nie robią.

– Też tak myślę, ale Żydów u nas nie brakuje, to pewne. Zresztą... na pewno pani słyszała... Dwa lata temu, bodajże w lipcu, głośna była ta awantura o porwanie młodej Polki. Ktoś wrzasnął: „Zabrali ją do synagogi!” i już było wiadomo, że to w celach rytualnych.

– Coś sobie przypominam, ale nie pamiętam, jak się to skończyło.

– Tłum ruszył ku synagodze, tyle że carska policja była szybsza i opanowała sytuację.

– A dziewczynę odnaleziono?

Redaktor Monsiorski pokręcił głową.

– Z tego co wiem, to nie, ale powodów jej zniknięcia mogło być wiele.

– Mogła uciec do Ameryki przez punkt celny w Mysłowicach – stwierdziła pani Jadwiga.

– Bardzo prawdopodobne. Tak czy owak, mord rytualny dokonany przez Żydów raczej nie wchodzi w grę?

– Nie wchodzi.

– Chyba że uznamy, iż pani mąż miał zatargi z Żydami.

– Wręcz przeciwnie – powiedziała pani Jadwiga gorzko. – Raczej miał z nimi doskonałe stosunki. Może nawet zbyt bliskie, jeśli o mnie chodzi.

Szelest sukni. Drżenie koronkowej chusteczki trzymanej w dłoni. Stanowcze uwydatnienie wdzięków. Pan Walerian zmienił temat:

– To może zemsta? Czy mąż był uwikłany w jakąś działalność konspiracyjną?

– Jeśli był, to tak dobrze się zakonspirował, że ja o tym nic nie wiedziałam.

– Hm, tak sobie myślę, że to mogło być morderstwo z jakiegoś trywialnego powodu, a odcięcie głowy nastąpiło jakby przypadkiem, przy okazji. Na przykład ktoś go zabił na wagonie jadącym za granicę, ciało rzucił... przepraszam, to bolesne.

– Albo ciało spadło, a głowa nie, bo potoczyła się gdzieś głębiej. Pociąg jechał dalej, przejechał granicę i dopiero wówczas ten ktoś wyrzucił głowę, kiedy już sprawa z celnikami była załatwiona.

– Ale jak pani się wydaje, czy celnicy nie zauważyliby niczego?

Pani Jadwiga machnęła lekceważąco ręką. Redaktor Monsiorski wyteęzał pamięć.

– Na granicy zdarzały się różne incydenty. Musiałbym przejrzeć prasę z ostatnich lat, ale o ile dobrze sobie przypominam, takich spraw nie było. Zresztą incydenty graniczne wynikały z nadgorliwości pograniczników. Kozak najpierw strzela, a potem myśli. Tu chyba w grę wchodzi coś dużo bardziej skomplikowanego.

Spojrzała na niego pytająco.

– Nie wiem, czy umiem to dobrze wyrazić... Poza przypadkami zupełnego zezwierżenia mordercy uderzającego na oślep, a takich przypadków jest bardzo niewiele, ofiara bywa w pewnej mierze współwinna, w jakiś sposób również ponosi odpowiedzialność... – Zawahał się. – Proszę nie zrozumieć mnie źle... nie usiłuję zrównywać ofiary i zbrodniarza, chodzi mi tylko o to... – Urwał niepewnie, bo wystraszył się, że powiedział coś gruboskórnego.

– Wydaje mi się, że pana rozumiem. Żeby rozwikłać zagadkę zbrodni, jeżeli to była zbrodnia, trzeba wczuć się w motywację mordercy, w ten sposób, by zrozumieć, co w mniemaniu zbrodniarza było... prowokacją...?

– To chyba dobre słowo, tak.

– Prowokacją do popełnienia tego czynu.

– Właśnie. Czynu, który, jego zdaniem, był może i przykry, ale niezbędny. – Pokiwał głową redaktor Monsiorski.

– I może tu chodzić o zachowanie albo o wiedzę ofiary – dodała pani Jadwiga w zamyśleniu.

Redaktor Monsiorski spojrział na nią ze zdumieniem.

– Tak. Właśnie tak myślałem, ale nie wiem, czy to nie jest nadużycie.

– Może pan rozwikła zagadkę śmierci mojego męża?

– Ja?

– Tak.

Pan Walerian podniósł ręce w obronnym geście.

– Ależ ja nie znałem pani męża. Nie wiem o nim nic. Nie znam metod policji.

– A ja mam wrażenie, że pan dałby sobie radę.

– Pani Jadwigo – zawołał pan Walerian i zarumienił się, bo pierwszy raz w życiu zwrócił się do swojego autora per „Pani Jadwigo”, a nie „Pani Korzeńcowa”. – Nie znałem pani męża – powtórzył. – Nie znałem jego zwyczajów...

Zwyczaj. W pierwszych latach po ślubie, kiedy jeszcze dzielili sypialnię i łóżko, o drugiej w nocy, punktualnie jak w szwajcarskim zegarku, pan Alojzy Korzeniec wstawał i, stękając, sunął do kąta pokoju. Noc – on żądał grubych kotar, chociaż ona w egipskich ciemnościach nie mogła spać. On bał się cieni na ścianie, ona – nieprzeniknionego mroku. Więc o drugiej godzinie szedł: ręce wysunięte w obronnym geście do przodu, niemal jak u lunatyka, żeby w coś nie uderzyć. Kroki w kapciach ostrożne, z asekuracyjnym wysuwaniem nogi. Macanie ręką po podłodze. I potem ten

jednostajny dźwięk moczu oddawanego do fajansowego nocnika („Skończ już, skończ”, chciałyby zatkać uszy, ale udawała, że śpi), stuknięcie nocnika o drewnianą podłogę, człapanie po omacku do łóżka („Jeśli uśnie na boku, nie będzie chrapał, jeśli na wznak, to koniec”). Cierpki zapach jego potu. Pot senny, inny niż dzienny: bardziej leniwy, wygrzany pod pierzyną, cięższy i mniej kwaśny. On z pustym pęcherzem spał, a ona zaciskała zęby.

Tymczasem redaktor Monsiorski wciąż się bronił.

– ...Nawet nie jestem w stanie określić, co robił tamtego wieczoru.

– Ja panu powiem, co robił, bo tyle wiem. Często w soboty chodził do restauracji Victoria. Policja ustaliła, że tamtego wieczoru siedział przy stoliku i pił piwo, a w nocy wyszedł. Więcej nic nie wiadomo.

– Był sam?

– Sam.

– I sam wyszedł?

– Tak zeznano. Mąż mówił mi kiedyś, że lubi wieczorem słuchać rozmów klientów zbierających się w Victorii.

– Tak dosłownie mówił?

– Dokładnie tak. Że chodzi i słucha rozmów. Że przy tym odpoczywa po ciężkiej pracy.

Redaktor Monsiorski uniósł brwi.

– Hm.

Pani Jadwiga wzruszyła ramionami.

– Tak mówił.

– A pani bywała w Victorii?

– No, wie pan? Panie redaktorze...

– Ależ...

– Nie chodzę nigdzie sama – ucięła. Po chwili poprawiła się: – Nie chodzę nigdzie sama wieczorami.

– Myślałam, że może z mężem...

– Z mężem tym bardziej nie.

Milczeli przez chwilę.

– A pan mógłby pójść?

– Gdzie?

– Do Victorii.

– Ale...

– Posłuchać. Nic więcej.

– Ale... No dobrze, mogę pójść, tylko co to da?

Pani Jadwiga uśmiechnęła się.

– Nie wiem. Mam zaufanie do pana intuicji.

Upadła jej chusteczka, podniosła ją sama. Redaktor Monsiorski zarumienił się po uszy. Duży angielski zegar wybił godzinę szóstą. Pani Jadwiga zaszeleściła suknią.

– Nie podoba mi się, jak ludzie na nas patrzą. To krępujące. Czuję się niezręcznie.

Pan Walerian wstał z krzesła i wyrzwał na dwór, odchylając fałdy firanek. Zapadał rudy zmierzch i zapalono już lampy gazowe.

– Zasiedzieliśmy się trochę. Wezwę dorożkę.

Na schodach kawiarni siedział jakiś urwis.

– Leć no po fiakra.

Pani Jadwiga pojechała do domu, a pan Monsiorski, odprowadziwszy ją do dorożki, wracał na piechotę.

Przy Warszawskiej 2 miała miejsce gorsząca scena. Przed lokalem Kowalczykowej (w dzień tania jadłodajnia, wieczorem zadymiona kawiarnia, a w nocy burdel na zapleczu), nawiedzona kobieta stała z krzyżem w ręce i wołała:

– Nierządnicze! Nie grzeszcie!

– Poszła won! Stara wariatka! – Z lokalu wypadła sama Kowalczykowa i pogroziła jej pięścią.

– Nawróćcie się, córny Bilonu! – krzyknęła jeszcze kobieta i wzięła nogi za pas.

– Nie pokazuj mi się więcej na oczy, ty cholero, bo cię psami poszczuję!
– wrzasnęła za nią Kowalczykowa i trzasnęła drzwiami.

Pan Monsiorski dotarł na ulicę Krzywą, utykając i sycząc z bólu.

– Co się stało? – zapytał stróż Ignacy.

– Buty sobie nowe obstalowałem i cisną jak diabli.

– To trzeba w mokrych skarpetach pochodzić.

– Jak to?

– Normalnie. Bawełniane skarpety przeprać, mocno wyżąć, na nogę wciągnąć, na to buty wzuć i pół dnia tak chodzić.

– Daj pan pokój. Toż to zapalenie płuc murowane.

– Nie, panie redaktorze. Tylko nie trzeba na dwór wychodzić, bo wtedy się rzeczywiście można przeziębnić. Ale po domu...

– Pół dnia po domu w mokrych skarpetach i ciasnych butach? Panie Ignacy... Żebym ja zdrowiem albo nawet życiem płacił za trzewiki! Oddam do szewca i już.

Wspiął się powoli po szerokich schodach na piętro. Wszedł do biura, ściągnął buty ze stóp i ze złością cisnął je w kąt. Przez chwilę spacerował boso, tam i z powrotem.

Zdjął z regału kilka roczników „Gazety Robotniczej”, usiadł w fotelu i zaczął szybko przeglądać tytuły doniesień. Jego wzrok przykuła krótka notatka w jednym z numerów z roku 1908:

Ofiara rozbojów nadgranicznych

„W poniedziałek został zastrzelony na granicy przez straż graniczną głuchy robotnik Komnowski. Nie dosłyszał on głosu Kozaka wzywającego go do zatrzymania się, poczem został natychmiast ubity. Takie rozboje «cywilizowanych» i «chrześcijańskich» państw odbywają się jeszcze w XX stuleciu po narodzeniu Chrystusa”.

Zdejmował kolejne roczniki „Gazety Robotniczej” i wertował je wstecz. W numerze z marca 1905 roku znalazł następny artykuł o incydencie na

granicy:

„Gdy w niedzielę, dnia 26 bm niemiecki wyższy urzędnik celny odbywał swą służbę nad granicą rosyjską i przechadzał się po neutralnym pasie ziemi granicznej, rosyjscy żołnierze graniczni strzelili do niego kilkakrotnie, nie trafiając go jednak. Napadnięty rzucił się na ziemię i obserwował ruchy żołnierzy moskiewskich, a gdy przekonał się, że odeszli, pobiegł szybko na terytorium niemieckie i skrył się. Przypuszczają, że żołnierze rosyjscy nie byli obeznani z przepisami służbowymi i sądzą, że na neutralnym pograniczu nie wolno nikomu przebywać. «Katowicerka» podaje powyższą wiadomość pod znamienym tytułem: *Znowu rosyjska bezwstydnosc!*”.

Postanowił sprawdzić, czy inne gazety również relacjonowały incydenty graniczne. Zdjął z półek kilka zakurzonych numerów „Katolika” i „Górnoślązaka” z marca 1905 roku.

Bez trudu znalazł szczegółowe opisy. „Katolik” donosił:

„Gdy zielonka Blobel szedł w tych dniach wzdłuż granicy w sprawach służbowych, nagle na neutralnym obszarze zaczęli rosyjscy kozacy pograniczni do niego strzelać. Ogółem 9 kul wystrzelono na niego, lecz go nie trafiono, bo Blobel padł plackiem na ziemię i czekał, aż się strzelanina skończy, poczem wstał i prędko uciekł z nieszczęsnego miejsca. Później przybyły rosyjski oficer tłumaczył się, że Kozak strzelał bezprawnie, a strzelał dlatego, że nowi kozacy nie są jeszcze w służbę wćwiczeni. A dla czego im każą służbę pełnić i dają im broń do ręki?”.

„Górnoślązak” też opisywał historię zielonki Blobela:

„Niemaló wrzawy narobiło tutaj zajście, jakie się w tych dniach zdarzyło na granicy rosyjskiej. Pełniący tamże służbę pruski urzędnik cłowy wszedł na centralny pas graniczny, gdy wtem z ukrycia posypały się na niego strzały karabinowe, które dał do niego z drugiej strony rosyjski

żołnierz graniczny. Wystraszony urzędnik pruski, któremu 9 kul przeleciało mimo głowy, rzucił się jak długi na ziemię, obserwując ruchy Moskala, a gdy zauważył, że tenże się oddalił, zerwał się na nogi i czem prędzej uciekł. Na odgłos strzałów nadbiegli ludzie, którzy zauważyli, jak wachmistrz rosyjski dał kilka kułaków pod żebra niefortunnemu strzelcowi za jego zbytnią gorliwość służbową. Żołdak ów ma może wkrótce odjechać do Mandżuryi, więc chciał pewnie na urzędniku pruskim wypróbować wprawność ręki i bystrość oka swego. Wachmistrz tłumaczył go później, że to młody żołnierz, który nie zna jeszcze służby granicznej, no a wreszcie nic się też nie stało, bo przecież ów urzędnik pruski nie został trafiony. Niemcy atoli nie zupełnie są zadowoleni tem wy tłumaczeniem i oburzają się na nikczemność moskiewską”.

Ciekawe, że w 1905 i w 1908 roku prasa mogła swobodnie donosić o incydentach na granicy, tymczasem w sprawie głowy Alojzego Korzeńca policja zastosowała ostrą cenzurę. Pan Walerian mruknął. Odłożył oprawione roczniki na biurko i przez chwilę siedział nieruchomo, spoglądając w okno.

– Ale dlaczego ja? – zapytał nagle na głos.

Och, jak mnie korci nieziemsko, jak mnie ręka świerzbi, żeby dowieść tu i teraz swoich metafizycznych talentów, żeby się trochę popisać, skoro już redaktor Monsiorski zadał to pytanie: „Dlaczego ja?”, najgłupsze i najgłębsze z możliwych, matkę i ojca wszelkich pytań; otóż tak, korci mnie, by to jakoś skomentować, spuentować zgrabnie... ale powstrzymam się, wielkim wysiłkiem woli to uczynię, nie ulegnę chęci wymądrzania się, zwalczę metafizyczną pokusę, choć Bóg mi świadkiem, przychodzi mi to ciężko. O ileż byłoby lepiej, gdyby redaktor Monsiorski w okno się nie gapił, albo skoro się już zagapił, gdyby nie zadał w ogóle tego pytania, gdyby mu nie przyszło do głowy to spadające jak ołów „Dlaczego ja?”. Niestety, zapytał i znowu mnie korci, żeby oddać się jakiejś błyskotliwej intelektualnej pontyfikacji, więc natychmiast zamilknę, udam, że to pytanie

nie różni się niczym od innych, chociaż wiemy doskonale, każdy wie, kto był kiedykolwiek w sytuacji, gdy należało sobie zadać pytanie „Dlaczego ja?”, albo jeszcze lepsze „Ale dlaczego ja?”, „Dlaczego to właśnie przytrafia się mnie?”, że zasadniczo się różni... no i gadaj zdrów, miałem się nie dać sprowokować, miałem się nie dać w to wrobić, więc basta.

Po dwóch godzinach pan Monsiorski wzuł stare trzewiki, włożył kapelusz i wyszedł. Wstąpił do Victorii i wiedziony zarówno z dawnym posiadaniem instynktu redaktorskim, jak i świeżo nabytym instynktem detektywistycznym, skierował się do sali, gdzie panował największy gwar. Usiadł przy jedynym pustym stoliku, zamówił piwo i rozejrzał się. My już – a zatem Ty, Czytelniczko, Ty, Czytelniku, i ja – znamy tych osobników. Pan Emanuel (oblicze blade, oczy mętne i namiętne), pan Andrzej, pan Adam, pan Lechosław i pan Tadeusz (tego wieczoru: arcyromantyk – krawat: motyl à la Mickiewicz; kołnierzyk à la Słowacki: sztywny i w trójkąt odstający) prowadzili wielowątkową dyskusję moskalofilską, germanofilską, polonofilską i judofilską, łącząc ją z elementami polakożerstwa, żydożerstwa, germanożerstwa i moskalożerstwa. Chociaż akurat kiedy pan Monsiorski wstępował do Victorii, Tadeusz Meyerhold nie uczestniczył w debacie. Pogrążony w ponurej zadumie spoglądał na młodzieńca, który siedział przy fortepianie i grał. Pianista miał siną twarz, wąskie, zaciśnięte usta oraz kamerdynerskie baczki, a to znamionować mogło poządliwość, i niczego tu nie zmienią ani czarny smoking, ani uduchowione stukanie bladymi palcami w klawisze. Pana Tadeusza rozstrajał dodatkowo bielejący w ciemnej sali świeżo wykrochmalony gors muzyka.

– Oszustwo, wszystko to oszustwo. Opowieści *de dupis Marinis* – mruknął. Zapalił długie, cienkie cygaro i odchylił się. Zamknął oczy, zaciągnął się mocno, wyprostował nogi i przez chwilę siedział nieruchomo, trzymając cygaro trzema palcami tuż przy ustach. Jego głowę spowijały kłęby dymu.

– Jak się powiesić, to tylko na jedwabnym sznurze – oznajmił i strącił popiół na podłogę.

Laudanum? Tak, laudanum.

Ponieważ panny Izabeli nie było przy stoliku artystów, pan Andrzej (tego wieczoru mrukliwy jak stary bibliotekarz) postanowił pić, a może nawet całkiem się zapić.

Pan Andrzej nie wiedział, gdzie jest panna Izabela, ale podejrzewał, że jej noga nigdy już nie postanie w Victorii. Wszystko przez niego i przez to, że chciał poprzedniego dnia ostatecznie targnąć się na jej obojętność. Diabli nadali tę sakramencką rozmowę o kobietach idealnych. Po co mu to było? Dał się sprowokować. W którymś momencie dyskusja przybrała bowiem taki obrót:

– W każdym razie, panie Andrzeju, jeśli mi pan powie, że idealna kobieta powinna się charakteryzować miękkim wdziękiem, to myślę, że długo dzisiaj nie podyskutujemy. – Panna Izabela roześmiała się na pozór lekko, ale panu Andrzejowi na duszy zrobiło się od tego śmiechu ciężko, bo tak się składało, że w panie Izabeli cenił właśnie subtelny wdzięk. Panna Izabela miała go mnóstwo, tyle że, nie wiedzieć czemu, nim gardziła.

– Hm – powiedział tylko.

– Mężczyźni czasem myślą wdzięk z dobrym wychowaniem.

– Hm...

– Pragnę też panu od razu powiedzieć, że nie uważam, by moim obowiązkiem, jako panny na wydaniu, było uczestniczenie w różnych proszonych herbatkach...

– Ależ... panno Izabelo! Ja przecież nic o żadnych proszonych herbatkach nie mówiłem. Ani nawet nie pomyślałem. Kobieta taka, jak pani... Przecież pani wie doskonale, że ja jestem zwolennikiem równości.

– Tak, tak, nie wątpię.

– Jak Boga kocham! – zawołał pan Andrzej zachrypniętym z wrażenia głosem i zaczerwienił się. – Powiem więcej. Jestem zwolennikiem równości

intelektualnej między kobietami a mężczyznami.

– Jest pan zwolennikiem? To znaczy, że należy tę równość wprowadzić czy też ona po prostu jest faktem?

Pan Andrzej wyczuł pułapkę.

– Źle się wyraziłem. Jest faktem. Chciałem powiedzieć, że równość intelektualna między kobietą i mężczyzną jest faktem. Chciałem też powiedzieć, że uważam, iż tylko związki kobiet i mężczyzn równych intelektualnie są cenne.

– Ho, ho. – Roześmiała się. – I jak pan sobie wyobraża w praktyce taką idealną równość?

I wówczas pan Andrzej potknął się. Z jednej bowiem strony jego wywody świadczyły o tym, że opowiadał się po stronie absolutnej równości, był jej największym na świecie orędownikiem, marzył o niej od dziecka, pożył równości intelektualnej między mężczyzną a kobietą w sposób niemal obsesyjny, ale kiedy panna Izabela zaczęła pytać o szczegóły, rychło okazało się, że dla pana Andrzeja równość między kobietą i mężczyzną polega na tym, że mężczyzna ma tylko lekką przewagę i stara się w miarę możliwości jej nie wykorzystywać.

Nastała wówczas niezręczna cisza, a potem dyskusja przeniosła się na inne niwy.

Pan Andrzej zrozumiał, że ostatecznie zraził do siebie pannę Izabelę. A skoro tak, skoro nie przyszła, ba, nigdy już więcej z pewnością nie przyjdzie do Victorii, on – żeby było jasne – zapije się na śmierć.

Tymczasem panna Izabela nie myślała o rozmowie, którą prowadziła poprzedniego wieczoru. W rodzinnym miasteczku odwiedzała ojca i matkę, czyli państwo aptekarzostwo. Panna Izabela wychowała się w niewielkim, zamożnym domu, gdzie wszystko mogłoby być zabawką, tyle że niemal niczego nie można było dotykać. Spędziła dzieciństwo wśród szufladek z białymi szyldzikami i niezrozumiałymi napisami. Na przykład tabliczka: „Flores Lami Albi” mogła sugerować potężne zaklęcie i była o niebo lepsza

od abrakadabry. Na innej tabliczce napisano „Flores Stoechados”, a pod spodem „Nieśmiertelnik”. Do tej nazwy panna Izabela miała olbrzymi szacunek.

Każda miłość ma praprzyczynę, także miłość do sztucznych języków.

Przyszła esperantystka wychowała się wśród słoiczeków z mlecznego szkła, gdzie ojciec przechowywał ekstrakty, choć czym były „ekstrakty”, tego nie wiedziała; przemykała wśród karafek na olejki eteryczne i papierowych torebek na leki robione „na miejscu”. Stąpała ostrożnie wśród ostrych narzędzi, przede wszystkim noży do siekania ziół („Marysiu, proszę podać mi siekacze”, wołał ojciec do matki panny Izabeli, przyciskając całym ciałem sprasowane i zasuszone rośliny), ale także wśród noży kołyskowych, które ojciec nazywał „księżycowymi”. Stąpała wśród móżdziejy, z których najładniejsze były te białe, porcelanowe, chociaż ojciec upierał się, że uroda się nie liczy („Każdy jest inny i inne ma przeznaczenie. Na przykład korale i perły proszkuje się w móżdziejach marmurowych”, tłumaczył, uśmiechając się spod ciemnych, gęstych brwi, a panna Izabela nie wiedziała, czy mówił prawdę, czy żartował. Pytała więc podchwytliwie: „A na przykład rubin w czym się proszkuje?”, „W móżdziejzu z porfiru”, odpowiadał ojciec bez mrugnięcia okiem). Żyła wśród ksiąg receptowych i naczyń z pijawkami.

Ojciec miał w aptece to, co mieli inni ludzie, oraz to, czego poza nim nie miał nikt. Owszem, może istnieli tacy, co jakimś cudem mieli więcej sit, przetaków, wag czy urządzeń do wyciskania soków. Ale kto poza ojcem miał tabletkarki? Kto miał pigulnice? Kto umiał wytwarzać lekarstwa w domu? Kto miał ogródek zielarski? I wreszcie: kto miał zawsze w kieszeni cukierki ślazowe?

Nad apteką od wielu lat wisiał taki sam szyld. Na drewnianej tablicy pomalowanej na biało wypisano dużymi czarnymi literami АПТЕКА z lewej strony, a z prawej, takim samym krojem: АРТЕКА. Panna Izabela

często zastanawiała się w dzieciństwie, po co komu dwa identyczne napisy z jedną tylko różnicą: z lewej П, a z prawej Р.

АПТЕКЕ and APTEKE rozdzielal umieszczony pośrodku tablicy duży rysunek czarnego orła z dwiema głowami. Jedna głowa wyginała się w lewo, druga w prawo. Obie miały rozwarte dzioby, a w nich rozlatane jęzory. Na szerokiej piersi czarnego ptaka domalowano białego orła na czerwonym tle. Biały ptak był tak mały, że razem z czerwonym polem mieścił się w korpusie czarnego orła.

– Czy duży czarny orzeł z dwoma głowami zjadł małego białego orła z jedną głową? – zapytała kilkuletnia panna Izabela, kiedy stała z ojcem przed apteką i zadzierała głowę.

Prawdę mówiąc, wcale jej się nie podobało, że mały biały orzeł siedział u czarnego w brzuchu. Biały orzeł miał zamknięty dziób i wyglądał na zasmuconego. Ciekawe, którą głową czarny orzeł zjadł białego: lewą, czy prawą.

– Jak to zjadł? – Ojciec też spojrzal na szyld apteki.

– No przecież biały orzeł siedzi w brzuchu czarnego.

– Ależ skąd. To jest tarcza herbowa Polski na piersi orła carskiego, tylko ja nie umiem zbyt ładnie malować i dlatego wyszło trochę nieudolnie.

– Sam malowałeś? – Mała Izabela klasnęła w dłonie.

– Sam.

Szyld przestał być groźny. Pozostawała tylko jedna kwestia.

– A który orzeł jest lepszy?

– A który ci się bardziej podoba?

– Ten mały. Czy on nie mógłby być trochę większy?

– Niestety nie. – Ojciec zmarkotniał.

– Dlaczego? Mogłyby oba orły stać obok siebie i trzymać się za nogi.

Ojciec westchnął.

– Widzisz, córciu, apteka to instytucja oficjalna. A prawo stanowi, że szyld z herbem musi być taki, jak jest. Kiedyś o tym porozmawiamy.

Ojciec panny Izabeli nigdy obiecaney rozmowy o orłach z nią nie przeprowadził, mimo że od tej obietnicy minęło już z piętnaście lat i zanosilo się na wojnę między wszystkimi orłami w Europie. Zresztą z tego powodu miał teraz pan aptekarz poważny problem. Parę lat wcześniej ulokował całkiem pokaźną sumkę w rzekomo bezpiecznych rosyjskich obligacjach. Akcje, bajecznie wręcz oprocentowane, miały przynieść solidny zysk, byle pieniędzy nie wycofywać przedwcześnie. I czy teraz wszystko nie przepadnie? Jeśli wybuchnie wojna, można wszystko zaprzepaścić. Jeśli zaś strach każe wycofać pieniądze przedwcześnie, a wojny nie będzie, dopieroż głupia strata. I tak źle, i tak niedobrze. Trzeba było inwestować w złoto, a nie w papiery. Tu jakieś weksle, tam raty, ech, a później cały majątek lombardy tak czy owak zeżrą. Złoto można w razie wojny zawsze na chleb wymienić, a obligacjami można sobie najwyżej tyłek podetrzeć.

Wizyta panny Izabeli w miasteczku nie miała jednak nic wspólnego z rosyjskimi akcjami, w których ojciec – być może – utopi dobrobyt całej rodziny. Pannę Izabelę wezwała matka. Niewiasta mocno wysznurowana, biust miała wydatny i dobrze go onegdaj sprzedała. Pan aptekarz swojego czasu głównie ten biust poślubił, przysiągł mu na ołtarzu wszystko, co się dało, a gdyby kazali, przysiągłby jeszcze więcej, ponieważ mu się zdawało, że wżenić się w takie walory to dopiero inwestycja na całe lata! W noc poślubną dotykał świeżo nabytych piersi nabożnie („A one nie znikają! Nie znikają! Gdzie tam! Kołyszają się zachęcająco! Jezus Maria! Mam je!”). W drugą noc po ślubie: też prosto do cycków. Garściami je brał, twarz w nich zatapiał; chciał się zapamiętać, ale czegoś mu jednak brakowało. Pot ciurkiem spływał mu po twarzy. Młoda pani aptekarzowa nie protestowała, kiedy nad nią bulgotał w zapamiętaniu, usiłując sobie wmówić rozkosz, której obietnicę nabył. („One są twoje”, powiedziała nawet uspokajająco do męża tonem tyleż czułym, ile handlowym. Pogładziła go po plecach, nawet poklepała z sympatią. Ważność transakcji nie ulegała przedawnieniu;

gwarancja nie miała limitu). Po tygodniu ze zdumieniem i goryczą pan aptekarz przyznał się sam przed sobą, że w wielkich piersiach nie ma niczego szczególnego. No, to zrobił inwestycję na życie. Został najzwyczajniej oszukany. Przez jakiś czas wyrzucał sobie naiwność: stanowczo, stanowczo przepłacił za te cycki, ale co kupione, to kupione. Machnął na wszystko ręką i postanowił inwestować w obligacje bankowe.

Wróćmy jednak do odwiedzin panny Izabeli. Kiedy matka pojęła, że jej córka znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie popadnięcia w skandal staropanieństwa, postanowiła ją szybko wydać za pierwszego lepszego kandydata, byle jej wybić z głowy szaleństwa sufrażyzmu i esperantyzmu. Jej wybór padł na producenta i sprzedawcę pierzyn z Zawiercia. Wezwała córkę do domu pod pozorem urodzinowego obiadu i podwieczorku. Kiedy na stole przykrytym serwetą postawiono półmisek chrupiących racuchów, cukier i konfitury z truskawek, w głowie panny Izabeli odezwał się dzwonek alarmowy. Matka używała takich nieuczciwych metod nacisku, kiedy sobie coś umyśliła i kiedy chciała kształtować świat Izabeli według własnego widzimisię.

W czasie podwieczorku panował jednak spokój. No, może nie do końca, ponieważ srebrnowłosa, zasuszona babka panny Izabeli skulona w fotelu buczała półgłosem: „Kiedy ranne wstają zorze”, ale na to nikt nie zwracał uwagi, bo buczała tak od wielu lat. Babka – niegdysiejsza mistrzyni kompresów i królowa papilotów – przedreptała już swoje życie i postanowiła dosiedzieć je do końca, dosłownie dosiedzieć, u zacnego zięcia, bo gdzie dziś może być starszce lepiej niż u aptekarza: a to kropelki się znajdują, kochanieńka, a to lewatywę można sobie zafundować, a to pijawki na niemoc nagłą, już nie wspominając, kochanieńka, o szpi rytusiku z herbatką na rozgrzewkę. Albo weźmy na przykład taką nalewkę na skórcie pomarańczowej. Albo przepalankę.

Szturm nastąpił dopiero po podwieczorku, kiedy panna Izabela zaczęła się szykować na przedwieczorny spacer.

Stała przed lustrem i układała fryzurę. W ustach trzymała cały rząd szpilek do włosów, więc nie mogła mówić. To dało matce czas na przedstawienie walorów kandydata. Otóż producent i sprzedawca pierzyn z Zawiercia miał pieniądze, nie za dużo, nie za mało, był miły i zaradny.

– W związku z tym uważam, że powinnaś się zastanowić, a właściwie to nie ma się nad czym zastanawiać, tylko brać, zanim jakaś inna zabierze.

Panna Izabela nie zareagowała. Metodycznie wyjmowała szpilki z ust, jedną po drugiej. Wsuwała je we włosy i dopiero kiedy wetknęła ostatnią, przejrzała się w lustrze i powiedziała:

– Mowy nie ma.

Matka wzniosła oczy do nieba i wykonała wszystkie te gesty, których sprytne matki używają, gdy należy córki namówić do zamążpójścia. Z grubsza wyglądało to tak, jakby miała już nigdy nie złapać oddechu.

– Aha... A dlaczego? – zapytała po chwili.

– Bo tak.

– Dziecko kochane... – Matka załamała rękę.

Panna Izabela milczała. Starannie założyła kapelusik.

– Dlaczego ty mi to robisz? – jęknęła matka. „Mogłabym wybuchnąć płaczem”, pomyślała. „Ale tego nie zrobię”.

„Mogłabym wybuchnąć płaczem”, pomyślała w tym samym czasie panna Izabela. „Ale tego nie zrobię”.

„Zaraz któraś wybuchnie płaczem”, pomyślał ojciec panny Izabelli. „Albo obie. No i spokojny wieczór diabli wzięli”.

– Mamo, a ty wyszłabyś za kogoś, kto ma pierze we włosach? Przecież za nim dzieci biegają po ulicy i gdakają. Wyszłabyś?

– Nie wyszłaby! – zawołał ojciec, dumny, bo za nim nikt nie gdał w mieście. – Nigdy w życiu. Może nie jestem szczególnie wytworny, ale dbam o swoją powierzchowność. Wyszła za mnie, bo jednak co pani aptekarzowa, to pani...

– Hieronimie – powiedziała chłodnym tonem matka panny Izabeli. – Skoro mi nie pomagasz, to przestań chociaż przeszkadzać.

– Ależ nie wyszłabyś, przecież wiem! – upierał się ojciec. – Za Boga byś...

– Może bym wyszła, może bym nie wyszła. Nie wydaje mi się, żebyśmy teraz o tym rozmawiali. Twoja jedyna córka, Hieronimie, jest sufrażystką.

– A to już nie jesteś, córciu, nauczycielką? – Pan Hieronim nerwowo szarpnął bródkę.

– Jestem, tato.

– I lekcyj udzielasz?

– Udzielam.

– Do egzaminów gimnazjalnych dzieci przygotowujesz?

– Oczywiście.

– No to dobrze. – Odetchnął z ulgą.

Przedwcześnie.

– Hieronimie. Ty niczego nie rozumiesz. Jest sufrażystką... wpadła w stan egzaltacji – powiedziała cierpko matka.

– Tak? – zdziwił się ojciec.

– Powiedziałabym, że wręcz przeciwnie. – Panna Izabela uśmiechnęła się lekko. Zapięła guziczki od rękawiczek.

– Hieronimie, czy cię to nie boli? – Matka panny Izabeli nie zamierzała ustąpić.

– Jak mnie ma boleć, skoro nie wiem, co to znaczy – zdenerwował się ojciec. – Czy cię to, córeczko, boli?

– Nie, tato.

– No, to dobrze.

– Ale mnie boli. – Matka ani myślała ustąpić. – A dyrektorka pensji? Jak to ona się nazywa...

– Pani Siwikowa.

– A właśnie, Siwikowa... Ona wam na to zezwala?

– Na co?

– Na te nowoczesne fanaberie. Przecież wy macie wychowywać dziewczynki na przyzwoite kobiety! Co na to rodzice...

– Z dyrektorką rozmawiałam kilka razy i nie ma do mnie żadnych zastrzeżeń. Ani do mojej pracy, ani do moich poglądów, ani tym bardziej do mojego zachowania. Bo też nic nie robię, czego miałabym się wstydzić ani co mogłoby mieć na kogokolwiek zły wpływ.

– Ale mnie serce od tego pęka. Od zmysłów odchodzę, kiedy...

– Mamo, proszę cię... – Panna Izabela nie chciała już tego słuchać.

– Czego brakuje temu chłopakowi? No proszę, powiedz.

– Nie wiem, czego mu brakuje. Nie interesuje mnie to. Nie wyjdę za niego i już.

– To bardzo jestem ciekawa, za kogo wyjdiesz. Czy ktoś przyzwoity w Sosnowicach się za tobą obejrzy?

– O, zdziwiłaby się mama. – Uśmiechnęła się panna Izabela. – Są nawet tacy, co piszą dla mnie wiersze.

Natychmiast pożałowała tych słów.

– Tak? Wiersze piszą? I co jeszcze? – Matka nawet nie załamała rąk. Nawet nie wzniosła oczu do nieba. Zrobiła pauzę dla większego efektu, po czym oznajmiła dobitnie: – Nie widziała dupa słońca.

– Marysiu! Jak ty się wyrażasz przy córce? – Pan Hieronim poczuł się zażenowany.

– A tak. Nie. Widziała. Dupa. Słońca – wycedziła matka. – I co, wsadzisz sobie te wiersze do garnka? Najesz się nimi? A może sobie z nich uszyjesz suknię?

– Nie. Bo ja za tego człowieka nie zamierzam wyjść. – Wzięła torebkę i jeszcze raz przejrzała się w lustrze. – Tylko mówię mamie...

– Daj mi święty spokój. Nie chcę tego słuchać. Porozmawiaj sobie z ojcem, skoro jest taki wyrozumiały. – I pani Maria wyszła, trzasnąwszy drzwiami jadalni.

– A cóż tu taki, na Boga Ojca, diabelski harmider? – burknęła babka zwiotczalym głosem, ale dopiero po dokończeniu zwrotki: „Ledwie oczy przetrzeć zdołam, wnet do mego Pana wołam, do mego Boga na niebie, i szukam Go koło siebie”.

– Nic, nic, mamusiu, proszę się nie przejmować. Niech sobie mamusia śpiewa. Marysia się trochę zirytowała. – Ojciec panny Izabeli uspokajał teściową, wpatrując się w jej ostro zarysowane zmarszczki wokół na w pół przymkniętych oczu.

– Do ciężkiej cholery – babka zatrzęsała się ze złości i zakaszła sucho – że też się nawet spokojnie pomodlić nie można, tylko zawsze jakieś duperele... – Zacisnęła wąskie usta. – Szlag by trafił taką pieprzoną starość.

Gdyby pan Andrzej wiedział, że panna Izabela wspomina go w poetyckim kontekście, nie piłby tyle tego wieczoru. Ale nie wiedział, więc pił.

Barman strącił strychnulcem nadmiar piany z piwa i kelner pobiegł z kuflami w stronę artystycznych stolików.

– Czy ty sły-sły-szałeś kiedyś w kościele *Bo-boże, coś Polskę*, E-e-emanuelu?

– Nie przypominam sobie.

– To ża-żałuj.

– E tam. *Boże, coś Polskę* to nic – włączył się pan Kowalczewski vel Siedlecki. – *Święty Boże* to jest coś. Przy tym nawet heretycy odczuwają dreszcze.

Pan Meyerhold doszedł już do siebie.

– Wyjadę – oznajmił.

– O! A gdzie?

– Na wieś. Będę pisał rozprawę estetyczną... Nie wytrzymam tu dłużej. A wiecie, skąd wiem, że nie wytrzymam?

– No, powiedz – zainteresował się pan Kowalczewski vel Siedlecki.

– Bo wszystkie napotkane kobiety wydają mi się brzydkie.

– Takie odczucia nie są mi obce. – Pokiwał głową pan Kowalczewski vel Siedlecki i zaczerwienił się po uszy.

– No właśnie. Życie pędzi, a ja się czuję jak w potrzasku. – Pan Meyerhold zwrócił się do wszystkich – Wiecie co? To właściwie będzie związane z naszą dyskusją, bo napisałem wiersz, który chciałbym wam przeczytać. Krótki.

– Czytaj.

Wyciągnął kartkę papieru.

– *Wóda i mdłości*. Taki tytuł.

– Wyborny – mruknął pan Andrzej.

– No to posłuchajcie:

Bez serc, bez ducha,
to szkieletów ludy...

Koledzy pana Meyerholda zaczęli pohukiwać, uderzać pięściami w stół i wołać:

– No, przestań!

– Kartki ci się pomyliły!

– Z takich wierszy to my już chyba wyrośliśmy, kolego.

Pan Meyerhold poczekał, aż się uspokoją, i powiedział:

– Ależ dajcie mi doczytać do końca.

– Kiedy ja nawet znam następny wers! – zawołał pan Emanuel. Zerwał się, rozpostarł ręce i: – „Młodości! dodaj mi skrzydła! Niech nad martwym wzlecę światem. W rajską dziedzinę ułudy”, potem trochę nie pamiętam, a potem: „Młodości! ty nad poziomy wylatuj, a okiem słońca ludzkości całe ogromy”... Patos! Romantyzm! Oczadzenie! Odczuwanie porywów!...

– Przestańcie błaznować! – krzyknął pan Kowalczewski vel Siedlecki. – Przepraszamy, Tadeuszu.

Młody Meyerhold postukał się palcem w czoło.

– Matoły. Nie powinienem wam nic czytać. Ale przeczytam. Tylko nie wrzeszczcie przez dwie minuty. *Wóda i mdłości.*

Bez serc, bez ducha,
to szkieletów ludy...
Cuchnie poducha,
A na pryczy brudy.

Zmięte galoty
Zimna kolacja
Szybkie zaloty –
Szybsza kopulacja.

Marne kochanie,
W brei babranie.
Młodości
Ty nad poziomy

Przepraszam,
Nie jestem w stanie.

Usiadł.

– Ho, ho – zahuczał pan Emanuel. – Mocne.

– Tadeuszu – chrząknął pan Andrzej. – Jesteś bez wątpienia człowiekiem refleksyjnym. Ale zdążasz w kierunku, który mnie, szczególnie dzisiaj, nie bardzo odpowiada.

– No, proszę. Chcesz powiedzieć, Andrzej, że męczy cię moje towarzystwo?

– Nie, broń mnie Panie Boże. Bardzo lubię twoje towarzystwo, zawsze, w każdych okolicznościach, tylko akurat dzisiaj ten młodopolski mrok mnie wyjątkowo przygnębia.

– Mam nadzieję, że ten wiersz... to nie o nas – wtrącił pan Kowalczewski vel Siedlecki.

Meyerhold nie odzywał się.

- To o nas?
- O wszystkich. O nas też. O naszym pokoleniu. Ale to się wszystko skończy, jak przyjdzie wojna.
- Gdzie przyjdzie? Do Sosnowca?
- Do Sosnowca przyjdzie najprędzej. Znasz jakieś inne miasto na granicy trzech cesarstw?
- Przecież front nie będzie tędy przechodził. Czego wy się właściwie spodziewacie?
- Ja się spodziewam przelotu aeroplanów nad Sosnowcem! – zawołał pan Andrzej.
- Tak! Aeroplanów, armat i kartaczownic – zawtórował pan Meyerhold.
- I po-po-potężnych po-po-pożarów – dodał skwapliwie pan Lechosław Lech-Leszka.
- A wiecie, co słyszałem? – Pan Kowalczewski vel Siedlecki zniżył głos. – Że niemieccy fabrykanci już wiedzą, kiedy wybuchnie wojna, tylko starają się nie wzbudzać w mieście paniki. Na przykład taki Dietel pod pozorem generalnego remontu maszyn w swojej przędzalni gromadzi w halach drabiny, wiadra, bosaki, siekiery i łopaty, a między budynkami instaluje kadzie z wodą i usypuje hałdy piasku.
- I o czym to niby świadczy? – Pan Meyerhold wzruszył ramionami. – Najwyżej o tym, że Dietel przygotowuje się na wypadek pożaru.
- Pra-prawda. Po-pomyślcie na przy-przykład o tym, co się ciągle dzieje w Łodzi. W-w-wciąż u nas j-jest za m-m-mało o-odpowiedzialnych fa-fabrykantów.
- Ale Dietel nie boi się pożaru. Mówię wam, że on się boi sabotażu albo wręcz zna termin wybuchu wojny.
- A Schönowie? Też się po kryjomu przygotowują?
- Nic nie wiem o Schönach. Ja słyszałem o Dietlu.
- Od razu wam mówię, że mój ojciec nie zna terminu wybuchu wojny. Czuję na sobie nieznośny ciężar waszych podejrzliwych spojrzeń –

oznajmił pan Meyerhold. – W każdym razie nic ojciec nie wspominał. Nie widziałem też, żeby pod swoim łóżkiem ustawiał miski z wodą albo wiadra z piaskiem.

Pan Andrzej odstawił kufel na stół. Owszem, cierpiał z powodu nieszczęśliwej miłości, ale dyskusja go zaciekała.

– Nawet jeśli Dietel boi się sabotażu, to co w tym dziwnego? Wy byście się nie bali, gdybyście zgromadzili w fabryce tyle łatwopalnego materiału, zatrudniali tyle osób, mieli taki majątek...

– Na pewno jest solidnie ubezpieczony – mruknął pan Emanuel.

– Jesteś cyniczny. – Skrzywił się pan Andrzej.

– Nie jestem.

– Jesteś, jesteś.

– Nieprawda. Tylko ta wojna to nie nasza sprawa. – Pan Emanuel zamachał rękami. – Wielka rzecz! Cesarze wezmą się za łby. I co z tego? Powiadam...

Pan Kowalczewski vel Siedlecki upierał się:

– Ja tam wiem swoje. Dietel udaje wielki remont maszyn, a po kryjomu przygotowuje się do wojny.

– Jeśli Dietel gromadzi wiadra, bosaki czy kadzie z wodą, to nie są to przygotowania do wojny, tylko przygotowania do obrony fabryki na wypadek wojny – powiedział pan Andrzej.

– Sofizmaty.

– Żadne sofizmaty. Do czego Dietlowi potrzebna wojna? Przecież on nie ma fabryki armat, tylko przędzalnię. Co, myślisz, że na onucach dla żołnierzy chce się dorabiać?

– Może na bandażach i opatrunkach.

– Daj spokój.

Pan Emanuel jednak wolał snuć inny wątek.

– Ale panowie! Co wy z tą wojną? Co ona zmieni? Jakie ona ma znaczenie dla proletariatu? Jak przyjdą Niemcy, to zabiorą prosię, zabiorą

cielaka, przyjdą raz czy drugi po rekwizycje...

– A jak Moskale nie odpuszczą? – zapytał pan Andrzej.

– To wtedy Moskale zabiorą prosiaka i cielaka.

– No nie, Moskale oprócz prosiaka i cielaka zabiorą jeszcze jajka, kury, cebulę, kartofle, zegarki...

– No i to jedyna różnica. Niemcy będą rekwirować i dawać na to papiery, a Moskale zarekwirują to samo bez papierów...

– A drugie tyle ukradną...

– A drugie tyle ukradną – potwierdził pan Emanuel. – Ale taka tam wojna. Ja z tym mogę żyć.

– Bo nie masz prosiaków. Bo nic nie masz. – Roześmiał się pan Andrzej.

– Ty za to masz.

– W każdym razie my na tej wojnie nic nie stracimy, a miasto może jeszcze zarobić. Na przykład piekarnie. Wiecie, ile chleba żołnierze zeżrą?

– Ależ to jest znowu czysty cynizm. To, co mówisz, jest okropne. Wojny należy się bać.

– Jedni się boją, inni się bogacą. I tyle.

– A tymczasem walka między konspiracyjnymi organizacjami weszła już w najostrejszą fazę. Wykonywane są wyroki na szpiclach i donosicielach... po obu stronach granicy... – Kowalczewski vel Siedlecki powiedział to z nieukrywaną satysfakcją.

– Ciszej, na Boga – syknął Meyerhold.

– Przecież i tak każdy wie, że...

– To nie znaczy, że trzeba o tym głośno gadać. – Pan Tadeusz przerwał mu zirytowany. – Wiesz, jak sprawy wyglądają? Konspiratorzy polscy wiedzą o konspiratorach niemieckich bardzo dużo, natomiast konspiratorzy niemieccy o polskich wiedzą wszystko. Dosłownie wszystko. Siedź więc z łaski swojej cicho i nie pomagaj tym, którym pomagać nie trzeba.

Kowalczewski vel Siedlecki wzruszył ramionami, a pianista zaczął głośniejsz bębnić w klawisze.

– Fortissimo, maestro! – krzyknął pan Emanuel. – Dokończyć rewolucji!

– Nie kończyć! Tempa nie przyspieszać! – zawołał natychmiast pan Andrzej. Może i nie było panny Izabeli, może jej nigdy nie będzie, ale to nie powód do zdrady ideałów.

Pan Emanuel był jego najlepszym przyjacielem, chociaż on wcale nie był najlepszym przyjacielem pana Emanuela. Zdarza się. Prawdziwy przyjaciel to ktoś, kto ma od nas gorzej. Pan Andrzej nie miał szans, bo się za dobrze miewał.

Przyjaciel pana Emanuela był abstrakcyjny: mógł to być na przykład górnik, który zginął w wybuchu pod ziemią, szczególnie jeśli o wypadku pisała prasa. Pan Emanuel czytał relacje z wypiekami na twarzy, sierzdził się i odczuwał przyjaźń. Prasa rzadko donosiła o tych, których przygniatały skały, czasami tylko wspomniano tych, którzy zatruli się gazem. Jedynie podziemne eksplozje były interesujące. Może to i lepiej, bo nie wiadomo, jak pan Emanuel poradziłby sobie z nadmierną ilością martwych największych przyjaciół. (Można zaryzykować stwierdzenie, że największymi przyjaciółmi pana Emanuela byli ci górnicy, którzy nie mieli myszy w klatkach, bo gdyby je mieli na przodku, gdyby zwracali uwagę na ich niepokój, może by się zdążyli uratować?).

Po wypadku w kopalni policjant zawsze pytał dyrektora, kogo wyznaczyć na śledczego. I dyrektor zlecał: proszę wyznaczyć tego a tego. Gdyby wypadek spowodowany był przez zaniedbania spółki, odszkodowanie byłoby płacone w wysokości wyznaczonej przez sąd; za wypadek niezawiniony przez kopalnię – a takich była zdaniem śledczych zdecydowana większość – spółka płaciła odszkodowanie w wysokości, jaką uznała za stosowną i nikomu się z tego nie tłumaczyła. Pan Emanuel był tym oburzony.

Wagi w kopalniach były sfalszowane. Górnikom płacono od tony: za większy urobek płacono jak za mniejszy, a nikt nie pozwalał sprawdzać

niezależnym specjalistom, czy wagi są ustawione prawidłowo. Pan Emanuel odczuwał solidarność z oszukiwanymi.

Kopalnie wydawały kartki na zakupy w sklepach należących do spółek i górnicy mogli kupować wszystko na kredyt, szczególnie że mięso w tych sklepach było tańsze. Tyle że w dniu wypłaty należało kartkowy kredyt zwrócić i zarobione pieniądze zostawały w sklepie, więc do następnej wypłaty trzeba było znowu kupować na kartki. W ten sposób górnik nie wychodził z długów i to potęgowało w panu Emanuelu uczucia przyjaźni oraz solidarności.

Górnicy ściągani byli naprędce z całej Europy i często nie potrafili się porozumieć między sobą. No i świetnie, bo im większe języków poplątanie, im więcej nacji się zmiesza, tym trudniej górnikom organizować się w związki i bronić własnych praw. Raczej ze sobą konkurowali, niż współpracowali, raczej się językowo nienawidzili, niż próbowali porozumiewać. Pan Emanuel to wiedział.

Więcej ludzi, coraz więcej ludzi. Wszyscy potrzebowali węgla. Armia przyjaciół pana Emanuela rosła z dnia na dzień, chociaż on sam nie znał ani jednego górnika.

Czarny osad pokrywał okolicę. Nawet pszczoły w podmiejskich pasiekach latały pokryte pyłem węglowym. To źle? To dobrze. Pył oznaczał koniunkturę. Czyste powietrze oznaczałoby bezrobocie.

Wróćmy do Victorii. Pan Monsiorski uznał, że nie ma sensu dłużej słuchać rozmów, które skończyć się mogą więzieniem. Nie miał ochoty być aresztowany po raz kolejny. Uregulował rachunek i wyszedł.

Co zrobił pan Korzeniec tamtej nocy? Czy udał się na dworzec? Był z kimś umówiony? Właściwie należałoby pójść na nasyp i zorientować się, czy na tej otwartej przestrzeni istnieją w ogóle warunki, choćby nocą, by komuś obciąć głowę. Czy morderca mógł liczyć na to, że nikt zbrodni nie zauważy? Pan Walerian miał wrażenie, że na kolei panuje wieczny harmider, a w takim razie nie ma warunków do morderstwa, szczególnie

takiego... hm... czasochłonnego. Ale to należałoby sprawdzić, a sprawdzić można tylko w jeden sposób. Trzeba tam pójść. O tej porze. Teraz. To nie jest zbyt przyjemna myśl. A jednak.

Pan Walerian wspiął się na nasyp i zbliżył do miejsca, gdzie kilka miesięcy wcześniej leżały zwłoki mistrza Korzeńca. Żwir zgrzytał mu pod nogami, które nagle zaczęły wiotczeć.

Światła dworca, światła lokomotyw, światła wagonów, światła semaforów: na nasypie nie było ciemno. „Strzeż się pociągu” pouczała trupia główka z tabliczki na słupie telegraficznym, ale pan Walerian wiedział i bez tego, że należy się strzec nie tylko pociągu, ale wszystkiego.

Właściwie nie ma powodu, żeby tu sterczał. Nie musi sobie niczego udowadniać. Już widzi, że nasyp kolejowy w sobotnią noc to miejsce ani ciche, ani spokojne. W okolicy dworca zamiatano perony, dolewano nafty do lamp, czyszczono latarnie, młotkami opukiwano koła dalekobieżnych pociągów. Na pierwszym przejeździe dróżnik kręcił zgrzytającą korbą, opuszczał szlabany i obsługiwał zwrotnice. Właściwie w okolicy dworca i nasypu ciągle się ktoś kręcił: dróżnicy, celnicy, policja kolejowa. Owszem, można było przez chwilę stać niezauważonym, ale z pewnością nie dałoby się tu nikomu urzynać głowy. Ryzyko byłoby zbyt duże. W dodatku ciągle przetaczał się jakiś pociąg, a to ze zbożem i bydłem, a to pasażerski. W wagonach pasażerskich pan Monsiorski nie dostrzegał siedzących podróżnych, tylko sakwojaże spiętrzone na półkach, ale nie ulegało wątpliwości, że pasażerowie pociągów mogli widzieć jego, szczególnie że wielu stało w oknach. I co też sobie myśleli, widząc samotną postać stojącą na nasypie, w środku nocy?

Stacja graniczna nie pozwalała nikomu spać. Paszporty trzeba było okazywać, a i odetchnąć świeższym niż wagonowe powietrzem wypadło, chociaż wielu podróżnych szybko zamykało okna z powrotem, taki ich dolatywał smród z kopalń, hut i ze świńskiej rampy. Pan Walerian

stwierdził, że pociągi są bardzo głośne, a w nocy jeszcze bardziej niż w dzień, i wcale nie chciałby podróżować nigdzie nocnym pociągiem.

Alojzy Korzeniec prawdopodobnie zginął gdzie indziej, a jego ciało zostało tutaj przywleczone. Zaś głowa pojechała dalej i została wyrzucona dopiero za granicą. Tak rozumował redaktor Monsiorski i czuł, że było to rozumowanie słuszne.

Artyści kontynuowali obrady, tyle że pan Andrzej zgubił wątek wojenny i przerzucił się na wątek tytoniowy. Nie bardzo wiem, jak mu się ten akurat temat wmieszał w pijaną głowę. Mogło to być skutkiem jego dziecinnej pasji zbierania puszcerek po gilzach. Miał na przykład w kolekcji biało-niebieskie pudełko gilz zdrowatek z dwoma filtrami z waty, patentu magistra Piotrowskiego; miał warszawskie gilzy dwuwatki, a nawet potrójne preparowatki, posiadał też cenne tutki „Dla znawców” – ze zdrowotną watą grabolową, bezdrzewnym ustnikiem i z wieżą Eiffla na pudełku. Tutki „Dla znawców” pochodziły z wytwórni Paschalskiego z Radomia, z kolei piotrkowskie zwijki filigran, mimo że piotrkowskie z nazwy, były produkowane w Warszawie, na Królewskiej. Wszystko zaś można było dostać w Składzie Towarów Kolonialnych. Gilzy wystawiano w szklanej gablotce przy srebrno-białej żeliwnej wadze firmy National, i mimo że waga była z Dayton w stanie Ohio, w okienku wagi widniał drukowany napis w języku polskim „Za gotówkę”.

W każdym razie w pijanej i stęsknionej głowie pana Andrzeja do głosu doszedł wątek tytoniowy.

– Tytoń, panowie, wydziela nikotynę, no i myślę sobie... że takie jest przecież bogactwo natury... a tu okazuje się, że tytoń to jest ziele, które chce zabić... Rozumiecie... – Głowa opadła mu na piersi i zamilkł. Po chwili mruknął jeszcze: – Robak się wgryza w tytoń, a tymczasem roślina...

W ostatnim przeblýsku trzeźwości otworzył oczy, skupił wzrok na stojącym przed nim w połowie pustym kuflu z piwem i westchnął:

– Odsuńcie ode mnie ten kielich goryczy.

– Andrzej, czy ty się nie wstydzisz tak jęczeć publicznie? – zapytał pan Meyerhold.

– A dlaczego miałbym ukrywać swoje cierpienie? Czy w melancholii jest coś wstydliwego? Jakbym popuścił w majtki, to byłby wstyd. Ale melancholia?

Machnął ręką i usnął na dobre. Spał i śnił. Przemierzał z panną Izabelą tytoniowe pola, które nie wiedzieć czemu znajdowały się na wewnętrznym dziedzińcu olbrzymiego klasztoru otoczonego wysokim murem. Zakonnicy w brązowych habitach przepasani białymi sznurami przechadzali się, nie zwracając uwagi na pana Andrzeja i na pannę Izabelę, przesiadywali na ławeczkach, wybierali z uli miód, śpiewali i czytali. Na tytoniowych polach stały też drzewa owocowe w pełnym kwieciu, a pan Andrzej niepokoił się i tłumaczył panie Izabeli, iż w związku z bogactwem natury, a także faktem, że tytoń chce zabić, muszą bardzo uważać. Panna Izabela uśmiechnęła się do niego. A potem już nie było ani pola, ani dziedzińca klasztornego, tylko żółtawy, a nawet łysawy park miejski w ospałym grajdołku. Mnisi byli teraz staruszkami grającymi w domino i tłoczącymi się przy krzywo skleconych drewnianych stoliczkach. Stawiali klocki, przekładali, budowali świat. Nachylali siwe głowy, zamyśleni. Tu ujmą, tu dodadzą, niech będzie tak. „Chodźmy stąd”, szepnęła panna Izabela. Pan Andrzej wziął ją za rękę i pobiegli do miejsca, gdzie park się kończył i znowu otwierało się pole. Tyle że zamiast tytoniu rosło żyto. Był upalny dzień, więc pan Andrzej pomyślał sobie, że chciałby z panną Izabelą dokonać aktu cielesnej komunii w dojrzewającym życie. Zapytał nieśmiało, czy ona też by pragnęła doznać w ten sposób zaspokojenia namiętności. Ale ona powiedziała głosem pana Emanuela: „Nie tutaj. Nie teraz”. Pan Andrzej zdziwił się i otworzył oko.

Pan Emanuel przekonywał Meyerholda:

– Przeszłość, mój drogi, wcale nie jest przeszłością. Nie tutaj. Nie teraz...

Pan Andrzej zamknął oko uspokojony. Spieszno mu było wrócić na pole. Jeszcze, jak zza mgły, dochodziły do niego słowa pana Emanuela:

– Przeszłość jest jak wędzidło w końskim pysku. Chcesz coś zrobić, iść naprzód i nagle czujesz, że coś rozwiera ci szczęki i przydusza. Szkoda gadać. Trzeba by może uciec do Ameryki, ale kto wie, może i tam nadejdą takie czasy, że przeszłość chwyci ich wszystkich za mordy i zemści się na nich. Będą wówczas skowytać spętani...

Pan Andrzej już nic nie słyszał, bo we śnie usiłował uwolnić pannę Izabelę z wszelkiego spętania i odniósł taki sukces, że stała przed nim naga. Powiedział do niej zachwycony: „Więc nie gdzieś z góry, lecz spod twojej skóry prześwieca słońce...”.

Starszy kelner, pan Gryzłó, posprzątał już wszystkie stoły. Zebrał ostatnie kufle i podszedł do artystów. Spojrzał na skulonego klienta śniącego w głębokim upojeniu i najwyższym skupieniu.

– Zamykamy – mruknął. – I proszę to stąd zabrać. – Wskazał palcem na pana Andrzeja.

Pan Emanuel szarpnął kolegę za ramię.

– Budź się, czas na nas.

A tu we śnie upał, pot, źdźbła lepią się do skóry...

– Nie teraz... błagam... nie teraz – jęknął pan Andrzej.

ROZDZIAŁ 8

FIŃSKA BONA

Postanowiłam spisywać różne rzeczy, bo ludzie powiadają, że idzie straszna wojna, do poprzednich niepodobna, że cały porządek świata być może legnie w gruzach. Nie bardzo w to wierzę, ale gdyby tak się miało stać, będę się modlić, żeby jakoś przetrwać, a kiedy się już wszystko skończy, może kiedyś moje wnuki sobie poczytają, jak ich babcia pracowała jako bona w obcym kraju u wielkiego pana.

Kiedy dwa lata temu, jesienią 1911 roku, młodszy pan wezwał mnie do swojego gabinetu w pałacu, pomyślałam, że może chce mi wręczyć wymówienie. Nawet trochę się spodziewałam, co powie. Że za starszego pana były lepsze czasy i lepsza koniunktura, a teraz niestety oszczędności zmuszają rodzinę do zwolnienia bony. Ale nie. Młodszy pan siedział w fotelu, palił fajkę, czytał gazetę i spokojnie popijał kawę. Weszłam, dygnęłam, a on podniósł głowę i mówi: „A, to ty, Emmo. Dobrze”. „Wielmożny pan mnie wzywał?”. „Tak, faktycznie. Chciałem zapytać, czy będziesz u nas dalej pracować, na takich samych warunkach jak u mojego ojca”. „Oczywiście”, powiedziałam bez namysłu, bo lepszej pracy w tym mieście nie było, nie ma i nigdy nie będzie. I dodałam jak należy: „Poczytuję sobie to za wielki zaszczyt móc pracować u wielmożnego pana”. Szczerą prawdę powiedziałam i młodszy pan to chyba wyczuł w moim głosie, bo uśmiechnął się. „Ale”, dodał, „będzie jedna zmiana”.

„Tak, proszę pana”. „U ojca miałaś wychodne w soboty, prawda?”. „Tak, proszę pana”. „Ja bym wolał, żebyś w soboty była przy dzieciach. Krótko mówiąc, wezwałem cię do siebie”; milczał chwilę i poprawił się: „Poprosiłem cię tutaj, żeby ci oznajmić, iż nadal będziemy chętnie korzystać z twojej pracy, którą cenimy wysoko, a poza tym, żeby ustalić ci jakiś inny wolny dzień. Nie sobotę”. No, to jednak były zmiany, bo starszy pan nie wyrażałby się w ten sposób. Starszy pan wzywał i nazywał to wzywaniem, a młodszy pan wzywał i nazywał to zaproszeniem. Dla mnie niewielka różnica. „Wielmożny panie, w takim razie chciałabym prosić o wychodne we wtorki”. „Już zdążyłaś zdecydować?”, zdziwił się. „Tak”. Nie zainteresował się, dlaczego akurat we wtorki. Starszy pan by zapytał: „A cóż to takiego ciekawego, Emmo, dzieje się we wtorki?”. Młodszy pan nie zapytał, tylko coś sobie zapisał w rejestrze. „W porządku. Będziesz miała wolny każdy wtorek od godziny dziesiątej rano, po śniadaniu, do godziny ósmej wieczorem. Dziękuję. To wszystko”. „Dziękuję”, dygnęłam i wyszłam z gabinetu.

Dlaczego jeśli nie sobota, to musi być koniecznie wtorek? Ponieważ tylko we wtorki i soboty zmieniają program w Sfinksie przy Warszawskiej. Nie znam języka polskiego, ale powiedziano mi, że afisz reklamuje Sfinksa jako „Największy i Najwspanialszy Teatr Kinematograficzny w Zagłębiu”. Nie wiem, czy to prawda. Może jest to jedyny Teatr Kinematograficzny w Zagłębiu, ja w każdym razie nie znam innych, a właściciel kinematografu, Żyd nazwiskiem Binder, lubi przesadzać i dodawać sobie splendoru. W każdym razie program zmieniają we wtorki i w soboty, a skoro w soboty mam pracować, pozostaje wtorek. Gdyby mnie młodszy pan zapytał, mogłabym mu odpowiedzieć, że oglądam wszystkie filmy, które Binder pokazuje w kinematografie. Może dlatego, że filmy są nieme. Nie chodzę nigdy na programy kabaretowe ani na występy muzyczne.

„Znasz język polski?”, zapytał mnie starszy pan kilka lat wcześniej, kiedy mnie przyjmował do pracy. „Nie, wielmożny panie. Znam dobrze

język niemiecki, rosyjski, szwedzki i fiński, ale polskiego nie znam”. „To już po posadzie”, pomyślałam, ale starszy pan machnął tylko ręką. „Ech, polski nie jest ci właściwie do niczego potrzebny. W domu wszyscy mówią po niemiecku, na mieście po rosyjsku, a do dzieci bona będzie musiała mówić w obu językach. Polski przydaje się chyba tylko po to, żeby wiedzieć, o czym robotnicy szemrają w fabryce. A ty w fabryce pracować nie będziesz”. „Ale postaram się jak najszybciej nauczyć”, powiedziałam bez przekonania, bo klnę się na wszystko, że trudniejszego syczenia i gđakania żaden inny naród nie wymyślił. „A fiński skąd znasz?”, zapytał starszy pan. „Jestem Finką”, odparłam. „Finką? Tutaj?”, zdziwił się. „Byłam nianią u Rosjan, którzy najpierw mieszkali w Helsinkach, później w Petersburgu, później w Warszawie, a na koniec przyjechali tu, ale ich Magazyn Mód zbankrutował i wiele osób zostało bez pracy... Przyniosłam ze sobą referencje...”. „A tak, taaak. Świetnie”. Rzucił na nie okiem. „Taaak. Doskonale. Wiadomo. Finowie to uczciwi i pracowici ludzie”. Możliwe więc, że zostałam boną u najbogatszego fabrykanta w Sosnowicach dzięki temu, że jestem Finką.

Starszy pan zrozumiałby, że ktoś może być miłośnikiem Teatru Kinematograficznego. On sam był miłośnikiem Teatru Operowego. W operze też nie trzeba rozumieć słów, choć są tacy, którzy twierdzą, że to ważne. Zanim państwo Dietlowie sprowadzili się całym rodem z Saksonii do Sosnowic, starszy pan uczęszczał do opery w Dreźnie. I kiedy o niej opowiadał, oczy mu błyszczały. Potrafił się zachwycać nawet tym, jak przed operą lśni bruk. Wyobrażam go sobie, jak wypada z teatru, w cylindrze, z laską, we fraku i patrzy z zachwytem na mosty, na mgły nad Łabą, na stare miasto. Tutaj też kilka razy próbował chodzić na różne przedstawienia przyjezdnych grup, ale wracał, machał ręką rozgoryczony i w końcu zaprzestał. A do Drezna miał za daleko.

Piszę „młodszy pan” i „starszy pan”, bo jak mam pisać, skoro ojciec nazywał się Heinrich Dietel i syn się nazywa Heinrich Dietel?

Starszy pan myślał zawsze z wyprzedzeniem i pewnie dlatego się tak wzbogacił. Dał mi posadę bony jesienią 1907 roku, kiedy młodszy pan miał się żenić. „Ile masz lat?”, chciał wiedzieć, jeszcze zanim zapytał mnie o język polski. Miałam osiemnaście, ale wiem, że wyglądałam na więcej. Fińska uroda to uroda bladej chłopki: trochę rosyjskiej, trochę szwedzkiej, trochę swojskiej, nie umiem tego typu opisać, ale umiem rozpoznać. Przez to się nie wygląda młodziej. „Dwadzieścia dwa”, mówię. Może to nie było jedyne kłamstwo, jakie powiedziałam w życiu, ale jedno z niewielu. („Nie kłam więcej niż to absolutnie niezbędne”, tak mawiał mój rosyjski pracodawca). Starszy pan spojrzał na mnie uważniej. „Prawie dwadzieścia dwa, a dokładnie to dwadzieścia jeden”, od razu się poprawiłam. Jeśli chce się być boną u tak poważnego przemysłowca, to nie można być zbyt młodą osobą. Poza tym od razu by się wydało, że ci Rosjanie, którzy mnie zatrudniali, przyjęli do pracy dziewczynę szesnastoletnią, a tutaj różnie ludzie na to patrzą, chociaż u nas nikt nie czeka nie wiadomo ile na pracę. Parobek idzie w pole, kiedy ma dziesięć lat, i aż się ugina od noszenia wiader. Nieważne. Zaczęłam pracować przed Bożym Narodzeniem 1907 roku, czyli już po zaręczynach młodszego pana z panną Else. Trochę się dziwiłam, że starszy pan mnie zatrudnia na bonę dla młodszego pana, a młodszego pana przy tym nie ma. Tak, jakby syn nie miał nic do powiedzenia w tej sprawie. Okazało się, że akurat wyjechał do Alzacji uczyć się o maszynach tekstylnych. Wrócił w styczniu 1908 roku. Z tego co wiem, wesele zaplanowano na lato, a tu nagle w lutym starszy pan wezwał wszystkich i oświadczył, że wesele zostanie wyprawione w marcu, dokładnie 15. Starszy pan jeszcze tak to ładnie powiedział: „15 marca są moje urodziny i tak się składa, że w tym samym dniu obchodzi urodziny ojciec panny Else, więc naszym wspólnym życzeniem jest, żeby tego właśnie dnia, w podwójne ojcowskie urodziny młodych zaślubić”. Chrząknął, a nikt nawet okiem nie mrugnął, nikomu nawet muskuł nie drgnął na twarzy. W marcu wesele? Proszę bardzo. Każdy tylko pomyślał,

no to się teraz zacznie harówka. Bo żeby takie wesele zrobić w półtora miesiąca, to się wszyscy będą musieli urobić po pachy. I kto tak pomyślał, mógł mieć satysfakcję, że się nic a nic nie pomylił.

Nie chcę o tym za dużo pisać, ale można sobie wszystko przeliczyć. Od razu wiedziałam, że szybko na mnie spadną prawdziwe obowiązki bony. Jak ktoś był naiwny, to się spodziewał, że dziecko przyjdzie na świat najwcześniej na Boże Narodzenie albo na wiosnę następnego roku. A tymczasem już w pierwszej połowie listopada mała Ingeborg wydzieriała się wniebogłosy. Ledwie siedem i pół miesiąca od ślubu minęło. Dziecko nie było niedonoszone. Jeśli już, to może nawet było trochę przenoszone, tak się młoda pani starała za szybko nie urodzić. Konsternacja była ogólna, nie powiem. Półtora roku później urodził się Heinz i już nikt o tamtej przykrótkiej ciąży nie pamiętał. Heinz urodził się wczesną wiosną roku 1911, a w czerwcu zmarł starszy pan.

Pogrzeb starszego pana, cóż to było za wydarzenie! Z Rosji się ludzie zjechali, z Saksonii, no zewsząd. Dzwony dudniły w całym mieście. Piękna para karych koni z czarnymi pióropuszcami ciągnęła przeszklony karawan. Podobno w pogrzebie uczestniczyło dziesięć tysięcy osób. Czegoś takiego Sosnowice nie widziały wcześniej. Dwaj księża, jeden aż z Kielc, wygłosili piękne mowy pogrzebowe po niemiecku. A radca prawny starszego pana przemawiał po polsku. Później całe to przemówienie wydrukowała „Iskra”. Mam ją gdzieś u siebie, pamiętam, numer 175 z czerwca 1911 roku. Zachowałam na pamiątkę, chociaż nic nie rozumiałam ani z przemówienia, ani z wydrukowanego tekstu. Ale wiem, że to historyczne przemówienie, bo było długie, a ludzie słuchali z wielką uwagą, wzdychali i kiwali głowami. Myślę, że pan radca mówił to samo co niemieccy księża, bo przecież mówił o tym samym człowieku. Pewnie rozwodził się nad skarbami cnót starszego pana, wspominał jego wiekopomne dzieła: szkołę realną, szkołę aleksandryjską, przedziałnię, kościół ewangelicki. Na pewno podkreślał, że starszy pan był dla robotników jak ojciec i opiekun, że okrył

rodzinę i mieszkańców miasta żałobą, i że dlatego cześć mu oddają w orszaku żałobnym tak licznie zgromadzeni przedstawiciele różnych narodowości, stanów, wyznań i przekonań. Cóż innego mógł mówić? Gdy się nauczę kiedyś polskiego, to sobie przeczytam.

Jesienią 1911 roku młodszy pan przedłużył ze mną umowę i zmienił mi wolny dzień z soboty na wtorek. Teraz mam dwadzieścia cztery lata, chociaż wszyscy myślą, że dwadzieścia sześć.

Młodszy pan, chociaż stara się tego nie okazywać, jest coraz bardziej nerwowy. Kiedyś w ogrodzie odbierałam dzieci po rodzinnym spacerze i usłyszałam fragment rozmowy państwa. „Jeśli tak się rzeczywiście stanie, przepadniemy wszyscy z kretelem”, mówił młodszy pan roztrzęsiony. Pani patrzyła na niego ze strachem w oczach, a pan dodał jeszcze złowróżnym tonem: „Dzieło życia Dietlów jest w najwyższym stopniu zagrożone. I niewiele mogę na to poradzić. Właściwie nic nie mogę zrobić”.

Myślę, że między innymi dlatego państwo starają się dobrze żyć i z Rosjanami, i z Polakami. Rosjanom trzeba ciągle dawać pieniądze. Dużo pieniędzy. W centrum Sosnowca Niemieccy i żydowscy przemysłowcy ufundowali już dwie cerkwie, mimo że jedna od dawna stała w Maczkach. Starszy pan dawał szczodre datki na budowę ceglanej cerkwi pod wezwaniem Wiery, Nadzieży i Ljubwi oraz ich matki Zofii, bo do tamtejszej parafii przynależą cały sztab straży granicznej i urzędnicy celni. Nic dziwnego, że Kolej Warszawsko-Wiedeńska przekazała działkę budowlaną za darmo. Starszy pan mrucał kiedyś, że skoro bracia Schönowie, też wielcy przemysłowcy, ufundowali dębowy ikonostas, to on nie ma wyjścia i musi coś dołożyć, więc za jego pieniądze zbudowano pod sklepieniem czteropiętrową dzwonnice, przy czym największy z ośmiu dzwonów, *błogowiestnik*, waży tonę. A kilkanaście lat później Rosjanie postanowili zbudować drugą cerkiew, jeszcze większą, pod wezwaniem Świętego Mikołaja Cudotwórcy. Starszy pan trochę gderał, ale podarował dziesięć tysięcy rubli.

Młodszy pan z kolei zwraca większą uwagę na to, żeby Polacy byli zadowoleni. Tyle że im nie trzeba dawać pieniędzy jak Rosjanom. Wystarczy być uprzejmym. Nie wobec wszystkich, rzecz jasna, bo to w dużej mierze okropny motłoch, ale wobec tych lepszych. Chociaż ci rzekomo kulturalni i wykształceni też potrafią się popisać.

Na przykład jakoś dwa tygodnie temu państwo zaprosili na obiad polskiego inżyniera z żoną, bo ten inżynier położył wybitne zasługi dla fabryki. W tym roku młodszy pan zaczął wielki remont maszyn, epokowy remont, jak mawiał zacierając ręce, a ten inżynier nadzoruje, podobno znakomicie, prace przy wymianie starych krosien drewnianych na mechaniczne, jakichś maszynek żakardowych z Łodzi na nowe, angielskie maszynki nicielnicowe. Młodszy pan bardzo się ekscytował, opowiadając o nowoczesnych niedoprzędzarkach od braci Platt, o przestarzałych zgrzeblarkach, które trzeba gruntownie wyczyścić, ale kto by to w ogóle pamiętał i zrozumiał. I mówił, że koszta remontu maszyn by go zabiły, literalnie by go zabiły, ale ten polski inżynier potrafił jakoś znacząco koszta obniżyć, bo wałki wymieniał na bębny czy bębny na wałki... tak czy owak, wart był dobrego obiadu.

Przyszedł inżynier, widać po twarzy, że zacny i inteligentny człowiek. W średnim wieku, szpakowaty, za to żonkę miał młodziutką, słodką i bardzo nieśmiałą. Na krok go nie odstępowała. „Ha, więc co łaskawa pani zjadłaby najchętniej na obiad?”, zapytał młodszy pan. Ona strzeliła tylko oczami i pisnęła cichutko, że zawsze ma ochotę na to samo, co mąż. „Coś domowego, najchętniej ze stron rodzinnych wielmożnego pana”, powiedział kurtuazyjnie inżynier i to się młodszemu panu spodobało. Zaserwowano więc Sächsische Kartoffelsuppe, chociaż niczym się ona nie różni od każdej kartoflanki, a na główne danie podano „Schüsselsülze”, plastry salcesonu w auszpiku. Resztę znam z opowieści rozbawionego lokaja, chudego Wojtacy, który we fraku i białym krawacie usługiwał przy stole. Kucharz, zapowiadając danie, zawołał na całą salę: „Schüsselsülze

auf hausgemachter Remouladensauce mit Gewürzgurke, Bratkartoffeln und Salatgarnitur”, uklonił się i wyszedł. Siedzieli wszyscy przy stole długo, rozmawiali grzecznie, talerze stopniowo pustoszały. Pani inżynierowa niemal się nie odzywała, chociaż zna niemiecki, mąż zwracał się do niej czule i grzecznie: „Obłoczku” i „Chmurko”. W którymś jednak momencie ona zaczęła tak chichotać, że aż jej łzy leciały, rumieniła się, co rusz strzelając oczami w stronę męża, a przed innymi uciekała wzrokiem. Natomiast polski inżynier był przez cały czas bardzo spokojny i uprzejmy, patrzył panu w oczy. Potrawy chwalił i nawet zapytał, jak się przyrządza taki wspaniały salceson w galarecie. I młodszy pan, bardzo zadowolony, widząc wymiecione do czysta talerze, zawołał kucharza, żeby wytłumaczył. Kucharz jest Niemcem z Bautzen, ale na znak szacunku dla gościa starał się używać polskich słów. Podobno brzmiało to mniej więcej tak: „Myję głowę świnia i myję sobie nogę. Dodaję... dodaję... Wurzelpflanz, Lorbeerblätter, Majoran, söl i pieprz. Marchew też. Do bulion wlewam białe wino... Potem gotuję długo, a inzwischen das vom Knochen gelöste Fleisch sowie die Möhren und Gurken in Würfel schneiden muszę, die Kapern dazugeben und alles mischen muszę też”. „Wyborne!”, zawołał polski inżynier. „Brawo! Jest pan prawdziwym mistrzem, no powiedz, Chmurko, czy pan kucharz nie jest mistrzem?” – i spoglądał na żonkę, a ona się czerwieniła i strzelała oczami. Po wizycie okazało się, że sześć wielkich plastrów salcesonu w galarecie wrzucili ukradkiem pod stół, zawinawszy je po trzy w serwecie. Obrus do ziemi się słał, więc nikt niczego nie zauważył, chociaż pojęcia nie mam, jak oni ten galaret z talerzy wyciągali, zawijali w serwetę i wrzucali pod stół, bo przecież był tam nie tylko pan z panią, ale jeszcze kilka osób, a wokół stołu służba. W dodatku lokaj mi mówił, że w galaretę wdeptane były ślady damskiego obcasa, więc ona – rzekomo głuptas niewinny – chyba jeszcze eleganckimi bucikami głębiej pod stół dla niepoznaki salceson wciskała. „Powiedziałaś panu?” zapytałam Wojtachę. „Jeśli mnie

pan spyta, to powiem, ale jeśli pytał nie będzie, to nie powiem”. „No, to nie mów”.

Nie jest bynajmniej tak, że wszystko mi się u mojego pracodawcy podoba. Na przykład niedawno przywieziono w dużej drewnianej skrzyni obraz do bocznego korytarza, między gabinetem, a pokojem, który urządzone jest po myśliwsku. Obraz przyjechał aż spod Drezna. „Favorit Dänischer Wasser Hundt”, tak jest opisany i przedstawia myśliwskiego psa z upolowaną kaczka w pysku. Wielki pies w biało-czarne łaty pozuje z podniesioną łapą, a elegancko ubrany, uśmiechnięty malarz z trzema pędzlami i paletą w dłoni, w peruce na głowie i z jakąś damą u boku, przymierza się do wykonania portretu zwierzęcia. Mam wrażenie, że ta dama na obrazie nie jest wcale żadną skromną osobą, tylko kokotą z tych, co to przestają z artystami, i może dlatego malarz się lubieżnie uśmiecha. Ale nie o to mi chodzi. Nie znam się na sztuce i nie umiem pisać o obrazach, w każdym razie najobrzydliwsze jest to, że inny uśmiechnięty mężczyzna wyciąga psu spod podniesionego ogona długą białą glistę. Dwoma palcami ciągnie to świństwo, a pies w ogóle się tym nie przejmuje, podobnie malarz ze swoją kokotą. Zrobiło mi się niedobrze.

„Nie podoba ci się, Emmo”, roześmiał się młodszy pan. „Skoro pan sobie taki obraz do pałacu sprowadził aż z Saksonii, to moje zdanie jest bez znaczenia”. „To nie jest oryginał, Emmo, tylko wierna kopia obrazu z pałacu myśliwskiego w Moritzburgu. Bardzo dobrze wykonana kopia”. Mnie tam wszystko jedno, kopia czy oryginał. Nie powiedziałam, że uważam obraz za obrzydliwy, ale pan to widział po mojej minie. „A co ci się nie podoba, martwa kaczka w pysku psa?”, zapytał. Czasami lubi się ze mną droczyć. „Po prawdzie to nie podoba mi się ani martwa kaczka, ani ci ludzie mi się nie podobają, ani cały obraz, bo nie ma w nim nic ładnego, ale najbardziej, to pan wie sam, co mi się nie podoba i ja jestem zbyt dobrze wychowana, żeby w ogóle to powiedzieć”. „Rozumiem. Ale pomyśl o tym w ten sposób, że obraz przedstawia troskę o zdrowie zwierzęcia.

Weterynarz uwalnia psa od pasożytów i artysta go namaluje piękniejszego i zdrowszego. Pomyśl też, że choroba jest aspektem każdego życia, ludzi i zwierząt, i nie ma w chorowaniu nic wstydliviego”. O mój Boże, pomyślałam, nic pięknego w chorowaniu też nie ma. Nic nie ma pięknego w tasiemcach ani glistach i żaden to powód do chwały, że się je maluje na obrazach. Czy od razu trzeba malować takie rzeczy, żeby pokazać, jak ohydna jest praca weterynarza? Pan przez chwilę spoglądał na obraz i powiedział jeszcze: „Sztuka powinna mówić prawdę o życiu. Także tę prawdę nieprzyjemną. Biologiczną. Patologiczną”. Zapamiętałam słowo „patologiczną” i zaraz sprawdziłam w słowniku. Ciekawe, czy pan by chciał, żebym Heinzowi taką prawdę opowiadała na dobranoc.

W zeszłym tygodniu młodszy pan wezwał mnie i mówi tak: „Emmo, poprosiłem cię do siebie... (no tak, nie wezwał, tylko poprosił) ...bo mam jedno zalecenie, co do dzieci. Ingeborge ma już cztery lata, a Heinz trzy, i rzecz oczywista, chcą eksplorować świat wokół siebie”. To się zaczynało lepiej niż mowa pana radcy. Dodam tylko, że Heinz nie ma żadnych trzech lat, tylko dwa i pół, ale podobno nie istnieją mężczyźni, którzy by wiedzieli dokładnie, w jakim wieku są ich dzieci. Mój ojciec nie tylko nigdy nie pamiętał, ile mam lat, ale nawet nie wiedział za dobrze, w jakim sam jest wieku i co rusz pytał matkę: „Kochanie, ile ja mam właściwie tych wiosen w kościach?”, a kiedy matka mu odpowiadała, kiwał głową zdziwiony: „No popatrz, popatrz, to już tyle?”. „Tyle”, śmiała się matka, pokazując zęby jak perły i gładząc go po rękawie kaftana. „Tyle już sobie tych wiosenek uzbierałeś”. „Trudno. Ale wiesz, z czego się cieszę?”, rozpromieniał się wówczas ojciec. „Z czego?”. „Że większość uzbierałem przy tobie. I wiesz co...”, mrugał okiem. Matka rumieniła się wówczas i mruzczała: „Przestań. No, przestań. Nie przy dzieciach”. „Ho, ho”, pohukiwał ojciec. „A idźże już do jakiejś pożytecznej pracy”, matka udawała złość i przeganiała go ścierką z kuchni, ale widać było, że od śmiechu robią jej się dołki w policzkach.

Ale, ale... Wracając do rozmowy z młodszym panem. „Nie chcę, żeby Inge i Heinz chowali się w odosobnieniu”, powiedział. „Mogą obcować, pod twoim czujnym okiem naturalnie, z wszystkimi dziećmi i dorosłymi na przyległym terenie. Mogą obcować z dziećmi naszych pracowników, pod warunkiem, że odbywa się to w pałacowym parku albo na łąkach i zawsze pod twoją opieką. Ja tak byłem chowany i chcę, żeby moje dzieci też tak były chowane”. Chwilę pomilczał i dodał: „Stanowczo jednak zabraniam wyprowadzać dzieci pod jakimkolwiek pozorem na ulicę i proszę cię, tłumacz im, tłumacz ciągle, perswaduj i egzekwuj: nie wolno im opuszczać posiadłości. Grunta pałacowe są tak rozległe, że nie braknie im tu niczego, co jest niezbędne i korzystne dla pełnego rozwoju”. „Oczywiście, proszę wielmożnego pana. Ośmielę się dodać, że nawet do głowy by mi nie przyszło, żeby dzieci wyprowadzać na ulicę”. „Wiem, Emmo. Mam do ciebie pełne zaufanie. Ale chcę cię uczulić na te sprawy. W Sosnowicach nie ma niczego, co mogłoby się moim dzieciom w jakikolwiek sposób przydać. Wszystko, co im się może do czegokolwiek w życiu przydać, znajdą tutaj. I tu mogą się bawić oraz obcować, z kim zechcą”. Ukłoniłam się tylko: „Tak jest, proszę pana”. Wówczas do gabinetu wpadła Inge: „Emmo! Chodź szybko do parku! Szybko, szybko, proszę!”. Pobiegłam za nią, trochę wystraszona. Pod wielkim dębem przycupnął Heinz. „Co się stało?”, zawołałam, kiedy dobiegłam na miejsce. Inge wskazała palcem w ziemię. „Tam coś jest!”. Na samym dnie wąskiego trzydziestocentymetrowego leju, który został utworzony przez wyciągniętą z ziemi żerdź, siedział nieruchomy jeź. Musiał tam wpaść przez przypadek i nie potrafił się wydostać. Nie mógł wspiąć się na górę, ponieważ lej był pionowy i zbyt głęboki. „Musimy go jakoś wyciągnąć, bo inaczej umrze z głodu, o ile jeszcze nie umarł”. Heinz wygiął buzię w podkówkę. „Już, już. Zaraz coś wymyślimy. No, dzieci...”, klasnęłam w dłonie. „... Ratujemy zwierzątko. Które z was je wypatrzyło w tej dziurze?”. „Heinz”, zawołała Inge. „Brawo! Heinz, należy ci się nagroda”. „Ale najpierw go

uratuj, żeby nie umarł”, poprosił płacząco Heinz. „Gołymi rękami nie dam rady”, powiedziałam. „Poszukajcie gałązek, niezbyt grubych i niezbyt cienkich. Spróbujemy wyciągnąć jeża, podnosząc go na dwóch patykach do góry”. Ruszyli na poszukiwania i po chwili, purpurowi z pośpiechu i emocji, przynieśli cały stos gałęzi. Wybrałam dwie i trzymając je równolegle do siebie, wsunęłam aż na dno wąskiego leja. Heinz chciał wszystko widzieć, więc klęknął obok i niemal wsadził głowę do dziury, przeszkadzając mi oczywiście. Inge trajkotała bez przerwy, a od czasu do czasu podskakiwała wokół mnie na jednej nodze. Kiedy usłyszałam lekki chrobot kolców, przycisnęłam końcówki patyków do boków zwierzęcia i powoli zaczęłam unosić go w górę. Dzieci wstrzymały oddech. Wyciągnęłam jeża i położyłam na trawie. Zwinął się w kulkę. Odetchnęłam z ulgą. „Żyje. Teraz trzeba zasypać ten lej. Zaraz poproszę pana Pietscha, żeby tego dopilnował”.

W kartonowym pudle po butach przenieśliśmy jeża w zarośla do innej części parku. „Tu mu będzie dobrze”, powiedziałam i postawiłam pudło na ziemi. Jeż wystawił nos, obwąchał teren i wygramolił się, kołysząc się z boku na bok. „Akcja ratunkowa zakończona”, roześmiałam się. „Zostaliście bohaterami i odznaczam was medalem Ratowników Zwierząt”.

„Emmo, czy to była przygoda?”, zapytała Inge. „O tak. Najprawdziwsza”. „Ale czy na pewno?”. „Na pewno”. „W takim razie uwielbiam przygody. Kiedy będzie następna? Kiedy znowu kogoś uratujemy?”. „Może jutro”. „Ale do jutra jest bardzo daleko”, zmarkotniała. Tymczasem mały Heinz postanowił pogłaskać jeża. „Heinz, nie!”, zawołałam w ostatniej chwili. Heinz nadrabiał miną, ale trochę się wystraszył i zamarł. Teraz były już dwa stworzenia znieruchomiałe, nadrabiające miną i wystraszone: Heinz i jeż. „Nie dotykaj jeża. On ma ostre kolce. Poza tym boi się ludzi”. „Chciałem go tylko pogłaskać”, Heinz miał łzy w oczach i zatrzęsła mu się broda. „To pięknie, ale jeż nie ma takiego futerka jak królik. Jeża się nie głaszcze”, wytłumaczyłam mu

spokojnie. „Czy jeż to dzikie zwierzę?”, zapytał. Zastanawiałam się przez chwilę. „Tak”. „Heinz”, zawołała Inge. „Nadaj mu imię! Nadaj mu jakieś imię!”. Heinz spojrział na mnie pytająco. „Mogę?”. „Oczywiście”. „No szybciej, jak mu dasz na imię?”, niecierpliwiła się Inge. Heinz myślał długo i wreszcie powiedział nieśmiało: „Jeż”. „Co, jeż?”, spytała Inge. „Imię. Jeż”. „E nie, ty się w ogóle nie umiesz bawić w nadawanie imion. Ty jesteś chłopiec, a nie nazywasz się chłopiec, tylko Heinz, rozumiesz?”. „Tak”, pokiwał głową. „No, to jak mu dasz na imię?”. „Heinz”. Inge roześmiała się. „Dlaczego?”. Heinz spojrział na jeża. „Bo tak. Heinz”. „Dobrze, niech będzie”, starała się ukryć rozczarowanie. „A nie wolałbyś na przykład: Oktawian? Albo Konstanty?”. Heinz pokręcił głową. „Nie. Wolałbym: Heinz”. Spoglądał na kolczastą kulkę. „A mogę mu dać cukierka?”. „Jeż nie lubi cukierków”, wyjaśniłam. Heinz wybałuszył oczy i spojrział na jeża z szacunkiem. „A co lubi?”. „No nie wiem, ale cukierków nie lubi. Mogłyby mu nawet zaszkodzić. On chyba je różne rzeczy z ziemi”, powiedziałam, bo nie chciałam tłumaczyć, że jeż zjada dżdżownice i owady. „A Heinz też je cukierki z ziemi, sama widziałam”, zawołała Inge. Pokazał jej język „M-m-m, głupia, m-m-m”. Pogroziła mu palcem: „Poczekaj, będziesz miał robaki!”. Heinz nie przejął się pogroźkami siostry. „A gdzie jeż mieszka?”. „W lesie. W dzień śpi, a w nocy spaceruje”. „I dlatego po ciemku wpadł do dziury!”, zawołała Inge. „Przyszedł aż z lasu?”. Chłopczyk znów spojrział na jeża z uznaniem, tak jakby ten dotarł tu z drugiego końca świata. „Pewnie tak”. „Chciałbym go pogłaskać”. Uparty jak każdy Dietel. „Wiesz co? Masz tu patyczek. Jeśli chcesz go pogłaskać, to pogładź go patyczkiem po kolcach, ale tak wzdłuż grzbietu, powoli, żeby się nie wystraszył”. „Tylko nie za mocno”, pisnęła Inge. Heinz nachylił się nad jeżem i postukał go delikatnie po grzbiecie. Jeż podskoczył przerażony i fuknął. Heinz podskoczył jeszcze bardziej przerażony. „Co on powiedział?”. Inge roześmiała się. „Fuknął na ciebie!”. Heinz podjął

decyzję. „Chcę, żeby on ze mną spał”. Westchnęłam. „Ludzie nie śpią z jeżami”. „Szkoda”. Był wyraźnie rozczarowany.

Przed snem opowiadam Heinzowi bajki. Tego wieczoru zapytałam, jaką chce historię na dobranoc. „Finlandzką. O jeżu”. Pomyślał chwilę. „I też o żółwiu. I o morzu. I o lesie. I o lemoniadzie. I żeby była trochę smutna, ale żeby nikt nie umierał”. Widać, że nie biorę pensji za darmo, co to, to nie.

„To słuchaj. Fiński jeż, bo mówi się fiński, a nie finlandzki, wyruszył kiedyś na wyprawę ze swojego lasu...”. „Nad morze”, powiedział Heinz zadowolony. „Zgadza się, nad morze, i kiedy tam dotarł, bardzo się zdziwił, że morze jest błękitne, a piasek żółty. *Mój las jest czarny*, pomyślał jeż. Morze szumiało. *Las też szumi*, pomyślał jeż i stwierdził, że woli szum błękitnego morza, niż czarnego lasu. Na piasku jednak nie było szyszek, co zaniepokoiło jeża. Za to był ktoś”. „Żółw!”, zawołał Heinz i usiadł na łóżku. „Masz rację. Żółw. Ale połóż się... Jeż postanowił nie obrażać się na nieznanome stworzenie, chociaż miał ochotę. Ale zwalczył tę ochotę i zapytał grzecznie: – Czy ja mógłbym się z tobą zaprzyjaźnić? Ja jestem jeż z Lasu. I nikogo tu nie znam. – Witaj, jeżu. A ja z tobą też mógłbym się zaprzyjaźnić? – No pewnie – powiedział uprzejmie jeż. To było bardzo miłe, że można się tak szybko zaprzyjaźnić z kimś z wzajemnością. – A czy w twoim Lesie jest też takie duże morze? – zapytał żółw. – Nie ma w ogóle – wyznał jeż ze wstydem, tak jakby to była jego wina. – Jak to w ogóle? Jak może gdzieś nie być morza? – Nie ma – pisnął cichutko jeż i zrobiło mu się smutno, że jego las jest taki okropny. – To jak tam można żyć? – zdziwił się żółw. Tego już było za dużo. Wielkie łzy kapały z oczu jeża na piasek. Jeż płakał i płakał, i nie mógł przestać, bo pomyślał sobie, że tyle życia spędził w lesie, gdzie nie ma morza. Łzy utworzyły kałużę na piasku. – No nie płacz już – mruknął żółw. – Chodź, nauczę cię pływać”.

Heinzowi też łzy lecą po policzkach. „To strasznie smutne”, szlocha. „Nie znam smutniejszej bajki. Ani piękniejszej. Buuu...”. Nie wiem,

dlaczego lubi tylko takie bajki, przy których płacze, ale inaczej nie chce usypiać. „Mów dalej”, chlipnął Heinz. „No więc poczłapali w kierunku morza, żółw pomrukiwał, a jeź jeszcze z lekka szlochał. Ale przestał płakać, kiedy zobaczył, jakie sztuki wyczynia żółw w wodzie. – I ja też tak będę umiał? – zapytał i zupełnie zapomniał o łzach. – No pewnie. To jest łatwe. Wchodź do wody. – Jeź potupał przez mokry piasek i wodorosty, chociaż trochę się bał. Starał się jednak tego po sobie nie okazywać i starał się też nie obrażać na żółwia. – Zanurz nos w wodzie – doradził żółw. – Tak, żeby się oswoić. – To wydało się jeżowi mądre, bo jeź zawsze musiał się ze wszystkim oswajać. Zanurzył nos w wodzie i... wyskoczył na brzeg jak oparzony”. „A co się stało?”, krzyknął Heinz wystraszony. „– Co się stało? – zdziwił się żółw. – Ależ ta woda jest okropna w smaku. Słona, gorzka, ohydna. – Żółw spuścił głowę. – Tak? Ja znam tylko taką wodę. – No wiesz? – Skrzywił się jeź. – U mnie w lesie woda jest słodziutka, pachnąca i pyszna, i świeża. – Tak? – Żółw był coraz smutniejszy. – Bardzo smaczna woda ze źródła. A-ha, m-hm – dodał jeź i pokiwał głową. Po raz pierwszy w życiu coś w jego okropnym, czarnym lesie było lepsze niż poza lasem. – A ta woda w morzu jest bardzo słona. Teraz z kolei żółwiowi zrobiło się przykro i teraz to jego łzy kapały, ale nie na piasek, tylko do wody. Żółw wyszedł na brzeg, a łzy, wielkie jak groch, utworzyły wokół niego kałużę. – Nie płacz – zawołał jeź. – Chodź umówimy się, że już dziś o nic nie płaczemy, dobrze? – Dobrze – zgodził się żółw, jeszcze trochę poszlochał i przestał. – Wiesz co? Siądźmy na piasku i napijmy się lemoniady. – Jeź kiwnął głową. Chwilę później jeź był bardzo szczęśliwym stworzeniem. W łapce trzymał szklankę z lemoniadą, a obok siedział jego nowy przyjaciel, żółw. Żółw uśmiechnął się do jeża. – Przyjemnie, co? – Jeź sapnął. – A-haaaa”.

Heinz spał. Poprawiłam mu delikatnie rękę, bo we śnie dziwacznie ją układał. Wyglądało to tak, jakby miał przetrącony łokieć. Zgasiałam lampy i cicho wyszłam z pokoju.

Lubię kwiaty przed pałacem oraz nasze piękne drzewa. Starszemu panu już wiele lat temu udało się zatrudnić znanego ogrodnika, pana Pietscha. Zlecił mu otoczenie posiadłości rozległym parkiem, a potem objęcie pieczy nad wszystkim. Słyszałam, że początkowo ogrodnik odmówił przyjęcia posady, co wprawilo starszego pana w zdumienie. Tę historię znają wszyscy w pałacu. Pan krzychał podobno: „Ależ ja panu proponuję doskonałą pracę i uczciwe pieniądze. Czy pan zwariował, Pietsch?”. „Nie zwariowałem, szanowny panie, ale nie chcę mieszkać w Sosnowicach, a jako człowiek odpowiedzialny za park i ogród musiałbym się tu przeprowadzić”. „Czy ja dobrze rozumiem, że pan mi odmawia?”. „Sosnowice mają złe powietrze”, kręcił głową pan Pietsch. „Tu nic porządnego nigdy nie wyrośnie”. „No wie pan? Mój majątek rośnie tu jak na drożdżach”. „Tak, ja wiem i doceniam fakt, że pan wzniósł piękny pałac i wielką fabrykę, ale nie mogę obiecać, że szlachetna roślina tu nie zdziczeje. Nie zagwarantuję, że da się stworzyć i odpowiednio pielęgnować ogród i park, a ja jestem uczciwy człowiek i jeśli się czegoś podejmuję...”. Starszy pan zachnął się. „Ja panu godziwie zapłacę, a pan przyjmie posadę i stworzy porządny park oraz ogród. Zapewniam pana, że wszystko wyrośnie jak należy”. „Ale tu jest naprawdę złe powietrze. Ja to czuję całym sobą. Ja bym musiał ciągle z Sosnowic wyjeżdżać, żeby odtruwać organizm. A drzewo nie wyjedzie. Zapuści korzenie i będzie wdychać te piekielne wapory”. „Panie Pietsch. Niechże pan chwilę pomyśli. Nigdzie pan nie dostanie bardziej intratnego zlecenia. Jest pan najlepszym ogrodnikiem w całej okolicy. Ja panu dopiszę w kontrakcie, że może pan sobie wyjeżdżać do kurortów, kiedy tylko pan poczuje konieczność odtruwania organizmu”. Pan Pietsch zgodził się wreszcie i w ciągu kilku lat stworzył wokół pałacu cuda. „I co? Jakoś wszystko rośnie?”, kpił czasem starszy pan. „Ano, rośnie”, odpowiadał ogrodnik. A później, ilekroć przychodził do starszego pana skrzywiony i prosił o umożliwienie mu wyjazdu w miejsce, gdzie da się oddychać, starszy pan zgadzał się, chociaż

czasem dodawał zgryźliwie: „Słusznie ludzie powiadają, *pecunia non olet*, Pietsch”. „Może to miało być *petunia non olet*”, mruzczał ogrodnik, a starszy pan wybuchnął tubalnym śmiechem.

Żona młodszego pana uwielbia ogród i często sama dogląda rabatek z kwiatami. Ma też kilka dziewcząt do prac na grządkach warzywnych i na klombach.

Od wiosny tego roku pracuje u nas młoda Żydówka, Ester, z którą bardzo się polubiłam. Czasem rozmawiamy w parku o różnych sprawach, takich naszych, panińskich.

„Może będę miała kawalera”, przyznałam się pod koniec czerwca. „Tak? A kogóż to?”, zapytała z uśmiechem. „Bardzo grzecznie mi się kłania taki pewien kapitan na przejściu granicznym w Myslowitz”. „Niemiec, znaczy się?”, zapytała. „Niemiec”, powiedziałam z dumą. „Oficer. Kiedy w niedzielę jechałam z państwem do Myslowitz, to tak mi salutował, wyprężony jak struna, że chyba bardziej niż wielmożnemu panu”. „I co zrobiłaś?”. „Jak to co? Skinęłam mu głowę”. „A on?”. „A on wtedy zasalutował, jakbym była generałem”. „Kocha się w tobie”. „Tak myślę”. „I co teraz zrobisz?”. „Jeszcze nie wiem. A ty, Ester, masz kawalera?”. Zaczerwieniła się i powiedziała niepewnie: „Chyba tak”. No a później, dosłownie parę dni później strasznie posmutniała. „Co się stało?”. „Wyjechał”, westchnęła i łzy stanęły jej w czarnych oczach. „Zostawił cię?”. „Proszę cię, Emmo, nie mówmy teraz o tym”. Nie to nie. Ja jestem Finka. Finowie nie są gadatliwi.

ROZDZIAŁ 9

ZĘBY PANA EMANUELA

W południe następnego dnia szczegółowy raport z przemówień pana Emanuela znalazł się na biurku oficera *ochrony*. W raporcie wymieniono podejrzane koncepcje, które pan Emanuel podczas nocnego młócenia rękami odmieniał przez wszystkie przypadki. Były tu więc: „dziejowa niesprawiedliwość”, „z dziejową niesprawiedliwością”, „o dziejowej niesprawiedliwości” (tego pojawiało się najwięcej i w raporcie podkreślono te bezceństwa na czerwono); był „postęp”, „postępu”, „postępowi”; trafiało się przeplecione tu i ówdzie „powiadam”; powtarzały się: „spracowane dłonie”, „spracowanym dłoniom” etc; a potem już tylko gorzej: „pacyfizm”, „pacyfizmowi”, „o pacyfizmie”; na domiar złego wkradł się „militaryzm” i dla równowagi „antymilitaryzm”; czarę goryczy przelewały takie słowa, jak „delegat” i „towarzysz”, „robotnicza krew na bruku”, a na koniec musiał już być bohater raportu mocno pijany albo zgoła niepoczytalny, gdyż przyznawał się otwarcie do uczestnictwa w wywrotowym odczycie niejakiego Lenina – tu podaję dokładne dane z prośbą o przekazanie w stosowne ręce – miało to miejsce w Krakowie, przy ulicy Szewskiej 16, w lokalu Uniwersytetu Ludowego, tytuł odczytu: *Ruch robotniczy w Rosji a socjalna demokracja* – daty nie usłyszałem – i wzywał proletariuszy wszystkich krajów do łączenia się oraz do dokończenia rewolucji.

Zaprawdę wystarczy, by mu tak przyłożyć, żeby ruski miesiąc popamiętał, za przeproszeniem.

Późnym popołudniem pan Emanuel zdążył spacerkiem ku Victorii i krążył myślami wśród swoich słynnych imienników. Zastanawiał się nad Swedenborgiem i Kantem. Kant uważał, że Swedenborg był osłem. Poświęcił mu garść uwag tylko dlatego, że chciał sobie zrekompensować siedem funtów wydanych na *Arcana Coelestia* i czas stracony na lekturę wielotomowej egzegezy Biblii. Byłże więc Swedenborg osłem czy nie? Czy fakt, że w wieku osiemdziesięciu jeden lat wyrosły mu trzecie zęby, świadczy o jego wyjątkowości? Pan Emanuel bezwiednie przeciągnął czubkiem języka po krawędzi własnych zębów. Czy fakt, że w snach Swedenborg rozmawiał z duchami i aniołami, czegokolwiek dowodzi? Czy to, że kobiety przyjmował zawsze w obecności osób trzecich, potwierdza, że był durniem, czy też wręcz przeciwnie? A to, że wynalazł maszynę parową, łódź podwodną, strzelbę na sprężone powietrze i maszynę latającą, dowodzi czegoś czy nie? Czy jego teoria: „Lotnik nie powinien się zrażać, jeśli nawet pierwsze próby lotów zakończą się dla niego utratą ręki czy nogi”, świadczy na jego korzyść czy niekorzyść? A to, że opisywał podróże po Elizjum, rozmowy z aniołami i szatanem, jest czy też nie jest przejawem szaleństwa?

Nagle zatrzymała się dorożka. Na trotuar wyskoczyło trzech roślących mężczyzn. Zagrodzili panu Emanuelowi drogę.

– Obywatel Appel Emanuel?

– Tak.

– *Ochrana* – mruknął jeden z trójki, tak jakby się tego nie można było domyślić. – *Dokumenty*.

Podał.

Oglądali i kiwali głowami.

Familia i imia – zgadza się. *Wriemia i miasto roždienija* – zgadza się. *Adries* – też się zgadza.

Ten, który zażądał dokumentów, wskazał głową otwarte drzwiczki dorożki i powiedział po polsku:

– Pan pojedzie z nami.

– Ale...

– Proszę nie stawiać oporu, bo pana sytuacja będzie jeszcze gorsza.

– Ale...

– Później. Tu jest nakaz aresztowania. – Tajniak machnął jakimś zwitkiem wyciągniętym z kieszeni surduta.

– Można zobaczyć? Przecież...

– Nie można.

– To skąd mogę mieć pewność...

– Wsiadać! Szybko!

– Ale...

Najwyższy z całej trójki złapał go za guzik i syknął:

– No, wskakuj, kurwa, ale to już!

Rozglądali się niespokojnie. Widocznie bardzo się spieszyli.

Przerażony pan Emanuel wsiadł do dorożki. Trzech mężczyzn za nim. Trzasnęły drzwiczki.

– Wiooo! – wrzasnął stangret i ruszyli z kopyta.

Po mniej więcej kwadransie podjechali na tyły niskiego budynku z czerwonej cegły, tu już bez żadnych dodatkowych ceregieli chwycili pana Emanuela pod ramiona i zawlekli go do izby funkcjonującej jako pokój przesłuchań. Cisnęli aresztanta na drewniany taboret, jakby mieli do czynienia z workiem kartofli, a nie z człowiekiem.

Przy stole siedział oficer śledczy. Jego mundur wisiał na oparciu krzesła, skórzane rękawiczki leżały na blacie. Zeschnięta twarz Rosjanina poorana była głębokimi bruzdami, kąciki ust drgały mu nerwowo, orli nos rzucał cień na studiowaną notatkę.

– Pacyfizm – pokiwał głową i ściągnął rude brwi. Bez pośpiechu wertował luźne kartki, mrużąc od czasu do czasu. – Antymilitaryzm.

Jeszcze lepiej. Postęp. Ba... tak... Delegat. No proszę. – Spojrzał panu Emanuelowi prosto w oczy.

– Pepeesowiec?

– Słucham? – Pan Emanuel pochylił się ku oficerowi, jakby nie zrozumiał.

– Po polsku nie rozumiecie czy co? Do PPS należycie?

– Nie należę.

Oficer przyglądał mu się przez chwilę.

– Do SDKPiL?

Pan Emanuel pokręcił głową przecząco. Oficer doczytywał jeszcze jakieś notatki.

– *Wieroisповідanije?* – zapytał, nie podnosząc wzroku.

– Przepraszam, ale nie dosłyszałem.

– *Wieroisповідanije! Rimsko-katoliczeskoje?*

– *Niet. Ja...*

– *Jewriej, sabaka.* – Rosjanin nie czekał na odpowiedź. – Można się było spodziewać... Do Poalej Syjon należycie?

– Ależ skąd!

– Ależ skąd, ależ skąd... nie wiem, nie należę, nie działałem, ależ skąd! – przedrzeźniał oficer. – A w raporcie co stoi?

– Nie należę do żadnej partii żydowskiej – powiedział pan Emanuel. – Ani socjalistycznej, ani robotniczej. Jestem protestantem.

Oficer wytrzeszczył oczy.

– Nazywacie się Appel Emanuel?

– Tak.

– I wy mi mówicie, że nie jesteście żydem? Z waszym wyglądem w dodatku? – Parsknął śmiechem i odchylił się do tyłu na krześle. – A to dobre! – Klepnął się dłonią w kolano.

Po chwili spoważniał. Rąbnął pięścią w stół i krzyknął po polsku:

– Rewolucją, żydku, straszysz? I kogo ty rewolucją straszysz? Jaśnie oświeconego cara? No *to po ukazu Jego Impieratorskiego Wielichestwa* ty za tę rewolucję w mordę zaraz dostaniesz. – Sapał ciężko przez chwilę. Uspokoił się jednak, odchylił na krześle i wzruszył ramionami. – Żebyś ty chociaż odrodzeniem Polski straszyl. To byłoby równie głupie, ale bardziej zrozumiałe, i ja oko nawet na to mógłbym przymknąć. Ale tych rewolucyjnych bredni ci darować nie mogę. Więc sobie dobrze zapamiętaj, za co w mordę zbierzesz: nie za patriotyzm, bo tego w tobie nie ma ani krztyny, tylko za ten cholerny proletariat, który ci z naczosnkowanej gęby nie schodzi.

Pan Emanuel skulił się, bo nie wiedział, co powiedzieć. Oficer wstał, podszedł do niego i bezceremonialnie wyrznął go w twarz.

Pan Emanuel spadł na podłogę. Rosjanin nachylił się nad nim i syknął:

– Agitacji wam się, Appel, zachciało? Zaraz wam zrobimy agitację.

Ten oficer, prawdę mówiąc, nie znosił przemocy, ale wiedział, co do niego należy i służbę w tajnej policji szanował. Dzięki niej udało mu się uciec z północy Rosji, gdzie słońce nietęgo świeci i gdzie mieszkała jego rodzina. Miał trzech braci. Dwaj też byli oficerami, tyle że w Mandżurii, niemal na drugim końcu świata, a jeden, najmłodszy, był niespełna rozumu. Ileż to razy wariat przemyślnie uciekał w nocy z domu! Wybiegał na dwór w haftowanej koszuli i szlafmocy z monstrualnym pomponem, a bracia, zbudzeni przez lament matki, biegli za nim, nierzadko w kopnym śniegu, w walonkach nałożonych na bosa stopy ciepłe od snu, w kożuchach narzuconych na koszule, i gonili go, żeby gdzieś nie zamarzł. Mknęli jak gończe psy, nie spuszczała z oczu kiwającego się pompona dopóty, dopóki brata nie dopadli i nie przynieśli do domu. Wariat wył i kopał, ale gdzieżby tam poradził całej trójce. A jak latem w nocy uciekał ku bagnom, to z kolei meszki ciąły jak opętane. I tak źle, i tak niedobrze. Matka starszym synom zabraniała najmłodszemu prosto w oczy patrzeć, bo się wtedy piekielnie złościł. Co się tu dziwić? Psu też nie można prosto w ślepia patrzeć.

Choćby najłagodniejszy, a zacznie sierść jeżyć. Widocznie jak się ma mało rozumu, to tak już musi być. Nawet fotografie synów były tak zrobione, że durakowi wykonano portret z profilu, a matka powiesiła tę fotografię wyżej od innych, żeby nie na wysokości wzroku, bo nigdy nic nie wiadomo. Ataki miał o byle co i trudno było czasem przewidzieć, co mu się w głowie tłucze, bo nic nie mówił, tylko całymi dniami siedział z otwartą gębą na piecu, buczał, stękał „ehe-ehe, ehe-ehe, ehe-ehe” i spluwał przed siebie.

Nie było tam co dłużej ani dnia siedzieć, chociaż ciekawość, jak się matce i ojcu wiedzie, kiedy z najmłodszym sami zostali. No bo co, jeśli ucieka im nadal? Wiąza go przy piecu czy co? Ojciec straszył, że go łańcuchem przykuje, jeśli nie da rady inaczej. Listów nie przysyłają z domu żadnych, przepustka raptem raz na rok, kto wie, czy nie pomarli. Ale wtedy to pop by chyba powiadomił.

No nic, żeby tam nie wracać, trzeba się w służbie wykazywać.

– Daję wam godzinę – mruknął do brodatych pomocników w czarnych czapkach, założył mundur, wziął z blatu stołu skórzane rękawiczki i wyszedł z izby.

Uuuuuch... aż mu zadzwoniło w uszach.

Cerkiewne dzwony.

– Proszę... nie...

Ale ten brodaty dzwonnik w czarnej czapce chyba nie dosłyszy, bo nie zareagował. Każdy z nich pewnie od hałasu głuchawy jest. Dzwonnik trzyma liny i miarowo wywija, a spiżowe serce, rozkołysane, uderza pierwszy raz w spiżowy kołnierz, w wargę: BUM, potem powoli pędzi przez średnicę hełmu i BUM teraz jakby głębsze zadudniło w wargę z drugiej strony.

– Lepiej w kołnierz, nie po wargach...

A potem już miarowo, jakby samo z siebie, z tego rozkołysania BUM – BUM – BUM – BUM – BUM – BUM. Kołnierz porządnego cerkiewnego dzwonu nawet nie powinien drgnąć, tylko serce we wnętrzu hula, od końca

do końca, po kołnierzu. Dzwon cerkiewny to nie dzwon europejski, kurancik od melodyjek, chudy kogucik na wieży, dzyń, dzyń, dryń dla dzieci, fiu bździu, jakieś katolickie czy protestanckie fiku-miku. Mogą sobie Prusacy wydzwaniać *Denn alles Fleisch, es ist wie Gras*, od tego to tylko słycać, jak trupy w sarkofagach klekoczą z obrzydzenia. Martwy Niemiec nawet po śmierci wysłuchuje dzwonków, a przecież w grobie ma być spokój, żeby się można skupić, i nie po to księżęta każą się chować w prezbiteriach, żeby im zakłócano śmierć trywialnymi melodyjkami.

Martwym jest się bardzo długo. Już samo to zasługuje na jakiś szacunek.

Serce łomocze w hełm cerkiewnego dzwonu nie na większą chwałę Boga, tylko na większą trwogę człowieka; *wot*, niejeden *bradiaga* nawrócił się na sam dźwięk, niejeden Raskolnikow struchlał i zbladł: BÓJ – SIĘ – BÓJ – SIĘ! Nie dla ozdoby, nie dla zabawy – ot dzwoneczki dzwonią – o nie, nie! Posłuchaj uważnie porządnego *blógowiestnika*, żadnych melodii, żadnych tonów, żadnych półtonów nawet, tylko miarowe, straszne i między tonami czające się BUM – BUM – BÓL – BÓL – BÓG – BÓG.

Mało ci jeszcze? To zmiana. Brodaty dzwonnik skręca lekko ramię i w tym samym tempie uderza: BÓL – BÓL – BÓG – BÓG. Jeszcze? BUCH – BUCH – BÓL – BÓG.

– Wystarczy... wystarczy... proszę... – jęknął pan Emanuel.

– Daj mu jeszcze w mordę...

Wewnątrz bije serce. Jeśli serce pęknie, nie będzie *blógowiesti*, kłopot się zrobi.

Korony mają kabłąki. Do podwieszania.

– Podwiesić go?

– Nie trzeba.

– Klamrami do jarzma?

– Eee, nie trzeba mu już nic.

A wiesz ty, jak się odlewa ruski dzwon cerkiewny? Miesza się błoto i len, słomę i gnojówkę, glinę i szczeć. Rzeźbi się z tego kształt wnętrza. Na

to się leje wosk... A na wierzchu wszystko okłada się gliną...

– Złał się, sukinsyn!!!

Wytapia się wosk z wnętrza i wlewa się w to szlachetny brąz.

– No, nie drzyj już mordy!

A wiesz ty, co taki dzwon potrafi zrobić? Taki dzwon samym swoim brzmieniem wybija pluskwy, katrupi wszelkie wirusy. Bij w dzwon BUM – BUM – BÓL – BÓL – BÓG – BÓG i nie ma grypy. Nie ma żółtaczki. Nie ma nawet skapcianałych idiotów, bo biciem w dzwony cerkiewne leczy się niedorozwinięte bachory, każdy lekarz ci to powie, matole. Huragany dzwon odstrasza, dlatego w imperium, tam gdzie są cerkwie, nie ma kataklizmów.

A jak się później dotknie takiego dzwonu, co właśnie bił, to człowieka przebiega dreszcz, przez całe ciało, jakby miał gorączkę albo jakby go piorun kulisty trafił, albo jakby go ktoś elektrycznością potraktował. Jak się takiego dzwonu dotknie choćby opuszkami palców, to całe ciało drży jak w konwulsjach. Dotknąć takiego rozjuszzonego dzwonu: to człowiek prawie wymiotuje, podryguje sam z siebie i czuje, jak mu te wibracje płyną żyłami razem z krwią.

Wrócił oficer i nachylił się nad pobitym człowiekiem.

– Wystarczy. – A po namyśle dodał, spoglądając panu Emanuelowi prosto w twarz: – A jeśli chodzi o to, co rozpowiadasz po mieście, zapamiętaj sobie, że robotnicy, jeśli nawet strajkują, to zawsze wbrew swojej woli, zmuszani przez agitatorów. *Poniał?*

Cisza.

– *Poniał?*

Minęła chwila.

– *Da.*

– *Ocień haraszo.* Rosyjska władza musiała tobie udzielić surowej nagany. *Poniał?*

– *Da.*

Oficer już zupełnie spokojnie wzruszył ramionami, jakby nie brał odpowiedzialności za to, co się przed chwilą wydarzyło.

– Rosyjska władza ostrzega was, Appel, na przyszłość przed szerzeniem zakazanych poglądów. *Poniał?*

– *Da.*

– *Wot i wsio.*

Tymczasem redaktor Monsiorski musiał, chcąc nie chcąc, pokuśtykać do aptekarza, ponieważ okazało się, że od przyciasnych butów coś mu się złego stało z lewą stopą: bolesny obrzęk palucha, purpurowe spęcznienie wokół paznokcia i tępy ból przy próbie dotknięcia czubka stopy: w efekcie syczenie i marszczenie nosa, słowem zachowania niegodne dorosłego mężczyzny. Jenerał von Lubitz, dobre sobie. Pruski jenerał zawojowałby wrogie imperia, biegnąc z urwaną nogą pod pachą przez pół Europy, byle dać stosowny przykład żołnierzom. A Anglik? Podobno kiedy admirałowi Nelsonowi kula armatnia oderwała ramię, ledwie to raczył zauważyć.

Siostra. Ług. Spalone trzewia. Grób. Nie myśleć.

A tu nagle stopę owrzodziło i trzeba znosić katusze. Pogadam ja sobie jeszcze z Kulikiem. Mistrz szewski, niech go cholera. Przez niego łązę jak szpotawy.

Kiedy pan Walerian wszedł do sklepu Szpigiel przy Modrzejowskiej, jakiś młody człowiek w kapeluszu stał przy ladzie i zwracał się z pretensjami do łysego aptekarza.

– Bo ja widzę, panie Szpigiel, że pan sprzedaje, i to w dodatku w składzie aptecznym, pisma skierowane w swojej treści przeciwko Żydom. Czy tak powinno być? – Młodzieniec potrząsnął głową zdenerwowany.

Szpigiel odkłonił się najpierw redaktorowi Monsiorskiemu i dopiero zwrócił się do rozmówcy:

– Ale, ale, panie Lisze! A to jest co? Proszę bardzo, wszystkie aktualne i archiwalne numery „Bendiner Anonsenblat”, albo tu, o proszę,

najaktualniejsze wydanie „Zagłębier Cajtung”, tego pan nie raczy zauważyć?

– Raczę, ale po co pan sprzedaje takie brednie, jak „Protokoły Mędrców Syjonu”? Albo takie pisma jak „Rola” albo „Polak Katolik”? Przecież one zieją nienawiścią do narodu wybranego.

– Młody człowieku – westchnął Szpigiel. – A niech pan mnie powie, tak szczerze, czy widział pan te pisma skierowane w swojej treści przeciwko narodowi wybranemu także w innych sklepach? Może w księgarniach? Albo w trafikach?

– Owszem, widziałem, ale to nie...

– No to niech pan mnie jeszcze powie... Te pisma istnieją bez względu na to, kto je sprzedaje?

– Istnieją, niestety.

Szpigiel skinął głową w stronę pana Waleriana.

– I na przykład tu obecny szanowny pan redaktor Monsiorski, który wydaje „Iskrę”, czy on czasami nie zamieszcza w „Iskrze” materiałów, które niezbyt pochlebnie opisują Żydów?

– Panie Szpigiel – zająknął się pan Walerian. – Pan przecież wie, pan mnie zna... ja... nie biorę odpowiedzialności za to, co wypisują niektórzy w felietonach...

– Ależ ja pana redaktora o nic nie oskarżam. O nic. Tylko tłumaczę temu młodzieńcowi, jak wygląda życie w dzisiejszych czasach.

Redaktor Monsiorski chciał jeszcze coś dodać, ale nie dodał, bo przecież było wiadomo, że w prasie obowiązuje cenzura, żadnej wolności autorskiej w kwestiach politycznych nie było i skoro teksty skierowane przeciwko Żydom ukazywały się od czasu do czasu w „Iskrze”, to znaczy, że redaktor naczelny przymykał na nie oko, nawet jeśli sam ich nie popierał.

– Czy ja kiedykolwiek napisałem tekst skierowany... – Redaktor Monsiorski spąsował na twarzy. („Co mnie podkusiło, żeby przyjść do

Szpigiel? Na następny raz pójdę do Jagiełłowicza. Dalej wprowadzie, ale to nic”).

Aptekarz uniósł ręce w obronnym geście i nie pozwolił mu dokończyć.

– Ja nie oskarżam, ja o nic nie oskarżam.

Młody człowiek w kapeluszu patrzył na obu z niechęcią. Szpigiel znów zwrócił się do niego.

– I jeśli ja ich nie sprzedam, tych pism, to sprzeda nakład ktoś inny? Zupełnie możliwe, że ktoś, kto Żydów nie lubi? Prawda, panie redaktorze?

– Znów spojrzał na pana Waleriana.

– Tak zapewne by było – mruknął redaktor.

– I zarobione na tych pismach pieniądze skierowane by może zostały na działalność mającą na celu na przykład dalsze szkalowanie narodu wybranego?

– Tak by mogło być, to wielce prawdopodobne, ale... nie chcę, żeby pan...

Szpigiel znów nie dał panu Monsiorskiemu dokończyć zdania. Zwrócił się w kierunku skonsternowanego młodzieńca.

– No i widzi pan, panie Lisze, sam pan widzi. – Podrapał się po łysej głowie. – Gdy tymczasem ja cały dochód z tych pism... prawie cały... przekazuję na Linas Maceba i na Linas Hacholim. Niemal nic z tego ja osobiście nie mam. – Rozłożył ręce w szerokim geście. – I w efekcie pieniądze ze sprzedaży tych pism obracają się na dobro narodu wybranego, wspomagają żydowski dom noclegowy i, co może jeszcze ważniejsze, wspomagają biednych chorych Żydów. Czy naprawdę pan uważa, że lepiej, aby zyski ze sprzedaży takich pism finansowały tych, którzy Żydów nienawidzą? Czy to byłoby lepiej dla narodu wybranego? Czy lepiej, jeśli te pieniądze Żydom służą i niweczą w ten sposób plany nienawistników?

– Lepiej to by było, panie Szpigiel, gdyby w ogóle takie pisma nie istniały.

Aptekarz wzniosł oczy do góry.

– Ale istnieją. Panie Lisze, pan jest artysta, jak pan ma na imię, bo pamiętam, tylko zapomniałem?

– Izaak.

– A właśnie. Izaak, pan żyjesz w innym świecie. Dzisiaj pan jesteś w Sosnowcu, a jutro będziesz w Paryżu, bo jak się jest malarzem po Akademii Sztuk Pięknych, i to w Warszawie...

– W Krakowie...

– Otóż to, w Krakowie... to się tu długo nie siedzi. No, no, nie rozmawiajmy już o tym. Pan chciał kupić sól bromową na nerwobóle i bezsenność. Ja panu sprzedaję najlepszą sól bromową, jaka istnieje na rynku... I pan ją zakupił, więc powinien pan być kontent. A zamiast tego pan mnie nęka, Izaak, i chce, żebym ja sam cierpiał na nerwobóle i bezsenność. Czy to ładnie?

Młody Lisze zaczął szukać czegoś gorączkowo po kieszeniach. Czarny, sfatygowany garnitur w prążki wisiał na nim jak na szkielecie i był bez wątpienia weteranem licznych wykładów w akademii, wernisaży, wesel, pogrzebów i wizyt rodzinnych.

– Ależ ja wcale...

– Czy pan uważa, że ja powinienem sam sobie własną sól bromową sprzedawać, żeby się uspokajać po wizytach rozkapryszonych klientów? Czy ja po to z Warszawy od Rotenberga leki sprowadzam? Rozważ pan i to, Izaak, że Rotenberg jest jedynym przedstawicielem producenta z Hamburga na teren państwa rosyjskiego.

– Ale przecież ja zupełnie nie o tym... – jęknął młody Lisze. Niczego nie znalazł w kieszeniach.

Szpigiel wołał z oczami wzniesionymi w kierunku sufitu:

– Czy mam zatem leki doktora Sandowa, zalecane przez wszystkie powagi lekarskie, sprowadzać przez Rotenberga, płacić za to ciężkie pieniądze i potem sam je sobie sprzedawać? – Zawiesił głós.

Lisze pokręcił tylko głową, zabrał dwa słoiki soli bromowej i wyszedł z apteki.

Szpigiel uśmiechnął się promiennie do pana Waleriana.

– Ten Lisze to zdolny młody malarz, ale co on sobie wyobraża? I-de-a-lis-ta! Ot, co! I-de-a-lis-ta! A teraz zobaczmy, co sprowadza do mnie drogiego pana redaktora?

Pan Walerian wyjaśnił, że obtarł go nowy trzewik i coś mu się złego dzieje z dużym palcem u lewej stopy.

– No, to proszę mi pokazać paluch.

Redaktor Monsiorski zdjął but i skarpetkę, syknął parę razy z bólu i ustawił stopę na żelaznym taborecie.

– Ho, ho – pokiwał głową aptekarz. – A to się pan urządził. Tu jakieś wręcz poważne zapalenie wlało w palec... bakterie mają używanie... Trzeba działać, bo może jakieś świństwo z tego wyniknąć... ho, ho.

– To co robić? – Pan Walerian zbladł.

Szpigiel wrócił za ladę i wskazał palcem na ścianę. Wisiała na niej duża blaszana reklama: na żółtym tle, w czerwonym kole dorodny biały rogowiec piał się do skoku. „Mydło Jeleń! Prawdziwe tylko z napisem SCHICHT”.

– Tego panu koniecznie trzeba. Szare mydło lecznicze. Wyrób bez zarzutu. Nagrodzony srebrnym medalem na wystawie w Pradze. Mydło Schicht i *kipiatok*.

– Jak to *kipiatok*?

– Wrzątek. No... powiedzmy, prawie *kipiatok*. Do tego pan musi starkować ćwierć mydła Schicht, na gęstą pianę. I stopę zanurzać wielokrotnie. Wsadzić. Wyjąć. Wsadzić. Wyjąć. Trzydzieści razy.

– Jak to? Stopę zanurzać we wrzątku? – Pan Walerian skurczył się ze strachu.

– A tak. Przez parę dni. Odważnie. Po męsku. Jak nie będzie wrzątku, to nic nie pomoże. I dużo mydła zetrzeć. Trzeba ranę odkazić. A na noc należy

smarować maścią ichtiolową. Bo jak nie... – Szpigiel pogroził mu na pół żartobliwie – ...to felczer będzie musiał palec odjąć.

– Co znaczy „odjąć”? – zaniepokoił się redaktor Monsiorski.

– Amputować. Uciąć.

– O mój Boże.

– A tak na wszelki wypadek, gdyby nie pomogło, gdyby pan potrzebował felczera, to polecam Szwajcera z Modrzejowskiej. Zna go pan?

– Nie znam. Z felczerów znam tylko Warszawskiego, bo on jest też przy okazji dziennikarzem.

– Warszawskiego bym nie polecał. – Mrugnął okiem aptekarz. – On jest podobno sympatykiem socjal-syjonizmu. Mógłby panu za niektóre artykuły w „Iskrze” odciąć całą stopę.

Szpigiel zarechotał, jakby opowiedział przedni dowcip.

Wieczorem redaktor Monsiorski zaczął sobie zadawać tortury – w nadziei uniknięcia gorszych. Krzyczał, rytmicznie wsadzając nogę do miednicy:

– Wsadzić! Wyjąć! Wsadzić! Wyjąć! Auuuu. Wsadzić! Wyjąć! Wsadzić!
Ein! Zwei! Auuuu!

– Gdzie go wyrzucimy?

– Tu, na Starososnowieckiej.

– Przed „Gwiazdą”?

– Może być.

Pobitego mężczyznę wypchnięto z dorożki przy Starososnowieckiej 46. Zatoczył się ciężko i przeszedł chwiejnie kilka kroków. Oddychał z trudem, ale nie chciał, żeby zwracano na niego uwagę. Najlepiej, jeśli będzie wyglądał na pijanego. Oparł się o ścianę fabryki chemicznej, tuż przy tablicy: „CHRZEŚCIJAŃSKA FABRYKA PASTY DO OBUWIA (I WSZELAKICH SKÓR) ATRAMENTÓW I PŁYNÓW «GWIAZDA». WŁAŚCICIELE: ST. DUSZYŃSKA I ST. DUSZYŃSKI”. Na murze

fabryki ktoś wykaligrafował krzywo napis kredą: „UWOLNIĆ SOSNOWIEC OD ŻYDÓW!”.

Tymczasem na trotuar wypełzły dzieci sosnowieckich podwórek, łobuzeria, która uznawała tylko jedną zabawę – zdobywanie i utrzymywanie siłą bądź sprytem ochłapów knajackiego autorytetu. Straszne zagłębiowskie dzieci: te, które potrafią, stojąc na rękach, jednocześnie spluwać pod siebie; te, które niecierpliwie pokrzykują, kiedy ktoś usiłuje doprowadzić ufajdane ubranie do jakiegokolwiek porządku: „przestań się, kurwa, czyścić, chłopie”, te, na których widok przezorny przechodzień przecina ulicę pod pretekstem pilnej potrzeby przeczytania ważnego anonsu w oknie wystawowym (tak jakby przecięcie ulicy mogło chronić przed tymi młodocianymi zbójami, skoro wiadomo, że przed takimi nic człowieka nie uchroni); pucołowate matoly nieskażone żadną myślą, przy czym pucołowatość była jedynie pewną formą obrzmałości, opuchlizny cielesnej, nader często nabieraną przez dziecko zrodzone z matki pijaczki i ojca pijaka; indywidua o rozbieganych, a jednocześnie nieustępliwych oczkach, ceglastej cerze, brudnych rękach; chłopcy, o których nie można powiedzieć z czystym sumieniem, że w ich oczach czai się cwaniactwo, ono się bowiem wcale nie czai, ono z tych oczu otwarcie bije, krzyczy i wrzeszczy, że tak, i owszem, jestem apasz, andrus, uliczny cwaniak, podwórkowy bandyta, sprzedałbym cię za dwa ruble, gdyby mi się chciało, i nic dla mnie nie znaczą żadne zasady, poza zasadą przyjemności; dziewczęta, których twarze byłyby może słodkie, gdyby nie były takie tępe; nieufne, zawistne, dzikie dzieci podwórek.

– E, widzisz tego tam? – Chłopcy zauważyli pana Emanuela opartego o ścianę Chrześcijańskiej Fabryki Pasty do Obuwia.

– No, co mu jest?

– Ledwie stoi. Gębę ma zakrwawioną.

Zaczęli się zwoływać. Gwizdali na palcach, popędzali się gestami, popychali w stronę pana Emanuela. A on stał oparty o mur i wiedział, co się

zaraz stanie, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

– Ciekawe, czy ma jakąś forszę?

– Sprawdźmy?

– No pewnie. Co nam taki łamaga może zrobić?

Otoczyli go półkolem, stając w pewnej odległości, gotowi w każdej chwili uciec. Jeden z chłopców schylił się po kamień.

– Nie, nie, nie – wymamrotał pan Emanuel – nie, nie, nie...

Chłopak uniósł rękę.

– Rzuć tu pugilares. Raz-dwa!

Pan Emanuel nie zastanawiał się. Sięgnął do kieszeni i drżącą dłonią wyciągnął skórzany portfel. Chłopcy zaczęli szeptać między sobą.

– No rzucaj, pod nogi! – krzyknął łobuz z kamieniem w dłoni. – Bo ci zaraz przywalę.

Pugilares wylądował przy jego bucie.

Chłopak schylił się po portfel, nie spuszczać wzroku z mężczyzny, który plecami przywarł do muru. Zważył pugilares w dłoni i zadowolony gwizdnął pod nosem.

– Nie, nie, nie – jęczał rozdygotany pan Emanuel – nie, nie, nie...

– Dobra, spieprzamy! – zawołał łobuz, odwrócił się i wszystkie dzieci ruszyły za nim. Zdążył jeszcze rzucić kamień w kierunku pana Emanuela, ale zajęty zdobyczą już się chyba do tego bardzo nie przykładał, bo kamień świsnął tylko gdzieś z boku. Po chwili na ulicy nie było nikogo.

Jak spod ziemi wyrosła prostytutka i podeszła rozkołysanym krokiem. Spojrzała mężczyźnie z bliska w twarz i natychmiast się oddaliła, szybko stukając obcasami.

Kiedy pan Monsiorski wsadzał sparzoną stopę po raz kolejny, *Ein, Zwei*, do miski ze spienionym parującym roztworem mydła Jeleń, prawdziwego tylko z napisem „Schicht”, a pan Emanuel odrzucał precz swój pugilares, aby uniknąć pobicia, w Victorii toczyły się piwne rozmowy.

– Co wy myślicie, że ja tu mam w Sosnowcu manufakturę radości? – bronił się przed atakiem kolegów pan Meyerhold. Siedział w rozpiętym surducie, którego poły spadały niemal do podłogi. Ze złością zatrzasnął kunsztownie inkrustowaną papierośnicę i schował ją do kieszonki białej kamizelki.

– Ty nie masz, ale może twój ojciec ma!

– Nie kłóćcie się – zawołał pan Andrzej. – Opowiem wam, jaki miałem dzisiaj dziwny sen.

– O! – Panna Izabela miała nadzieję, że nie będzie to coś, co ją postawi w żenującej sytuacji. Poza tym uważała, że nie ma nic nudniejszego niż wysłuchiwanie cudzych snów.

– Słuchajcie, umarłem! – Pan Andrzej machnął ręką i zachichotał.

– Niemożliwe. Nie można śnić własnego niebytu.

– A jednak można.

– W jaki sposób?

– To dość skomplikowane. Bo z jednej strony musiałem nie żyć, ale z drugiej byłem jak żywy, tyle że znalazłem się na jakimś obskurnym przejściu granicznym z kasą biletową, gdzie rozdzielano, kto ma iść do nieba, a kto do piekła. Trochę mnie to zaniepokoiło, chociaż nie uważałem, że bym sobie tak całkiem zasłużył na piekło.

– Nie zasłużyłeś na pewno – powiedział pan Tadeusz Meyerhold.

Poprzedniego dnia wyciągnął sobie z talii tarota Asa Pentakli, co zinterpretował jako możliwość uzyskania wewnętrznej harmonii. Postanowił więc być miły dla kolegów.

– I co się działo później? – zapytała panna Izabela.

– Dostałem bilet w kasie i zameldowałem się przy bramie, gdzie jakiś sympatyczny człowiek, to musiał być Święty Piotr, sprawdzał karteczki i z uśmiechem oraz kilkoma słowami wyjaśnienia, poklepując całe gromady ludzi po plecach, odsyłał ich do nieba, więc wszyscy przechodzili zadowoleni.

– Szkoda, że nie ma Emanuela. On uwielbia takie swedenborgiańskie historie!

– M-mów d-dalej. – Pan Lechosław Lech-Leszka gestem uciszał kolegów.

– No więc z ulgą zauważyłem, że atmosfera jest – zawahał się, szukając odpowiedniego słowa – ...jak podczas niedzielnej ekskursji...

– Nie dziwię się, skoro wszyscy szli do nieba. – Roześmiała się panna Izabela.

Pan Andrzej pokręcił głową.

– Otóż nie wszyscy. Przyszła kolej na mnie, wręczyłem bilet i okazało się, że jednak jest jakiś kłopot, bo Święty Piotr zmarkotniał i wcale nie chciał ze mną żartować, chociaż ja chciałem, bo mnie strach obleciał. A im bardziej się boję, tym bardziej jestem dowcipny, o czym może poświadczyć każdy lekarz, który ma nieszczęście mnie znać. Oj, jak mi się chciało żartować.

– A tu nic z tego? – Meyerhold sposepniał.

– Nic. Spojrzałem z przerażeniem na ten bilet, który mi wręczono w kasie, i widzę, że niby mój, tyle że data urodzenia się nie zgadza. Odmłodzono mnie o dwanaście lat. I nie zgadzają się imiona rodziców. Nawet się trochę oburzyłem, bo oto dowiedziałem się, że byłem cudzym dzieckiem, kto wie, czy nie podrzutkiem albo znajdą, i trochę przez chwilę miałem żal do rodziców, to znaczy opiekunów, że mnie oszukiwali i nigdy nie poznałem prawdziwych rodzicieli. A później uczepiłem się tych niezgodności na bilecie i tłumaczę Świętemu Piotrowi, że to pomyłka, że ja na pewno mam iść do nieba, ewentualnie mogę się zgodzić na czyściec, byle nie na długo. A poza tym nic się na bilecie nie zgadza. Święty Piotr nie był przekonany do moich racji, ale powiedział, że sprawę wyjaśni, i poszedł z moim biletem do budynku kasy.

Pan Andrzej napił się piwa. Nikt nie przerywał milczenia.

– Po jakimś czasie wyszedł, ale nie wrócił do mnie, tylko pomaszerował prosto do bramy i dalej wpuszczał do nieba tych wszystkich rozradowanych ludzi, którzy chcieli tam iść. Do mnie podszedł jegomość w czarnej pelerynie. Ten to już zupełnie nie znał się na żartach i był niezmiernie poważny.

– Nieuprzejmy?

– Nie to, że nieuprzejmy, tego nie mogę powiedzieć, tylko taki, no, służbista. Nic nie powiedział, wyciągnął dłoń w rękawiczce i pokazał mi nowy bilet, czarną karteczkę, na której nic nie napisano. No to już wiedziałem, że facecje się skończyły. „Do piekła?”, pisałem. „Chyba nie do piekła, prawda?”. Nic nie odpowiedział, więc próbowałem nadal: „Aż taki byłem zły? Żeby od razu do piekła? A oni wszyscy do nieba? Czy to koniecznie musi być od razu do piekła?”. Milczał, więc pizczałem dalej: „A tam będzie bolało, prawda? Będą torturowali?”. Znów nie potwierdził i nie zaprzeczył, ujął mnie za ramię i poprowadził do piekła, chociaż wcale mi się nie chciało tam iść.

– A w piekle jak było? Bolało? – zapytała pani Izabela.

Pan Andrzej napił się piwa. Pokręcił głową.

– Nie bolało i nawet nie było tak źle, jak się spodziewałem, tyle że nudno, trochę jak w deszczowy dzień. Gapienie się w okno i beznadziejne gry towarzyskie... – Zmarkotniał i umilkł.

– T-t-to wszy-wszystko? – zapytał pan Lech-Leszka.

– Wszystko.

W prywatnej siedmioklasowej pensji żeńskiej przy ulicy Fabrycznej lekcja dobiegała końca.

– Proszę bardzo, jeszcze jedno zdanie czytanki. Może Joasia – poleciła panna Izabela.

Dziewczynka wstała.

– „Hotentoci nacierają sobie ciało masłem i tłustością dla utrzymania giętkości skóry i dla ochrony od kąsania owadów”.

– A teraz po francusku, proszę, Sabinka.

Joasia usiadła. Sabinka wstała.

– *“Ils se frottent de beurre et de graisse pour entretenir la souplesse de leur peau, et pour se défendre de la piquûre des insectes”*.

Dziewczynki pracowały na starym podręczniku *Zbiór wszystkich umiejętności dla młodocianego wieku niezbędnych*, z którego można było jednocześnie zdobywać wiedzę z geografii, francuskiego, matematyki, przyrody i polskiego. Uczenie języka polskiego nie było przez kuratora mile widziane, nawet jeśli szkoła nie była publiczna, więc przemycało się polszczyznę pod pretekstem jej niezbędności dla dokonywania tłumaczeń handlowych. Po tym, jak władze rosyjskie zlikwidowały Pensję Żeńską pani Radliczowej, pani Mojowska i pani Siwikowa wiedziały, jak nazwać szkołę, żeby prywatna placówka dla dziewcząt mogła powstać pomimo niechęci Ministerium Oświaty. Powołując się na fikcyjny, aczkolwiek solidnie udokumentowany, związek nowej pensji z Ministerstwem Przemysłu i Handlu, po zainwestowaniu paru tysięcy rubli pani Siwikowa otworzyła Szkołę Handlową Żeńską. Że była to zwykła pensja prywatna z językiem polskim to już miało mniejsze znaczenie w świetle rzekomej oficjalnej kurateli Ministerstwa Przemysłu i Handlu.

Na szczęście dla pani Siwikowej i jej nauczycielek nigdzie urzędnicy nie byli równie tępi jak w Kuratoriach Oświatowych – i to bez względu na zabór czy też jego brak. Ale co tam, wystarczająco dużo napisano już o tych zmorach, o tych syzyfowych pracach, żebyśmy tutaj mogli dodać coś nowego.

– Dobrze. Proszę francuskie zdanie przepisać do kajetów i kolejno do mnie podchodzić z całym ostatnim ćwiczeniem.

Dziewczynki przez chwilę zajmowały się pisaniem. Potem zaczęły pojedynczo przynosić zeszyty do pulpitu, za którym siedziała panna Izabela. Przedostatnia z uczennic, piegowata Malwinka Grosik, dygnęła przepisowo, położyła kajet i czekała, aż pani sprawdzi ćwiczenie.

– Tak, bardzo ładnie, możesz iść na miejsce. – Panna Izabela uśmiechnęła się.

Malwinka dygnęła i wróciła do ławy, a do pulpitu zmierzała właśnie jej koleżanka, jasnowłosa Andzia Rosa, kiedy nagle z tyłu rozległ się pisk. Dziewczęta natychmiast obróciły się. W ostatniej ławce pyzata Zosia Kozaczek rozszlochała się i rozspazmowała, a obsadkę odrzuciła precz na podłogę, rozbryzgując atrament na jasne deski. Na czubek stalówki nadziana była duża granatowa kulka.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się panna Izabela i ruszyła w stronę Zosi.

– Na dnie mojego kałamarza są muchy! – płakała dziewczynka. – Nadziałam muchę na stalówkę. Jest mi niedobrze! Będę wymiotować.

Nauczycielka westchnęła. Podeszła do ławki i podniosła kałamarz pod światło. Rzeczywiście, wewnątrz leżało kilka martwych much. Na pewno same nie wpadły do kałamarza z wąską szyjką.

– Której z was to strzeliło do głowy? – Panna Izabela zmarszczyła brwi.

Z ławek spoglądały na nią niewinne twarze.

– Że też muszę kończyć dzisiaj lekcję w taki sposób – westchnęła. – Ktoś tu nie ma dobrego serca. Nie będę prowadziła dochodzenia. Mam nadzieję, że to się więcej nie powtórzy, a na panienkę, która wrzuciła koleżance muchy do kałamarza, czekam przez kwadrans w izbie dla nauczycielek. Jeśli winowajczyni zgłosi się sama i wyrazi skruchę, dostanie ode mnie burę i upomnienie. Jeśli nie zgłosi się sama, odkryję, która z was ma takie okropne pomysły, i zgłoszę pani dyrektor. Pani Siwikowa z pewnością wyciągnie surowe konsekwencje.

Przez chwilę panowała cisza. Panna Izabela wróciła do pulpitu.

– To wszystko na dzisiaj. Możecie iść do domu. Do zobaczenia jutro.

Dziewczynki wstały z ławek i na znak dyżurnej pożegnały nauczycielkę jednym głosem.

– Do-wi-dze-nia pa-ni.

Wybiegły z klasy.

Panna Izabela domknęła okna. Skrupulatnie sprawdziła, czy we wszystkich ławkach kałamarze są napełnione atramentem na następny dzień, czy w przegródkach leżą obsadki i zapasowe stalówki dla dziewczynek, czy ołówki są należycie zaostrzone.

Kończył się wrzesień. Od przyszłego tygodnia trzeba będzie pilnować woźnego, żeby każdego popołudnia napełniał naftą lampy, przynosił wiaderko z węglem oraz dzbanek z wodą i wyrzucał popiół z pieca.

Na korytarzu szkolnym ukłonił jej się grzecznie profesor Krylenko.

– Czemu to koleżanka dzisiaj taka nachmurzona?

– Ach, panie Mikołaju, dziewczynki czasami doprowadzają mnie do rozpacz. Chyba są gorsze od chłopców.

Krylenko nie miał jeszcze trzydziestu lat, ale doświadczenie pedagogiczne zdobył spore, bo uczył literatury rosyjskiej zarówno chłopców w Szkole Realnej, jak i dziewczynki na pensji u pani Siwikowej.

– Niech się pani tak nie przejmuje, bo to dopiero początek roku szkolnego. Do wakacji daleko. Trzeba oszczędzać siły.

– To prawda. A pan zawsze taki spokojny, taki życzliwy. Nasze uczennice pana kochają.

– No, no... – Roześmiał się Krylenko. – Zaraz się zacznę czerwienić.

– Ale to prawda. W Szkole Realnej na pewno też pana wszyscy lubią.

– Mam nadzieję, że tak, ale kto to może coś powiedzieć...

– Żeby pan tylko się nie przeniósł gdzie indziej, bo będzie wielka strata dla wszystkich. A już tak jest, że w Sosnowcu mało kto chce zostać na dłużej.

– Ja tu już uczę dobrych kilka lat. Na razie nigdzie się nie wybieram. Chyba że dojdzie do wojny. Jeśli się coś... – zawahał się – coś zacznie, to wtedy ruszę w głąb Rosji.

– W głąb Rosji!? Panie Mikołaju... – W jej głosie zabrzmiała nuta żalu.

– Literatury można uczyć dopóty, dopóki człowieka nie wezwą ważniejsze sprawy. Puszkina, Gogola, Dostojewskiego, Tołstoj, oczywiście, ale...

pani mnie przecież rozumie, prawda? – Spojrzał jej głęboko w oczy.

– O, tak. Jeśli się coś zacznie, to... ma pan rację – powiedziała cicho, nieco wystraszona, bo na dnie jego ciepłych, dobrotliwych oczu zamigotał jakiś dziki błysk. Mimo to dodała: – Proszę mi koniecznie wtedy dać znać.

– Dobrze, koleżanko. Obiecuję. – Profesor Krylenko pokiwał głową w zadumie.

Pan Emanuel przyszedł do Victorii dopiero po tygodniu. Stał niezauważony w wejściu do sali, w której siedzieli jego przyjaciele. Pan Andrzej zajął miejsce obok panny Izabeli, pan Kowalczewski vel Siedlecki zachwycał się *Dziennikami włoskimi* Goethego.

– A m-mnie się one nie po-podobają wca-ale. – Pokręcił głową pan Lechosław Lech-Leszka.

– Goethe ci się nie podoba? – Meyerhold uniósł brwi.

– Zu-zupełnie m-mnie to nie prze-przekonuje. O co wła-właściwie w takim ży-życiu i pisa-aniu cho-chodzi?

– Jak to o co? O piękne podróże, o książki, o sztukę i muzykę. O spotkania z antykiem i z kulturą.

– I o kobiety – zaznaczył pan Andrzej z naciskiem.

– O wytworność, elegancję i galanterię – zdołał wtrącić pan Kowalczewski.

– Ale jemu chyba chodzi właśnie o to, że literatura to nie sklep galanteryjny. – Roześmiał się pan Meyerhold.

– Dobrze wiesz, Tadeuszu, że nie o takiej galanterii myślałem – obruszył się pan Kowalczewski.

– Kiedy to akurat dobre słowo, bo galanteria literacka może mieć dwa znaczenia.

– Czyli nie podoba ci się w ogóle forma dziennika podróży? – Pan Kowalczewski zwrócił się znów do pana Lech-Leszki.

– Chcia-ałbym, cze-czegoś w-w-więcej niż na-arcyizmu i he-he-hedonizmu. I uży-żywania ży-życia, bo się jest u-u-uprzywilejo-jowanym.

Można się u-upajać li-litera-raturą, mu-mu-muzyką, po-podróża-żami, mi-miłośćkami, ale prze-e-ecież są wa-ważniejsze spra-a-awy do o-opisywa-wa-wania.

Pan Meyerhold pokiwał głową.

– Ach, znów romantyzm, znów Mickiewicz. Kto tam czegoś nie zaznał za młodu, ten tam czegoś nie pojmie na starość.

– I czym skorupka za młodu...

– Nie kochałeś, nie pojdziesz. Nie cierpiałeś, nie pojdziesz... banialuki!

– A co? Cierpienie niczego nie uczy?

– Nie, nie, nie! – zaoponował gwałtownie pan Andrzej. – Cierpienie niczego nie uczy, no może najwyżej tego, że cierpienie niczego nie uczy. – Zawahał się. – Hm, to byłoby zdecydowanie coś, więc widzę, że nie mam racji, o ile oczywiście cierpienie faktycznie tego uczy, a to nie jest wcale pewne, więc może jednak mam rację.

– Może cierpienie uczy tego, jak próbować je przetrwać? – wtrąciła panna Izabela.

– Nie wiem. – Pan Andrzej spuścił z tonu.

– Mo-może cie-cierpienie u-u-czy też te-tego, jak na p-p-rzyszłość u-unikać cier-cierpienia?

– Szczerze wątpię. – Tym razem skrzywił się pan Tadeusz. – Ale jeśli na gwałt potrzebujecie się czegoś uczyć, to proponuję powrót do szkoły. Też forma cierpienia.

– Muszę zaprotestować – powiedziała panna Izabela. – Ten atak na szkołę jest bezzasadny w kontekście tego, o czym mówimy. Zaraz nastąpi na pewno atak na nauczycielki.

– Nie będę aż tak okrutny. – Pokręcił głową pan Tadeusz. – Ja podziwiam nauczycielki. Sam kiedyś próbowałem uczyć i nic mi z tego nie wyszło. No może tyle, że pojąłem kilka rzeczy, których wcześniej nie mogłem pojąć, i doszedłem do wniosku, że dopiero wtedy się człowiek

porządnie uczy, kiedy się uczy sam, jak jakiegoś barana czegoś nauczyć, jeśli pani mi wybaczy wulgarność...

Panna Izabela roześmiała się.

– W pańskiej postawie dostrzegam nadmierny idealizm. Sama wiem, że nauczyciele zbyt często uważają, że powiedzenie czegoś głośno równa się powiedzeniu czegoś mądrze.

Pan Andrzej zawołał:

– A u nas dzisiaj złota myśl goni złotą myśl. To ja proponuję obalenie jeszcze jednej maksymy, a mianowicie tej, że mądrość rodzi się w bólu. Otóż, nieprawda. A że nie ma dzisiaj Emanuela, mogę spokojnie wygłaszać nihilistyczne poglądy.

– A je-je-jednak...

– Och, przestań. Nie ma żadnego „jednak”. Wiem, co chcesz powiedzieć. A tymczasem źródłem filozoficznej egzegezy i mądrości jest szaleństwo wyroczni delfickiej.

– Po-powiedział m-m-mistrz A-andrzej?

– Raczej Platon. Poczytaj *Fajdrosa*.

– A g-gdzie to m-m-masz w *Fa-fajdrosie*?

– Wystarczy sprawdzić platońskie kategorie manii.

– Wróćmy do Goethego! – zawołał pan Kowalczewski vel Siedlecki, bo nie znał Platona. – W końcu on też porusza ważne kwestie:

*Habe nun, ach! Philosophie,
Juristerei und Medizin,
Und leider auch Theologie
Durchaus studiert...*

Pan Lech-Leszka pokręcił tylko głową.

– N-nie o to mi cho-chodzi wcale.

– A o co? Żeby były jakieś zmagania z ważkimi problemami społecznymi czy politycznymi?

– Że-żeby się w coś a-a-angażować, a nie tylko e-e-eskapizm este-te-te... – I zamilkł, wybałuszywszy oczy.

Pozostali spojrzeli w stronę drzwi wejściowych. Pan Emanuel stał błądy i opierał się o framugę. Nic nie mówił.

Chory? A może rewolucyjnie z kimś pił przez cały tydzień i dlatego tak zmarniał? Bywało tak, choć nader rzadko, że pan Emanuel ani niczego nie głosił, ani rękami świata nie zagarniał, tylko pił, tak po sosnowiecku, czyli na umór. Nie można więc było wykluczyć, że bladość była wynikiem tej przypadłości. Ale uważny obserwator (a artyści są z definicji uważnymi obserwatorami) spostrzegł szybko, że w pana Emanuelowym tkwieniu uparcie we framudze było piętno cierpienia raczej niż wstydlivość kacowa. Jego bladość była z rodzaju męczeńskich.

I słuszne byłoby to myślenie, ponieważ pan Emanuel nie dałby sobie za nic odebrać tej chwili. Był spełnionym aktorem tragicznym i miał przygotowany błyskotliwy monolog życia, miał patetyczny scenariusz swojego wystąpienia. Już się nawet oklaskiwał w tej pięknej roli.

Postąpił kilka kroków, stanął przed stolikiem, powiódł po wszystkich cierpiętniczym wzrokiem (był w tym też słabo ukryty element triumfu). „No, teraz będzie moja chwila, teraz się przekonacie, kto jest moralnym zwycięzcą”.

Wszyscy czekali na pierwsze słowa Emanuela, ale on nic nie mówił, tylko stał.

To było jednak na dłuższą metę nie do wytrzymania; w końcu jak długo można kogoś podziwiać za to, że ładnie stoi? Niektórzy to naprawdę za grosz skromności nie mają. Pan Andrzej zapytał więc z lekkim zniecierpliwieniem w głosie:

– Gdzie ty się właściwie podziewałeś przez cały tydzień?

Właśnie na to pan Emanuel czekał. Na to, by go oskarżono, że pił, że się lajdaczył. Zasłaniając usta dłonią, pokiwał głową.

– Jakaf parfywa finia... – zaczął.

– Po jakiemu ty mówisz? – Pan Andrzej uniósł brwi.

Pan Emanuel starał się artykułować wyraźniej.

– Jakaf ffinia...

– Ffinia?

– Nie „ffinia” – Pan Emanuel zatrząsł się z oburzenia, bo efekt retoryczny był zagrożony. Powtórzył głośniejsze i wolniej: – F-f-inia!

– M-m-mówże wy-wy-raźniej. – Nawet pan Lech-Leszka, sam przecież nie orator, tracił cierpliwość.

– Wiefie dlafego tak mófię? – krzyknął pan Emanuel. – Bo nie mam wębóf! – I dramatycznym gestem odsłonił usta, a nawet rozwarł wargi palcami. Rzeczywiście z przodu brakowało mu trzech zębów w górnej szczęce. – A wiefie, dlafego nie mam wębóf? Bo jakaf – tu dołożył starań, żeby artykulacja wypadła jak najlepiej – f-finia na mnie doniofła. Ffyftko. Policja ffyftko miała farno na białym. Ktof doniof na mnie!

Pan Emanuel usiadł ciężko na krześle.

– Co doniesiono? – zapytał Meyerhold.

– Cała nafa rowmowa. Fprzed tygodnia. – Pan Emanuel postukał palcem w blat.

– Tu?

– Tu.

– Ale kto mógł donieść?

Pan Emanuel wzruszył ramionami. Zapadła cisza. Przerwała ją panna Izabela.

– Ja tydzień temu byłam u rodziców. Czy był z panami ktoś obcy?

– Nie pamiętam, bo się upiłem – mruknął pan Andrzej.

– Był re-redaktor „I-i-iskry” przy są-sąsiednim sto-stoliku – przypomniał sobie pan Lech-Leszka.

– I pianista! – szepnął pan Meyerhold. – Ale poza nimi nikogo nie było w tej sali.

Panna Izabela spojrzała na bladego pana Emanuela.

– No to są tylko trzy możliwości. Albo doniósł pianista, albo ten redaktor, albo...

– Albo? – zapytał pan Meyerhold.

Przeniosła na niego wzrok.

– Albo ktoś z panów.

Pan Meyerhold zachichotał.

– To dobre. – Ale po chwili spowaźniał i dodał: – To byłoby nawet śmieszne, gdyby nie fakt, że Emanuel naprawdę nie ma zębów.

– Panie Andrzeju – odezwała się panna Izabela cichym głosem. – Proszę zobaczyć, czy przed Victorią stoją dorożki. Muszę już jechać.

Pan Andrzej zerwał się na równe nogi.

– Oczywiście. A mogę pani towarzyszyć? Dla bezpieczeństwa. Odstawię panią pod stację.

– Dziękuję. Będzie mi miło. Tym bardziej, że nie mam parasolki, a zanosi się na deszcz.

ROZDZIAŁ 10

VOCO VIVOS, PLANGO SEPULTOS

Kiedy aptekarz Szpigiel pogroził redaktorowi Monsiorskiemu i oznajmił: „Bo jak nie, to felczer będzie musiał palec odjąć”, zapewne kierował się instynktem genialnego sprzedawcy, który wie, czym kogo można wystraszyć.

Cofamy się do roku 1875, w którym nic szczególnie ciekawego nie wydarzyło się na świecie, za to w Sosnowicach owszem, ponieważ z Saksonii przybyli bracia Schönowie i zbudowali pierwszą przędzalnię.

Bez trudu można obliczyć, że w życiu Walerka rok 1875 to pięć lat przed bójką z Chudym. Walerek ma lat siedem. Mama Walerka jest w ciąży. Późną jesienią urodzi się siostra, ale na razie jej nie ma. Podobnie zresztą, jak nie ma jej w roku 1913. Ale nie o tym chciałem teraz pisać.

Pewnej wiosennej niedzieli Walerek z rodzicami odwiedził wujostwo w Siewierzu.

Podczas jazdy bryczką chłopiec nie mógł się nadziwić tumanom kurzu wzbijanym przez kopyta koni. Część tego kurzu osiadała na jego odświętnym granatowym garniturku.

Drewniany dom z małym, starannie utrzymanym ogródkiem stał nieopodal rynku. Ciocia Stefa siedziała na krześle wyścielonym dwoma poduszeczkami i popijała południową herbatę, a wujek Ludwik stał w sieni i ćwiczył na klarncie. Ciotka była od wujka dziesięć lat starsza. Jezus Maria, jaki wstyd! Pół miasta się z Ludwika śmiało, że starą babę sobie

wziął. Jeszcze żeby była majątna, ale gdzie tam. Ani bogata, ani szczególnie ładna. Albo żeby on był ułomny. Ale nie, normalny mężczyzna, łagodny, spokojny, umuzykalniony, nie żaden tam awanturник. Coś mu po prostu do łba strzeliło i nic tylko ze Stefą się żenił będzie. Tłumaczyła matka, tłumaczył ojciec, nie pomagało. „Albo zgodę dacie, albo jej zrobię bachora i będziecie dopiero wstyd mieli”, to był jeden jedyny raz, kiedy Ludwik użył fortelu względem kogokolwiek. Matka się przeżegnała, ojciec wyszedł na podwórko, załkał, zaklął i splunął, a Ludwik postawił na swoim.

Wujek i ciocia mieli dwoje dzieci: Hankę i Henia. Walerek nie lubił Hanki, bo była zezowata i dlatego źle się z nią rozmawiało. Kiedy patrzyła na Walerka, jedno oko uciekało jej w bok – i wtedy chłopiec myślał, że ona coś zauważyła w kącie izby, więc też spoglądał w bok, ale tam nigdy nic nie było, a on zażenowany obiecywał sobie, że drugi raz nie da się oszukać, po czym po chwili dziewczynie znowu oko uciekało, a Walerek wzrokiem podążał za jej zezem. Po prostu nijak nie dało się z Hanką normalnie porozmawiać. Zresztą nie miał i o czym, bo kuzynka była za stara. Miała chyba ze dwadzieścia lat. O czym tu gadać? Jej brat, Heniu, nie był jeszcze stary: miał lat kilkanaście.

To ciekawe, że dla dziecka różnica między młodością a starością zasadza się na kilku latach. Wszyscy powyżej dwudziestego roku życia byli starzy, bo stary i dorosły to jedno i to samo, a Hanka – jako że zezowata – była bardziej stara. W dodatku ciągle Walerka czymś straszyla. „A wiesz, że dusza mieszka w nosie i jakby ci ktoś odciął nos, toby dusza uciekła?”. Albo mówiła na przykład: „A wiesz, że jak pszczoła użądli, to można umrzeć?” i oko leciało jej ostro w bok, po przekątnej izby.

Heniu – chłopiec o wodnistych oczach, spłaszczonym nosie i spiczastych ramionach – marzył, żeby być księdzem. Wujek twierdził, że chłopak jest leniwy i nic z niego nie będzie, nawet na księdza się nie nadaje.

Heniu chodził po kolędzie i Walerek mu zazdrościł. Kiedyś powiedział w domu, że chciałby być ministrantem. „Ale po co?“, zapytał ojciec. Walerek spojrzał na ojca zdziwiony. „Czujesz powołanie?“. „Czy co czuję?“. „Powołanie. Żeby być księdzem“. „Nie“. „To po co chcesz być ministrantem?“. Walerek nie wiedział.

Tego dnia w Siewierzu dorośli chcieli porozmawiać o czymś bez udziału młodszych dzieci, bo mama Walerka powiedziała nagle:

- Idźcie sobie chłopcy na spacer. Taka ładna pogoda.
- Ale gdzie mamy iść? – Walerek się skrzywił. – Tu nie ma gdzie chodzić.
- Heniu...?
- Ale gdzie? – Heniu też wolałby zostać w domu.
- Może pod zamek idźcie.
- E nie, pod zamek to nie, bo tam latają bezpańskie psy. – Heniu pokręcił głową.
- No to ja sama nie wiem, przecież gdzieś możecie iść.

Ojciec Walerka zabębnił palcami po stole. To znaczyło, że nie pomogą żadne grymasy.

Wyszli niezbyt chętnie. Przecięli rynek i minęli kataryniarza, który znudzony kręcił korbką. Na zdezelowanej katarynce siedziała wyliniała kapucynka. Była w tak głębokiej depresji, że gdyby tylko umiała się zabić, na pewno by to uczyniła. Heniu udawał, że nie interesują go jarmarczne rozrywki, więc Walerek też tak udawał. Dowlekli się do kościoła Świętego Macieja.

Stanęli pod biskupią bramą. FULMINA. COMPESCO. VOCO. VIVOS. PLANGO. SEPULTOS. Tak głosił łukowaty napis u góry. Inskrypcji strzegły dwie stiukowe głowy smutnych dzieci. Obie otoczone były imitacją gałązek wawrzynu; ten laur z gipsu i piasku miał im rekompensować brak reszty ciała. Bramę niedawno pobielono: twarze dzieci były blade – policzki wydęte przez gipsowe powietrze, jakby głowy

chciały rozwiać niewidzialne kule puszystych dmuchawców; tępe oczy, których źrenice dawno już temu wyzarło wapno, patrzyły obojętnie w dal; stiukowe usta – ściągnięte i sine – znamionowały okrucieństwo.

– Co to? – Walerek zapytał przerażony.

– Gdzie?

– Tu, na górze.

Heniu zadarł głowę.

– To są dusze nienarodzonych dzieci.

– A czemu takie pucołowate?

Heniu zastanawiał się przez chwilę. Jako przyszły ksiądz powinien wszystko wiedzieć.

– Gdzie pucołowate?

– No, policzki mają takie, jakby miały pełno jedzenia.

Walerek wiedział to i owo na ten temat, bo kiedy rodzice podczas obiadu zmuszali go do czegoś, na co nie miał ochoty, trzymał kęs w ustach między policzkami a zębami. Potrafił tak chodzić z jakimś obrzydliwie tłustym kawałkiem kiełbasy przez kilka godzin, a nawet spać po południu, a kiedy się budził, kęs wciąż tkwił w ustach, a połknąć się go nie dało. Po prostu za nic do gardła nie wchodził. Nie było takiej siły na świecie, która by zmusiła Walerka do przełknięcia salcesonu, galarety z nówek albo czegokolwiek, co w konsystencji było podejrzane. W stosownej chwili można było każde świństwo wypluć do wychodka, gdzie jednak chłopiec nie lubił zaglądać z powodu mnóstwa okropnych taplających się w łajnie robaków.

Heniu po namyśle wytłumaczył Walerkowi.

– Tu jest wszystko w tym napisie. – I przeczytał z księżowską intonacją:

– FULMINA. COMPESCO. VOCO. VIVOS. PLANGO. SEPULTOS.
Wiesz, co to znaczy?

– Co?

– „Jak się nie pomodlisz, to cię zjemy jak kiełbasę”.

Walerek zbladł.

– Na pewno? Nie pomyliłeś czegoś?

– Na pewno. – I powtórzył: – FULMINA, czyli „Jak się”, COMPESCO, „nie pomodlisz”, VOCO VIVOS, „to cię zjemy”, PLANGO SEPULTOS, „jak kiełbasę”. Trzeba się znać na łacinie.

– Sepultos to kiełbasa? – upewniał się Walerek słabym głosem.

– „Kiełbasę”. Tak jest gramatycznie. „Sepultos” znaczy „kiełbasę”, z „ę” na końcu, a „kiełbasa” z „a” na końcu, to by było, no... to by było „sepulta”. Tak „sepulta”. Wiesz, łacińska gramatyka jest cholernie trudna. – Heniu pokiwał głową.

Walerkowi przypomniała się Meduza Gorgona. Miała martwe oczy i włosy jak węże. W książce rodziców, którą czasem oglądał, były ilustracje posągów antycznych bogiń i te boginie, mimo że miały poodrywane ręce i marmurowe oczy, pociągały go, bo były nagie. Problem w tym, że nie umiał książki tak otworzyć, żeby się nie napatoczyć na przerażającą Meduzę Gorgonę, gdzieś pomiędzy Afrodytą a Wenus z Milo. Zupełnie tak, jakby droga do nagich bogiń prowadziła nieuchronnie przez tę twarz okoloną kędziorami z węży.

Pójdzie do piekła, bez dwóch zdań. Albo go zjedzą. Jak kiełbasę.

Od razu mu się też przypomniał pewien straszny człowiek z Sielca, garbaty Musioł. Wyrabiał i sprzedawał psi „szmolec” na wszelkie dolegliwości. Chłopcy wołali za nim „Szmolcarz, szmolcarz, co masz w garbie?”. Albo: „Garbaty, zmiataj do taty!”. Walerek bał się Musioła i nigdy go nie zaczepiał.

Z kruchty kościoła wyszedł ksiądz. W dłoni trzymał książkę oprawioną w czarną skórę, z krzyżem na okładce i złożonymi brzegami. Przeszedł pod biskupią bramą i zatrzymał się na widok chłopców.

– O, Heniu, dobrze, że cię widzę. Matka znowu na ołtarz kwiatów nie przyniosła, co to się dzieje?

Heniu zaczerwienił się.

– Proszę księdza, a mogę mówić szczerze?

– Oczywiście.

– Bo matka się obraziła na księdza proboszcza i powiedziała...
Ksiądz zatkał uszy rękami.

– Dajże spokój, nie chcę nawet tego słyszeć. Nie opowiadaj herezji, jeszcze przy dziecku. Ile ty masz lat, mały?

– Siedem.

– On jest z Sosnowic.

– No, no, mogło być gorzej.

– To mój kuzyn.

– Dobrze, tylko przy dziecku nie opowiadaj, że się matka na proboszcza obraziła. Niech kwiaty przyniesie na ołtarz. – Przycupnął przy Walerku. Zapachniało krochmalem.

– Jak masz na imię?

– Walerek.

– Ładnie. Spójrz mi prosto w oczy i powiedz: kochasz pana Boga?

Walerek zerknął najpierw do góry na zabielmione źrenice pucołowatych aniołów, a potem na uśmiechniętego księdza.

– Kocham.

– To dobrze. Dbaj, synku, o swoją duchowość. Będziesz dbał?

– Tak! – zawołał Walerek przez łyżę.

– Tak! – zawołał Walerek przez łyżę.

– No, no. Cieszę się.

– Bo by mnie zjedli jak kiełbasę, prawda? – Już mu się trzęsła broda.

– Co? Kto by cię zjadł?

– No, pyzaci. Nienarodzeni.

– A któż ci takich bredni naopowiadał? – Ksiądz otworzył szeroko oczy. Heniu wwiertcił czubek buta w trawę. Zielony pasikonik odskoczył jak oparzony.

– No, tam u góry tak napisano.

Ksiądz podniósł wzrok.

– Tu napisano mniej więcej tyle: chronię przed piorunami, wzywam żywych i oplakuję zmarłych. Często się tak pisze na dzwonach kościelnych.
– Podrapał się po głowie. – Nie wiem, dlaczego taka inskrypcja jest nad bramą biskupią.

– I nie ma nic o kiełbasie, proszę księdza?

– Co ty z tą kiełbasą?

– Bo Heniu mi powiedział.

Ksiądz pogroził Heniowi palcem.

– He-niu! He-niu! Ty gałganie.

Spojrzał jeszcze raz na Walerka, który stał, jakby wrósł w ziemię.

– Chodźcie chłopcy, coś wam pokażę.

Ruszyli do sadu. Ksiądz dziarsko kroczył przodem, podnosząc wysoko kolana, za nim dreptał Walerek, a Heniu wbił ręce w kieszenie i zamykał procesję. Żałował, że nie zdążył Walerkowi pokazać niewielkiej kwadratowej tablicy wmurowanej w ścianę przy drzwiach kruchty: „Za dusze zmarłych, Które nie mają żadnego ratunku, Proszę o twoje Zdrowaś Marya. Roku Pan. 1770”. Kamieniarz ozdobił tablicę czaszką z wielkimi oczodołami i skrzyżowanymi piszczelami. To by dopiero Walerkowi w pięty poszło! Ech, niepotrzebnie ksiądz przeszkadza. Heniu zastanawiał się jeszcze, gdzie można by zdobyć takie dłuto do rycia w kamieniu. Mógłby wtedy ozdobić trupimi czaszkami schodki przed domem, tylko może ojciec by się nie zgodził?

– Zobaczcie, jak tu ładnie. – Ksiądz zatrzymał się na tyłach plebanii, strzelił z palców i uśmiechnął się. Była tu pasieka, a w niej przycupnęły drewniane księżowskie ule. Stały koślawo, w chaotycznej gromadce pod starymi jabłoniemi, jak domki krasnoludków zbudowane przez niezbyt zdolnego cieślę. Tu wyszczerbiona ściana, tam wykrzywiony daszek: zbite w prosty sposób z deszczulek; pod daszkami miały wywiercone otwory.

– Ładne kolory – westchnął Walerek.

– Sam malowałem – pochwalił się ksiądz.

To co było najbardziej urokliwe w ulach, to ich pastelowe barwy. Widać, że były malowane z uczuciem, że mimo nieudolnej stolarki farbę nałożono na warstwy deszczułek z dbałością. Stały więc ule, pękate, w soczystej zieleni parafialnego sadu: jedne seledynowe, inne błękitne, to znów żółte albo wręcz w kolorze miodu, to brązowe, to nie wiadomo jakie.

– Dlaczego każdy jest inny?

– Żeby pszczoły mogły odnaleźć swoje domy.

Drzewa owocowe, których krzywe, pochyłe pnie starannie pobielono, zwiesiły nad ulami sękaty gałęzie. Kwiaty jabłoni i liście utworzyły baldachim nad pasieką, ocieniły kolorowe domki, a sad nappełniły odurzającym zapachem. Pszczoły nie musiały daleko latać: ciężkie, pijane, rozleniwione ciepłym dniem kręciły się wokół gałęzi tuż nad ulami.

Z pobliskiej szopy ukrytej za drzewami obsypanymi kwieciami wyszły trzy owce, jedna za drugą. Nie były jeszcze strzyżone; wełna wisiała na nich brudnymi płatami. Walerek pomyślał, że niestrzyżona owca wygląda jak brunatny, miękki obłok na czterech nóżkach. Przez ten obłok przebijał chudy łeb i spoglądał na Walerka z zaciekawieniem: różowe obwódki ciemnych oczu, jasnoróżowe nozdrza i najbardziej różowe ze wszystkiego wnętrza uszu. Za dwójką owiec biegło jagnię, czyściejsze znacznie od starszych owiec, bo jeszcze nie zdążyło się w życiu zapaskudzić. Stare zwierzęta zatrzymały się pod drzewami i patrzyły w kierunku ludzi, ale jagnię zajęte było wyłącznie wachaniem matczynego ogona. Niemal cały łeb wsadzało pod brudny chwost i mogło się wydawać, że wyłącznie w tym celu przytruchtało za starą owcą, by móc spokojnie się nasycić ciepłą wonią jej zada.

– A czego w Sosnowicach jest najwięcej? – zapytał nagle ksiądz.

– To zagadka? – Walerek spojrzał na niego pytająco.

– Żadna zagadka – wtrącił Heniu. – Po prostu ksiądz pyta, czego jest najwięcej. No nie wiem... domów, koni... gołębi? Rozumiesz?

Walerek pokiwał głową i zaczął rozmyślać.

– Liter – powiedział po dłuższej chwili i spojrzał na księdza niepewnie.

– Liter?

– Tak. Najwięcej jest liter. Na sklepach, na szyldach, na słupach z afiszami... – Zawstydział się, ale dodał jeszcze cicho: – Wszędzie.

Ksiądz pogłaskał go po głowie.

– To ładna odpowiedź. Ale teraz, chłopcy, muszę was zostawić, bo mam tu na plebanii parafianina, z którym trzeba poważnie porozmawiać. – Pogroził Heniowi żartobliwie palcem i poszedł gdzieś w swoich sprawach.

– No, i co z twoją kiełbasą? – Walerek spojrzał na Henia krzywo, kiedy wracali przez sad w kierunku bramy.

– E tam. Widział, że się boisz, to cię chciał pocieszyć. – Heniu pokiwał głową. – Sprawy religijne są bardzo skomplikowane.

– Naprawdę?

– A co ty myślisz? Wiara w Boga jedyne... No ja po prostu nie pojmuję. Nie macie lekcji religii w tej waszej szkole, czy co?

– Mamy. Ale to jest tak, że ksiądz opowiada historie z Nowego Testamentu, a potem rozdaje ryciny, które w domu wkleja się do kajetu.

Heniu parsknął jak koń.

– Ryciny! Ja mówię o teologii, rozumiesz? A jakież to ryciny wklejacie?

– Otworzył bramę ogrodu i kuzyni wyszli na ulicę.

– Na przykład ostatnio był narysowany Jezus miłosierny z sercem na brzuchu i takimi strzałami od serca we wszystkie strony. I pod spodem był wydrukowany napis: „Bóg jest miłością”. I ksiądz zadaje prace domowe. Że trzeba ten obrazek pokolorować. No i się maluje niebo na niebiesko i tego jest najwięcej, bo to prawie na całym obrazku, potem Jezusa szaty się nie maluje, bo jest biała, ale ręce i twarz się maluje na różowo. I stopy. A sandały i włosy, i brodę na brązowo. Aha, oczy na niebiesko. Serce – czerwone, strzały od serca na złoto. Jak jest podpis pod obrazkiem, to trzeba go przepisać ładnie na następnej stronie w kajecie pięćdziesiąt razy. Czyli Bóg jest miłością pięćdziesiąt razy.

– Że co?

– No tak. Bóg jest miłością Bóg jest miłością Bóg jest miłością Bóg jest miłością Bóg jest miłością Bóg...

– Aha.

– No. Tylko, wiesz, musi być równo, porządnie wykaligrafowane. Na następnej lekcji ksiądz sprawdza kajety. Czy ładne kolory, czy Jezus niezasmarowany, czy się kredką za linie nie wyjeżdżało, bo wtedy popełnia się grzech niechlujstwa, czy Bóg jest miłością pięćdziesiąt razy i czy jest szlaczek na końcu. Jak ksiądz wszystkie zeszyty sprawdzi, to pyta z katechizmu. No, jeszcze są różne modlitwy. Potem ksiądz rozdaje nowe ryciny i opowiada jakąś historię z *Żywotów świętych*. To źle?

– Nie wiem, czy źle. Ale na przykład nie mówi wam nic o karach na grzeszników? Albo o tym, że jak ktoś kocha ojca i matkę bardziej niż Pana Boga, to będzie się w piekle smażył?

Walerek stropił się.

– No coś ty? Jak można kochać Pana Boga bardziej niż mamę albo tatę? To przecież niemożliwe.

– Ale tak musi być. Tak jest w Biblii. Tylko że takim małym łebkom jak ty to się tego nie mówi. Sam widzisz, że ksiądz dzisiaj też cię nie chciał straszyć. Z tą kiełbasą. Zresztą ten ksiądz to tak za bardzo nie wie. Jakbyś zapytał proboszcza, toby ci powiedział. – Heniu kopnął kamyk. – Proboszcz jest najważniejszy, wiesz o tym?

Walerek pokiwał głową.

– No. – Heniowi poprawił się humor. – W dodatku nasz proboszcz to jest olbrzym. Jest taki wielki, że się ledwie pod powałą mieści, a gruby jest jak... – Zastanawiał się przez chwilę. – No, gruby jest jak krowa. Chodzę z nim po kolędzie i zawsze muszę gospodarzy uprzedzić, że ksiądz dobrodziej prosi, żeby mu przygotować zwykły drewniany zydeł, a nie żaden miękki fotel. A wiesz, czemu on nie chce w fotelu siadać?

– Dla postu?

– Akurat, dla postu. On się z fotela nie może wygramolić. Nogami wywija w powietrzu i nie może wstać. Ja to raz widziałem. Cała rodzina go z fotela wywlekała.

Heniu zacisnął wargi, a potem je otworzył w taki sposób, że z jego ust wydobył się dźwięk strzelającego korka od szampana.

– Umiesz tak?

– Pokaż jeszcze raz.

Heniu pokazał kilka razy. Walerek zaczął poruszać wargami jak ryba łapiąca powietrze, ale nie udało mu się wydobyć odpowiedniego dźwięku.

– Nie umiem – przyznał. Ale właściwie teraz interesowało go coś innego.

– Ale to tylko mamy i taty nie można kochać więcej niż Pana Boga? Czy w ogóle nikogo?

– W ogóle. Nikogo. Najbardziej Pana Boga, a potem wszystkich.

No i masz ci los. Kolejny kłopot. Bo Walerek nie tylko tatę i mamę kochał zdecydowanie bardziej niż Pana Boga jedyne go w niebie, ale w dodatku jeszcze chyba Kasię Jeżewską też.

Dziewczynka mieszkała z matką w domu po sąsiedzku, czytała książki, umiała śpiewać i malować. Kiedy Walerek przychodził do koleżanki, jej matka, pochylona nad tamborkiem, liczyła igłą ścięgi, szereg po szeregu, bezgłośnie poruszając wargami. Kasia siedziała na podłodze w sukience z perkalu i bawiła się włóczkowymi lalkami. Albo malowała akwarelkami kwiaty polne i trawy. Miała w puszcze pięknie zastrugane kredki oraz ołówki i potrafiła nimi narysować całą łąkę ukwieconą jaskrami, firletkami, złocieniami, krwawnikami i chabrami. Walerek podkochiwał się w tej małomównej dziewczynce, a najbardziej podziwiał jej oczy, szeroko otwarte i ciemne. Sam nie umiał rysować, więc bawili się razem w guziki. Na dwa złączone taborety wysypywało się z wielkiej skrzynki całą górę guzików, a było ich tam chyba ze sto albo z tysiąc, różne kształty, różne kolory, duże i małe. Niektóre miały dwie dziurki, a inne cztery. Dzieci

siadały na podłodze i każde z nich wybierało sobie swoje guziki. Później następowała wymiana i ta zabawa mogła trwać całymi godzinami. A Walerek był szczęśliwy. No i jak można Pana Boga kochać bardziej niż Kasię? Czy z Panem Bogiem można się bawić w guziki? Czy można z nim oglądać książki z obrazkami? Albo posłuchać, jak śpiewa piosenki?

Sytuacja w domu wujostwa nie rozwinęła się najlepiej.

Pierwszy zmarł wujek Ludwik. Szedł z orkiestrą i grał na pogrzebie, kondukt z trumną dotarł mniej więcej do połowy drogi między kościołem a cmentarzem i już skręcali koło kapliczki na pagórku na ostatni prosty kawałek gościńca, kiedy wujek się przewrócił. Czapka spadła mu z głowy, klarnet wypadł z rąk i zrobiło się zamieszanie, bo szyk orkiestry szlag trafił. Koledzy rzucili instrumenty i nachylili się nad Ludwikiem. Czoło pogrzebu z trumną sunęło dalej ku cmentarzowi, bo co to nieboszczyka obchodzi? To jednak jest jego uroczystość. Środek konduktu, czyli orkiestra w otoczeniu porozrzucanych instrumentów, zajmował się powalonym klarncistą, a żałobnicy zamykający kondukt musieli obchodzić orkiestrę, tak jak woda strumienia opływa głąz, z obu stron, i potem musieli przyspieszać kroku, żeby dogonić trumnę. W każdym razie wujek umarł tam, na tym gościńcu. Zawołano Henia i Hankę, bo to nie było daleko. Hanka waliła ojca pięściami po brzuchu, żeby nie umierał, a Heniu – wówczas już Henryk właściwie – patrzył oniemiały. Któryś z członków orkiestry klęczał i trzymał głowę Ludwika na kolanach. Inny próbował mu zamknąć powieki, a jeszcze inny poprawić fryzurę, bo wujek zaczesywał sobie rzadkie włosy znad ucha przez całą czaszkę aż nad drugie ucho, a kiedy się przewrócił i czapka mu spadła, to włosy żałośnie się odkleiły i zwisały nad uchem. Niestety, próba zaczesania na nic się zdała, coraz gorzej to wyglądało, więc w końcu kolega z orkiestry po prostu włożył nieboszczykowi czapkę z daszkiem na głowę i tak to wujek Walerka leżał martwy, w mundurze i czapce, z głową na kolanach towarzysza, orkiestra tłoczyła się wokół, instrumenty kurzyły na ziemi, kondukt pogrzebowy

oddalał się bez orkiestry (ktoś będzie musiał to uregulować, bo tamten nieboszczyk miał zapłacone za pogrzeb z orkiestrą, a nie za pogrzeb z orkiestrą tylko do kapliczki), Hanka spazmowała, Heniu patrzył i zaciskał dłonie, a i tak już było na wszystko za późno.

Ciocia Stefa, starsza od Ludwika, umarła trzy lata później.

Hanka i Heniu nadal mieszkali w małym domu przy rynku. Hanka znalazła pracę w warsztacie zabawek. Miała doszywać lalkom oczy z paciorków i ręce z gałganków. Tyle że coraz gorzej jej to szło. I to nie dlatego, że była zezowata. Powód jej nagłej nieudolności najlepiej znała skrzyneczka umieszczona w kościele Świętego Macieja, przeznaczona na intencje odczytywane podczas nowenny. Hanka po kilka razy dziennie wrzucała do niej niewprawną ręką pisane intencje: „Panie, Ty znasz moje uczucia. Co ja mam z nimi zrobić, kogo pokochać, z kim ułożyć sobie życie? Ja pragnę założyć rodzinę. Kochałam M., ale on odeszedł. Panie, proszę, rozwiąż tę sytuację. Postaw na mojej drodze innego mężczyznę, którego pokocham”.

Tymczasem lalki nie miały oczu, nie miały rąk albo miały wszystkiego za dużo: troje oczu, troje dłoni albo dwie ręce wyrastające z tego samego boku. A Hanka do skrzyneczki i kolejny list do Pana Boga: „Panie, nadal kocham tego człowieka. Jeśli te uczucia nie są zgodne z Twoją Wolą, proszę ulecz je i spraw, abym pokochała innego mężczyznę”. Tego samego dnia Hanka dorzuciła dla Pana Boga dodatkowe wyjaśnienie: „Panie, Ty znasz moje serce. Wiesz, kogo kocham, za kim tęsknię. Panie, jeśli to nie jest Twoja Wola, weź ode mnie to. Proszę. Postaw na mojej drodze mężczyznę, z którym ułożę sobie życie”. Po wieczornej mszy postanowiła Bogu jeszcze coś wyłuszczyć: „Tęsknię za tym człowiekiem. Wybacz mi, Panie”. I żeby wszystko było jasne między nią i Panem, dopisała na odwrocie intencji: „Boże, Ty wiesz, co ja mam w sercu, proszę, rozwiąż tę sprawę”.

Mniej więcej tydzień później wszystkie lalki, które Hanka zszywała, miały po dwie lewe ręce. A kartki z intencjami, coraz rozpaczliwsze, łądowały jedna za drugą w puszcze. „Panie Boże. jaka jest Twoja Wola wobec mnie? Popełniłam wiele błędów przepraszam, straciłam człowieka, którego pokochałam. Z kim teraz mam ułożyć sobie życie”. „Panie, jeśli Twoją Wolą jest, abym była matką, postaw na mojej drodze mężczyznę i miej w opiece i daj Wieczny Odpoczynek Mojemu Tacie i Mojej Mamie”. „Chciałabym już w niedługim czasie być matką!”.

W pracy spod dłoni zezowatej Hanki zaczęły wychodzić prawdziwe lalczone maszkarony, a skrzyneczka w kościele puchła od intencji. „Panie, daj mi moc łaski, abym nie wyparła się Ciebie i abym wytrzymała w dobrym”. „Panie, Ty wiesz, jaka niemoc jest w moim sercu, ratuj mnie. Potrzebuję rodziny, proszę Cię, postaw na mojej drodze życia mężczyznę, którego pokocham, z którym ułożę swoje życie. Kochałam M., ale on odszedł, spraw, aby był szczęśliwy z inną kobietą. Ty wiesz, że on już nigdy nie wróci do mnie, dlatego proszę Cię o nową miłość w moim życiu”.

Hanka z hukiem wyleciała z pracy. Karteczki zniknęły, Hanka zniknęła, a po kilku latach pojawiła się Hanka i pojawiły się karteczki: „Panie, skończyłam z niechlubnymi czynami... Chciałeś, abym skończyła z... i tak się stało. Proszę Cię, miej w Opiece moje koleżanki, które oddaliły się od Ciebie i żyją w nieczystości. Popełniłam wiele błędów, ale ja już zamknęłam drzwi do przeszłości. Czeka na mnie tak wspaniała przyszłość z Tobą, Panie”.

Parę lat później Hanka zwariowała. Kilka razy dziennie stawała na schodkach przed domem, a kiedy ktoś akurat przechodził, krzyczała: „O jak mnie mendy gryzą!”, po czym wybuchała piskliwym śmiechem i uciekała. Zabrali ją do domu wariatów. Wróciła podleczona, ale wciąż lubiła stać na schodkach. Zakładała słomkowy kapelusz z wielkim rondem i śpiewała zdartym głosem arie operetkowe, wdzięcząc się z wysokości trzech kamiennych stopni do przechodniów. Ludzie zatrzymywali się czasami,

stali przez chwilę, uśmiechali się z zażenowaniem i szli dalej. Tak czy owak był to znaczący postęp leczniczy: zamienić okrzyki o mendach na arie operetkowe.

Po kolejnym pobycie w szpitalu Hanka wróciła zdrowa. Nie wiadomo, co jej tam zrobili, ale poza zezem nic jej już nie dolegało.

Ach, i jeszcze Heniu. Dostał się do seminarium, ale po roku go wyrzucili. Nie został księdzem, ale został podglądaczem, oczywiście dopiero po tym, jak Hanka wróciła na dobre ze szpitala. Miał swój honor. Siostrę mógł podglądać, ale wariatki – nie. Wyspowiadał się z tego kiedyś nawet i wyjąkał wśród grzechów: „Jestem podglądaczem”. Oczy księdza błysnęły zza kratki konfesjonału. „W sensie nieczystym?”. „Tak, ojcze wielebny, w sensie”. Heniu spocił się i zaczął żałować, że się przyznał. A nuż to nie grzech? „Kogo podglądasz?”. „Starszą siostrę”. „A ile siostra ma lat?”. „Czterdzieści”. Chwila ciszy. „Gdzie ją podglądasz?”. „W kąpieli”. „Sprawia ci to przyjemność?”. „Tak”. „Inne kobiety też podglądasz?”. „Nie”. „Siostra wie, że ją podglądasz?”. „Nie wie”. „A gdzie się kąpie?”. „No, w balii. W izbie”. „A ty co? Przez dziurkę od klucza?”. „Yhy...”. „I dużo widzisz?”. „Yyy, to zależy, gdzie balia stoi”. „A kto balię do izby wnosi?”. Strugi potu lały się Heniowi po twarzy. „No... ja”. „Nie rób tego więcej, synu, bo to straszny grzech. Okropny występek”. „Dobrze, ojcze wielebny, nigdy już, nigdy”. „Czytać umiesz?”. „Umiem”. „W ramach pokuty, codziennie przez miesiąc czytaj urywki z *Żywotów świętych*”.

Czytał. Nie przez miesiąc, tylko przez całe lata.

Ostatnio pan Walerian odwiedził Henryka i Hankę latem 1912 roku. Jechał na Jasną Górę i postanowił po drodze wstąpić do kuzynostwa, dowiedzieć się, co u nich słychać, zobaczyć, czy sobie jakoś radzą. Kolej do Siewierza nie prowadziła, więc pan Walerian najął chłopa z furmanką.

– No prędzej bym się śmierci spodziewała, Walerek, niż tego, że cię dzisiaj zobaczę. – Hanka na jego widok złapała się za głowę.

– Ho, ho, toś mnie, Haniu, powitała szczerze. – Roześmiał się redaktor Monsiorski. – Do Częstochowy jadę. Pomyślałem, że do was zajrzę. Zobaczę, co słyhać.

– A niewesoło, niewesoło. Bo też wszystko jak się u nas odmienia, to zawsze na gorsze, a nigdy nie na lepsze.

– Wiadomo, takie już życie. – Pan Walerian pokiwał głową.

– Zachodź do środka, nie stój w sieni. Zjesz z nami zupę? – zapytała Hanka, spoglądając na jego lewy but.

– Ale ja tak zniecka do was wpadłem, nie chciałbym czynić subiekcji...

– Dajże ty spokój, Walerek, co tak po miastowemu gadasz? Jaka subiekcja? Bynajmniej. Chodź do stołu, zupy zjesz...

– Może troszeczkę, jeśli...

– Akurat nagotowałam wodzianki, bo Henryk lubi.

– Tak, tak, oczywiście. Dziękuję.

Pan Walerian odetchnął z ulgą. Dobrze, że nie grochówka. Hanka gotowała grochówkę z taką ilością majeranku, że pana Waleriana przyprawiało to o mdłości. Miał wrażenie, że je zupę z terpentyną i wszystko rośło mu w gardle. W wodziance Hanki, czyli połamanym suchym chlebie zalany wrzątkiem, nie było majeranku. Była sól, podsmażona cebula i może trochę smalcu.

Henryk przyczłapał do izby. Nadal miał płaski nos, wodniste oczy i spiczaste ramiona – są atrybuty, które w życiu się nie zmieniają – ale teraz już niemal dokumentnie wyłysiał. Tylko z tyłu głowy i nad uszami miał wianuszek włosów. Ubytek owłosienia rekompensował sobie solidnymi bokobrodami à la Franciszek Józef. Chyba nikt w Siewierzu nie miał takich bokobrodów jak on. Poza tym na policzku wyrosła mu duża brodawka. Wiadomo, kto się starzeje, ten parszywieje.

– Ty do Częstochowy, a ja już myślałem, że na wesele prosisz. – Uśmiechnął się krzywo.

– Najpierw ty mnie zaproś – odciął się pan Walerian. – Starszy jesteś, pierwszeństwo masz.

– To ja w takim razie pierwszeństwo Hance oddam. Ona jest jeszcze starsza.

– Mnie się już w życiu nic nie przydarzy. – Hanka machnęła ręką. – Wam pewnie też już nie. Może Walerkowi prędzej, ale my tu, Henryk, już jak dwa kalosze zostaniemy sami.

– Taaa... – zasepił się Henryk. – Nam się już skończyło. Powspominać najwyżej można, choć tam i nie ma czego.

Chwileczkę. To mnie, jako autora, prowokuje. Że też ciągle mi któryś bohater z czymś takim wyskoczy. Jak nie redaktor Monsiorski z pytaniem: „Dlaczego ja?”, to Heniu z tym swoim: „Nam się już skończyło”. Kiedy właściwie następuje ten moment, że wiadomo, iż najważniejsze wydarzenia w życiu ma się już za sobą i można spokojnie zasiąść do pisania autobiografii? Widać, że nie chodzi mi o Henia, bo przecież on autobiografii nie ma po co pisać. Szczęśliwi ci, którzy potrafią ten moment trafnie wskazać. Mniej szczęśliwi ci, którzy nie potrafią wyznaczyć sobie precyzyjnie chwili, od której można zacząć porządkować wspomnienia, opisywać własne życie, potem je sobie odczytać i dopiero umrzeć, wiedząc, że ta opowieść jest zakończona i bardziej lub mniej logicznie doprowadzona do sensownego ostatniego rozdziału. Pewnie dobrze byłoby założyć, że będzie się żyło na przykład dziewięćdziesiąt lat w zdrowiu i dobrej kondycji umysłowej, i tak mniej więcej koło siedemdziesiątki zacząć się ze sobą rozliczać jako z własnym bohaterem literackim. Tyle że wszystkie takie kalkulacje obarczone są wielkim ryzykiem. Zbyt wielkim. Więc nawet, jeśli, powiedzmy asekuracyjnie, zacznie się tak myśleć w wieku pięćdziesięciu pięciu lat (jak widać odsuwam od siebie ten kielich goryczy, jak powiedziała by pan Andrzej za Jezusem), to ryzyko i tak istnieje. Było wielu, którzy się przeliczyli. Nie zdążyli uporządkować dokumentów, przedstawić na piśmie własnego oficjalnego scenariusza. Albo wręcz

przeciwnie: wszystko to zrobili, a potem, w jesieni życia nagle im się przydarzyło coś ważnego, coś wielkiego i cała ta budowla – zapisana i poddana refleksji jako logiczny, ale zakończony ciąg zdarzeń – posypała się jak domek z kart. W którym momencie znajdował się pan Walerian w roku 1912, na kilkanaście miesięcy przed wydarzeniami z 28 czerwca 1913 roku? Nie wiem. A jeśli wiem, to i tak teraz nie odpowiem.

Ech, Heniu, udało ci się, nie ma co.

– Na noc zostaniesz, Walerek?

– A zostanę, jeśli macie mnie gdzie położyć. A jak nie, to pójdę do zajazdu w rynku.

– No, mamy dwa łóżka, to ci oddamy jedno, a ja się z Hanką w drugim położę. Jedna noc, co to jest?

Pan Walerian zawahał się i spojrzał najpierw na Henryka, potem na Hankę.

– Ale...

– Zostań, zostań. – Hanka też go namawiała. – Jak chcesz, to wieczorem też może być wodzianka.

– No, no, nie tylko wodzianka, bo jakąś wódeczkę mam ze sobą, to sobie trochę pogawędzimy.

„Z jednej strony”, pomyślał pan Walerian, „jakoś tak nie wypada łóżka im zabierać, poza tym czy to stosowne, żeby brat z siostrą, dorośli, pod jedną pościelą leżeli? Ale z drugiej strony – przecież skoro razem mieszkają, to, jak będą chcieli w jednym łóżku spać, co noc mogą to robić i kto im zabroni?”. W dodatku redaktor Monsiorski nie przepadał za zajazdami. Kiedy ostatnio gdzieś się zatrzymał na noc, zmęczony po całym dniu podróży, szybko spuścił ciężkie rolety, zgasił lampę i położył się do łóżka o dziesiątej wieczorem, nagle zza ściany zaczęły dochodzić kobiece jęki, najpierw ciche, potem coraz głośniejsze. Kobieta nic nie mówiła, tylko pojękiwała regularnie, a że wezgłowie łóżka pana Waleriana było przy ścianie, a i w sąsiednim pokoju musiało być łóżko przysunięte do tej samej

ściany, pan Walerian miał wrażenie, że jego głowa jest może o metr od głowy tamtej kobiety, której jęki były coraz dłuższe i coraz głośniejsze. Mężczyzny nie było słychać. Zresztą całe szczęście, bo to i tak było nie do wytrzymania. A swoją drogą, co ten mężczyzna wyrabiał, że go nie było słychać, a ta kobieta tak jęczała? Pan Walerian nie mógł, nie chciał, nie potrafił tego słuchać, krępowało go to, ale w ścianę nie wypadało stukać, bo to jeszcze bardziej krępujące przecież, więc próbował wszystkiego: zamykał oczy, zatykał uszy, ale potem ręce go już bolały, palce mu cierpły, więc odtykał uszy w nadziei, że już te jęki ustały, no przecież, do ciężkiej cholery, ileż można? No, ileż można? Ale gdzie tam. Coraz dłuższe aaach... aaaach... Jak kotka w rui. O mój Boże, to jest nie do zniesienia, powinno być zabronione, pan Walerian fizycznie wręcz cierpiał, tak bardzo pragnął, żeby oni już przestali, żeby ona przestała wreszcie, żeby on już jej dał spokój, bo wyobrażał to sobie, a nie chciał, czuł, jakby podglądał, może nawet to podsłuchiwanie było jeszcze gorsze, bo słuch jest bardziej nieustępliwy niż wzrok. Kurczowo łapał kołdrę, czuł pulsowanie krwi w policzkach i w uszach. Rany boskie, kobieto, nie jęcz już. Miej litość nad sąsiadem zza ściany. Nazajutrz, kiedy schodził na śniadanie, modlił się, żeby nie spotkać żadnej podróżującej pary, bo wiedział, że zaczęłyby się czerwienić, że spoglądałyby na kobietę ukradkowo, trochę z wyrzutem, trochę z zainteresowaniem, spoglądałyby na jej towarzysza podróży z niechęcią i zazdrością, no bo jak on tego dokonał, że ta kobieta tak długo jęczała?

– Zostanę na noc, Haniu, zostanę – powiedział pan Walerian. – Dziękuję. Nie lubię spać w zajazdach.

Kiedy nazajutrz wyjeżdżał z Siewierza w dalszą drogę do Częstochowy, Hanka wyszła za nim aż na ulicę.

– Zajeżdżaj do nas częściej. Dobrze tak się spotkać... tak porozmawiać... po naszymu...

– Tak, tak, masz rację...

– Rzadko zajeżdżasz...

– Prawda, prawda. Ale wiesz, jak to jest. Pracuję dużo. Posłuchaj, Haniu, a może potrzebujecie pomocy ode mnie? Może wam brakuje pieniędzy, to ja spróbuję jakoś, spróbuję coś... – pan Walerian spąsował.

– Nie, nie, Walerek, jedź z Bogiem, my tu sobie z Henrykiem dajemy radę. Tylko nas odwiedzaj czasem.

W roku 1913, tego wieczoru, kiedy pan Walerian moczył nogi w mydle Schicht, żeby felczer nie musiał palucha odjąć, Henryk kładł się spać. Na stoliku w jego sypialni leżała tylko jedna książka: *Kalendarz wieczysty czyli żywoty świętych na każdy dzień w roku* Antoniego Ćwiklińskiego, wydane w 1886 roku w Poznaniu.

A Hanka siedziała w kącie największej izby, zezując na boki. Od czasu do czasu powtarzała wierszyk, który wyczytała gdzieś na figurze przydrożnej: „Florianie Święty, Do nieba wzięty, Od ognia patronie, Miej to miasto w swej obronie”.

ROZDZIAŁ 11

B

Pani Jadwiga przygotowała sobie kieliszek absyntu. Kończyła odcinek powieści do druku na kolejny tydzień i, stojąc przy sekreterze, jeszcze raz przeczytała ostatni akapit, w którym w imieniu bohaterki napisała list miłosny do niecnego hrabiego o kruczym wąsiku. „Gdyby Pan wiedział, Hrabio, ileż razy zaczynałam do Pana pisać, ileż razy, i tylko dwa z tych listów wysłałam, a zapisane kartki wędrowały do kosza. Paraliżował mnie strach, że to, co mam do powiedzenia, zupełnie Pana już nie interesuje, że nie jest to warte Pańskiej uwagi. Byłam przerażona tym, co się ze mną dzieje, a słowa, o ile kiedykolwiek były mi choć trochę posłuszne, zbuntowały się nagle. Bardzo mi trudno to wyrazić, nie wiem, czy w ogóle powinnam pisać, ale nie potrafię już dłużej dusić tego w sobie. Podobno rozłąka z przyjacielem pozwala przekonać się, co jest nam w nim najdroższe, co najbardziej w nim kochamy, czego nam najbardziej brakuje. Ja przekonałam się, nie po raz pierwszy zresztą, że najdotkliwiej tęsknię za... całym Panem. Czytam po raz kolejny Pański list i usiłuję przekonać sama siebie, że ktoś taki jednak gdzieś jest. A może był, może już tylko ja o tym pamiętam. Czekam z utęsknieniem na coś od Pana (błagam, proszę pisać tak często, jak tylko Pan może, albo raczej ma ochotę...), czekam, czekam... Że tęsknię, nie powiem już ani słowa, przecież trzy czwarte listu jest właśnie o tym. Całuję Pana, Hrabio...” – no właśnie, i co dalej? Pani Jadwiga nie mogła się skupić na liście do hrabiego, bo spieszyła się do

redaktora Monsiorskiego. Chciała mu coś ważnego pokazać, a tymczasem wypadłoby też zanieść gotowy odcinek.

Spojrzała na zegar. Miała jeszcze godzinę.

Wzdrygnęła się. W progu pokoju ktoś stał. To jej matka weszła po cichu, nie pozwalając się nawet wprowadzić („Zapowiem panią”, zawołała Zosia, widząc, jak pani Zimorodziec sunie prosto z ciemnej sieni do salonu pani Jadwigi. „Nie trzeba”, burknęła i nawet nie zwolniła kroku. „Ale...”. „Zajmij się swoimi sprawami, dobrze? Głupia gęś. Jeszcze tego brakowało, żebym się zapowiadała u własnej córki”). Za panią Zimorodziec sunął intensywny zapach wody kolońskiej i medykamentów.

Stała teraz w drzwiach salonu. Siwe włosy miała zaczesane gładko, mięśnie twarzy napięte, jakby zaciskała zęby. Zdejmowała rękawiczki, palec po palcu.

– Przyszłam nie w porę? – burknęła, widząc minę pani Jadwigi.

– Nie, nie. Tylko trochę się wystraszyłam. Czemu Zosia cię nie wprowadziła, mamu? Nie odebrała kapelusza i rękawi...?

Pani Jadwiga ciałem zasłoniła sekretkę, gdzie stała butelka z absyntem i pusty kieliszek.

– Może zaproponujesz mi chociaż herbatę? Czy mam tak sterczeć w drzwiach? – Matka spojrzała na córkę obrzękłymi, zaczerwienionymi oczami.

– Mamu... proszę cię... Wprawdzie wychodzę za pół godziny, ale herbatę zdążymy wypić... Zosiu! – krzyknęła w stronę kuchni, nie ruszając się z miejsca.

– Jestem, proszę pani. – Dziewczyna, ubrana w skromną szarą suknię w granatowe prążki i fartuszek, spojrzała na starszą panią stojącą wciąż w progu salonu i jej córkę w drugim końcu pokoju. Podeszła do chlebobawczyni i dygnęła.

– Przepraszam, ale muszę stąd wyjąć talerzyki.

– Dobrze, Zosiu. – W sekreterze nie było żadnych talerzyków. – I przynieś nam dwie filiżanki herbaty.

– Już w tej minucie. Mam właśnie wrzątek. I zrobiłam galaretkę z jabłek, to może też podam?

– Świetnie. Zje mama galaretkę?

Pani Zimorodzik wzruszyła ramionami.

Matka i córka usiadły przy okrągłym stoliku na krzesłach obitych kwiecistym kretonem. Pani Jadwiga kątem oka zerknęła w stronę okna. Butelka absyntu i kieliszek zniknęły z sekretery.

Zosia zdjęła koronkową serwetę ze stołu, pobiegła z nią do kuchni, wytrzepała nieistniejące okruszki nad wiadrem z węglem, wróciła, rozłożyła serwetę, przyglądając ją swymi czerwonymi, wiejskimi dłońmi, po czym przyniosła na miedzianej tacy dwie filiżanki z parującą herbatą.

– Prosto z samowara – powiedziała.

Bała się pani Zimorodzik, więc srebrne łyżeczki pobrzękiwały lekko, kiedy układała je na talerzykach.

– Już niosę galaretkę – dodała i wybiegła.

Matka pani Jadwigi wypiała kilka łyków ostentacyjnie szybko.

– Niech się mama nie poparzy.

– No, skoro tak się spieszysz...

– Aż tak się nie spieszę.

Zosia wniosła dwie salaterki z galaretkami jabłkowymi. Pani Zimorodzik odstawiła filiżankę i podejrzliwie powąchała salaterkę.

– Świeże to jest?

Pani Jadwiga zaczerwieniła się.

– Oczywiście.

– Bo mnie szkodzi wszystko, co jest nieświeże.

– U mnie w domu nie zje mama nic nieświeżego.

Pani Zimorodzik bacznie przyglądała się galaretkom, nie tknęła jej jednak.

– Myślałaś już o pomniku dla Alojzego? – spytała nagle.

Pani Jadwiga uniosła brwi.

– Chyba jeszcze na to za wcześnie. Od pogrzebu minęły trzy miesiące.

Pani Zimorodziec oderwała wzrok od salaterki.

– Jak rok po śmierci nie postawisz pomnika, to ludzie cię wezmą na języki.

– Ale teraz jest dopiero koniec września.

Matka pani Jadwigi sięgnęła do torebki.

– Spójrz na to. Dostałam od znajomej. W sam raz na pomnik. Złotymi literami...

Pani Jadwiga spojrzała na zmiętą kartkę:

Byłeś mi szczęściem
I życia ozdobą.
Zgasłeś, by lata
Przepłakać za tobą.

– I co? – zapytała matka.

Pani Jadwiga chrząknęła.

– Chyba jednak pomyślę o czymś innym...

– No, wiesz? Jaka ty głupia jesteś. – Pani Zimorodziec zmarszczyła brwi.

– Co ty myślisz, że ja nie rozumiem, że Alojzy nie był życia ozdobą? Ale tak się pisze...

– Nie, raczej nie... Poza tym trudno powiedzieć, żeby Alojzy zgasł... chyba jednak poszukam czegoś innego...

– No, nie zgasł, nie zgasł. Przecież nie napiszesz na pomniku, że go zgaszono albo zdmuchnięto. Ty to naprawdę...

– Ale...

– Jak sobie chcesz. Nie to nie. Ja ci chciałam pomóc. – Matka zabrała kartkę ze stołu. – A wiesz, że mogłabym mieć męża?

Pani Jadwiga pokiwała głową.

– Wiem, ale już przecież przez te wszystkie lata mówiłyśmy tyle razy...

– Po czym coś ją tknęło. Gramatyka się nie zgadzała. – Co właściwie masz

na myśli, mamó?

– No, że mogłabym mieć męża. Ten stary adwokat, Zaniewski... ten albinos z kwadratową głową, co mieszka koło nas, wiesz który, nie powiedział wprawdzie wprost, że się chce żenić, ale tak mi nadskakuje...

– Aha. A jego żona nie żyje?

– Felka? Od trzech lat. Ale – pani Zimorodziec odgoniła ręką niewidzialną muchę – dajże spokój. Do czego mi potrzebny stary dziad...

– Ile on ma lat, bo nie pamiętam?

– Siedemdziesiąt dwa.

– Dużo.

Pani Zimorodziec miała sześćdziesiąt pięć lat.

– No właśnie. Mowy nawet nie ma.

Pani Jadwiga ukradkiem spoglądała na zegar.

– Zawsze istnieje ryzyko, że starszy człowiek się rozchoruje i będziesz się musiała nim opiekować.

Kiedy była zdenerwowana, mówiła do matki per „ty”. Pani Zimorodziec nie zwracała jednak na to uwagi.

– Dajże spokój, przecież ja nie chcę starego dziada. Poza tym on wszystko zapisał córce, wiesz której... tej rudej Baśce z wielkim nosem.

– A co ci zależy? – zdziwiła się pani Jadwiga.

– Zresztą, on mi się w ogóle nie podoba.

– Przecież ja cię nie namawiam, żebyś za niego wychodziła, dlaczego mi się tak tłumaczysz?

– Bo mi nadskakuje i niby nie mówi o małżeństwie... Tylko tak.

– W końcu znacie się od wielu lat.

– Chce ze mną pójść na spacer.

– Tak powiedział?

– No, tak. Czy byśmy się nie wybrali pospacerować.

– A ty co?

– Że mowy nie ma.

- Przecież spacer nie oznacza ślubu.
- Daj mi spokój. Jeszcze pytał, czy może przysłać czekoladki.
- I co powiedziałaś?
- Że jak chce, to niech przysyła, ale ja nie życzę sobie... Banialuki...
- To nie ma chyba o czym mówić?

Pani Zimorodziec zamyśliła się. Mieszała resztę herbaty w filiżance, a jej twarz nabrała ponurego wyrazu. Po chwili mruknęła z niechęcią:

- Widzisz dziadygę...

Pani Jadwiga na końcu języka miała pytanie: „Mamo, ale dlaczego mu ubliżasz?”, tyle że nie miała ani czasu, ani ochoty na kłótnię, nie chciała też wysłuchiwać, że nazwanie adwokata dziadygą to nie jest ubliżanie ani afront, tylko stwierdzenie faktu i określenie rzeczy po imieniu. To i tak nie miało znaczenia, czy pani Jadwiga pokłóci się z matką, czy nie, ponieważ czuła już ten sam niesmak, co zawsze, kiedy nie wytrzymała i coś powiedziała, kiedy – innymi słowy – wychodziła na wyrodną córkę.

Z każdym mijającym rokiem matka pani Jadwigi stawała się bardziej egoistyczna i wyglądało na to, że dokuczanie córce sprawia jej przyjemność. Wiedziała, co córka chciałaby powiedzieć, ale nie powie, bo owszem, kiedy Jadwiga miała lat osiemnaście, to wykrzykiwała jakieś brednie, ale teraz już tego nie robiła, tylko gotowała się w środku. A im bardziej córka się gotowała, tym lepiej. Córka – wdowa, bezdzietna w dodatku – właściwie nie ma nic na głowie, więc powinna opiekować się starą matką, tymczasem wcale się nie opiekowała, a na pewno nie tak, jak powinna, o nie, nikt się nie opiekował, pies z kulawą nogą nie zadbał, na nikogo nie można było liczyć, ani na córkę, ani na brata Jakuba, skończonego nicponia, ani na siostrę Wandę w niemowlęctwie zrzuconą z parapetu, więc należało wszystkim dokuczać, ile wlezie, ponieważ nic nie powiedzą, albowiem wszyscy ponoszą winę za jej krzywdy.

- Tylko żebyś nikomu nie wygadała. Wandzie przede wszystkim nie mów.

– A co mnie Wanda? Przecież ja się z nią nie widuję.

Popijały herbatę i każda zatopiła się w swoich myślach. Niedawno pokłóciły się o Wandę. Pani Zimorodzc powiedziała – kiedy to było – może dwa miesiące temu: „Ja wiem, dlaczego twój ojciec zmarł tak nagle”. „Dlaczego?”. „Bo mu Wanda złorzeczyła”. „Przecież to twoja siostra”. „I co z tego? A Kain Abła nie zabił? Czy nie było takiej podłości już u zarania świata? Czy kazirodztwo i bratobójstwo...”. Uch, no i posprzeczały się; a przecież pani Zimorodzc doszła do swoich wniosków po latach przemyśleń, więc chyba to o czymś świadczy, chyba to ma jakąś wagę, chyba można by chociaż wysłuchać argumentacji własnej matki, a nie kłócić się jak jakaś przekupka.

– I Jakubowi też nic nie mów – mruknęła pani Zimorodzc.

– Nikomu nic nie powiem – westchnęła pani Jadwiga.

Znowu cisza. Słyszeć było tylko bicie zegara.

– Wiesz, taki stary adwokat jak on ma wciąż niezłe dochody.

– Kto? – Pani Jadwiga była już myślami gdzie indziej.

– No, Zaniewski.

– Aha.

– Ale ja już miałam męża przez wiele lat, a potem żyłam bez męża, to do czego mi ten grzyb? Tyle że może tobie by ulżyło.

– No, wiesz? Dla mnie nie wychodź za mąż. Mnie nie jest ciężko. Jak chcesz wyjść za mąż, to zrób to dla siebie.

– Nie chcę. Daj mi spokój.

– Ja cię przecież nie namawiam.

– Ale Wanda i Jakub mnie namawiają. Żebym się nawet nie zastanawiała. Że mnie wszędzie powiozą, gdzie trzeba będzie coś załatwiać.

– To Wanda i Jakub już wiedzą?

Pani Zimorodzc poprawiła się w krześle.

– No, coś tam wiedzą.

– Przed chwilą prosiłaś, żebym im nic nie mówiła. Teraz sama przyznajesz, że coś tam wiedzą, a tymczasem oni cię już do ślubu chcą wozić.

– No, to ty im nie mów, a ja już powiedziałam. Jakub chce, żebym wyszła za męża, bo on mi u chłopa załatwia na zimę kartofle, a tak to już by nie musiał.

– Myślisz, że z powodu kilku worków kartofli cię swata?

– W ogóle to na ten temat nie rozmawiajmy, bo mnie Zaniewski nie in-te-re-su-je, tylko tak ci mówię. Żebyś wiedziała.

Pięć minut później:

– Sam mi powiedział, że ma wciąż spore dochody.

– Aha....

– Poza tym... Ty byś mnie znienawidziła.

– Za co?

– Jakbym wyszła za męża.

Pani Zimorodziec zamyśliła się. Kiedy żył Alojzy Korzeniec, nigdy, ale to przenigdy nie pozwoliłaby sobie na to, żeby Alojzy, w końcu jej zięć prawowity, odwiedził ją pod nieobecność córki, bo Jadwiga gotowa sobie była pomyśleć, że jej własna matka, wdowa, chce jej odbić męża, kto ją tam wie, co jej się mogło w głowie roić. Może zazdrosna jest teraz o Zaniewskiego, może sama by chciała za Zaniewskiego wyjść... Mój Boże, co ona nie wypisywała w tych swoich kajetach, skąd jej się tamte durnoty w głowie lęły?

– Dlaczego miałabym cię znienawidzić?

– Bo ojca ma się jednego – odparła wymijająco pani Zimorodziec.

– Ale mężów można mieć więcej.

– Ja tak nie uważam. Myśmy z twoim ojcem...

– Tak czy owak, zapewniam cię...

– ...bardzo dobrze ze sobą żyli.

– ...że mnie by to nie przeszkadzało.

- Ale ojciec by nie chciał.
- Ojciec nie żyje od ponad...
- Nie chcę.
- ...dwudziestu lat.
- A to był kiedyś najładniejszy kawaler w okolicy. I co? I mnie chciał! – Pani Zimorodziec spojrzała na córkę z dumną miną. – Chciał mnie. Choć nie byłam szczególnie ładna. Więc mowy nie ma, żebym wyszła za Zaniewskiego. Poza tym – zawahała się – ty jesteś wdową.
- Już ci powiedziałam, żebyś mnie do tego nie mieszała.
- Pani Zimorodziec zaczęła oglądać pustą filiżankę.
- Ale jak by to wyglądało, że córka jest wdową, a matka za męża wychodzi?
- Mamo, ja się naprawdę bardzo śpieszę. Czy możemy o tym porozmawiać kiedy indziej?

Pan Walerian siedział za biurkiem, na którego blacie leżał „Dziennik Śląski” z 1901 roku, numer 138, otwarty na stronie z kolejną notatką o incydencie granicznym:

„Pewna niewiasta z Królestwa Polskiego próbowała przemyścić towary. Na pograniczu zastrzelił ją żołnierz rosyjski, lecz wtedy, gdy 55 kroków od granicy w krzakach na pruskiej stronie była. Trupa włożył żołnierz jakie 50 kroków, lecz zostawił go 5 kroków od granicy na pruskiej stronie, gdzie się czyste pole zaczyna, żeby go tam ludzie w pobliżu pracujący nie spostrzegli i nie przytrzymali. Towary zabrał żołnierz z sobą. Oficer rosyjski zażądał od policyjki, aby wydała trupa, ale amant tego nie uczynił. Komisya ma zbadać, czy żołnierz, stojąc na rosyjskiej stronie, zastrzelił kobietę na pruskiej stronie”.

Janek chodził niecierpliwie po pokoju, miętosząc w dłoniach czapkę. Był boso i miał krótkie spodnie na szelkach.

- Poważnie? Nie chce pan szczupaka?
- A co ja z nim zrobię?

– Jak pan nie chce, to sprzedam gdzie indziej. Ale jest świeży. Złowiony dwie godziny temu.

– Kto złowił?

– Jak to kto? Ja. Z kolegami.

– A ty masz w ogóle wędkę?

– Nie mam. A po co?

– To jak niby złowiłeś tego szczupaka?

– Na głóg. I gałęzie.

– Jak?

– No, normalnie. Jest takie miejsce, gdzie Przemsza rozlewa się w kilka bajerek zarośniętych leszczyną i trawami. Tam jest płytka woda, może na metr. I tam często buszuje szczupak.

– A wy akurat wiecie, gdzie buszuje.

– Nie wiemy. Ale to się robi tak. – Chłopak zaczął gestykulować. – Zrywamy garście głogu i obrzucamy metr po metrze płytkie trawy przy brzegu. Jeśli szczupak tam siedzi, to go garść głogu rzucona w wodę zmusi do pluśnięcia. No, i chlup. Dzisiaj rano. Trzy kilo. Plusk. W samym zakolu, pół metra wody może, w trawkach. I jak jesteśmy we trójkę, to oprócz głogu mamy też konary, rozłożyste, z liśćmi i gałęzmi. Zarzucamy. Odgradzamy od głębszej wody. Szczupak rzuca się i grzęźnie. Trzeba tylko wskoczyć do wody i go złapać.

– Nie da się tak zrobić.

– Jak to się nie da? Przecież właśnie tak zrobiliśmy.

Zadzwieczał dzwonek u drzwi.

– Otwórz, Janek – polecił pan Walerian.

W progu stała pani Jadwiga z tekturową tubą w lewej dłoni i parasolką w prawej. Miała na sobie długą czarną suknię z wąskim kołnierzykiem i szarymi szydełkowanymi mankietami. Na wierzch narzuciła ciemny żakiet z dużymi guzikami. Włosy spięte w kok, zebrane w koronkową siateczkę, opadały jej na kark.

Pan Monsiorski zerwał się z krzesła i ruszył ku gościowi szybkim krokiem. Janek wybałuszył oczy, bo dopiero teraz zauważył, że redaktor jest w eleganckim surducie. Poza tym chyba przestała go boleć stopa, bo już nie utykał. Pani Jadwiga ledwie zdążyła przełożyć parasolkę do lewej dłoni, w której trzymała tubę, a pan Walerian już pochylał się nisko i szarmancko całował jej dłoń. Tak głęboko się zgiął, że pani Jadwidze przysła nawet do głowy zupełnie niedorzeczna myśl, że on zaraz uklęknie. Wyprostował się jednak, cofnął o krok i chrząknął.

– Proszę usiąść, bardzo proszę... – Potarł dłoń o dłoń. Był dziwnie skrępowany. – Janek, wyjdź na chwilę.

– A ten szczupak?

– Wyjdźże, zawołam cię później.

Janek zniknął za drzwiami, a pan Monsiorski podsunął pani Jadwidze fotel.

– Proszę usiąść, bardzo proszę.

Chwilę milczeli oboje.

– Kończymy powoli *Okowy*? – Redaktor Monsiorski znowu chrząknął.

– Tak, przyniosłam rękopis. – Wyciągnęła z tuby dużą zwiniętą kopertę i położyła ją na biurku. – Tu jest kolejny odcinek. Zostało jeszcze kilka.

– Pięć, prawda? Mamy umowę jeszcze na pięć?

– Tak... Ten się kończy listem do hrabiego.

– Tak, tak, wybornie. To trzeba... pani Jadwigo... myśleć o następnej...

Pani Korzeńcowa poprawiła się w fotelu.

– Właśnie..., mam już nawet pomysł...

– Dobrze, świetnie...

– Myślałam, wie pan, o księżnej Ludwice... ta słynna historia...

– Zbrodnia w Słupnej, o tak, to by było...

– Więc...

– Rzeczywiście...

Pan Walerian przesunął linijkę i nożyk do papieru o kilka centymetrów, wziął do ręki stempelek i po chwili odłożył go na miejsce.

– To ja... właśnie...

– Dobry pomysł... – Redaktor Monsiorski na tym gruncie czuł się pewniej. Odzyskiwał kontenans. – Musimy porozmawiać w najbliższym czasie o szczegółach, jakiś zarys bym poprosił, tak jak zawsze... co w poszczególnych odcinkach, ich liczba... oczywiście sprawa honorarium zostanie należycie ustalona... tu się dogadamy... i ja jeszcze będę musiał z redaktorem literackim, wie pani, on tam zawsze chce po swoje...

Pani Jadwiga przerwała mu.

– Coś przyniosłam.

Redaktor zamilkł.

Położyła tekturową tubę na blacie biurka.

– Nie wiem sama, ale może to się nam na coś przyda?

– A co tam jest? – Poprawił się: – Co tu mamy?

– Proszę otworzyć.

Niezbyt zgrabnie otworzył tubę i przechylił. Wysunęło się kilkanaście rolek kartonów z rysunkami i szkicami. Rozłożył je. Niektóre przedstawiały chyba wzory posadzek. Na większości były to dosyć proste kombinacje geometryczne w różnych odcieniach: połączenia kwadratów i rombów, czasami szerokie łuki i koła. Szkice opisano, ale skróty, wyliczenia i symbole nic redaktorowi Monsiorskiemu nie mówiły. Inne szkice przedstawiały rzędy długich parterowych budynków. Może wojskowe baraki? W dodatku skróty notatki częściowo zapisano po polsku, a częściowo po niemiecku. Sądząc z charakteru pisma niemieckie zapiski sporządzane były inną ręką niż polskie.

– Pani mąż znał niemiecki?

– Znał.

– Dobrze?

– Chyba tak. Nie wiem. Ja nie mówię po niemiecku.

– A które pismo jest jego?

Przyglądała się przez chwilę, po czym wskazała palcem na rząd polskich skrótów na jednym z planów.

– To.

– Czyli niemieckie napisy sporządzał ktoś inny?

Skinęła głową.

– Pani Jadwigo, obawiam się, że niewiele z tego pojmę, bo to chyba rzeczy, które świętej pamięci pani małżonek wykorzystywał w pracy.

Pani Jadwiga milczała. Pan Walerian zapytał więc:

– Czy policjanci oglądali tę tubę... tekę?

Potrząsnęła głową.

– Nie. Dopiero wczoraj ją znalazłam. Nie przynosiłabym jej panu, gdybym nie miała wrażenia, że była celowo schowana. A właściwie nie całkiem schowana, ale tak to wyglądało, jakby miała być ukryta, jednocześnie wyglądając na nieukrytą. Wie pan, o co mi chodzi?

Pan Monsiorski wiedział. Czytał opowiadania Edgara Allana Poe.

– Sprzątałam wczoraj schowek przy pokoju męża, takie pomieszczenie, gdzie trzymał różne graty.

– I ta tuba tam była?

– Tak. Ale tam nigdy nie było żadnych materiałów do pracy. I to mnie zdziwiło. Gdyby to były materiały, których potrzebował w firmie, trzymałby je w oficynie.

– A oficynę miał poza domem? – Pan Walerian czuł, że pytanie jest naiwne. Sam też nie ulokował redakcji w swoim mieszkaniu.

– Tak. Warsztat, oficyna, materiały, wszystko zresztą, znajdowało się na osobnej posesji, kilka przecznic od domu. Wie pan, tam się tnie kamień, trzeba magazynować wapno, piasek, no, ja sama nie wiem, ale wszędzie panuje straszny kurz.

Pan Walerian wsunął na nos binokle i pochylił się jeszcze raz nad arkuszami.

– Może to były jakieś twórcze opracowania? Nowe projekty, nad którymi siedział w domu?

– Jeśli ktoś nie znał jego zwyczajów, mógłby tak pomyśleć i nie widziałby w tym nic podejrzanego. Ale Alojzy nie pracował w domu. Z jakiegoś powodu jednak nie trzymał tej tuby w oficynie.

– A nie chce pani pokazać tego policji?

– Jeśli będę musiała... – Westchnęła. – Ale myślałam, że może najpierw my... że może pan...

– Rozumiem. Przyjrzę się. Przyjrzymy się. Tylko ja się boję... ja się na tym zupełnie nie znam. Tu jest tyle szczegółów, a trzeba by to podporządkować jakiejś całości... i nie pogubić się w błędnych hipotezach...

Pani Jadwiga milczała. Pan Monsiorski, nie patrząc jej w oczy, zaczął mówić szybciej:

– Tu jest, wie pani, taka trudność... żeby w tych szczegółach nie pogubić się. – Chyba już to mówił przed chwilą. – Tu trzeba by specjalisty...

Podniósł wzrok i spojrzał na nią.

– No, dobrze.

Powiedziało się A, trzeba powiedzieć B. Jeszcze raz zaczął wertować kartony, żeby zyskać na czasie i zebrać rozbiegane myśli. Po paru minutach pokręcił głową.

– Z całym respektem, jedno jest dla mnie oczywiste. Pani mąż na pewno nie był zwykłym kamieniarzem. To widać. Znał tyle tajników swego rzemiosła... swojej sztuki...

– Rzemiosła.

– Dobrze, rzemiosła. Ale proszę zerknąć. W tym jest jednak zamysł. Te plany budynków, tak skrupulatnie sporządzone... notatki w dwóch językach... No i eleganckie wzornictwo, hm...

Przez chwilę milczeli. Redaktor Monsiorski wbił wzrok w ścianę gdzieś nad głową pani Jadwigi i zapytał:

– A ta Żydówka? Ta, która u państwa służyła... Jak się nazywała?

Pani Korzeńcowa zacisnęła usta i gwałtownym ruchem poprawiła rękawy sukni.

– Estera.

– A na nazwisko?

– Zaraz.... Chwileczkę... Jakoś tak śmiesznie... Pławner.

– Mogę sobie zapisać?

– Oczywiście. – Redaktor Monsiorski wyjął arkusik i zapisał nazwisko.

– Wie pani może, gdzie ją mogę znaleźć? Gdzie mieszka?

– Nie wiem.

– A ten pomocnik małżonka?

– Tak?

– Jak się nazywał?

– Kogut.

Redaktor Monsiorski uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Szymon Kogut się nazywał.

– I mówiła pani, że zniknął?

– Jak kamień w wodę.

Redaktor Monsiorski zapisał Koguta na arkusiku i zapytał:

– Ale Estera może wciąż być w Sosnowcu?

– Nie wiem.

– I może ona wie, co się dzieje z Kogutem?

– Policja ją na pewno o to pytała, jeśli ją znaleźli. Więc albo nie wie, albo nie mówi.

– Chyba jednak wypadałoby ją odnaleźć. – Znów zaczął błędzić wzrokiem po pokoju. – A czy mąż zostawił testament?

– Nie.

– A co stanie się z firmą?

– „A. Korzeniec”?

– „A. Korzeniec”.

– Wystawiłam na sprzedaż. Właściwie nie ma jej kto przejąć, bo Alojzy... bo nie mieliśmy dzieci, wie pan. Wprawdzie firma była dochodowa, nie mogę narzekać, ale teraz nie ma jej kto prowadzić.

– A znalazł się kupiec?

– Jeszcze nie. Dopiero miesiąc temu wszystko zostało oszacowane. To nie tylko chodzi o materiały, bo ja całą posesję chcę sprzedać, z warsztatem, narzędziami, maszynami, zapasami... Nieruchomość, ruchomości, no, w ogóle. A kupcy? Chodzą, oglądają, kręcą nosami, targują się, obiecują, że przyjdą nazajutrz, i tyle ich widział; albo chcą za półdarmo brać, albo na części: jeden by kupił materiały, drugi maszyny. Dużo zachodu, a efektów na razie nie ma i wszystko zarasta trawą.

– A pani tam chodzi?

– Tylko jeśli muszę. Staram się jak najrzadziej. – Westchnęła. – Nie mam doprawdy głowy do takich spraw.

Pan Walerian niezgrabnymi ruchami spakował kartony do tuby. Chwilę później odprowadził panią Korzeńcową do drzwi. Janek siedział na schodach, trzymał na kolanach blaszaną puszkę i wyjadał z niej cukierki.

– Nie podsłuchiwałeś, nicponiu?

– No, co pan? Ja?

– Chodź tu do mnie.

Chłopiec wszedł do gabinetu.

– Słuchaj uważnie. Polecisz do aptekarza Szpigieła. Ja nie chcę iść, bo mnie boli noga. Wiesz, gdzie to jest?

Kiwnął głową.

– Przy Modrzejowskiej.

– Właśnie. I powiedz, że ja pytam o adres Izaaka Lisze. Zapamiętasz? Izaak Lisze. Malarz. Że potrzebny mi jego adres.

– Eee, to nie muszę nigdzie lecieć. Lisze mieszka u Klepfisza.

– Knepfiszka?

– Klepfiszka!

– Aha. U Abrama?

– Nie, u Fiszela. Przy Modrzejowskiej.

– Coś podobnego. Skąd ty to wiesz?

– Bo my z wnuczkiem Kerszenblata, Izaakiem, kupujemy dla niego jajka u Kołtona.

Pan Walerian machnął ręką, jakby odganiał muchę.

– O Boże, czy poza Ickami nikt tu już nie mieszka? Po co Liszemu te jajka?

– Dodaje do farb. To pan nie wie?

Redaktor Monsiorski zachnął się.

– Czy ja jestem artystą malarzem, żeby wiedział o takich rzeczach?

– No, nie.

– A on sobie sam tych jajek nie może od Kołtona przynosić? Przecież to zaraz obok.

– My od Kołtona dostajemy taniej, bo nam sprzedaje córka Kołtona, a ona się we mnie kocha. A Lisze nie ma za dużo pieniędzy, więc od nas kupuje trochę taniej, niż gdyby kupował u Kołtona, ale trochę drożej, niż my kupujemy. On jest zadowolony i my, i córka Kołtona...

– A co na to Kołton?

– On z kolei myśli, że to dla Kerszenblata na reumatyzm i dlatego pozwala córce taniej sprzedawać, tym bardziej że Izaak nosi mu kapustę od dziadka za darmo.

– A Kerszenblat o tym wszystkim wie?

– Ja o to nie pytam. Jak pan chce, to niech pan sam zapyta, chociaż podobno pana boli noga.

– Boli.

– A do Liszego mam po coś iść?

– Nie, nie, do Liszego pójdę sam.

– W takim razie mogłem panu nie mówić. Coś bym zarobił za fatygę. A tak to wiedza mi się nie opłaciła.

Redaktor Monsiorski roześmiał się.

– Nie martw się. Masz tu dwa następne nazwiska. – Wręczył chłopcu kartkę.

Janek przeczytał na głos:

– Estera Pławner. Szymon Kogut.

– Chcę wiedzieć, gdzie mieszka Estera. Chyba że i to wiesz.

Chłopak pokręcił głową.

– No widzisz, dostaniesz parę groszy. Koguta najprawdopodobniej nie znajdziesz, ale gdybyś znalazł, dostaniesz pięć razy więcej niż za Esterę.

Janek gwizdnął pod nosem. Kiedy wyszedł, pan Walerian natychmiast uzmysłowił sobie, że zlecając mu poszukiwanie człowieka, o którym nawet policja nic nie wiedziała, człowieka, który być może jest zbrodniarzem, naraża chłopaka na kolosalne niebezpieczeństwo. Szybko pokuśtykał do drzwi i otworzył je szeroko.

– Janek! – wrzasnął.

Chłopak był już na parterze.

– Wołał mnie pan? – krzyknął z dołu.

– Tak! Wróć tu jeszcze!

Janek wbiegł na górę.

– Wiesz co? Po namyśle... nie szukaj Koguta, nie pytaj o Koguta. Tylko o Esterę. Zapłacę ci za Esterę jak za Koguta. Ale jego nie szukaj. Rozumiesz?

– Dobrze.

– Obiecujesz?

– No, co pan?

– Obiecuję, że o Koguta nie będziesz wypytywał.

– Dobrze.

– Obiecuję, łobuzie.

Janek wlepił w niego bystre oczy.

– Obiecuje. Ale z pana jest dziwak.

Redaktor Monsiorski odetchnął i mrugnął do Janka.

– Aaa... i tego szczupaka... przynieś. No, zmykaj.

Zamknął po cichu drzwi.

ROZDZIAŁ 12

KRZYK PAWIA

Z tym pomocnikiem mistrza Alojzego, Szymonem Kogutem, to w ogóle ciekawa sprawa. Głowę miał w kształcie gruszki, szczękę szeroką jak szympan, a kobietom i tak się podobał. Wiadomo, gdzie przystojny mężczyzna powinien być szeroki, a gdzie wąski. Tymczasem ten był jakiś nader wąły w czaszce, za to rozrosły w szczękę, więc niby jak ten dziwny kształt głowy przekładał się na powodzenie? Do tego gębę miał ciemniejszą niż Cygan i oczy trochę wylupiaсте, ciągle lśniące: ni to fałszywie smutne, ni zażawione. Możesz sobie być człowieku w barach szeroki i w tyłku wąski, a tu przyjdzie taki w szczękę rozłożysty, w czole niedorobiony – i przegrałeś, chociaż sam nie wiesz jakim cudem. No dobrze, nie każdej się to podobało, ale na Esterze robiło wrażenie. Zresztą tak na marginesie, ona też nie była idealna, bioder marmurowych nie miała.

Wcale też się początkowo Szymon Kogut w niej nie zakochał. Raczej chciał coś sprawdzić, bo mu kolega nagadał niestworzonych rzeczy.

- A ty wiesz, że Żydówki mają w poprzek?
- Co mają w poprzek?
- Jak to co? To.
- Poważnie?
- Poważnie.
- No, to jak one...?
- Chłopie, a co za różnica?

Szymon zastanawiał się przez chwilę.

– W sumie żadna – przyznał.

Estera weszła na obszerny plac należący do firmy „A. Korzeniec”. Otworzyła drewnianą bramę od ulicy, pchnęła ją biodrem, a kiedy znalazła się na terenie posesji, wrota zamknęły się same.

Światło przesączało się przez żerdzie płotu, kładąc na zakurzone podwórko poszatkowany cień. Pod starym wozem drabiniastym, którego zbutwiały dyszel wrastał w ziemię, usadowiły się kury. Wśród stert piasku i stosów zaprawy murarskiej, wśród puszek zrzuconych w jednym miejscu, między pustymi garnkami, spacerowały trzy pawie, jedna samiczka i dwa samce. Samce wlokły ogony w kurzu, od czasu do czasu dziobiąc jakiś wiór albo przyglądając się leżącym tu i ówdzie zardzewiałym gwoździom.

Estera przysłała z domu państwa Korzeńców, przysłana przez chlebowodczynię – przyniosła koszyk z drugim śniadaniem dla majstra. Przez chwilę obserwowała ptaki grzebiące pazurami w ziemi.

Jest coś wysoce niestosownego w tym, co paw nosi na głowie, w porównaniu z tym, co nosi na dupie. Na głowie kilka lichych włosków postawionych na sztorc, jakby ktoś te łby porządnie wyskubał, a ogon wiadomo jaki: welon, wachlarz, tren – nawet jeśli złożony czy ubrudzony w pyłe, to i tak ponad wszelką przyzwoitą miarę długi. A jak się na samiczkę spojrzy, to w ogóle trudno zrozumieć, po co cała ta feeria kolorów, orgia tropikalnych barw. Że się też samcowi chce.

Szymon siedział okrakiem na kobylicy stojącej pod magazynem. Ubrany był w pocerowany sweter. Na widok dziewczyny przełożył nogę, wstał i podszedł powoli. Skinął głową w kierunku paw.

– Ładne, co?

– Piękne – zgodziła się i poniosła oczy na młodego czeladnika.

– Słyszałaś kiedy, jak pawie krzyczą?

– Nie.

– E tam. Musiałaś słyszeć, przecież to się roznosi na całą okolicę.

Pokręciła głową.

– Tak krzyczą, o, posłuchaj. – Wciągnął powietrze, wykrzywił usta i wrzasnął głośno, przeciągle.

Estera wzdrygnęła się.

Wrzasnął jeszcze raz.

Roześmiała się niepewnie.

– Chyba słyszałam, ale myślałam, że to koty.

Pokręcił głową.

– Nie, to pawie.

Pan Alojzy Korzeniec wybiegł z warsztatu. Otarł ręce o zakurzony fartuch, spojrzał spode łba na czeladnika i na Esterę, po czym mruknął:

– Czy ja ci, Kogut, za to płacę, baranie, żebyś ty udawał pawia?

Czeladnik spurpurowiał, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie powiedział nic.

Esterze zrobiło się go żal. Pan Alojzy przyglądał jej się przez chwilę i bezwiednie ocierał ręce o fartuch.

– Ester, chodź do mnie do oficyny na moment – powiedział wreszcie.

Wszedł pierwszy. Estera weszła za nim, nie domykając drzwi. Światło z podwórka myszkowało po podłodze wąskim pasemkiem. Pomieszczenie było zakurzone, tynk odpryskiwał ze ścian, jakieś brudne, przepocone fartuchy wisały na drucianych wieszakach. Na stole, zavalonym dokumentacją, umowami i deseniami posadzek, stał gliniany dzban, w który wetknięto kilka pawich piór znalezionych na posesji.

– No, no – mruknął pan Korzeniec. Kątem oka dostrzegł, że drzwi oficyny nie są domknięte, a Estera stoi tuż przy nich.

Podszedł do trójnożnego stojaka na miednicę. Nalał z dzbanka wody, pochylił się nad miską i zaczął dokładnie szorować ręce pumeksem. Potem wilgotną ścierką długo wycierał dłonie. Wylał brudną wodę do wiadra, przetaił miednicę szmatką, którą następnie wytrzepał, złożył na pół i rozwiesił na krawędzi trójnożnego stojaka. Wyprostował się, spojrzał

w matowe lustro, przeczesał dłonią włosy, poprawił nerwowo szelki, bo znowu się przekręciły, i dopiero wtedy zbliżył się do Estery.

Miał ciężkie trzewiki podbijane gwoździami i każdy jego krok dudnił o deski podłogi. Stał przed dziewczyną.

– No, no – powtórzył.

Estera nie patrzyła mu w oczy, tylko na czubki butów.

– Pani kazała mi przynieść koszyk ze śniadaniem.

Ujął ją pod brodę. Poczłł znajomy zapach mydła. Przypomniał sobie... Coś w nim zbulgotało ze złości i z żalu.

– Masz chleł, a zachciało ci się bułek, co? – Głos mu się złamał.

– Przecież ja nic... – Estera nie potrafiła mówić, kiedy pan Alojzy trzymał jej brodę w palcach i podnosił twarz do góry. – Proszę pana, to boli.

– Uważaj, Ester, uważaj, mówię ci po dobroci.

Spojrzała na niego i z jej oczu bił chłód.

– Pani kazała mi przynieść koszyk ze śniadaniem – powtórzyła cichym głosem.

– No to go zostaw na stole... I idź.

Odwrócił się do niej tyłem i oddychał ciężko. Kiedy wyszła, oparł się plecami o ścianę.

Co za parszywy dzień się szykuje. Nie dosyć, że ciągle są problemy z Kredyckim i jego Artystycznymi Kaflami, to jeszcze rano pojawił się w pracy czeladnik, któremu się ze łba kurzyło i zameldował: „Panie majster, coś panu powiem; ale nie zezłości się pan na mnie?”. Wystarczy, żeby człowieka żółć zalała. „Gadaj”. „No, bo panie majster, byłem wczoraj na komunii w Porębie, w takiej wsi...”. „Gadajże do rzeczy! Cóż mnie twoje wsie i komunie obchodzą?”. „Ta komunia była w kościele Świętego Józefa, kościół nowy całkiem, z cegły, chyba jakieś dziesięć lat temu pobudowany, a tam posadzka wykafelkowana, panie majster, wie pan przez kogo? Przez Marywila”. „No i co mnie to może obchodzić?”. Pan Alojzy nie znosił Marywila, który miał warsztat dwie ulice dalej. „Powinno pana

obchodzić, bo przy samym wejściu do kościoła, na środku posadzki między pojemnikami z wodą święconą, jest kafelek z sygnaturką, a ona w dodatku wygląda całkiem jak ta, której pan używa”. „Kafelek z sygnaturką Marywila w wejściu kościoła?”. Pan Korzeniec zaczerwienił się. „No właśnie”. Czeladnik podrapał się po głowie. „Poza tym, panie majster, ten kafelek wygląda tak, że u góry jest napisane Marywil, a pod spodem Sosnowice, całkiem jak u pana”. Panu Alojzemu zadrżała szczęka. „A kolory jakie?”, zapytał cicho. „Kolory nie takie jak u pana, bo litery białe, a tło czarne, ale wzór identyczny, ukradziony, a przecież pan za ten wzór zapłacił wtedy temu gruźlikowi...”. „No, to ja sobie pogadam z Marywilem”, mruknął pan Korzeniec. „Ale na mnie pan nie jest zły?”, zaniepokoił się czeladnik. „Na ciebie to mogę być zły, że jesteś w robocie, a ci się ze łba kurzy, ale niech tam. Dobrze, że mi powiedziałaś. Porządny z ciebie chłopak”.

Co za dzień. A tak ładnie na dworze.

Pan Alojzy zdjął serwetę z koszyka, który przyniosła Estera. Nie był głodny.

Wyszedł na próg oficyny i zerknął w stronę magazynu. Szymon Kogut siedział okrakiem na kobylicy i zapamiętałe strugał jakąś deskę.

CZĘŚĆ TRZECIA

29 GRUDNIA 1913

ROZDZIAŁ 13

DRUGA ŚMIERĆ ŚWIŃ

Po brudnej i mokrej jesieni (wąskie pasma dymu nad kartofliskami, słońce, przy którym się marznie, plasterki jabłek suszące się na sznurkach) nastąpiła zima. Tęgi mróz chwycił na początku grudnia, a miasto rozdygotało się na dobre, rozsmrodziło od czadu i od węgla. Przed samą Wigilią spadł trzeci śnieg, mróz zelżał nieco, a że od rzeki szła wilgoć, to z samego rana, kiedy wstało słońce, na obrzeżach Sosnowca nad Przemszą i na pruskich łąkach pojawiła się szadź. Kozacy patrolujący granicę na koniach, którym parowały nozdrza, oglądali nowy krajobraz – wszystko wyglądało tak, jakby było posypane cukrem. Z szadzią zmieszały się mgły znad wody; lód skuł wszystko poza głównym nurtem, a późnym rankiem na bezchmurnym niebie ukazało się olbrzymie słońce. Powietrze miało kolor bladoniebieski, a tarcza słońca wyglądała jak zmrożona. Kozacy widzieli świat niczym przez oszronioną szybę. Cała brunatna roślinność, łącznie z zeschniętymi liśćmi, które nie zdążyły opaść, nadgniętymi trawami i kikutami po trzcinach, posypana była pudrem, światło igrało wśród gałęzi drzew, które pod ciężarem lodowych uścisków wyginały się w dół, a jakaś bardziej poetycka niż kozacka wojskowa dusza mogłaby uznać, że gałęzie tulą się, jakby sobie szeptały zamarzające sekrety. I choć panowała cisza, miało się wrażenie, że wszędzie dźwięczały kryształowe dzwoneczki: srebrne lśnienia, subtelne i eteryczne nuty zsuwające się po każdym, najpodlejszym nawet, źdźble.

W nurcie rzeki, czyli na samej granicy cesarstw, pływały łabędzie: raz w górę rzeki, a raz w dół. Czasami chciały wyjść na brzeg, ale nie wiedziały jak, bo między brzegiem a nurtem ustalił się cienki lód. Nawet pod łabędziem by się zarwał, więc nie mogły podpłynąć ani do brzegu ruskiego, ani pruskiego, i nie mogły też iść po lodzie. Pływały zatem wte i wewte i czasami zanurzały głowy. W końcu wymyśliły sposób na opuszczenie granicy. Rozpędzały się wzdłuż nurtu z chlupotem, z chrzęstem skrzydeł, unosiły się nisko nad wodą i odlatywały. Jeśli postanowiły wrócić, lądowały w lodowatym nurcie, wysuwając nogi do przodu; rozłożonymi szeroko skrzydłami hamowały pęd. Kozacy zakutani w kozuchy śmiali się na widok ociężałych łabędzi. Ptaki nic sobie nie robiły ani z Kozaków, ani z granicy.

Późnym rankiem 29 grudnia, w miasteczku, gdzie mieszkali rodzice panny Izabeli, pan aptekarz siedział w fotelu, zadowolony, że Boże Narodzenie już minęło. Świąt nie znosił, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał. Podczas Wigilii, kiedy elegancki zegar na etażerze wskazał godzinę szesnastą, a z tego, który wisiał na ścianie wyskoczyła zgrzytająca kukułka, wszyscy wymamrotali zestaw modlitw, patrząc przy tym w talerze, i złożyli sobie życzenia, odgrywając długi, niezbyt inspirujący ceremoniał z łamaniem opłatka, przy czym co rusz jakiś okruszek wypadał komuś z palców i trzeba go było szybko podnosić z podłogi, a potem znowu komuś coś wypadało, więc składanie życzeń z opłatkiem przypominało ogólnorodzinną gimnastykę z przysiadami. Panna Izabela zginała się najwięcej, bo wyręczała babkę, której często coś upadało.

Później wszyscy siedzieli w stołowym pokoju. Pan aptekarz miał na palcu ozdobny sygnet, pani aptekarzowa ubrana była w stosowną do okazji suknię z prążkowanego jedwabiu, a na jej nadgarstku dźwięczały ogniwa bransoletki, babka cała była w koronkach, jak rokokowa lalka, zaś panna Izabela we włosy wpięła aksamitną kokardę, bo nie chciała robić ojcu

przykrości. Wigilia polegała głównie na tym, że nikt nie chciał nikomu sprawiać przykrości.

Po odpakowaniu prezentów okazało się, że pan aptekarz kupił fonograf – coś dla całej rodziny. W listopadzie przeczytał w gazecie reportaż o tym, jak w 1903 roku dwaj polscy naukowcy, Bronisław Piłsudski i Wacław Sieroszewski, pracujący w dalekiej Japonii gdzieś w niedostępnych i nieznanymi terenach na północy, wędrowali wśród prymitywnych Ajnów z fonografem i zapisywali dźwiękowo życie tubylców, to znaczy wszystko to, co dało się zapisać na specjalnych rolkach. Abstrahując od tego, czego domyślał się pan aptekarz: że Piłsudski i Sieroszewski musieli najpierw przetrwać popowstaniowe zesłanie na Syberię, zaś na ekspedycję do Japonii potrzebowali zgody władz carskich, te zaś przy okazji wysłały kompanię szpiegów i tajnych agentów, udających tragarzy ekspedycji... otóż abstrahując od tego wszystkiego, pan aptekarz postanowił na gwiazdkę podarować rodzinie tę jakże przyszłościową i nowoczesną maszynę. Żeby prezent był przydatny i postępowy, o to chodzi.

Po wieczerzy, kiedy można było wreszcie odetchnąć z ulgą, zdjęć bransolety i kokardy, a jedynie babkę zostawić w koronkach, zaczęło się debatowanie nad pudłem i tubą fonografu.

– Po co komu taki... taki rozeń? – mruknęła babka.

– Mamusia sobie nie zdaje sprawy, jakie to przydatne urządzenie.

– W aptecę?

– W aptecę może mniej, ale w ogóle dla medycyny fonograf jest nie do przecenienia...

– Ja się tam wolę leczyć nalewkami... – prychnęła babka.

– Fonograf nie leczy, ale będzie niezbędny przy stawianiu diagnoz. – Pan aptekarz zapalił się i mówił już nie tylko do babki, ale do wszystkich w pokoju. – W niedalekiej przyszłości każdy lekarz będzie miał w gabinecie fonograf i bibliotekę chorych i zdrowych dźwięków na rolkach. Rodzaje kaszlu. Chichot paranoika. Jęk histeryczki. Stękanie melancholika.

Lekarz wkłada stosowną rolkę, porównuje zapis kaszlu z kaszlem pacjenta i już wie, co i jak diagnozować.

– A czy galopujący suchotnik kaszle inaczej niż kokluszowiec? – zainteresowała się panna Izabela.

– O tak, bezwzględnie inaczej i dlatego...

Panna Izabela przerwała ojcu podekscytowana.

– Można też nagrywać muzykę!

– Tak, można. Ale jestem przekonany, że taki wynalazek jak fonograf będzie służył wyłącznie naukowym celom. Nikt nie będzie zapisywał dźwiękowo...

– A na przykład opery Mozarta?

– Za długie. Za nudne. Szkoda wysiłku. I poza tym... po co? Kto by tego, córeczko, słuchał na okrągło?

Panna Izabela roześmiała się. Tymczasem wtrąciła się matka:

– Można by też na przykład uwiecznić ważne przemówienia podczas uroczystości rodzinnych.

– Albo modlitwy do słuchania. – Pan aptekarz spojrział na teściową, bo chciał, żeby i ona ucieszyła się z prezentu.

– Modlitwy są do modlenia, a nie do słuchania na jakimś diabelskim wynalazku. Panu Bogu by się to na pewno nie spodobało.

– Dlaczego, mamusiu?

– Bo głos bez człowieka to szatan. – Babka aż się przeżegnała.

Matka panny Izabeli machnęła tylko ręką.

– Ale niech mama posłucha. Można by zapisać, jak mama śpiewa: „Kiedy ranne wstają zorze”... i jak już... jak już mamy nie będzie... no... kiedyś w dalekiej przyszłości... moglibyśmy na przykład przy wigilii puścić taką rolkę i mamy głos unosiłby...

Pan aptekarz chrząknął ostrzegawczo. Zapadła cisza. Babka spojrzała na córkę.

– Gdzieś sobie wsadź swoje rolki. To może chciałabyś też nagrać moje ostatnie słowa, jak będę umierać, a potem ich dla rozrywki wysłuchiwać pod choinką co roku?

– A byłoby w tym coś złego? – matka panny Izabeli brnęła dalej.

Pan aptekarz błagalnie popatrzył na żonę, a babka aż się zatrzęsała.

– To może jeszcze ustawisz tę tubę na mojej mogile i będziesz na okrągło słuchała jęków matki w agonii...

– No, no – mitygował pan Hieronim. – Nie po to zakupiłem taki piękny wynalazek...

– Przestańcie, proszę was. – Panna Izabela pobladła. – Jest Wigilia.

No właśnie, jak tu lubić Boże Narodzenie, tę faryzejską okazję, kiedy wszyscy mają obowiązek być dla wszystkich mili, nie wychodzą żadne gazety, sklepy są zamknięte, dzień jest krótki i ciągle się siedzi w zimnym kościele? I palce u stóp marzną jak cholera.

Na szczęście święta się skończyły.

Pan aptekarz sączył kawę z filiżanki, trzymał na kolanach świeżą gazetę pachnącą farbą drukarską i wzrokiem błędził leniwie po pokoju. W piecu trzaskał ogień. Z dużej choinki już zaczynały sypać się igły. Co to za drzewko, żeby parę dni po świętach oblatywało? Tak to jest, jak się drzewko kupuje na targu, nie wiadomo od kogo. Kiedy pan Hieronim był chłopcem – na wiele lat zanim zainwestował w bujny biust żony, a następnie w niepewne rosyjskie obligacje – kto by tam choinkę kupował? Po drzewko szło się do lasu w Wigilię z samego rana. Ojciec ciągnął drewniane sanki (bo to były czasy, kiedy zawsze był śnieg), siekierę chował pod koc, na to wszystko sadzał syna – dla niepoznaki, że to niby wybierają się na spacer – i jechali. Ojciec wybierał świerk, osypując z niego śnieg, żeby nie wycinać byle czego, jakiegoś krzywego albo chorego. Ścięte drzewko kładł na sankach, a w powrotnej drodze syn dreptał w kopnym śniegu (przynajmniej tak zapamiętał, że śnieg w lesie był zawsze kopny). Bali się trochę leśniczego, ale może się i nie bali, bo leśniczy był znajomym

ojca, więc pewnie by go nie aresztował. Tak, wtedy jeszcze święta miały jakiś sens, nie to co teraz.

Pan aptekarz szybkim ruchem włożył binokle i podniósł gazetę z kolan. Przewrócił stronę i zaczął czytać:

„Jako bezpośrednie następstwo mobilizacji państw bałkańskich wymieniają pisma handlowe nagłe, niezwykle podrożenie perfum. Bułgarja bowiem jest główną dostawczynią olejku różanego, niezbędnego do fabrykacji wykwintnych pachnideł. Pola w Bułgarji uprawiają wieśniacy u stóp gór bałkańskich; zbiory odbywają się z końcem wiosny. Na uzyskanie jednego litra olejku potrzeba 4,000 kilogramów kwiecia. Żniwo róż w Bułgarji przynosi rocznie około 13 milionów kilogramów róż, z których otrzymuje się w destylacji 3,000 kilogramów cennego olejku. Stosunkowo mała wydajność zbiorów tłumaczy się tem, że jedynie destylacja w Kazanliku odbywa się przy użyciu nowoczesnych maszyn; wszędzie gdzie indziej praktykowany jest stary, dość prymitywny sposób, który nie pozwala wyzyskać zawartości aromatycznej róż w całej pełni. Z fabryk bułgarskich destylat przechodzi na targ w Konstantynopolu. Usiłowania kupców i przemysłowców europejskich, by handel olejku różanego uniezależnić od Bałkanu, opierając go na produkcji róż uprawianych we Francji, Niemczech i południowej Australji, okazały się bezskuteczne. Materiał, uzyskany w destylarniach europejskich, nie wytrzymał konkurencji z olejkim bułgarskim. Z chwilą rozpoczęcia wojny na Bałkanach ceny olejku podskoczyły do nieprawdopodobnej wysokości. Uncja olejku, za którą niedawno jeszcze płacono 14 marek, obecnie kosztuje już 50 marek i z każdym dniem ceny idą dalej w górę”.

Do pokoju weszła żona. Wróciła właśnie ze spaceru, miała policzki czerwone od mrozu i ledwie zdążyła zdjąć płaszcz.

– Wiesz, Marysiu, dobrze, że wojna bałkańska się skończyła, bo podobno bardzo podrożały perfumy, a...

– Hieronimie, później mi opowiesz o Bałkanach i perfumach. Jedziemy do Sosnowca. – Po jej minie można się było domyślić, że to decyzja ostateczna, przemyślana i wynikająca z jakiejś przebiegłej kalkulacji.

Pan aptekarz szeroko otworzył oczy. Gazeta zaszeleściła mu w dłoniach.

– Tak? A kiedy?

– Teraz.

– Proszę?

– Teraz. Jedziemy do Izabeli. – Szybkimi ruchami poprawiała suknię.

– Marysiu...

– Jedziemy. Tak zdecydowałam.

– Kiedy tak zdecydowałaś?

– Przed kwadransem.

– Ale...

– Musimy porozmawiać z Izabelą. Właśnie usłyszałam, że ten sprzedawca pierzyn z Zawiercia ma się zaręczyć w karnawale, nie ma na co czekać, nie ma się na co oglądać... albo dzisiaj, albo sprawa przypadnie, ja muszę porozmawiać z Izabelą poważnie... i proszę cię, nie protestuj, bo nie ustąpię. Włóż ten elegancki granatowy garnitur.

– A co ma do tego mój garnitur? – burknął ojciec panny Izabeli.

Nie zrozumiał odpowiedzi, bo w tym samym czasie ze ściennego zegara wyskoczyła kukułka i zaczęła ostrymi dźwiękami oznajmiać godzinę.

Pan aptekarz poprawił nerwowo krawat.

– Ale Izabela nie spodziewa się naszej wizyty.

– Tym lepiej.

– To trochę nieelegancko. Tak jakbyś nie miała do niej zaufania.

– Hieronimie, opowiesz mi o swoich wątpliwościach w powozie, dobrze?

– Poza tym Izabela była z nami w święta. Nie mogłaś z nią porozmawiać?

– Wtedy nie posiadałam jeszcze stosownej wiedzy. Teraz posiadam i wiem, że nie ma chwili do stracenia.

– A co robimy z twoją mamą?

– Zabieramy ją.

– O mój Boże. – Pan aptekarz podniósł oczy do nieba. – Po co?

– Bo tak.

I już, jak na zawołanie, pojawiła się zamknięta dorożka i umówiony („Kiedy?”) woźnica, Jan Maria Szyjka, do usług; już pośpiesznie głową kiwał, że tak, wszystko pojmuje; drzwiczki otwierał, dłoń podawał, kolana gości w pledy zawijał, szanownym paniom mufkami łaskawie służył, a nie, panie macie własne, oczywiście, oczywiście; już drzwiczki zatrząskiwał, na wielkie dłonie rękawice naciągał, baranicę na uszy wciskał; już spodnie wtykał w cholewy wysokich butów, lejce podnosił i hej, poturkotali ośnieżonym traktem. Oczy łzawiły od wiatru, ale co tam, półtorej godziny i byli w Sosnowcu.

Pan Jan Maria Szyjka zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki. Jednym szarpnięciem wysunął składane stopnie, a te opadały powoli: klap, najpierw jeden; klap, klap: drugi; a za chwilę klap, klap, klap: otworzył się i trzeci, ten to już sięgał prawie do trotuaru. We wnętrzu pojazdu coś zachrobotać, stęknęło, sapnęło i chrząknęło. Powóz zakołysał się lekko i najpierw wyszedł pan aptekarz, który następnie pomógł wygramolić się żonie i teściowej.

– Powolutku, mamusiu, bo stopnie trochę śliskie.

Woźnica stał obok i czekał, aż pasażerowie wysiądą.

– O której po państwa przyjechać?

– Za trzy godziny – powiedziała pani aptekarzowa.

– Dobrze. Będę czekał, w tym samym miejscu.

Państwo odeszli. Stangret Jan Maria Szyjka przez chwilę rozglądał się wokół. Na śniegu leżał przemoczony brunatny kartonik. Podniósł go. „D.Ż.W.W. Koluszki. Miejsce numerowane. Bez pościeli. (Plackarta). Kl.

II, 75 kop. Wagon nr 10, miejsce nr 28”. Po drugiej stronie to samo, tyle że po rosyjsku: „W.W.Ż.D. Koljuszki. Numerowannoje miasto. Bez bielja”. Woźnica odrzucił kartonik i wdeptał go obcasem w śnieg. Produkowano coraz więcej parowozów zamówionych przez Kolej Warszawsko-Wiedeńską. Niedługo nikt już nie będzie wybierał się w podróż powozem.

Panny Izabeli nie było na stacji. Ani pukanie, ani pobrzękiwanie dzwonkiem u drzwi nic nie dało. Rodzice i babka wyszli z kamienicy i stanęli przed wejściem. Na drzwiach wisiała tylko jakaś pożółkła kartka po dawnym lokatorze: „Mieszkam teraz w Rynku Nr 4 obok miejskiej apteki (Stadtapotheke) w Katowicach. Jan Joks”.

– No, po prostu ręce opadają – jęknęła pani Maria. – Poczekaście tu na mnie, porozmawiam z dozorczynią. Widziałam ją w głębi sieni, przy miednicy. – I zniknęła za ciężkimi, skrzypiącymi drzwiami.

Pan aptekarz zaczął czytać ogłoszenia na pękatym słupie, obchodząc go powoli dookoła. „Wielka wyprzedaż gwiazdkowa po bajecznie niskich cenach”. „Gimnastyka szwedzka!”. „Dr Jakób Paterman: choroby dziecięce i wewnętrzne”. „Dr Śmierchalski: lekarz chorób wenerycznych”. „Doświadczony ogrodnik znajdzie korzystną posadę w guberni smoleńskiej”. „Bielizna biała i wełniana”. „Wyroby angielskie”. „Obuwie amerykańskie”. „Krawaty, laski, paltony z taftą na jedwabiu”. „Kapelusze orygi...”. Ten woźnica, Szyjka, ma apetyczną córkę... Magdalena ma chyba na imię... „...z taftą na jedwabiu”. „Kapelusze orygi...”.

– Nie ma jej.

Żona obesła słup z drugiej strony. Na jej widok pan aptekarz aż się wzdrygnął.

– Wystraszyłaś mnie – sapnął.

– Nie ma jej w domu.

– Tak? – zawiesił głos.

– Wyszła przed południem.

– Ale dokąd poszła? Do pracy?

– Nie wiem dokąd. Jak mogła wyjść do pracy, skoro są ferie?
– Może dyrektorka kazała jej coś zrobić?
– Dozorczyńni wie, z jaką torbą Izabela chodzi do pracy, a dzisiaj wyszła z zupełnie inną torbą.
– Może poszła uczyć na kursie esperanto?
– Nie. Dozorczyńni mówiła, że kursy są odwołane aż do Trzech Królów.
– Ta dozorczyńni sporo wie.
– Dozorczyńni zawsze dużo wiedzą. Tak czy owak jest późne popołudnie, zaraz się robi ciemno i na pewno powinna niedługo wrócić. Że też akurat dzisiaj, kiedy...

– A nie mówiłem... – zaczął pan aptekarz.

– Hieronimie...

– Nic, nic, tylko...

– Hie-ro-ni-mie!

Dalej stali bezradnie na dworze.

Obok nich przechodził właśnie jakiś człowiek w wołkowej kufajce, w pasie przewiązanej powrozem. Na plecach niósł wiązkę chrustu. Zatrzymał się, rzucił chrust w śnieg i powoli rozprostował plecy.

– Tak ładnie żarło i zdechło – powiedział nie wiadomo do kogo.

– Co? – zapytał pan aptekarz.

– Koza – odparł z żalem w głosie człowiek w kufajce. – (Brzmi to niezbyt gramatycznie, ale właśnie tak powiedział). – Dobre było zwierzę... Szkoda. – Rozpiął guziki na piersi, wyjął z wewnętrznej kieszeni opróżnioną do połowy butelkę wódki. Przez chwilę przyglądał się jej z uwagą, po czym odkorkował poźółkłymi zębami i pociągnął kilka łyków. – Wszystko przez te mrozy.

Zatkał butelkę, schował ją ostrożnie za pazuchę, zapiął kufajkę, schylił się po chrust, zarzucił go sobie na plecy, stęknął i podreptał dalej, ostrożnie stawiając kroki.

Żona pana aptekarza skrzywiła się z niesmakiem.

– Mój Boże, cóż to za miasto.

Z budynku piekarni wyszedł wyrostek w białym fartuchu i popchnął w stronę pobliskiej restauracji wózek wypełniony ciepłymi bochnami chleba. Wielkie drewniane koła ślizgały się i zapadały w śniegowe bruzdy. Z ust chłopaka i z bochnów unosiła się para.

Pan aptekarz spojrział na zgarbioną babkę i na zmarzniętą żonę.

– Marysiu, powiedziałaś Szyjce, że ma wrócić za trzy godziny. Może przyjdziemy tu jeszcze raz za jakieś dwie godziny? A tymczasem zaproszę was na obiad, skoro już jesteśmy w mieście. Nie będziemy przecież tak stali, prawda?

Ledwie znaleźli się na schodkach restauracji, drzwi otworzyły się gwałtownie. Jakie to dziwne: jeszcze pan Hieronim nie nacisnął klamki, buty dopiero ze śniegu otupywał, a już właściciel ukazał się w drzwiach. Jakże on nas tak przez zamknięte drzwi wywęszył? Lekko kulejący jegomość witał pospiesznie, zapraszał do wejścia, usuwał się w bok, ale dzisiaj zimno, szanowni państwo życzą sobie stół, proszę bardzo, może tutaj, zaraz przysyłam kelnera, już paniom pomagam z futrami, tu mamy wieszaki.

Buchało ciepło od pieca.

A potem zamówili obiad i nie tylko obiad, bo skoro już tu są i skoro jest koniec roku, to można i wręcz należy jakiś toaścik wznieść. Albo kilka.

I było prawie jak w domu, pani Maria nawet całkiem jak we własnym salonie westchnęła, kiedy podano na koniec kawę:

– Hieronimie, palec.

Dlaczego on się nigdy nie nauczy, że jak człowiek chwyta w dłoń szklankę czy filiżankę, czy kieliszek, to małego palca nie powinien odstawiać, a Hieronim wiecznie z tym palcem, chronicznie wręcz, nie pamiętał nigdy, chociaż tyle razy była o tym mowa, że to nieeleganckie, tyle razy mu przypominałam. A teraz też patrzy, jakby nie wiedział, o co mi chodzi.

– Mały palec.

Zrozumiał. Kiwnął głową, palec zgiął, przyłożył do uszka filiżanki, ale jakoś tak niechętnie, jakby go parzyło, zaraz i tak zapomni, palec z powrotem na sztywno wyprostuje.

A kiedy kelner obchodził stół z butelką, babka raz po raz łapała go za łokieć:

– Tu, kochanieńki, tu.

– Szanowna pani życzy sobie jeszcze kropelkę szampana?

– Lej, lej, kochanieńki, lej. – I babka nie wypuszczała łokcia kelnera, dopóki jej nie nalał pół kieliszka.

A po chwili znowu:

– Czy szanowna...?

– Nie pytaj, kochanieńki, lej śmiało. – Babka rozochociła się. Kiedy była młoda, lubiła dziergać serwetki, robić na drutach skarpety i rękawice, teraz natomiast lubiła się napić. Mówiąc szczerze, wolałaby wódeczkę, ale skoro polewają szampana, niech będzie szampan. Żeby tylko nie zaszkodził na wątrobę.

Podnosiła do ust zielony kieliszek na długiej nóżce. Palca nie odstawiała. Ocierała usta batystową chusteczką. Mruczała ukontentowana.

Nie wiadomo kiedy minęły dwie godziny.

– Wracamy do Izabeli – oznajmiła pani Maria.

Na stacji było ciemno. Stukanie i pukanie nic nie dało, tyle że zaniepokojona dozorczyńni uchyliła drzwi swojego mieszkania. Była w halce, miała rozpuszczone włosy, a na ramionach ręcznik.

– A, to państwo... Właśnie miałam myć głowę. Czy coś się stało?

– Córka moja jeszcze nie wróciła? – Głos pani Marii drżał ze zdenerwowania.

Dozorczyńni pokręciła głową.

– Gdzież ona jest?

– Nie wiem. Może trzeba coś przekazać? Jak wróci...

– Nie, nie, dziękuję.

– No, to... w takim razie – wzruszyła ramionami – dobranoc państwu. –
I drzwi zamknęły się cicho.

Zaczął zacinać chłodny wiatr. Matka i babka trzymały ręce w mufkach, wyglądały więc obie, jakby były spętane.

– To ja stawiam na Izabeli krzyżyk. – Pani Maria zacisnęła usta.

– Nie wolno tak mówić! – krzyknął pan aptekarz. – Nie wolno nigdy na nikim stawiać krzyżyka. A tym bardziej na własnym dziecku.

Podniósł kołnierz grubego palta i zdenerwowany pokręcił głową.

– Jak możesz!

I dodał jeszcze, że nie zamierza w Sosnowcu spędzać całego wieczoru albo i nocy, czekając na córkę, która najpewniej śpi u jakiejś koleżanki, gdzie może jest cieplej w mieszkaniu.

– Wracamy do domu.

– A tymczasem sprzedawca pierzyn...

– Przestań! Proszę cię, Marysiu, przestań już!

Akurat podjechał pan Jan Maria Szyjka, który miał piękną córkę, Magdalенę.

Zakutali babkę w dwa pledy.

Jakby wieźli worek kartofli, a nie żywego człowieka. „Zimno trochę w tym powoziku. To dlatego, że jestem chuda. Ale to nic. Słusznie mówił ksiądz na kazaniu w pierwszy dzień świąt, że nic się tak Panu Bogu nie podoba jak chude ciało. Powiedział, że ciało chude od umartwień mniej będzie po śmierci gnić niż grube ciało i tym pewniej wstąpi do nieba. Gdybym była gruba, tobym teraz tak nie marzła. Albo gdybym zamiast tego szampana piła wódeczkę, to też by cieplej było. No ale trudno. Jakoś wysiedzę pod tymi pledami. Na co umarła moja siostra? Na tuberkulozę mózgu. A mąż? Krwotok płucny? Nie, krwotok płucny to ojciec. Matka... wieczny odpoczynek racz im dać panie, pomyśleć by trzeba o czymś weselszym... Ach, jak jest słodką powrotu chwila, chwila powrotu

w rodzinny kąt, a-a-a, m-m-m, wspomnienie każdy krok nam umiła, radością wieje swój własny ład, a-a-a, m-m-m... Piękna jest ta piosenka... Lecz równocześnie w tych wspomnień kole myśl jedna płoszy urok tych snów, m-m-m, a-a-a, zawody, męki wszystko przebole, lecz com kochała, niech wróci znów... ech, com kochała, niech wróci znów, niech wróci znów... com kochała, nie wróci... A mało brakowało, a poszłabym w młodości do klasztoru, no to już w ogóle wtedy wódeczki by nie było, tylko szur, szur cichutko po klasztornych sieniach i krużgankach szeptanie i szemranie, i Maryśki by nie było, i zięcia aptekarza bym nie miała, dobry z niego człowiek, a zamiast Maryśki miałabym zdrowaśki...". I babka zachichotała pod pledami, po czym dostała czkawki.

Hyp. Hyp. Hyp. Hyp. Hyp. Pledy aż podskakiwały nad wątłym ciałem.

„No, to mam piękny koniec roku”, pomyślał ponuro pan aptekarz. „Córki na stacji nie zastałem, a teraz wracam z obrażoną żoną i z pijaną teściową. Trzeba było siedzieć w domu i odpisać na list od bankiera Hertza. Zdolny to on jest, bez dwóch zdań. A to poszukuje szelma spadków, a to nabywa dokumenty wartościowe z minionym terminem, skupuje kwity, weksle i rachunki, tu inkasuje, tam przyjmuje do wyegzekwowania na własne ryzyko i koszt, a właśnie te moje obligacje Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, mógłbym mu sprzedać chyba, tylko za ile, bo on mnie na pewno... czegoż ta stara tak hyp i hyp, i hyp, nie można spokojnie pomyśleć, no więc, jak każdy bankier, ten Hertz... właśnie, czy można mu zaufać? Obligacje emitowano w 1890 roku, o ile dobrze pamiętam, tak, na pewno w 1890, przecież je dostałem w prezencie ślubnym, tylko od kogo? Bodajże, bodajże... ileż one były warte? *Sto dwadcat piat rubliet żołotom*, Hertzowi trzeba by... z procentami jakoś... w końcu po prawie ćwierć wieku prezent ślubny opchnąć, to chociaż na tym zysk byłby jakiś, tymczasem, ech, niedorzeczność, zaraz mi stopy odmarzną w tej cholernej dorożce, bo wypadało pled teściowej oddać, chuda jak szczapa, to bardziej marznie, fakt, ale czegoż tam tak miauczy? Żeby się tylko nie udusiła. Po

co ją Marysia brała z nami, to nie pojmuję, w ogóle po co był cały ten wyjazd?”.

Późnym popołudniem tego samego dnia pan Emanuel i pan Tadeusz stali w chłodnej sieni, na pierwszym piętrze sosnowieckiej kamienicy przy ulicy Fabrycznej i bębnił pięściami w drzwi mieszkania pana Andrzeja:

– Otwórz, Andrzeju, otwórz, na litość boską! My tu zamarzniemy!

Pan Andrzej wreszcie – „No jak długo można tak stać, człowieku!” – stanął w drzwiach. Czerwony ze zmieszania, walczył z paskiem kwiecistego szlafroka i był bosy.

– Ty w negliżu? O tej porze? – zawołał pan Tadeusz. – Jesteś chory?

– Nie...

– Całe szczęście. Bo...

– Panowie...

– ...zostałeś oto wybrany na naszego gospodarza. Nie krzyw się, owszem, nie zapowiadaliśmy wizyty, ale za to mamy coś dla ciebie, więc chyba zrobisz nam dobrej kawy i spełnisz obowiązki...

Pan Andrzej był wyraźnie zakłopotany.

– Tak, oczywiście, bycie gospodarzem ma swoje dobre strony. Ale, panowie, akurat dzisiaj...

– Andrzeju, dlaczego każesz nam stać w progu jak domokrażcom? Albo nachalnym kolędnikom? Nie zaprosisz zmarzniętych kolegów do środka? Sumienia nie masz?

– Panowie... – Obejrzał się w stronę mieszkania, po czym mruknął cicho. – Tak się niefortunnie składa, że teraz nie mogę was zaprosić. Przepraszam...

– No, to pięknie! Ot, słynna polska gościnność! Bóg się urodził, moc struchlała, nie było miejsca dla Żyda w gospodzie zarówno tysiąc dziewięćset lat temu, jak i dzisiaj...

– Przestań, Tadeuszu. Poza tym wtedy to akurat Żydzi nie znaleźli miejsca w gospodzie dla Żyda.

– Mniejsza. – Machnął ręką pan Tadeusz. – Nie zapraszasz, to nie. Pójdiesz kiedyś za to do tego piekła, które ci się wyśniło. Wiesz, to piekło z biletami, pamiętasz?

– Pamiętam...

– My w każdym razie zapraszamy cię do Teatru Varietes w lokalu Józefa Kreczko – powiedział uroczyście pan Tadeusz. – Ja, jako znany mecenas sztuki i propagator teatru, mam trzy bilety na dzisiejsze przedstawienie i pomyśleliśmy, że się ucieszysz i wybierzesz razem z nami.

Pan Emanuel na razie nic nie mówił. Ostatnio zrobił się milkliwy z powodu braków w uzębieniu.

– Bardzo mi przykro...

Pan Andrzej spostrzegł cię rozczarowania na twarzy pana Tadeusza.

– No cóż to, Andrzej? Jak to tak? Powiem ci jeszcze, że autorem dzisiejszego kabaretu i reżyserem całości jest nasz przyjaciel Kowalczewski, który na koniec roku przygotował pyszny program, podobno tak pyszny, że Kreczko chce mu udostępnić swoją scenę na cały karnawał!

– Mufisz... musisz z nami iść! – Pan Emanuel odezwał się wreszcie. Sepleniał jeszcze czasami, ale tylko wtedy, kiedy zapominał, że nie ma trzech zębów. – Wyobrażasz sobie, jaka będzie zabawa? W dodatku Kowalczewski obfadył się w jednej z głównych ról...

– Należy mieć nadzieję, że nie dostanie ataku padaczki.

Pan Andrzej nerwowo mierzwił włosy.

– Ale ja nie mogę. Teraz za nic nie mogę. – Zasepiony pokręcił głową. – Gdybym wiedział wcześniej. Gdybym...

– Ba, gdybyż to ludzie wszystko wiedzieli na czas, Andrzej. Dobrze. Rozumiem. Zostawię ci bilet, może przyjdiesz później i dołączysz do nas podczas antraktu?

– Panowie, naprawdę... później chyba też nie mogę.

– Dla czego? – Pan Emanuel wykrzywił usta w grymasie.

Pan Andrzej spoglądał na palce u stóp.

– Nie wiem, czy mi okoliczności pozwolą – powiedział wreszcie.

Młody Meyerhold uniósł brwi. Przez chwilę przyglądał się panu Andrzejowi z uwagą. Wreszcie zadrgał mu kącik ust.

– To przyjdź z okolicznościami.

Pan Andrzej chrząknął.

– Dobrze już, dobrze, Andrzej, nie męczymy cię dłużej. – Meyerhold poprawił szal, stuknął laską o podłogę i zwrócił się do pana Emanuela: – Chodź, towarzyszu.

Wyszli przed sień. Spojrzeli jeszcze do góry. Pan Tadeusz ulepił kulkę ze śniegu, postąpił kilka kroków w tył i pacnął śnieżką prosto w jedno z dwóch okien mieszkania pana Andrzeja.

Lekko uniosła się roleta. Kobięce dłonie odsunęły haczyk i uchyliły jedno skrzydło okna. Zebrały nieco śniegu z parapetu, ulepiły małą kulkę i niezgrabnie rzuciły ją w stronę dwójki mężczyzn na dole. Później dłonie zniknęły, roleta podniosła się całkiem do góry i wychynęła rozradowana twarz pana Andrzeja. Zagrał im palcami na nosie.

– Przyjdź z okolicznościami! – huknął pan Tadeusz, ale skrzydło już się zamykało i tylko szyba błysnęła jeszcze w zimowym, pomarańczowym blasku słońca. W drugim z okien drżała firaneczka, ale nikt nie wyrżał.

– Zostawmy go. – Machnął ręką Meyerhold. – Widocznie się zabawia z jakąś subretką. Trochę tu ostatnio zjechało aktoreczek. Ot, birbant, jak to koniec roku celebryje.

Odstąpili od okna. Ruszyli przez śnieg wymieszany na trotuarze z piaskiem i popiołem. Obaj wysoko postawili kołnierze, pan Tadeusz niósł pod pachą laseczkę ze srebrną gałką, a dłonie w białych rękawiczkach wbił głęboko w kieszenie futra. Pan Emanuel w grubym zimowym palcie machał długimi rękami w takt marszu. Rękawiczek nie nosił, za to szal zwisał mu do kolan.

– A jak oni ci wybili zęby – zagadnął pan Tadeusz – to tak całkiem czy tylko częściowo?

– Co znaczy częsciowo?

– Tylko to, co wystaje z dziąsła, czy w ogóle wszystko?

– Wybili mi korony i naruszyli korzenie, jefli o to pytasz.

Pan Tadeusz wzdrygnął się.

– Okropność. Strasznie bolało?

– Najpierw tak bolało, że nawet nie czułem, że boli. Potem bardzo bolało. Aż wreszcie opuchło, ale to akurat było błogosławieństwo. Przy opuchliznie mniej boli. Ból fizyczny zresztą da fię znieść...

– Daj pokój... daj pokój.

– Otóż, powiadam, da się...

– Przy pomocy opium?

Pan Emanuel milczał.

– Ile? – zapytał Meyerhold.

– Czteryfta kropli.

Meyerhold pokręcił głową.

– Ja jestem delikatniejszy, więc wziąłbym sześćset.

– O... – Pan Emanuel spojrzał na pana Tadeusza z uznaniem.

Meyerhold wzruszył ramionami.

– Są tacy, co zażywają i tysiąc dwieście kropli dziennie.

Pan Emanuel skrzywił się.

– I mają alabastrowe twarze, jakby nosili za życia maski pośmiertne.

Szli jakiś czas w milczeniu, pogrążeni w myślach, słyhać było tylko skrzypienie butów na ubitym, zbrylonym śniegu. Pan Tadeusz odezwał się pierwszy:

– Masz jeszcze te korzenie, które ci zostały w szczęce?

– Nie. – Pan Emanuel pokręcił głową.

– To gdzie je usuwałaś?

– U dentysty.

– Domyślam się. Ale u którego?

– U Libery. Na Targowej.

– Aha.

Myliłby się ten malkontent, który uważałby Sosnowiec wyłącznie za Świniogród, Ciemnogród, kopalnianą dziurę, miasto handlarzy i spekulantów, przemytników, robotników i tajniaków.

Był też Sosnowiec Kleszczogrodem, Obcęogrodem, jeśli tak można rzec, bo w owych czasach niemal wszyscy mieli popsute zęby, jeśli je w ogóle posiadali. Tylko ułamek procenta klientów dentystów przychodził do gabinetów w efekcie działań ochrony, większość uskarżała się na zęby, ot tak, z powodu ludzkiej kondycji w ogólności, a sosnowieckiej kondycji w szczególności, więc było gabinetów wiele: dla każdego coś niemiłego.

Dentysta Goldberg Marceli, brodaty, czarnowłosy wielkolud, który najpierw urzędował przy ulicy Modrzejowskiej w kamienicy Fruhmorgena, ale kiedy Fruhmorgen zaczął mu beczelnie podnosić czynsz co kwartał, przeniósł gabinet na ulicę Przejazdową, a kto się w tej przeprowadzce nie zorientował, to musiał z bólem zęba pędzić z Modrzejowskiej.

Nieopodal nowego gabinetu Goldberga, na Przejazdowej, w domu Rotszyldów, miała gabinet pani doktor Maria Mendelssohn, która specjalizowała się w leczeniu dzieci, ale nie umiała wyrywać trzonowych zębów mocno w szczękach zapieczonych, robiło jej się od tego słabo, dostawała palpacji, musiała wachać krople wzmacniające, więc często zakrwawiony pacjent udawał się prosto z fotela roztrzęsionej pani Mendelssohn na fotel pana Goldberga, który szybko kończył, co nieudolnie zaczęła koleżanka. W zamian za to Goldberg podsyłał pani doktor dzieci do borowania, bo z bachorami nie lubił mieć do czynienia. Nikt tak nie potrafił pokąsać, podrapać i skopać, jak rozkapryszona dziewczynka. Niby to słodkie, oczęta szczere zapłakane i niewinne, a jak capnie zębiskami, to palec niemal odgryza.

Na ulicy Targowej przyjmował doktor Libera, wysoki szczupły pan, który lubił pogawędzić z pacjentami i pokazywać im narzędzia, tłumacząc, że to oto urządzenie nazywa się kruczy nos, a tamto kozia stopa, tyle że on mówił inaczej, bo bardzo lubił zdrobnienia. „Proszę więc wybrać sobie, czy woli szanowna pani, abym zastosował dźwigienkę na dziąsółka i podważył korzonki kruczym noskiem czy kozią stopką”, tak mówił. Kleszczy nie używał, nie uważał ich za lekarskie narzędzie, tylko za kowalskie, więc: „Nie wyrywamy ząbków, nie wyrywamy kleszczami, proszę się nie obawiać, tu się nic takiego nie dzieje, tylko dźwigienkami, proszę szanownej pani, noskiem kruczym, noseczkiem, ha, ha, albo stopeczką kózeczki, zobaczymy jak tam się sprawy w buźce mają”. A potem następował ten chrzęst kości, który, jak wszyscy wiemy, gorszy jest od bólu, ten koszmarny chrzęst w szczęce – i niech piekło pochłonie wszystkie zdrobnienia Libery.

Przy Głównej były dwa gabinety. Pani Jadwiga Michalewska szczyliła się najładniejszym fotelem w mieście; skórzane cudeńko, niemal biedermeier, którego wysokość regulowana była przy pomocy wielkiej śruby; cały fotel obity był ciemnozielonym pluszem – łącznie z podłokietnikami i katowską półobręczą pod głowę.

Doktor Jan Sulimierski z ulicy Głównej nie szczylił się niczym, no może tylko tym, że często był podpity, ale uważał, że jedynie nienormalny człowiek mógł taką pracę wykonywać na trzeźwo.

Po tym jak Goldberg przeniósł gabinet na Przejazdową, na Modrzejowskiej została doktor Perelmanowa, piękna kobieta o czarnych oczach i kruczych włosach, pachnąca mydłem migdałowym i chemikaliami, a przeklinająca jak szewc, jeśli coś jej nie wychodziło. Pacjent na fotelu kurczowo wpijał się paznokciami w podrapane poręczce, a śliczna doktor Perelmanowa wykrzywiała twarz, marszczyła nos i, ach, spocona z wysiłku, cudownie i wulgarnie klęła. Zdarzało się, że mężczyźni schodzili z fotela bez zębów, ale za to z erekcją!

Krótko mówiąc, wybór był.

Pan Emanuel przypomniał sobie gabinet doktora Libery. Dentysta długo zaglądał mu do ust, wsuwał jakieś narzędzia, gruchając czule o sondeczkach, lustreczkach i zębulkach. Pan Emanuel patrzył w jego twarz szeroko otwartymi oczami. Jeszcze nigdy nie widział żadnej męskiej twarzy z tak bliskiej odległości. To było wręcz żenujące. Każdy włosik brwi, każdą rzęsę z osobna, plamki w kącikach zmęczonych oczu doktora, jego nozdrza, wszystkie pory skóry twarzy. To było wystarczająco nieprzyjemne – oglądać tak dokładnie czyjąś fizjonomię. Już nie mówiąc o palcach mężczyzny na wargach pacjenta i w ustach. Jakieś to nazbyt intymne i jednocześnie obrzydliwe. A jeśli dentystką jest kobieta, a tak się zdarza, to też przecież... jak można jej tak obśliniać palce i w nos od spodu zaglądać albo widać się pod nią w fotelu i szamotać z bólu...

Pan Tadeusz przerwał mu te rozmyślenia.

– No a co dentysta robi, jak masz tylko korzenie?

– Wyciąga je kocią stopką.

Meyerhold zatrzymał się wpół kroku.

– Czym?

– Kocią stopką. Czy mam ci opowiedzieć w szczegółach, jak się wyciąga ze szczęki kowienie wybitych wębów przy pomocy kocięj stopki?

– Nie, nie, chyba jednak nie.

– Pospieszmy się, bo nie zdązymy na przedstawienie.

Ruszyli szybszym krokiem.

Nad atelier fotograficznym Leonarda Zalegi przy Głównej 4 powieszono nowy szyld: „Pierwsze Polskie Zakłady Artystyczno-Fotograficzne w Zagłębiu Dąbrowskim”.

Pan Emanuel wykrzywił usta.

– Zobacz, jak Zalega podkreśla, że nie jest Żydem, widzisz?

– Widzę.

– Wiadomo dlaczego.

Pod kamienicą przy Główniej 18 od dawna wisiała poźółkła wywieszka: „Pierwszorzędny Zakład Fotograficzny. Bracia Altman. Fotografują Wszystko i Wszędzie”.

– Dlatego?

– Dlatego.

Pan Meyerhold zatrzymał się przed oknem wystawowym zakładu braci Altman. Po chwili okręcił się na pięcie o sto osiemdziesiąt stopni. Po czym znów się odwrócił i spojrzał na wystawę ze zdziwieniem. I kolejny raz okręcił się na pięcie.

– A tobie co? – zaniepokoił się pan Emanuel.

– Jakie to dziwne – mruknął pan Tadeusz i odwrócił się, tym razem powoli.

– Co ci jest?

– Spójrz. – Pan Meyerhold niemal przylgnął twarzą do szyby wystawowej. Pan Emanuel nachylił się z uwagą.

– Niczego nie widzę. Chyba że znasz kogof na którymś z portretów?

– Nie znam nikogo. Chodzi mi o tę fotografię, o tu.

W centralnym miejscu okna wystawowego ustawiono na sztalugach oprawione w ramę zdjęcie Dworca Kolei Żelaznej.

– Dworzec w Sosnowcu. I co z tego?

– Po co?

– Co po co?

– No, po co ustawiać fotografię dworca w oknie wystawowym, skoro wystarczy się odwrócić – i pan Meyerhold się znów okręcił, a tym razem pan Emanuel również – i masz prawdziwy dworzec przed oczami.

Pan Emanuel spojrzał na pana Tadeusza zaniepokojony.

– Czy ty nie masz powawniejszych problemów?

– Ależ nie, nie, Emanuelu, nie lekceważ, proszę, tego zagadnienia. – Pan Meyerhold znów zwrócił się ku wystawie. – To jest arcyciekawe. Patrę oto przez szybę i widzę kolejną szybę, za którą na fotografii mamy miniaturę

czegoś, co możemy zobaczyć naprawdę, jeśli tylko się obrócimy. Rozumiesz?

– Proszę cię, nie obracaj się już, bo mi się zaczyna w głowie kręcić...

– Mało tego. Widzę też niewyraźnie swoje odbicie w tej szybie i w szkłe portretu też. I twoje, Emanuelu, dostrzegam. Widzisz te zarysy? Nasze postaci są jak cienie na budynku dworca.... Tylko że to nie jest przecież prawdziwy...

– Tadeuszu, zaczynam podejrzewać, że laudanum...

– Nie, nie, Emanuelu. Po prostu dotarło do mnie właśnie, że fotografia to wielka szarlataneria. Ale dobrze. Widzę, że ciebie to nie interesuje. No więc, wracając do tego, co mówiłeś wcześniej, ja na Starososnowieckiej widziałem atelier z napisem „Fotografia Polska Warszawska”.

– To znaczy, że wojna polsko-żydowska o egzystencję już się toczy. I zapewniam cię, że to jest dużo ważniejsze niż twoje wiercenie się w jedną i drugą stronę i filozofowanie na temat dworca przed tobą i dworca za tobą.

– Mimo zdenerwowania nie zaseplenił nawet raz.

Przez chwilę szedł zamyślony.

– Jak myślisz, czy Polacy w ogóle kogokolwiek lubią?

– Tak.

– Kogo?

Pan Meyerhold zastanawiał się przez chwilę.

– Nikogo.

– No właśnie. Nawet samych siebie nie lubią.

– O, ja bym powiedział, że samych siebie nie lubią w szczególności. I nawet mają powody.

Minęli człowieka w wołkowej kufajce, przewiązanego w pasie powrozem. Na plecach niósł wiązkę chrustu.

– A zamierzasz sobie obstalować sztuczne zęby? – Pan Meyerhold wrócił do tematyki dentystycznej.

– Tak. Zaraz po Nowym Roku. Jestem umówiony u Libery. Ma mieć dostawę.

– Dostawę zębów? – Pan Tadeusz spojrział na niego.

– Przecież nie nosów.

– A z czego będą te zęby?

– Jak to z czego?

– Mój ojciec jak wstawiał, to mu proponowali z kości słoniowej albo z wieloryba, albo z kłów nosorożca...

– I co wziął?

– Zęby wieloryba, bo rabin mu powiedział, że będą najbardziej koszerne...

– Dla mnie to bez znaczenia. Poza tym nie stać mnie ani na wieloryba, ani na słonia, ani na nosorożca. Stać mnie najwyżej na kość krowią albo świńską. Dentysta mówił mi też o węgach z metalu i z porcelany. Albo że mogą być ludzkie.

– Jakie?

– Ludzkie. – Pan Emanuel zachnął się. – Najtaniej wychodzi.

– Widzę, Emanuelu, że jesteś wyznawcą moralności humorystycznej – powiedział zaskoczony pan Meyerhold.

– Ja bym tego tak nie określił. Jestem wyznawcą moralności realistycznej.

– Nie, nie. Ja się będę upierał, że jesteś moralistą humorystycznym w ścisłym znaczeniu tego sformułowania.

– Nie wiem, jakie jest ścisłe znaczenie tego sformułowania, bo pierwszy raz je słyszę.

– Ja też. Właśnie je wymyśliłem. Ale pasuje do ciebie jak ulał... Ludzkie zęby wstawiać. Też pomysł.

A jednak.

Jesteś biedny, potrzebujesz pieniędzy? Idziesz do dentysty i sprzedajesz zdrowy ząb albo i kilka.

Dostarczasz zwłoki dla prosektorium akademii medycznej? Zawód niezbyt dobrze płatny, ale jeśli wyrwiesz ze dwa ładne zęby z dostarczanych zwłok, zakładając, że nieboszczyk czy nieboszczka są w miarę młodzi, nikt o nic nie zapyta, a dentysta kupi towar i będzie zadowolony.

W ostateczności można i na cmentarzu zęby wykopać. Po kości nie widać, gdzie leżała, trzeba ją tylko wyszorować.

Ale to jest handel detaliczny, zaś prawdziwie opłacalny może być tylko hurt. Różnica jest podobna do tej między wędkarzem, który złowi od czasu do czasu parę płotek, a rybakiem, który sieciami chwyta ich setki. Jak można być hurtownikiem w handlu zębami? Otóż dobry Pan Bóg stworzył pobojuwiska. Ledwie walczące armie wycofają się z pola – już ławą ciągną zbieracze. Wskazany jest pośpiech, bo jak psy rozwłoką trupy, to się trzeba za zębami strasznie nachodzić. Po dobrej bitwie można bez trudu uzbierać kilka baryłek. Takie Waterloo! Mój Boże, jakie wtedy nagromadzono zapasy! Do Ameryki transportowano całe beczki, bo przecież i tam ludziom zęby wypadają. W dodatku wszystko co francuskie zawsze było za oceanem w cenie. Kły również. A teraz, jeśli naprawdę wybuchnie wojna, tak jak ludzie przewidują, już trzeba pękate baryłki i beczki szykować i wózki do transportu, żeby na pobojuwiska wjechać. Jest tylko jeden problem. Nigdy nie wiadomo, gdzie się rozegra porządna bitwa, bo to są tajemnice sztabowe. Korzystają na tym przypadkowi miejscowi zbieracze i spekulanci, a wówczas hurtownicy kupują od nich zęby drożej, bo zanim dotrą, jest już często za późno i nie ma co zbierać. Dlatego handel hurtowy nie wyprze detalistów z cmentarzy i prosektoriów. Tak to świat jest mądrze urządzony.

Dwa powozy Dietłów stały na granicy po rosyjskiej stronie. Celnicy sprawdzali dokumenty. Państwo jechali do Myslowitz na cały dzień. W pierwszym powozie siedział pan Dietel z żoną, a w drugim Emma z dziećmi. Opatulony w futra Heinz przysypiał na ramieniu bony, a Inge zdjęła właśnie rękawiczki i wyliczała na palcach:

– Biszkopty zanurzone w herbacie... – Objęła lewą dłonią prawy kciuk.

– Włóż rękawiczki, bo zmarzniesz – powiedziała Emma.

Inge pokręciła głową. Ze zmarszczonym czołem, pochylona do przodu, koncentrowała się na wszystkich, ale to absolutnie wszystkich potrawach, które powodują, że święta są miłsze od każdej rzeczy, która istnieje na świecie.

– Pierniczki z migdałami... – Teraz już trzymała w dłoni kciuk i palec wskazujący. – Chlebki z lubeckiego marcepanu... – Dołożyła palec środkowy.

– Mówisz o potrawach świątecznych czy tylko o słodkościach? – Emma uśmiechnęła się.

Inge znów nie odpowiedziała. Była zanadto skupiona.

– Ciasto z rodzynekami i krem migdałowy. – Teraz objęła lewą dłonią wszystkie pięć palców i niemal z ulgą oparła się znów plecami o kanapę. Szybko przeliczyła na palcach pięć potraw raz jeszcze:

– Biszkopty w herbacie. Pierniczki z migdałami. Chlebki z lubeckiego marcepanu. Ciasto z rodzynekami. Krem migdałowy.

Siedziała zadowolona i uparcie trzymała palce w dłoni, jakby się bała, żeby jej te wyimaginowane słodkości nie wypadły z rąk.

– Czy możesz już włożyć rękawiczki? – zapytała Emma. Ale zapytała machinalnie, bo powóz właśnie ruszył przez most, po odbyciu odprawy granicznej po rosyjskiej stronie.

– Emmo, opowiedz mi tę bajkę o cukierniku.

– Poczekaj chwilkę.

Emma przesunęła się bliżej okna. Oparty o jej ramię Heinz wylądował twarzą na wyściełanym siedzisku kanapy, ale nawet się nie obudził. Mruknął tylko przez sen: „Wróżka Ambiona Ambiamona”. Emma odsunęła firaneczkę. Szyba było lekko oszroniona, więc zaczęła ją przecierać mufką.

– Co robisz? – zdziwiła się Inge.

– Chcę wyjrzeć na dwór... Sprawdzimy, jak wygląda świat.

– Przecież widziałaś tę granicę sto razy. Opowiedz mi bajkę o cukierniku.

Powozy zatrzymały się w połowie mostu. Emma podciągnęła Heinza bliżej do siebie, tak żeby mógł się o nią oprzeć, ale też po to, by móc wyglądać przez okienko, które właśnie odszroniła.

– Opowiedz mi bajkę o cukierniku. P r o s z ę. – „Emma nie odpowiada, bo znów zapomniałam o tym głupim, niezbędnym «proszę»”.

– Słucham cię?

– P r o s z ę.

– Aha. O cukierniku. Ale to nie jest bajka, tylko prawda. Kiedy pan Fazer był młodym człowiekiem i miał osiemnaście lat, postanowił spełnić swoje marzenie i zostać cukiernikiem. Jednak w Helsinkach nie miał gdzie się uczyć, więc podróżował po całej Europie. Podglądał mistrzów w Petersburgu i w Berlinie, a nawet w Paryżu. Po kilku latach studiów wrócił i w centrum Helsinek przy Kluuvikatu założył cukiernię i kawiarnię.

– A kiedy to było? – zapytała Inge.

– No, to już musiało być ponad dwadzieścia lat temu, bo odkąd pamiętam, to kawiarnia pana Fazera była przy Kluuvikatu, a pierwszy raz rodzice zabrali mnie tam na filiżankę kakao, gdy miałam kilka lat.

Oba powozy znowu ruszyły i Emma przyłgnęła do okna. Zamknięta dorożka nie jest tak dobra jak otwarta, ponieważ wcale nie wiadomo, czy po pruskiej stronie dostrzeże kapitana. Nie wiadomo też, czy on pełni dzisiaj służbę, nie wiadomo, czy w ogóle zauważy powozy Dietlów i czy ją dostrzeże w okienku, nie wiadomo nawet, czy na takim mrozie stoi na dworze. Więc nie ma co oczekiwać, że będzie, i że ją zauważy, nie ma co oczekiwać...

– I ciastka też tam są?

– Poczekaj.

– Emmo!

A jednak jest. Jaki elegancki. Emmie zrobiło się gorąco.

Kapitan nie tylko ją zauważył w okienku za odsłoniętą firaneczką, ale kiedy ją dostrzegł, to najpierw przepisowo zsalutował, a potem z ukłonem zdjął czapkę.

Na mrozie.

Dla niej.

Emma wysunęła dłoń z mufki. Z wrażenia zamiast po prostu skinąć, jak dotychczas, przyłożyła trzy palce do ust. Odjęła je po sekundzie. O Boże, nie, chyba mu nie przesłała pocałunku, tylko jakoś tak...

– I ciastka też tam są? P r o s z ę?

Wyglądało to jednak tak, jakbym mu posłała pocałunek, co teraz będzie?

Koła poturkotały szybciej. Emma spojrzała przez okno w tył. Kapitan stał bez ruchu, a czapkę trzymał w dłoniach. Potem położył dłoń na sercu.

– Emmo!

– Poczekaj chwileczkę.

Zasłoniła firankę. „Posłałam mu pocałunek. Co teraz? Przecież będziemy wracać wieczorem. Co zrobić? Jak on się zachowa?”.

– Emmo? No jak? Ojejku, jaka ty jesteś dzisiaj roztrzepana.

– O co pytałaś?

– O ciastka. Czy są.

– I to jakie!

– A ile ciastek dziennie się je w takiej kawiarni?

– Myślę, że kilka tysięcy.

– A są pralinki?

– Och, pralinki są najznakomitsze na świecie!

– A pan Fazer jeszcze żyje?

– Oczywiście. Nawet w ubiegłym roku uczestniczył w olimpiadzie w fińskiej drużynie.

– To za pieczenie ciastek dają medale na olimpiadzie?

– No nie, on jest przy okazji świetnym strzelcem i był członkiem drużyny strzeleckiej.

– To czemu za niego nie wyszłaś?

Emma roześmiała się.

– Przecież ja go nigdy nie spotkałam osobiście.

– A on ma żonę?

– Tak. Pracują razem w kawiarni.

– A jak ją poznał?

– Kiedyś weszła do kawiarni piękna dziewczyna i zamówiła gorącą czekoladę, a pan Fazer zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

– No to całe szczęście, że to nie byłaś ty, bo wtedy byś u nas nie mieszkała. A praca w kawiarni jest trudna?

– Słyszałam, że pan Fazer i jego żona pracują od świtu do zmroku.

– A jak?

– Pani Fazer podobno wymyśla co rusz nowe przepisy na ciastka i desery, a poza tym zajmuje się dekoracjami. Wiesz, okna wystawowe są tak urządzone, że po prostu nie możesz się oprzeć i musisz wejść do środka.

– A dużo ludzi chodzi do kawiarni pana Fazera?

– Mnóstwo. Całe Helsinki. Szczególnie zimą, kiedy na dworze skrzypi mróz, statki w porcie stoją skute lodem, panuje mrok i piętrzy się śnieg na ulicach, a tymczasem w kawiarni jest bardzo ciepło i unoszą się te cudowne zapachy: syropy owocowe, koktajle, likiery, torty, pralinki, czekoladki...

– A są croissanty z masłem?

– Najlepsze na świecie.

– Lepsze niż w Paryżu?

– Bezwzględnie.

– Niemożliwe.

Kiedy powozy Dietlów przejechały przez granicę, kapitan Schulte wrócił do swojego biura i długo chodził w tę i z powrotem, a jego myśli biegły mniej więcej tak: „Przesłała mi pocałunek... Przesłała mi pocałunek. Przesłała mi pocałunek...? Przesłała mi pocałunek... Przesłała mi pocałunek?”.

Tak, mógłby mieć ciekawszy repertuar, ale akurat nie miał. Ani nie myślał o Wieży Bismarcka, ani o niczym innym, tylko to miał w głowie: „Przesłała mi pocałunek... Przesłała mi pocałunek? Przesłała mi pocałunek”.

Młody ordynans stał za plecami kapitana Schulte, pocierał brodę, spoglądał na oficera wąskimi oczami i uśmiechał się krzywo. („Ech, żebyś ty wiedział, frajerze, jak można sobie życie ułożyć. Jakie interesa robić”).

Ów ordynans – poznaliśmy go wcześniej jako człowieka, który kupował używaną taczkę i nowy piec w sklepie żelaznym Franzkego – znalazł wreszcie cel w życiu. Właściwie to cel odnalazł jego, czego należało się spodziewać. Podał mu go na tacy niejaki Samuel Lubelski, który mieszkał w Sosnowcu legalnie, a w Myslowitz nie bardzo legalnie.

Powoli jednak, bo można się w tej delikatnej materii pogubić.

Lubelski pracował dla Maxa Weichmanna, który miał koncesję na Stację Rejestracyjną, czyli agenturę emigracyjną. W porozumieniu z wielkimi towarzystwami okrętowymi z Bremy, Hamburga, Rotterdamu i Antwerpii ludzie Weichmanna działający w Galicji, Polsce, Rosji, Austrii i na Węgrzech werbowali tych, którzy chcieli spróbować szczęścia w Ameryce. („Człowieku, wyjeżdżaj do Nowego Świata. Tam nie będziesz jadł żółdzi na przednówku ani szczawiu latem. Co masz do stracenia?”).

W Myslowitz wisiły hamburskie plakaty zachęcające do wyjazdu.

**ANZEIGE FÜR REISEN≈
de nach Amerika**

—

Prompte Gelegenheit nach New≈York,
New≈Orleans, Quebec u. Australien,
Für die billigsten Passagepreise.

—

Nähere Unskunft ertheile ich auf portofreie
Briefe, so wie Herr Max Weichmann in Myslowitz

J.J. Mansfledt

Ściągano chętnych do Stacji Rejestracyjnej. Przyjeżdżali z tekturowymi walizkami, a Weichmann ich ewidencjonował, badał, sprzedawał im bilety na kolej do portów niemieckich i holenderskich, wreszcie sprzedawał karty okrętowe towarzystw, z którymi miał umowy, a było ich całkiem sporo: Norddeutscher Lloyd, Hamburg-Amerikanischer Packet Gessellschaft, Red Star Line, Holland-American Line i Pacific-Canada Schiffahrts-Gessellschaft. Przejściowo kwaterował emigrantów w olbrzymich barakach, a potem ekspediował w daleką podróż. Za dostarczonego do siebie potencjalnego emigranta płacił agentom średnio po kilkanaście marek, sam zaś pobierał dwa procent prowizji od sprzedanych biletów i kart okrętowych. Ponieważ w roku 1913 wysłał do Ameryki ćwierć miliona ludzi, łatwo obliczyć, że w jednym sezonie miał ładnych parę milionów marek zysku.

Poza zarobkami oficjalnymi miał Weichmann dochody mniej oficjalne oraz zupełnie nielegalne, ale do tego potrzebował zaufanych ludzi. Musiał uważać, był bowiem tak bogaty, że wielu pragnęło jego upadku. Człowiekiem do ciemnych interesów był Samuel Lubelski. Mniejszy niż Weichmann, był jednak na tyle ważny, że potrzebował własnych agentów, szczególnie wśród ludzi obsługujących przejścia graniczne. Jego specjalnością było werbowanie i ekspediowanie dziewcząt, które rzekomo miały emigrować do pracy, tyle że zamiast w Nowym Jorku lądowały w burdelach Buenos Aires. Wiedziały, co robią? No cóż, jak to często bywa, podobno wszystkie myślały, że będą szwaczkami albo... ach, mniejsza z tym...

Lubelski – człowiek o zapadniętej twarzy – wypatrzył młodego ordynansa na granicy („Jak się pan nazywa?”. „Franz Lüder”. „Szukam odpowiedniego człowieka do interesu, przyjdź pan, panie Lüder, do Stacji Rejestracyjnej Maxa Weichmanna dzisiaj o szesnastej i porozmawiamy”). Adiutant kapitana Schulte od razu zrozumiał, że to właśnie na ten dzień czekał. Spotkał się z Lubelskim („Podoba mi się to, co pan ma w oczach,

panie Franz”), potem spotykał się z Lubelskim przez całą jesień, a kiedy na początku grudnia Lubelskiego zamknęli i „król agentów”, jak go nazwała prasa, czekał na proces, Franz Lüder postanowił skorzystać z okazji i przejąć po Lubelskim część osieroconych interesów.

Przez cały październik i listopad pan Monsiorski podróżował pociągami po nadgranicznej okolicy. Koleją Warszawsko-Wiedeńską pojechał najpierw do Katowic, kiedy indziej zaś w drugą stronę – do Będzina i dalej do Dąbrowy, a nawet do Gołonoga, bo się zagapił. Koleją Iwangrodzko-Dąbrowską na trasie z Sosnowca do Granicy zrobił wielkie koło aż po Ząbkowice. Pruskimi kolejami pojechał z Katowic do Mysłowic. Wybrał się nawet w stronę Krakowa, a to nie było proste, bo musiał jechać do Katowic i tam się przesiąść na niemiecką kolej. Podróżował w pierwszej klasie i w drugiej, i w trzeciej. W czwartej nie wysiedział, bo mu smród przeszkadzał. W wagonie restauracyjnym było najprzyjemniej, ale nie mógł przy jedzeniu myśleć ani niczego przez okna obserwować, bo trudno się było skupić.

Najbardziej nie lubił momentu, kiedy pociąg wjeżdżał na stację. Po pierwsze dlatego, że trzeba było znosić impertynencje policjanta dworcowego, który szedł wzdłuż krawędzi peronu po grubo wymalowanej białej linii, potraçał ludzi brutalnie i odsuwał ich od brzegu: „Odstąpić! Odstąpić, bo *opasno!*”, warczał, a czasami – kiedy był w wyjątkowo złym humorze – kopał nogami torby i sakwojaże: „Przesunąć to dalej od krawędzi!”. Po drugie dlatego, że zaraz wjeżdżała czarna machina lśniąca od smaru, tłusta i dysząca żarem. Kiedy pociąg zatrzymywał się, słychać było zgrzyt żelaza o żelazo, głuchy chrzęst zderzaków, sapanie gorącej pary, klekot wentylów w lokomotywie. Sadza, pył i iskry. Redaktor Monsiorski miał nieodpartą ochotę zatykać sobie uszy, ale się wstydził.

W końcu zrezygnował z tych jazd pociągiem. Niewiele mu one dały.

Rozczarowany był też rozmową z Liszem. Młody malarz wytłumaczył mu wprawdzie znaczenie niektórych znaczków z teki mistrza Alojzego, ale

większości z nich sam nie rozumiał. Powiedział, że pan Monsiorski powinien pochodzić z tymi planami „po konkretnych adresach” i zobaczyć na miejscu, co mogą oznaczać „bohomyzy”. Tyle że „konkretne adresy” wydawały się być umiejscowione poza Sosnowcem, a niemieckie napisy mogły równie dobrze odnosić się do Mysłowic, jak do Wiednia czy Berlina.

Janek natomiast spisał się na schwał. Już po tygodniu pan Walerian dowiedział się, gdzie mieszka Estera Pławner i w słotny jesienny dzień podszedł pod wskazany dom. Zaglądał przez okno do ciepłego mieszkania – od ogródka, jak złodziej. Kotary w pokoju były ciemne, ale zasłonięte niedbale, jakby w pośpiechu, dlatego redaktor Monsiorski wszystko widział. Wewnątrz płonęła lampa naftowa: mieszkanie objawiło się więc w świetle morelowym. Na drewnianym krześle leżała damska torebka; w głębi pokoju stał niski fotel, rzucono nań niedbale kapę, która wcześniej przykrywała łóżko. Na kapie z kolei leżały części męskiej i damskiej garderoby. Jeszcze głębiej w pokoju stało duże łóżko. Pan Walerian dostrzegł też lustro na ścianie; blask lampy odbijał się w tafli lustra i w powierzchni jakiejś zaszklonej reprodukcji obrazu wiszącej nad wezgłowiem. Redaktor Monsiorski patrzył przez kilka dobrych sekund, zanim do niego dotarło, czemu się przygląda. Do młodej kobiety siedzącej na łóżku w różowej koszuli nocnej na ramiączkach podszedł mężczyzna. Był bosy. Ukląkł na prawe kolano na skraju łóżka; potem na lewe; zbliżył się do kobiety, klęknął za nią, przez głowę ściągnął z siebie koszulę i rzucił ją na pościel, oparł dłonie na ramionach kobiety, półnagi zaczął całować ją po karku. Coś do niej mówił. Po miękkim ruchu głowy kobiety, po wygięciu szyi, po rozchylających się ustach redaktor Monsiorski poznał, że ona wzdycha.

Pan Walerian zamknął oczy i odsunął się od okna. Oparł się o wilgotną ścianę domu i sapnął. Otworzył oczy. Nie, nie będzie się temu przyglądał, tylko spojrzy jeszcze raz, żeby zapamiętać twarze tych ludzi. Bo tam, w tym pokoju, jak się domyślał, widział nie tylko Esterę Pławner, ale być

może także mężczyznę, którego poszukiwała policja. Mógł to być ktoś inny, ale mógł to być on, Szymon Kogut. Jeśli redaktor Monsiorski skorzysta z tej jedynej okazji i spróbuje zapamiętać, jak wyglądają, a potem opíše ich twarze pani Jadwidze, a gdyby on tak panią Jadwigę... całował jej kark, całował to zagłębienie między ramieniem i szyją... pani Jadwiga mu powie, czy to był Szymon z Esterą, jeśli ich opíše dokładnie, tylko musi spojrzeć i zapamiętać ich twarze, więc dobrze, patrzy zatem, wyłącznie w celach detektywistycznych, i widzi, że dłonie mężczyzny przesuwają się po brzuchu kobiety w górę, a potem zsuwają ramiączko koszulki, które spływa miękko.

Twarze, twarze, trzeba zapamiętać ich twarze, żeby móc opisać pani Jadwidze. Zrobiło mu się gorąco, spocił się, a poza tym, gdyby go ktoś w tej chwili zobaczył!

Ona położyła dłoń na jego głowie, gładziła go po włosach, a potem wstała z łóżka, przez chwilę zasłaniając blask lampy... a gdyby on tak panią Jadwigę całował w kark, całował to miękkie zagłębienie między ramieniem i szyją na tle ciemnej dostojnej boazerii pokoju w świetle lampy, która służy mlecznym blaskiem, i tak by jęczała może jak tamta kobieta kiedyś w zajeździe, ale to jest absolutnie wykluczone, niemożliwe, w jego życiu przecież wszystko już się skończyło, tak jak u Hanki i u Henia, on jest von Lubitz... ma wyobraźnię, ale no tak... pani Jadwiga, Jadwiga potrafi pisać... Ale nie.

To było w październiku. O tym nie myśleć. I nie o siostrze. I nie o aresztowaniu. Teraz jest grudzień.

Ciekawe, jak też wygląda jej żałoba po mężu? Co ona czuje prawie pół roku po jego śmierci? Czy zastanawia się nad przemijaniem? Czy to jest dla niej bardzo trudne? Miał wrażenie, że nie była zbyt mocno związana z Korzeńcem, ale czy to nie jest tak, że jeśli nie była z nim mocno związana, to teraz odczuwa wyrzuty sumienia i bardziej cierpi, bo ma

poczucie winy? Czy łatwo się irytuje? A może płacze po kryjomu? Jak zamierza ułożyć sobie życie po żałobie?

Tuż przed Bożym Narodzeniem redaktor Monsiorski był świadkiem dziwnego zdarzenia. Nieopodal dworca, na jednej z bocznic wykołowała się drezyzna. Spadło z niej kilka ubitych wcześniej świń, przewożonych Bóg raczy wiedzieć w jakie miejsce. Obok drezyny stali dwaj czeladnicy rzeźniccy w zakrwawionych fartuchach. Byli skonfundowani i nie bardzo wiedzieli, co zrobić ze świniami. Wyglądało to tak, jakby zwierzęta – wygolone ze szczeci, odbijające się bladą różowością skóry od śniegu – zginęły w katastrofie kolejowej. Tyle że świnie nie mogły zginąć, bo były już martwe, kiedy je układano na drezynę. Tu najwyżej zginęłyby drugi raz, gdyby to było możliwe.

Redaktor Monsiorski bez trudu wyobraził sobie tę pierwszą, właściwą śmierć świń, bo pamiętał taki oto widok z dzieciństwa: pojechali kiedyś do Siewierza na sobotę i niedzielę, rodzice, Walerek i jego mała siostra. Wujek Ludwik stał w oborze, a nie w sieni jak zazwyczaj; nie trzymał w delikatnych palcach klarnetu, tylko ważył siekierę, pluł w dłonie dla odwagi i trzymał mocno stylisko, a jakiś sąsiad pomagał mu i obaj rozmawiali przyciszonymi głosami, stojąc nad pochrzającą wesoło świnia, która obwąchiwała im nogawki wilgotnym różowym ryjem, przekonana, że jak zwykle zostanie poklepana po łbie, podrapana za uchem i dostanie ciepłych kartofli do koryta. Tymczasem wujek powiedział do Walerka i Henia: „Idźcie stąd, nic tu po was”, a sąsiad mruknął z dezaprobatą: „Czego, Ludwik, niech chłopaki zostaną, też się będą musieli kiedyś nauczyć”. „Jeszcze mają czas”. „E tam, chłop musi być chłop”, ale mimo to wujek powiedział do Walerka i Henia: „Lepiej wyjdźcie, bo będę świnie tłukł, a to nie dla was widok”, na co Heniu odparł: „My chcemy zobaczyć”, a sąsiad mruknął zniecierpliwiony: „No, Ludwik, nie zajmuj się chłopakami, tylko wal wieprza”, i wujek już na nich nie zwracał uwagi, więc Walerek zapytał Henia: „Wychodzimy?”, a Heniu

szepnął: „Nie, zostajemy”. Zostali więc, wujek zapał się mocno na obu nogach i rąbnął obuchem w ciężki, świński łeb. Aż mu starannie zaczesane włosy spadły z czoła na ucho. Zdumiona świnia chrząknęła, zakołysała głową i zastrzygła uszami, a z pyska potoczyła ślinę. Do siekiery przykleiła się szczerć. „Za słabo”, powiedział sąsiad. Wujek stęknął i podniósł siekiere, po czym z impetem rąbnął świnie jeszcze raz, obuchem między matowiejące ślepia. Zadudniło, jakby grzmotnął w pusty pień; chrupnęły kości. Podniósł siekiere po raz trzeci, ale już nie uderzył. Powoli opuścił rękę. Świnia stęknęła jak człowiek, wierzgnęła jeszcze, ale zaraz obaliła się z pogruchotanym łbem i zaczęła konwulsyjnie trzeć racicami o gnój, jej brudne różowe boki drżały. Wujek Ludwik spluwał raz po raz za siebie i też się trząsał: „Nie lubię, kurwa, robić czegoś takiego, jestem muzykiem, a nie oprawcą”. „Jesteś też gospodarzem”, oznajmił cicho jego kolega. „Musisz ją walnąć jeszcze raz”. Rzeczywiście racice wciąż drżały i różowe boki podrygiwały nierównomiernie. Wujek Ludwik pokręcił jednak głową i czekał. Nie mógł uderzyć leżącej świni, a ta wreszcie znieruchomiała. Sąsiad podał wujkowi rzeźnicki nóż. Sam ustawił się z wiadrem w taki sposób, żeby złapać każdą kroplę krwi, która pocieknie z poderżniętego gardła. „Nie mogę”, powiedział wujek. „Ty poderżnij, a ja podstawię wiadro”. Sąsiad roześmiał się. Wziął od wujka nóż, przyłożył świni do gardła i wtedy Walerek zamknął oczy. Później poczuł jeszcze ciepły odór krwi z wiadra...

Stojąc nieopodal dworca, spoglądając na martwe wieprzki leżące na śniegu, tuż przy wykolejonej drezynie, redaktor Monsiorski przypomniał sobie tamten dzień. Te świnie, które pospadały z drezyny, nie cierpiały, bo były martwe, to tylko tak wyglądało, że zginęły po raz drugi w katastrofie.

Zwłoki pana Korzeńca na nasypie – jak to wtedy musiało wyglądać? Czy też zginął przy torach po raz drugi? A w takim razie – gdzie zginął po raz pierwszy?

Święta minęły i pan Walerian postanowił porozmawiać z Ociepą.

– Drezyny, panie redaktorze? No pewnie, że wiem o drezynach. O czym ja tu nie wiem, jeśli chodzi o naszą kolej? Zresztą, między nami, to jest godne pożałowania, panie redaktorze, co się dzieje. Bo ruch się zwiększył niepomiaralnie, dochody są niewyobrażalne, a akcjonariusze z samych dywidend mogliby żyć, ale co z tego, kiedy mało kto dba, żeby jakieś udogodnienia dla pasażerów były. Nie powiem, pan naczelnik się stara bardzo, ale co on może, jak zarząd tylko o własną korzyść dba... A tak, te drezyny, pan pyta... No, wiadomo, że nie po to pan ze mną rozmawia, żeby wysłuchiwać narzekań, ale rozważ pan dla przykładu taką sprawę, a ja zaraz na wszystkie pytania odpowiem, ale niech pan posłucha tego i może do gazety się nada, chociaż wtedy nie może pan pisać, że się pan ode mnie dowiedział, tylko tak jak zawsze, że dobrze poinformowany człowiek i tak, no, pamięta pan pół roku temu, jak te zwłoki bez głowy na nasypie znalazłem, to też bardzo pan sprytnie napisał, ja całej rodzinie pokazałem, ale w pracy nie miałem żadnych nieprzyjemności, więc w każdym razie taka historia... tak, tak... ja wiem, że pan nie ma czasu... już tylko to powiem, że u nas na kolei wprowadzili na przykład księgi zażaleń, gdzie pasażer może wpisać, co mu się nie podoba... Racja, ha, ha, nie ma to nic wspólnego z drezynami... Ale jest jedna kasa biletowa, rozumie pan, panie redaktorze, jedna kasa, a teraz weź pan i to pod uwagę, że codziennie odchodzi za granicę i do kraju czterdzieści sześć pociągów osobowych. Czterdzieści sześć. Każdego dnia. I jedna kasa dla wszystkich podróżnych. No to na przykład o trzeciej po południu albo o siódmej wieczorem ilu pasażerów się ciśnie, to ludzkie pojęcie przechodzi, bo odchodzą i pociągi zagraniczne, i krajowe, i ludzie po pracy wracają, a kasjer, no, ja mu nie zazdroszczę, pot z niego spływa, tłum napiera, on traci głowę; dziwi się pan? No właśnie, ja też nie. Jeden żąda biletu pruskiego, inny naszego, co rusz zachodzą pomyłki, pomstowanie na kasjera... tak tak... już... tylko to panu powiem, że rok temu pewien lekarz chciał jechać wieczornym pociągiem z Sosnowca, tym o siódmej, do Dąbrowy, bo na operację się

spieszył i się do kasy nie docisnął, a jak już się dopchał, to kasjer drzwiczki mu przed nosem zamknął, a pociąg odjechał. I wystaw pan sobie teraz, że ten lekarz tłuł się do Dąbrowy dorożką, żeby na operację zdążyć. Po tych naszych drogach szybko jechać dorożką? Zamiast w wagonie pierwszej klasy? W dodatku woźnica zdarł z niego trzy ruble. A wiem to, bo ten lekarz wpisał później skargę do księgi zażaleń, że jest za mało kas. I po roku dyrekcja odpisała mu, że jego skarga jest słuszna, i że kasy nowe zostaną zbudowane, a i tak wiadomo, że żadne kasy nie zostaną zbudowane, bo co to kogo obchodzi, że się podróżni tłoczą... no tak... tak... Właśnie, pytał mnie pan o te drezyny, no więc one potrzebują dwójki ludzi, jeden raczej nie da rady, chyba że jest bardzo silny. Zewsząd tu mogą jeździć, panie redaktorze. No właśnie, czasem legalnie, a czasem nielegalnie, bo powiem panu, że tymi drezynami to niektórzy ubite wieprzki z rzeźni przez granicę nawet szmuglują, a co pan myślał. A widziałem, ale nic nie gadam, jak nieraz przed świtem drezyna jedzie, dwóch na niej pracuje, a pięć wieprzków zabitych leży i tylko ciach, ciach, tu zwrotnice przestawią, jak trzeba i za granicę z tym jadą. Przecież inaczej tego nie przewiozą, a poza tym skoro wszystkie rzeźnie, wszystkie tu zakłady w mieście mają doprowadzone tory, to drezynami najłatwiej szmuglować. Niedaleko za granicę, wygodnie, w miarę cicho, bo tylko rękami się namachają i nakucają, ale to są tęgie chłopiska, wyrobione. Tylko trzeba mieć obstawione to i owo, temu zapłacić, temu posmarować, żeby oko przymknął... No tak, niektóre drezyny należą do rzeźni, a niektóre do kolei, ale można pożyczyć przecież... Wywaliły się wieprzki z drezyny, prawda, ale wie pan co? To nie jest żaden wypadek i chyba pan nie chce o tym pisać, panie redaktorze, o tych wywalonych wieprzkach artykułu? Bo się pan tak pyta o te drezyny... Bo jakby pan chciał pisać o wypadkach na kolei, to ja mogę też powiedzieć, skąd jest tyle wypadków. Z przepracowania służby. A najbardziej to właśnie z przepracowania służby niższej, takiej jak ja. Bo najwięcej pracują zwrotniczy i dróżnicy, ale

najbardziej zwrotniczy. Bo jest bardzo nierówno i niesprawiedliwie podzielony czas pracy i odpoczynku dla służb niższych. Weź pan zauważ, że na przykład na pruskich kolejach... No, wiem, wiem, że pan się spieszy, w każdym razie inne tu były dawniej porządki na wiedeńskiej kolei, a teraz... tyle że mam na kasie emerytalnej trochę oszczędności, tylko to mnie w tej pracy jeszcze trzyma. Składki własnej, powiem panu, redaktorze, dałem trzysta osiemdziesiąt dziewięć rubli i czterdzieści trzy kopiejki, to mi wyliczyli zaraz potem, że całkowitej rezerwy własnej mam pięćset dwa ruble i pięćdziesiąt dziewięć kopiejek według ustawy kolejowej kasy emerytalnej. No i to tyle korzyści, poza legitymacją, którą mi wystawili w Piotrkowie, i dla żony też, bo żonie pracownika służby ruchu też się należy, *udostworzenie licznosci*, pokazać panu? Nie dzisiaj?

– Panie Ociepa, a ma pan może jakąś mapę z tymi wszystkimi bocznkami, które tu się zbiegają koło dworca?

– Mam, panie redaktorze. U mnie w budce wisi na ścianie. Tyle że trochę brudna, ale...

– A ja mógłbym wejść do tej pana budki?

– To zasadniczo jest zabronione, no ale...

– Wpuść mnie pan na jedną chwilę.

– Na jedną?

– Króciutką.

– To mogę, ale żeby nikt nie widział.

Podeszli do stróżówki. Spod usmolonej ściany czmychnął w stronę torów rudy kot. Ociepa przekręcił ciężki klucz i drzwi, z których obłaziła farba, otwarły się ze skrzypnięciem. Wewnątrz było ciasno. Jedno drewniane krzesło i stół. Pod ścianą skrzynka po jabłkach odwrócona do góry dnem. Na niej Ociepa trzymał dużą, odrapaną torbę. W kącie przy drzwiach leżała sterta pożółkłych gazet, a obok w blaszany kubek wetknięto miotłę. Wielki hak na ścianie służył do powieszenia czapki i płaszcza.

– To takie moje biuro. – Zwrotniczy rozłożył ręce z zakłopotaniem.

Blat dużego stołu pokryty był nacięciami, a poza zwykłymi bliznami powstałymi od noża krojącego chleb były też serca przebite strzałą i różne inicjały: cała historia miłosnych zmagania i wyznań kilku pokoleń sosnowieckich zwrotniczych. Na specjalnym, pomalowanym na czerwono stojaczkę wisiały trzy pieczętki. Na środku stołu królował opasły słoń z kiszonymi ogórkami, w połowie opróżniony; ogórki wystawały z wody, a białe główki czosnku i zielonobrunatne badyle kopru wypływały na wierzch, jakby próbując się ratować z tej mętnej kipieli. Na wyszczerbionym talerzu leżało kilka kromek chleba, pół kostki margaryny i dwa oskubane jajka.

– To z domu – mruknął Ociepa i zaczął wszystko odsuwać na bok. Na jego szorstkich, pokrytych piegami dłoniach widać było plamy wątrobiane. Energicznie przetarł blat.

– Wie pan, podczas służby też trzeba coś zjeść.

Pan Walerian nie zwracał uwagi na prowiant Ociepy. Nad stołem wisiała bowiem duża mapa wszystkich zwrotnic zbiegających się w okolicy dworca.

Zaczął jej się z uwagą przyglądać.

– Ciekawe... Bardzo ciekawe...

Ociepa chrząknął:

– No, to już chodźmy, panie redaktorze.

Pan Walerian nie zareagował. Nie odrywał wzroku od mapy.

Ociepa kręcił się nerwowo przez chwilę, w końcu nie wytrzymał:

– Panie redaktorze, ja przez pana wylecę z roboty. – Przetarł czoło niecierpliwym ruchem.

– Już, panie Ociepa. Już, już...

– Matko Boska Przenajświętsza, co pan wyrabia? Mieliśmy tylko na jedną minutkę...

Pan Walerian przyjrzał mu się uważniej, tak jakby fakt, że ten gadatliwy człowiek się boi, czynił go bardziej interesującym. Na lewym oku

zwrotniczego formował się solidny jęczmień. Ociepa poruszył nerwowo brwiami i stęknął zdławionym głosem:

– Panie redaktorze, na litość boską, zaraz tu ktoś wejdzie.

– Już, niechże pan nie gada tyle.

– Ale jak ja się wytłumaczę, jeśli wejdzie...

– Ja to biorę na siebie, a pan niech stoi przy drzwiach i przestanie gadać. Proszę pilnować, czy nikt nie idzie, a ja panu dwa rubelki dam i na Nowy Rok pan kupi coś rodzinie.

Na górnej wardze zwrotniczego pojawiły się krople potu. Gdyby naczelnik widział, jak pracownik Ociepa lekceważy zarządzenia i narusza zakaz...

– O, to pięknie, bardzo dziękuję, ale trochę się boję, bo co pan tak te mapy ogląda... Jezus Maria... panie redaktorze, a pan nie jest sabotażystą? Nie planuje pan wysadzania pociągów?

– Chyba pan ze strachu oszalał. Wyjdź pan przed budkę i pilnuj, a jak ktoś będzie szedł, to proszę głośno chrząknąć i ja wyjdę w tej sekundzie, ale milcz pan przez chwilę, bo się nie mogę skupić.

Nagle Ociepa wyszczerzył zęby w nerwowym grymasie.

– Ja mam drugą taką samą mapę, nową, złożoną w szufladzie. Jeśli mi pan obieca, że pan nie wysadzi pociągu, to ja panu tę mapę pożyczę, tylko niech pan już idzie, bo...

– To czemu pan od razu tak nie gadał?

– Bo ja nie wiedziałem, co pan chce, myślałem, że to tak na sekundę, a pan się gapi na te mapy i gapi... Tu się właśnie dzieje złamanie zarządzeń... Tylko żeby pan nic złego nie planował.

– Panie Ociepa, przysięgam, że nic złego nie planuję. Prowadzę... hm... prywatne dochodzenie w sprawie śmierci tego człowieka na nasypie i potrzebuję minimum pomocy. I dyskrecji. Jeśli uda mi się tę sprawę wyjaśnić, to może nawet pan awansuje, rozumie pan?

– I wtedy pan o mnie napisze w gazecie? Ale co mi z tego, skoro mnie z pracy wyrzucą?

– Tu są dwa ruble, dajże mi pan tę mapę na jeden dzień, oddam jutro.

Ociepa drżącymi rękami przetrząsał szufladę. Stwarzał wrażenie wyczerpanego.

– Gdzież ona jest?... No patrz pan, lichy ją chyba ogonem przykryło... A, jest... Panie redaktorze, proszę. Taka sama mapa.

– Aktualna?

– O mój Jezu kochany, jaka aktualna. Ja nawet mam polecenie ją powiesić zamiast tej starej, bo ta stara jest już bardzo pobrudzona, ale jakoś na razie nie miałem kiedy. Ale pan wie, że za to, co ja robię dla pana, mogę odpowiedzieć więzieniem? Albo wręcz zesłaniem na Sybir! Tak, nawet na pewno na Sybir, bo to jest złamanie tajemnicy państwowej. Panie redaktorze...

– Panie Ociepa, pan wie doskonale, że ja nie mam żadnych złych zamiarów, pan to wie, prawda?

– Niby wiem, ale jak pomyślę... że na Sybir... w kibitce... – załkał.

– Niechże się pan przestanie trząść. Jutro mapę oddam. Chodzi mi tylko o to, zresztą nieważne, już panu mówiłem. Mógłbym wszystko zrobić i bez mapy, chodząc wzdłuż torów...

– Ale to też zabronione, bo strefa nadgraniczna... Dlaczego pan tak igra? Ja nie miałem pojęcia, że pan jest taki straceniec i desperat.

– Dajże pan wreszcie spokój! Dostaniesz pan jutro mapę, wieszaj ją pan sobie na ścianie, a ja nie mam żadnych, ale to żadnych złych zamiarów i pan o tym doskonale wie...

Redaktor Monsiorski spojrział w okno. Serce podeszło mu do gardła. Przez brudną szybkę wpatrywały się w nich z zewnątrz dwie pary oczu.

– Panie Ociepa – wysapał zduszonym tonem. – Dwóch ludzi tu zagląda.

Zwrotniczy jednym susem podskoczył do okienka. Po chwili odetchnął głęboko.

– To mój siostrzeniec i jego kolega. – Stropił się. – Rodziny się nie wybiera. Że mnie też pokarało... Zdzisiu jest niezbyt rozgarnięty, a jego matka nie żyje.

Redaktor Monsiorski pokiwał głową. Wiedział to i owo o nierozgarniętym kuzynostwie.

Ociepa otworzył drzwi.

– Wejdźcie do środka. Czego zagładcacie jak głodne psy do jatki?

– Bo my właśnie jesteśmy jak głodne psy...

Weszli. Obaj mieli na ramionach wytarte baranie palta, a na głowach filcowe kołpaki. „Co za maszkarony”, pomyślał redaktor Monsiorski.

– Nie zamykajcie panowie drzwi z łaski swojej – powiedział. – Ja już wychodzę. – W progu odwrócił się jeszcze do Ociepy. – Pan wie... dyskrecja.

– Panie redaktorze, no też coś. Nie trzeba mi tego dwa razy powtarzać.

Kiedy za redaktorem Monsiorskim zamknęły się drzwi, Ociepa spojrział ze złością na wyższego z tej dwójki.

– Czego chcesz?

– Rubelka, wujku, na poratowanie.

– Wziąłbyś się, Zdzisiu, do jakiejś przyzwoitej pracy. Gdyby twoja matka żyła, toby i tak umarła ze zgryzoty, widząc, na kogo wyrosłeś.

– Rubelka, wujku, rubelka. Po kazanie przyjdziemy kiedy indziej, a teraz proszę o rubelka, bo jesteśmy głodni, jest zimno, trzeba mieć serce dla rodziny.

Pan Ociepa spojrział z niechęcią na niższego mężczyznę, który w ogóle się nie odzywał.

– Twój kolega nie jest moją rodziną – mruknął. – Poza tym nie posiadam rubelka. Na rubelka trzeba się ciężko napracować. Mam własne dzieci na utrzymaniu.

– Pół rubelka?

– Ostatni raz, żebyś wiedział. – Wyciągnął pieniądze z kieszeni i wsunął je do wyciągniętej dłoni.

– A ten elegancki człowiek, który był u wujka, to kto?

– A co tobie do tego? Mój znajomy. Redaktor ważnej gazety. Pomaga mi rozwiązać pewną zagadkę kryminalną.

– Że co?

Pan Ociepa pokręcił głową.

– Nic ci nie powiem. Rozwiązujemy wspólnie zagadkę, a jak wy komuś coś piśniecie, to i mnie, i jego wywiozą na Sybir. Pojmujesz?

– Jasne. Przecież ja, wujku, nie chciałbym, żeby cię gdzieś wywieziono, bo kto by mi pożyczał pieniądze?

– Ja ci nie pożyczam pieniędzy, łobuzie, tylko ci je daję. Gdybym ci pożyczał, to chociaż raz byś oddał. A nie pamiętam...

– Wszystko wujkowi oddam, ale na razie jestem w trudnej sytuacji.

– I twój kolega też?

– Zbyszek, powiedz coś. Jesteś w trudnej sytuacji czy nie?

– Jestem – wybełkotał ten niższy. Filcowy kołpak opadał mu na oczy.

– Idźcie już – skrzywił się pan Ociepa.

– Idziemy. Wujku, a ta zagadka... to o co chodzi?

– O morderstwo. I o szmugiel głowy, ale ty mnie nie ciągnij za język, bo nic więcej nie powiem.

Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Szmugiel głowy? Szmugiel węgla albo stali, albo bydła, albo ludzi, to rozumiem... ale szmugiel głowy? Czyli że to policjant jest?

– Też coś. Jakby to był policjant, tobym mu nie pomagał.

– Ja myślałem, że to on wujkowi pomaga.

– Razem sobie pomagamy. Nie łap mnie za słowa!

– To my nie przeszkadzamy. Dziękuję za pół rubelka. Wypijemy za wujka zdrowie.

– Zdzisiu, chyba nie na wódkę potrzebne wam pieniądze?

Ale oni już wychodzili ze stróżówki, pomachali na pożegnanie i nie zwracali więcej uwagi na pana Ociepę.

Wieczorem redaktor Monsiorski rozłożył mapę na biurku, wyjął szkło powiększające i przez długi czas wodził, z nosem przy mapie, po liniach; jego głowa przesuwała się i kiwała w różne strony, sunęła nad bocznicami prowadzącymi od dworca do takich czy innych zakładów, a potem wracała z powrotem, jakby po nitkach torów. Na mapie kładł się cień. Ten prostokąt to hala warsztatów remontowych, z kolei ten podłużny kształt to budynek dworca z zegarem: a w nim kasy biletowe (w nocy zamknięte na głucho, z wywieszkami „Nieczynne”), poczekalnia, przechowalnia bagażu, pomieszczenia służbowe, ale także ściany z emaliowanymi tabliczkami „Zabrania się słuwać na posadzkę!”, na tyłach dworca perony, pod szkłem powiększającym można sobie wyobrazić nawet ich krawędzie; redaktor Monsiorski przypomniał sobie metalowe barierki na końcu peronu (na mapie ich nie było), za to ten mały kwadracik to na pewno jest budka Ociepy, a potem już lśniące pętle szyn i liczne tory boczne.

Pan redaktor wjeżdżał nosem do zajezdni i magazynów, wjeżdżał do komór, zakładów i domów handlowo-ekspedycyjnych, zmieniał kierunki, podróżował wahadłowo i okrężnie, gubił się w biurach agencyjnych, komisowych i węglowych, wydając przy tym różne pomruki. Wprawdzie wolałby mapę Europy i ruchy armii, ale w ostateczności – jak się nie ma kontroli nad całym światem, to i Sosnowiec wystarczy, chociaż, nie czarujmy się, nie jest to szczyt marzeń.

Po godzinnym pomrukiwaniu, wodzeniu wzrokiem, nosem, palcem i szkłem powiększającym pan Walerian szepnął coś do siebie. W miejscu, gdzie znaleziono zwłoki pana Korzeńca, postawił czubek kciuka. Palcem wskazującym zaś powędrował w sposób bardzo zdecydowany wzdłuż jednej z bocznicy ku kwadratowi magazynów i budynków. Teraz kciuk i palec wskazujący opierały się na mapie w dwóch punktach, jak ramiona cyrkla. Punkty te łączyła linia wyrysowanej czarną kreską bocznicy. Można

sobie wyobrazić, jak w pewną letnią noc po dolnym ramieniu utworzonego w ten sposób trójkąta przesuwa się w kierunku kciuka drewna. Siedzą na niej dwaj mężczyźni i pompują rękami dźwignię napędzającą skrzypiący lekko pojazd. Sapia i pracują równomiernie: raz-dwa, raz-dwa. Wyjechali z punktu częściowo przyciśniętego teraz opuszką palca wskazującego redaktora Monsiorskiego, z miejsca zaznaczonego czarnymi literami jako „RZEŹNIA MIEJS...”.

Z absyntem trzeba uważać, bo jeżeli się wypije o jeden kieliszek za dużo, trudno usnąć, piolun pali gardło i nachodzą złe wspomnienia. Różne. Na przykład takie jak to.

Leży z Alojzym w łóżku. Kiedy to było? Jakies siedem lat po ślubie.

„Nie mogę”, odsunęła się. „Masz te dni?”, zapytał zdziwiony, bo dopiero dwa tygodnie wcześniej miała te dni. Nie odpowiedziała. Czemu nie miała innego męża? Takiego, który nie chodziłby w znoszonym ubraniu, z rękami w kieszeniach... Przecież są mężczyźni, u których w ubieralniach wiszą drewniane wieszaki, a na nich fraki i smokingi, każdy inny: na lato, na zimę, na wieczór, na spacer, na przyjęcie, do teatru... A jeśli nie, to żeby chociaż układał starannie spodnie... Wpatrywała się w sufit szeroko otwartymi oczami, ale on tego nie widział, bo było ciemno. „Głowa cię boli?”, zapytał. „Tak”, powiedziała cicho. A po chwili dodała: „Nie mogę. Nie chcę”. Kilka dni później powtórzyło się to samo. „Nie mogę. Nie chcę”. On uniósł się na łokciu. Wyczuła to po skrzypnięciu sprężyn i wygięciu się łóżka. „No, to jak to?”, sapał obok niej. „Tak to”. A potem zdobyła się na odwagę i powiedziała mu coś, co chciała powiedzieć już dawno, ale myślała, że nigdy tego nie zaproponuje, bo to będzie ponad jej siły. „Może być... jakoś inaczej...” – w oczach miała łzy, ale nie mógł tego widzieć. Starła się, żeby jej głos nie drżał. „Inaczej?”. „Gdzie indziej”, powiedziała cicho. „Nie dosłyszałem”, wychrypiał. „Gdzie indziej”, powtórzyła głośniejszym głosem. „Co znaczy, gdzie indziej?”. Znowu sapał. „Gdzie indziej. Z kimś innym... Jeśli musisz”. Położył się na plecy. Łóżko

skrzypnęło. „Niczego nie muszę”, powiedział po chwili. Czekwała, co nastąpi dalej. Dodał: „Nie robisz mi łaski. Jesteś moją żoną. To jest twój... obowiązek”. Przez chwilę bała się, że usłyszy: psi obowiązek. Nie powiedział tak, ale mruknął jeszcze: „Nawet ksiądz ci to powie”. „To byłby mój obowiązek, gdybyśmy mogli mieć dzieci”, powiedziała. „Ale nie możemy”. Wpatrywała się w sufit z nadzieją, że może on ją jednak zrozumie. Że ona nie może. I nie chce. Ale on powiedział twardym głosem: „To jest twój obowiązek bez względu na to, czy mamy dzieci, czy nie. Zresztą, jeśli... jeśli... tego nie robimy, to niby jak możemy mieć dzieci?”. „Ja nie wiem, czy ja jeszcze chcę dzieci”. „Tak?”. „Tak”. „No więc... jak to dalej widzisz?”. „Idź gdzie indziej”, powtórzyła z naciskiem. „Nie będę miała pretensji”. Cisza. „Gdzie niby mam iść? Masz jakąś dobrą radę, skoro już wszystko przemyślałaś?”. „Nie wiem... Gdziekolwiek. Są takie miejsca...”. Wystraszyła się i nie dokończyła. Przez dłuższy czas nie odzywali się, a potem on powiedział tylko jedno słowo: „Idiotka”. Kwadrans później uniósł się znowu na łokciu, nachylił nad nią, poczuła jego kwaśny oddech. Syknął jej prosto w twarz: „Więcej cię nie dotknę”.

I trzeba mu to oddać – dotrzymał słowa.

A przecież próbowała. „Kocham cię”, powiedziała mu nawet kiedyś, parę tygodni po ślubie w przypiływie wdzięczności, że – jaki był, taki był, ale dzięki małżeństwu z nim uciekła od matki. Spojrzał na nią wtedy zdziwiony, jakby zrobiła coś niestosownego. Ona – o nie, nie zapomni tego upokorzenia – zeszywniała ze strachu, czekając na jego reakcję. A on nic. Po prostu nic. Nawet nie burknął, nie machnął ręką. Przecież jeśli się komuś mówi „kocham cię”, to się oczekuje czegoś w zamian, czegokolwiek, jeśli nie słów, to jakiegoś gestu, pogłaskania albo przytulenia, oczywiście nie każdy jest wylewny i nie każdy umie ubierać uczucia w słowa, ale żeby tak nic? Żeby nawet palcem nie kiwnąć, żeby okiem nie mrugnąć, tylko spojrzeć z niechęcią, jakby zrobiła coś bardzo niewłaściwego? O, poczuła się podle, och, jak się okropnie poczuła.

Po występie kabaretu do stolika pana Emanuela i pana Tadeusza podszedł tanecznym krokiem rozpromieniony Kowalczewski vel Siedlecki, podśpiewując szlagier wieczoru: „Cytryny mam z Argentyny, zaś orzechy mam spod strzechy... Razem! Cała sala! Piękne Panie, Znakomici Panowie... Trzy! Czte! Ry! Cytryny mam z Argentyny, zaś orzeeechy, la, la, la, la...”, a właściciel restauracji, Józef Kreczko, przyniósł szanownemu panu reżyserowi i jego przyjaciołom kilka karafek dziwnego wina, po którym wszyscy mieli sine wargi i granatowe języki. Pili dużo, ale pan Emanuel najwięcej i najszybciej. Najbardziej też swoim wyglądem przypominał diabła. Możliwe, że upił się z nudów, bo dyskusja nie była ani polityczna, ani artystyczna, tylko nijaka, kabaretowo-noworoczna i argentyńsko-cytrynowa. W sumie pan Andrzej, któremu okoliczności nie pozwoliły przyjść, niewiele stracił.

Pan Emanuel miał rozpięty kołnierzyk, przekręcony krawat i włosy w nieładzie. Bełkotał coś i przysypiał z głową na obrusie, a pan Tadeusz próbował go budzić („Proszę cię, wstań, no co ci zależy”).

Trzeba wzywać dorożkę i jakoś towarzysza odstawić do domu, ale najpierw warto go chwilę potrzymać na mrozie, żeby ciut otrzeźwiał. Z trudem udało się panu Tadeuszowi ubrać pana Emanuela w płaszcz, wyprowadzić i oprzeć o słup lampy gazowej. Jakiś czas stali na dworze, dorożka nie podjeżdżała, pan Tadeusz marzył w eleganckich półbucikach, a temperatura spadła do minus piętnastu stopni. Wreszcie pojawił się fiakier i spojrzał spode łba na klientów.

– Gdzie jedziemy?

– Na Orlą.

– Jak ten pan mi zwymiotuje w dorożce, to czyszczenie kosztuje...

– On nie wymiotuje – mruknął pan Tadeusz. – Będzie spał.

Kiedy dorożka zatrzymała się, nie można było pana Emanuela namówić, żeby wysiadł, a długie nogi zaklinowały mu się pod kanapą. Ile się pan Tadeusz namęczył! W końcu, szarpiąc towarzysza ze złością, wyciągnął mu

lewą nogę na ulicę. Reszta pana Emanuela wciąż pozostawała jednak wewnątrz i tylko jedna noga dyndała nad schodkami.

– Może by mi pan pomógł! – zawołał pan Tadeusz do dorożkarza, ale ten nawet nie drgnął. W ustach żarzył mu się papieros.

Pan Tadeusz przeklął, ponieważ nie miał już więcej pieniędzy dla dorożkarza, a było jasne, że za darmo ten z kozła nie zlezie. Walczył więc dalej, stojąc na ulicy i ślizgając się w eleganckich półbucikach. Klął coraz szpetniej, bo było zimno, a tymczasem poza tą jedną nogą niczego więcej nie dało się uwolnić.

– Emanuelu, do ciężkiej cholery, nie mogę powiedzieć, żebyś mi pomagał!

Pan Emanuel wybełkotał coś z wnętrza.

– No, pijaku, dawajże drugą nogę! I artykułuj lepiej, bo nie słyszę, co mówisz!

– Mmm... zostaw mnie! – dobiegł stłumiony głos z dorożki.

– Jak cię mam zostawić! Gdzieżeś się tak tam, kurwa, zaklinował?

– Nie wiem! – dobiegło go szczere wyznanie.

Wreszcie udało się wyswobodzić i drugą nogę. Meyerhold, dysząc ciężko, wywlókł pana Emanuela i, podtrzymując go, krzyknął do stangreta:

– Niech pan tu na mnie zaczeka. Zaprowadzę kolegę do domu i pojedziemy na Modrzejowską.

Dorożkarz bez słowa przesunął papierosa w drugi kącik ust.

– Zapłacę podwójnie. To znaczy ojciec zapłaci, ale niech się pan nie martwi.

– To będzie kosztowało rubla.

– Dostaniesz pan rubla. Ja się nazywam Tadeusz Meyerhold i nie mam w tej chwili pieniędzy przy sobie, ale do cholery...

– Zaczekam. – Dorożkarz wiedział, że nazwisko Meyerhold jest gwarancją zapłaty.

Tadeusz objął Emanuela wpół i poprowadził go. Ślizgali się obaj na gładkich podszwach, wreszcie upadli w śnieg. Pan Tadeusz od razu wstał, otrzepując płaszcz i wycierając dłonie bez rękawiczek, zaś pan Emanuel po prostu ułożył się wygodnie na plecach.

Pan Tadeusz szarpnął go niecierpliwie.

– Wstawaj, pijaku, śpisz w śniegu.

Pan Emanuel nie drgnął nawet, tylko mruknął:

– Przecież jest zima... – Tak jakby to było logiczne, że skoro jest zima, to się śpi w zaspie, a nie wśród kwiatów na łące.

Dorożkarz siedział na koźle i udawał, że niczego nie widzi. Wreszcie pan Emanuel znalazł się w swoim mieszkaniu. Wówczas odzyskał na chwilę siły, kilkoma sprężystymi susami dotarł do sypialni i tak jak stał, w ośnieżonym płaszczu rzucił się na łóżko.

– Zęby wstawię – mruknął jeszcze bardzo niewyraźnie – przydadzą mi się w nowym świecie, który nastanie po rewolucji, pst... ciii – sam się uciszył.

Po czym zamilkł z półotwartymi ustami. A pan Tadeusz zgrabiłymi dłońmi ściągnął z niego płaszcz i buty, cisnął wszystko na podłogę przy łóżku i wyszedł. Wskoczył do dorożki.

Stangret świsnął batem.

– Do domu Meyerholda?

– Tak jest. A żywo!

– Wio! Wio!

I zniknęli w mroku.

Tak oto kończył się rok 1913, w którym podrożały bałkańskie perfumy, a potaniały bałkańskie zęby.

CZĘŚĆ CZWARTA

26 – 28 CZERWCA 1914

ROZDZIAŁ 14

KARTECZKI

–Ja od razu poznam, wie pan, czy wieprzek był karmiony ziemniakami, czy otrębami, czy diabli wiedzą czym. Proszę, panie redaktorze, tędy. – Zarządca Rzeźni Miejskiej otworzył drzwi i przepuścił pana Waleriana przodem. – Tak, tak, lata praktyki... I rodzinna tradycja. Mój szwagier całymi dniami maceruje udźce w zalewie, ale proszę sobie wyobrazić, że składu zalewy nie zdradzi nawet mnie. Sprzedał mu te receptury niejaki Chlipała z Liszek, a szwagier mu przysiągł, że ich nie przekaże dalej, zresztą mają się nawzajem w szachu, bo Chlipała od szwagra też jakieś informacje dostał w zamian za tę zalewę.

Zarządca Rzeźni Miejskiej, pan Eustachy Goździk, wyjął z kieszonki eleganckiego surduta perfumowaną białą chusteczkę.

– Proszę, panie redaktorze, może pan przyłożyć do nosa, jak przejdziemy dalej. Mam zawsze chusteczkę dla gości, bo nie wszyscy dobrze znoszą zapach świeżej krwi. – Stał z lekko zmrużonymi oczami i przechyloną głową. Mimo że pracował w takim ponurym miejscu, nosił aksamitny krawat, zdaniem pana Waleriana nieco zbyt jaskrawy. Na serdecznym palcu lewej ręki miał złoty sygnet. Na oczku wygrawerowano sylwetkę białego orła.

– Bardzo elegancka chusteczka, dziękuję.

– Ach, panie redaktorze, elegancja nade wszystko. To moja dewiza. Elegancja nade wszystko.

– Chwalebna zasada. – Redaktor Monsiorski spoglądał niepewnie i zastanawiał się, jak wejść w otchłanie rzeźni, skoro pan Eustachy Goździk ma na sobie wytworne spodnie przymocowane strzemiączkami do butów.

Za następnymi drzwiami jednak okazało się, że Zarządca nie zamierza wcale płaszać między hakami z martwymi wieprzkami wystrojony jak na bal. Znaleźli się w małej izbie, gdzie wisały na wieszakach fartuchy, a na podłodze ustawiono wysokie buty.

– Zakładamy wellingtony, panie redaktorze.

– Dobrze, ale jak?

– Ot, tak.

Zarządca wlaźł w olbrzymie wellingtony i niemal do kolan się w nich zanurzył – wraz ze spodniami, strzemiączkami i butami.

Pan Walerian, na polecenie pana Goździka, wyrażone zapraszającym szerokim ruchem dłoni, zrobił to samo. Założyli długie fartuchy i białe czapki.

Duża mucha z brzękiem uderzyła o szybę w oknie. Pan Eustachy powiódł za nią wzrokiem z zainteresowaniem.

– Chodźmy więc – powiedział i uchylił ciężkie drzwi.

Weszli do ciemnej hali i pan Walerian odruchowo przyłożył perfumowaną chusteczkę do nosa.

– A nie mówiłem, że się panu przyda? – Pan Goździk wydawał się bardzo usatysfakcjonowany.

– Pan nie potrzebuje chusteczki? – stęknął redaktor Monsiorski.

– Nie. Ja jestem przyzwyczajony. Wręcz lubię ten ciepły zapach. Kojarzy mi się z bezpieczeństwem domu.

– Mój Boże.

– Tak, tak. Wytrząsanie flaków, oddzielanie warstw sadła... ja wiem... niektórzy uważają, że to dosyć obrzydliwe. Co pan chce wiedzieć, panie redaktorze? – Pan Goździk zatarł dłonie. – Proszę pytać.

– Sam nie wiem. – Pan Walerian zawahał się. – Może mi pan na początek wytłumaczy układ poszczególnych... hm... pomieszczeń?

– Hal?

– Tak, właśnie.

– Z lewej strony są chlewnie. – Pan Eustachy energicznie wyprostował lewe ramię. – Tam trzymamy skupowane wieprzki, zanim pójda pod nóż. Z prawej strony jest ubojnia. – Równie energicznie wyprostował prawe ramię i stał tak przez chwilę bez ruchu, jakby był ukrzyżowany.

– A to pomieszczenie, w którym teraz jesteśmy? – zapytał pan Walerian, rozglądając się dookoła. Z lewej strony mrocznej hali ku prawej wiodły niskie i wąskie tunele niezakryte u góry.

Pan Eustachy opuścił ramiona i oba palce wskazujące skierował w dół. Dla pewności tupnął jeszcze nogą w posadzkę.

– To pomieszczenie?

– Tak, właśnie.

– Tędy pędzi się zwierzęta do uboju.

– Tymi korytarzykami? – upewnił się redaktor Monsiorski.

– Przepędami. Tak się to nazywa. Tędy świnia biegnie, stąd – pan Goździk zatoczył ręką od lewej ku prawej – biegnie, biegnie... aż tam.

– A po co są te poprzeczne klapy w tunelach?

Zarządca rzeźni podszedł do jednej takiej klapy i pchnął ją w prawo. Odchyliła się lekko. Potem pchnął w lewo – nie drgnęła.

– To są specjalne zapadki, bo widzi pan, one się otwierają tylko w jedną stronę i świnia, jak już tu wejdzie, to nie może się cofnąć, nawet gdyby zmieniła zdanie.

– Rozumiem... Biegnie tylko w jedną stronę. – Pan Walerian powtórzył. Zajrzał z góry do przepędu. – Ale tu jest ciasno, w tym... korytarzyku.

– No, bulwar to nie jest. – Pan Eustachy przez chwilę nad czymś się zastanawiał. – Może przejdziemy do samej ubojni?

– A czy w tej chwili...

Nie chciał widzieć rzeźników z okrwawionymi rękami. Wolał pana Goździka w aksamitnym krawacie.

– Nie, nie, teraz nie prowadzimy uboju, panie redaktorze.

Weszli do przestronnej hali.

– Olbrzymie pomieszczenie – powiedział pan Walerian.

– I podobno ma bardzo dobrą akustykę. Był tu kiedyś jeden znawca, chyba pianista, i mówił, że można by koncerty dawać.

– No, proszę.

Redaktor Monsiorski uniósł głowę. Domyślał się, do czego służą wysoko podwieszane solidne haki, kołowrotki i łańcuchy, ale przeznaczenia niektórych urządzeń nie potrafił wykoncypować. Wciąż z perfumowaną chusteczką przy nosie zatrzymał się przy jednym z nich.

– A to co?

– To jest specjalny mechanizm do ogłuszania zwierząt.

– Czyli nie czują, kiedy są zabijane?

– No, to może za dużo powiedziane. Ale czują mniej.

– Całe szczęście.

Pan Goździk zachnął się.

– Wie pan, tego się nie robi dla dobra świni, tylko dla dobra mięsa, bo świnia wystraszona ma mięso gorszej jakości.

– A te stoły?

– Które?

– Te... z rynnami pod spodem.

– Tu się świnia wykrwawia, a do tych rynien zbiera się krew.

– Może się odechcieć szynki, słowo daję – mruknął pan Walerian. – A niech mi pan powie, czy przy takim zabijaniu świni...

– Biciu...

– Biciu, no tak. No więc, przy takim biciu świni, dużo krwi rozlewa się po pomieszczeniu?

– To zależy, panie redaktorze, ile świń bijemy którego dnia. Ale bywa, że dużo.

– A kiedy się zmywa podłogi i w ogóle, wie pan, kiedy się wszystko czyści? Czy przed nocą musi wszystko zostać wyczyszczone?

– Naturalnie.

– Więc, gdyby rano były na podłodze ślady krwi, to wzbudziłyby zdziwienie pracowników?

– Ich zdziwienie może nie, ale moją wściekłość tak. Ludzie są czasem niechlujni i nie zawsze dobrze posprzątają, ale z reguły wieczorem wszystko jest czyste. Gdyby rano znalazły się jakieś krople albo plamy krwi, to powiedzmy, że nikomu bym głowy nie urwał. Zrugałbym pewnie i tyle. Natomiast gdyby się to drugi raz zdarzyło temu samemu pracownikowi, wywaliłbym na zbity pysk.

– A jak często się to zdarza?

– No, wie pan, ja nie sprawdzam codziennie, ale powiedzmy, że raz na parę miesięcy jakieś uchybienia mnie irytują.

– I żadnych podejrzeń by to nie wzbudzało u pana, tylko irytację? Kazałby pan po prostu posprzątać?

– Jakie niby podejrzania? Że biją w nocy po kryjomu?

– No, właśnie.

– Ja w to nie wnikam. Pewnie czasami biją. W każdym razie, ja oficjalnie nic nie wiem.

Pan Walerian pośliznął się na posadzce. Pan Goździk złapał go za ramię.

– Proszę uważać. – A po chwili zapytał: – Lubi pan podroby?

– Pan wybaczy... – Redaktor Monsiorski odzyskał już równowagę.

– Czy lubi pan podroby?

– Szczerze mówiąc, nie bardzo. Zresztą – dodał po chwili zastanowienia – zależy jakie.

– Ja natomiast uwielbiam. – Pan Goździk mruknął jak kot. – Za to, na przykład, nie lubię truskawek.

- Jak to? Dlaczego? – Pan Walerian nie krył zdumienia.
- A tak. W ogóle nie przepadam za owocami.
- To się chyba rzadko zdarza.
- Chyba tak.

Milczeli przez chwilę, tak jakby oryginalność gustów pana Goździka wymagała skupienia; dopiero w ciszy w pełni uwidaczniała się ich wykwintność.

Potem jednak pan Walerian przypomniał sobie, po co tu przyszedł.

– A niech mi pan powie, tak z ciekawości zapytam. Czy często zdarzają się wypadki w pracy? Że jakieś ostre urządzenie kogoś skaleczy na przykład?

– Rzadko, ale skłamałbym, gdybym powiedział, że to się nigdy nie zdarza. Bywa, że temu czy innemu palec albo nawet dłoń odetnie, ale to na ogół wtedy, gdy pijani do roboty przyłazą.

Wówczas pan redaktor zadał pytanie, które chciał zadać najbardziej:

- A czy da się odróżnić krew człowieka od krwi zwierzęcia?
- Nie, panie redaktorze, tak na wygląd niczym się krew ludzka od świńskiej nie różni.

Redaktor Monsiorski szybko zmienił temat.

- A ten pojemnik? Co to jest?
- Oparzelnik.
- Rany boskie, co za nazwa. A do czego?
- Z wieprzka trzeba usunąć szczec, prawda?
- Szczerze mówiąc, nie wiem.
- No więc, trzeba. Nie zatrudnię hordy ubogich Żydów, żeby siedzieli cierpliwie na zydlach i skubali szczecinę za parę rubli na miesiąc, bo może gdyby to były gęsi, toby skubali, ale wieprzka nie dotkną – zarechotał pan Goździk, ale po chwili zreflektował się i spoważniał. – Dlatego wrzuca się tusze do wrzątku, właśnie do tych kadzi.

– I szczeć schodzi? – zainteresował się pan Walerian, zaś uwagę o Żydach pominął milczeniem, bo przypomniało mu się spotkanie ze Szpigielem.

– Schodzi.

– Szczecinuje się martwą świnie, prawda?

– Naturalnie.

– A to co jest? – Pan Walerian wskazał palcem na coś, co wyglądało jak pochodnia.

– Wie pan, jak się już wieprzka przepuści przez oparzelnik, to i tak zawsze zostaje trochę sierści i wtedy się ją spala. Niemiecki patent. Świetne urządzenie. Jak wszystko, co Niemcy wymyślą. Mają te cholery zmysł do techniki, co by o nich nie powiedzieć. I do zabaw z ogniem też mają upodobanie. Zauważył pan, że przy każdym święcie rozniecają ogniska? Sparzą kiedyś łapy. Ale te gazowe pochodnie do opalania szczeciny bardzo im się udały.

Do hali weszli jacyś ludzie z nieckami, ale pan Walerian wolał się nie przyglądać, co niosą. Odwrócił wzrok i rozejrzał się jeszcze raz dookoła.

– Wszędzie kafelki. Iluż tu ludzi musiało pracować.

Pan Goździk kiwnął głową.

– Półtora roku temu robiłem wielki remont. Musiałem zatrudnić dwie duże firmy, żeby wszystko sprawnie szło.

– Korzeniec?

– Kredycki i Marywil.

– A Korzeńca pan znał?

– Nie. Znałem tylko tych, którzy u mnie pracowali. Ale mogę panu powiedzieć, że oni Korzeńca nie znosili.

– Jako konkurenci?

Pan Goździk zawahał się.

– Ich zdaniem Korzeniec był szpiclem. Szpiclem, dywersantem i donosicielem.

- Poważnie? Na usługach ochrony?
- Gorzej. Podobno na usługach Niemców.
- Jezus Maria.
- Powtarzam tylko, co mi mówiono. W Mysłowicach działa potężna siatka zakonspirowanych agentów niemieckich udających przemysłowców, handlowców i spedytorów.

Redaktor Monsiorski skinął głową.

- Każdy to wie.
- No, właśnie. Korzeniec rzekomo pracował na rzecz najbardziej niebezpiecznego spośród nich. Tylko niech mnie pan nie pyta, który to! – Roześmiał się pan Goździk. – Bo nie mam pojęcia.

– A może oni tak mówili o Korzeńcu, bo walczyli o tych samych klientów? Wie pan, nieczysta konkurencja?

– Może i tak, panie redaktorze. Nie chciałem wypytywać, sam pan rozumie. Zresztą mnie polityka nie interesuje.

– Ale słyszał pan, co się stało z Korzeńcem? Jakoś przed rokiem.

– Coś słyszałem, ale niewiele. Tylko tyle, ile wyczytałem w pańskiej gazecie. Wszystkie te porachunki, donosicielstwo i ciemne interesy... Ja prowadzę interesy jasne, wykafelkowane i higieniczne. – Roześmiał się. – Jeśli nawet jakiejś świni łeb w rzeźni obetnę, to jedynie w tym celu, by nasi obywatele mieli pełnowartościową głowiznę, a nie po to, żeby gdzieś głowę wyrzucać do rowu w Abisynii, jakby to był śmieć.

– A co się właściwie robi z wieprzowej głowy? – zapytał redaktor Monsiorski. – Bo ja, wybaczy pan, nie bardzo wiem.

– Salcesony, zupy, galarety... Już nie wspominam nawet o mózdzku, uszach czy języku...

– Hm, przyznam, że mam mieszane uczucia, jeśli chodzi o tego typu...

Pan Goździk chwycił pana Waleriana za rękaw i zapytał z przebiegłą miną:

– Bo pan woli porządne połcie mięsa i szynki, prawda?

– Oczywiście.

– A jeśli pająk, kierując się odwiecznym instynktem, je muchę albo mrówkę, to od czego zaczyna?

– Od odwłoka?

– Otóż nie. Zaczyna od głowy. Bo jest najwartościowsza. To ona dostarcza najcenniejszych składników odżywczych. Głowa. Nie, za przeproszeniem, dupa.

Ale pan Monsiorski nie słuchał tych anegdot zbyt uważnie, bo zrobiło mu się niedobrze od zapachu rzeźni i poczuł, że musi natychmiast zaczerpnąć świeżego powietrza.

Jutro, już jutro. Możliwe, że to będzie najważniejszy dzień w moim życiu. Na pewno tak. Nie bardzo wierzę w to, że usnę, chociaż powinnam, bo nie chciałabym mieć podkrążonych oczu. Nie miałam czasu przygotować się należycie, a to dlatego, że wieczorem, kiedy myślałam, że dzieci pójdą spać, a ja będę miała wreszcie parę chwil dla siebie, Inge pokrzyżowała moje plany.

Musiałam zająć się dziećmi, zwłaszcza dzisiaj, skoro młodszy pan zgodził się dać mi w sobotę wychodne. Bardzo mu przecież zależało, żebym akurat w soboty była z dziećmi, więc tym bardziej nie mogę w piątek pokazać, że nie wypełniam należycie obowiązków. Chociaż, mówiąc szczerze, kiedy poszłam do pana – z duszą na ramieniu, modląc się, żeby mi zezwolił ten jeden jedyny raz mieć wychodne w sobotę, kiedy nawet postanowiłam, że go okłamię, jeśli zapyta, dlaczego właśnie jutro muszę mieć wolne popołudnie i wieczór – kiedy z tą determinacją weszłam do pokoju fajkowego, pan ledwie zwrócił na mnie uwagę, taki był zmartwiony. Cały czas myśli o sytuacji w Europie i o tym, co się teraz stanie z fabryką i rodziną, no więc powiedziałam mu, że wprawdzie w sobotę powinnam być z dziećmi, ale bardzo mi zależy... i nawet się nie zaczerwieniłam przy tym... pan machnął nieprzytomnie ręką i mruknął: „Dobrze, dobrze, Emmo, masz jutro wolne całe popołudnie i wieczór,

zamiast najbliższego wtorku”. Nawet poczułam się nieco rozczarowana, że tak łatwo poszło, bo skoro przez pół roku w konspiracji wymieniam karteczki z kapitanem Schulte i skoro już udało mi się umówić na rendez-vous, to oczekiwałam, że będą się piętrzyły jakieś przeszkody, że będzie mi się rzucało kłody pod nogi, a tu tymczasem: „Dobrze, dobrze, Emmo”, i mogę iść, mogę jechać, ja chyba oszaleję, zwariuję dzisiaj, nie wytrzymam do rana. Tak łatwo! Żadnych przeszkód i ta karteczka, którą trzymam w sekretarzyku, ta ostatnia z wielu, wielu wymienionych na granicy karteczek, wkładanych w mój paszport. On odbierał liściki, gdy kontrolował moje dokumenty, kiedy jechaliśmy do Myslowitz, a ja odbierałam jego liściki w drodze powrotnej – też wsunięte w paszport. A teraz ustaliliśmy i potwierdziliśmy sobie przed dwoma tygodniami, że w sobotę, 27 czerwca, czyli jutro, jutro, jutro, na tarasie restauracji Drei Kaiserreich-Ecke, o godzinie czwartej po południu, och... będzie tam czekał „Pani Szczerze Oddany i do Usług, z Najwyższym Szacunkiem i Najgłębszym Uniżeniem, Kapitan Berndt Schulte...”, po prostu nie mogę w to uwierzyć, szczególnie że nie zamieniliśmy ze sobą jeszcze ani słowa... tylko te pachnące liściki... W każdym razie, kiedy myślę o tym, co się wydarzy za kilkanaście godzin, co on powie, co ja powiem... na pewno przyniesie mi kwiaty albo czekoladki, jest przecież taki szarmancki...

Tak czy owak, kiedy weszłam do pokoju dzieci, zastałam okropną scenę. Inge leżała na łóżku i buczała: „Ja nie chcę umrzeć, ja nie chcę umrzeć”. „O czym ty mówisz, Inge?”, zaniepokoiłam się. „Czy ktoś cię straszy?”. Przez dłuższą chwilę nie była w stanie złapać tchu. Kiedy już ją zebrało na porządną płacz, to aż siniała, tak się potrafiła zanosić. Heinz stał z boku, ssał palec i spoglądał na siostrę. Usiadłam obok niej na łóżku i przytuliłam ją. „Co się stało, Inge, proszę, powiedz swojej Emmie”. „Bo, bo byłam z papą i mamą na cmentarzu i... iiiiii...”. Znowu płacz. Westchnęłam. Mam jutro pierwsze w życiu rendez-vous, mam tête-à-tête z oficerem, a teraz zamiast myśleć o garderobie – a przecież od tego może zależeć całe moje

przyszłe życie i szczęście osobiste – no więc zamiast myśleć o garderobie, muszę uspokajać Inge.

Okazało się, że młodszy pan zabrał całą rodzinę do mauzoleum, które, mówiąc szczerze, wygląda jak cesarski grobowiec. W podziemiach znajduje się płyta: „HIER RUHT IN GOTT HEINRICH GOTTHOLD DIETEL *IN GREIZ 16 MÄRZ 1839 †24 JUNI 1911”. Inge zapytała: „Po co dziadkowi taki wielki grób?”, a młodszy pan – widocznie zbyt roztargniony – powiedział jej, że jest w nim miejsce na czternaście trumien. Inge zapytała: „Dla kogo?”. Wtedy pan pojął, że nie powinien takich rzeczy przy dziecku mówić, myślę, że może pani trąciła go łokciem ostrzegawczo albo chrząknęła, tak to sobie wyobrażam, i żadne wyjaśnienie nie padło. Inge po powrocie do pałacu zamknęła się w pokoju i wpadła w histerię. „Po co po co po co jest miejsce na czternaście trumien w mauzoleum dziadka?”. Nie umiałam jej odpowiedzieć na to pytanie. Inge jest zbyt inteligentna, żebym jej mogła wmówić, że na przykład ja tam będę leżała. Nie bardzo bym chciała, mówiąc szczerze, być pochowana w tym okropnym mieście, wśród wyziewów i waporów, które nawet nieboszczykowi szkodzą, choć pewnie jakiś skromny grób by mi nieopodal mauzoleum Dietlów postawiono. Ale ja nie chcę, ja mam jutro rendez-vous i nie wiadomo wcale, gdzie ja sobie życie ułożę, gdzie wyjadę z kapitanem Schulte, może do Berlina, może do Hamburga, może jeszcze dalej, do większego miasta. Tymczasem „Po co po co po co?”, krzyczy Inge. Chrząknęłam. „Nie wiem, po co. Poza tym, Inge, ty jesteś jeszcze dzieckiem...”. „Ale przecież kiedyś umrę”, zawyła. „Każdy kiedyś umrze”, zgodziłam się. „No widzisz? Tam już jest miejsce na moją trumnę!”. „Inge, każdy kiedyś umrze, ale pomyśl o tym, że po śmierci idzie się do nieba, do Pana Boga i aniołów, do lepszego świata, i w niebie jest się szczęśliwym. Dużo bardziej szczęśliwym niż na ziemi”. Nie wydaje mi się, żebym ją przekonała. „Ja pójdę do piekła”, wrzasnęła. „Mowy nie ma”, uspokajam ją. „Właśnie, że tak!”. „Do piekła idą mordercy albo zatwardziali grzesznicy”. „To właśnie ja, bo ja grzeszę przeciwko

tobie”. „Przeciwko mnie?”. Roześmiałam się, ale nie chciałam o nic wypytywać. Inge jednak musiała powiedzieć, tak się wystraszyła tego piekła. „Bo... bo jak ty mi czegoś zabraniasz... albo mnie pouczasz... albo każesz mi robić coś nudnego, to ja sobie myślę po cichu: A żeby ci świnia ogon odgryzła!”. „Żeby mi co?”, zdziwiłam się. Inge płacze wniebogłose. „Żeby ci świnia ogon odgryzła! Tak sobie myślę wtedy i ja wiem, w głowie swojej wiem, że to jest źle, ale mi się tak samo myśli, naprawdę samo. Przepraszam, przepraszam. I ja wiem, że ty mnie teraz nienawidzisz, a ja pójdę do piekła”. Westchnęłam. Heinz oznajmił z całą stanowczością: „Emma nie ma ogona”. „Przecież ja wiem! Ale ja tak myślę. Nie chcę tak myśleć, ale jeśli sobie zabraniam, to wtedy mi się w głowie samo powtarza: żeby ci świnia ogon odgryzła! Żeby ci świnia ogon odgryzła! Nawet teraz mi się tak powtarza”. Inge zaczęła bić zaciśniętymi pięściami w łóżko. „No, no”, pogłaskałam ją. „Już, już”. Ale ona rozpaczała o cały świat i niemal dostawała drgawek. „A Heinz?”. „Co Heinz?”, zapytałam. „Czy tam jest miejsce także dla Heinza?”. „Gdzie? W niebie?”. Wiedziałam, że nie o to pyta. „W mauzoleum!”, ryknęła Inge. Westchnęłam. Co za uparciuch. „Heinz, podobnie jak ty, Inge, jak ja, może za sto lat, ale na pewno nie wcześniej, powtarzam, za sto lat, za bardzo wiele, wiele nieprzeliczonych lat, pójdzie do nieba i będzie tam szczęśliwy”. Heinz stał cały czas spokojnie i przysłuchiwał się nam z zainteresowaniem. Teraz wyjął palec z ust i powiedział tylko. „Nie chcę do nieba. Wolę w Sosnowcu”.

Wczesnym popołudniem do redakcji „Iskry” przyszła pani Jadwiga z czterdziestym odcinkiem powieści o zbrodni w Słupnej. Redaktor Monsiorski przerzucił zapisane karty wzrokiem: Kolejarz Obst, dręczony wyrzutami sumienia, popadł w stan alkoholizmu... zwierzył się kompanowi, że brał udział w zabójstwie księżnej Sułkowskiej... „Mhm... dobrze”... jednocześnie w rzece znaleziono strzelbę... to z niej padły w tamtą noc śmiertelne strzały... w czasie procesu prokurator w płomiennej mowie przekonał sąd, że z tej oto dwururki znalezionej w rzece... „hm...

ale jak można udowodnić coś takiego”, pomyślał redaktor Monsiorski i podniósł wzrok. Ponieważ pani Jadwiga wpatrywała się w niego bardzo intensywnie, wbił oczy w tekst i o nic nie zapytał. Ona z kolei nie spodziewała się, że pan Walerian podniesie oczy, kiedy akurat dochodziła do wniosku, że ma bardzo ładne brwi i myślącą twarz... No więc Obsta skazano na śmierć... Redaktor przełożył kartki i zerknął na ostatnią. Odcinek kończył się tym, że główny oskarżony w morderstwie, niejaki Finke, przedostał się do Austrii, a stamtąd uciekł do Turcji.

Redaktor Monsiorski odłożył kartki i podniósł głowę.

– I co będzie teraz?

– W następnym odcinku Finke trafi ze Stambułu do Hamburga...

– Mhm...

– Na żołądźce angielskim i tam spotka się z Florą...

– Mhm...

– A w kolejnym przebiegły urzędnik policyjny, Koszycki, pojedzie do Hamburga i założy Finkemu kajdanki, w momencie kiedy ten będzie wchodził na statek odpływający do Ameryki. No i w ostatnim odcinku Flora ucieknie sama na Lazurowe Wybrzeże... Pan mnie słucha, panie redaktorze?

– Tak, tak, oczywiście.

– Bo tak było naprawdę. Ja tu niczego nie wymyśliłam.

– Ja wiem. Bardzo mi się pani powieść podoba.

Milczeli przez chwilę. W otwartym oknie lekko powiewała firanka.

– Dlaczego pan jest smutny?

– Nie jestem smutny. Byłem dzisiaj rano w Rzeźni Miejskiej i trochę mnie ta wizyta przybiła.

– W rzeźni? – Pani Jadwiga uniosła brwi.

Pan Walerian westchnął.

– Wciąż błędę po omacku w sprawie śmierci pani męża. Nie mogę, niestety, powiedzieć, żebym się bardzo szybko posuwał do przodu, chociaż

coś mi się w głowie układa.

– Och, przepraszam. Zadałam niestosowne pytanie. Dziękuję panu, że w ogóle...

– Staram się, pani Jadwigo, proszę mi wierzyć, że się staram.

– Wiem – powiedziała impulsywnie i położyła dłoń na sercu. – Ja wiem.

– Na razie niczego nie wykoncypowałem. To jest naprawdę piekielnie trudne. – Rozłożył ramiona bezradnie. – Ale nie mówmy już dzisiaj o ponurych sprawach. Zna pani legendę o stopie Jadwigi?

– Pan żartuje?

– Nie, to taka krakowska legenda. O królowej Jadwidze.

– I o jej stopie?

Redaktor Monsiorski zarumienił się.

– Nie tylko. Także o kamieniarzach...

Teraz to pani Jadwiga spłoszyła.

– Panie redaktorze, nie wydaje mi się, żeby królowa Jadwiga zadawała się z kamieniarzami. Teraz musi mi pan opowiedzieć tę legendę, bo się obrażę i będę myślała Bóg wie co.

– Nie, nie. Nie chciałem pani urazić. – Redaktor Monsiorski złapał się tak nagłym ruchem za głowę, że potracił okulary, które zsunęły mu się na nos. Siedział tak przez chwilę. Pani Korzeńcowa uśmiechnęła się.

– Więc jak to było ze stopą Jadwigi i kamieniarzem?

– W Krakowie na Piasku budowano kościół z polecenia królowej. No, wiadomo, Jadwiga była świątobliwa...

– Święta.

– Świętą została po śmierci, to znaczy, że za życia...

– No, tak.

– Doglądała budowy... wie pani, tam jest dużo legend, ja ich nie pamiętam, tylko tę o Jadwidze zapamiętałem.

– I co? Doglądała budowy i co dalej?

– Przeznaczyła na ten kościół potężny majątek i któregoś dnia znów znalazła się na Piasku. Jeden z robotników był smutny. Więc zapytała dlaczego.

– I dlaczego był smutny?

– Bo miał ciężko chorą żonę i nie miał za co kupić lekarstw.

– A tak, w takim razie ta legenda nie ma nic wspólnego ze mną, bo mój mąż nie zmartwiłby się szczególnie, gdybym była chora i nie miała na lekarstwa.

– Ależ ja nie... To jest.... To jest o świętości Jadwigi! – zawołał pan Monsiorski. A ciszej dodał: – O jej dobroci.

– Więc cóż zrobiła Jadwiga? – zapytała i wbiła wzrok w ziemię.

– Postawiła nogę na leżącym obok kamieniu i odpięła złotą klamrę ze swego sandała i...

– I podarowała kamieniarzowi?

– Tak, a on pobiegł po lekarstwo, a kiedy wrócił, okazało się, że na kamieniu odcisnięty jest ślad jej stopy... – Redaktor Monsiorski czuł się nieswojo. Właściwie nie wiedział, czy się nie ośmiesza. – Od dobroci królowej nawet kamień zmiękł – bąknął jeszcze i urwał. – Wbił wzrok w kwitariusz i kanciąstą buteleczkę atramentu.

– I to koniec? – Pani Jadwiga patrzyła w podłogę.

– Wmurowano ten kamień i dzisiaj go pokazują na ścianie kościoła.

– Widział go pan?

– Widziałem.

Pani Jadwiga podniosła wzrok i spojrzała redaktorowi Monsiorskiemu prosto w oczy.

– Chyba bardziej by mi się podobała ta legenda, gdyby Jadwiga obdarowała czymś cennym redaktora, a nie kamieniarza.

Pan Walerian wyraźnie się speszył.

– Podoba się panu moje imię? – zapytała nagle.

– O tak! – zawołał.

– To proszę mi mówić po imieniu.

– Pani Jadwigo!

– Jadwigo...

– Jadwigo...

Wstała.

– Rytuał wymaga...

– Tak, tak. – Redaktor Monsiorski obiegił biurko i rzucił się do jej dłoni.

– Proszę mówić do mnie: Walerian...

Pani Jadwiga ujęła jego dłonie. Redaktor Monsiorski spoglądał na nią niezbyt przytomnym wzrokiem. Uśmiechnęła się. On wiedział, że coś powinien zrobić albo przynajmniej coś powiedzieć, ale nie wiedział co.

Ona za to wiedziała.

Stała na palcach i pocałowała go w usta. Następnie opadła na pięty, ale nie puściła jego rąk. Czarny kapelusik spadł jej z głowy i potoczył się po podłodze. Pan Walerian uwolnił drżące dłonie i niezgrabnie ruszył za nim w pogoń. Po chwili zbliżył się z kapeluszem do pani Jadwigi. Podał go jej.

– Momentami wszystko wydaje mi się nierealne – westchnęła. – Tamto życie. I to również.

Ktoś zastukał do drzwi. Pan Walerian zamarł. Wszedł zgarbiony pan Klaja w błękitnym fartuchu. Chrząknął.

– Przepraszam, jeśli przeszkadzam...

„Przeszkadzasz pan, jeszcze jak pan przeszkadzasz!”, krzyknął w myślach rozsierdzony pan Walerian, ale wyraził to tylko wzrokiem.

– ...ale mam pewną sprawę do jutrzejszego numeru gazety...

– Na mnie już czas – powiedziała pani Jadwiga.

– Nie!

Pani Jadwiga uniosła brwi, a zecer podrapał się po głowie.

– Panie Klaja... – zająknął się redaktor Monsiorski – przyjdź pan za chwilę, bo ja z panią muszę...

– Proszę, niech pan jednak zostanie. Ja już wychodzę. Pan redaktor trochę się zdenerwował wiadomościami politycznymi ze świata, sam pan rozumie... – Pani Jadwiga uśmiechnęła się do Klai promiennie, pożegnała go krótkim skinieniem głowy i wyszła z redakcji.

– Uroczą wdówka – zachichotał zecer i pokazał niebieskoczną obwódkę na dziąsłach.

– Panie Klaja, podobno pan przyszedł z jakąś sprawą, a nie z impertynencjami, których ja nie zamierzam wysłuchiwać.

– O, przepraszam, panie redaktorze, bo ja przyniosłem do niedzielnego wydania mój artykuł o Unii. – Wyciągnął z kieszeni fartucha pomietaną kartkę i zawiesił głos, ale pan Monsiorski milczał. Zecer wyszczerzył więc wampiryczne zęby i kontynuował: – ...No więc, wiosenna runda meczy się skończyła, a ja mam pewne przemyślenia i rozmawiałem z Renem na temat przyszłego sezonu. I Rene twierdzi, że... – zerknął do swojej kartki – „że Union dokonał niezwykle szybkiego skoku naprzód, szczególnie po przejściu w ostatnich miesiącach kilku zawodników z Milowic...”. – Pan Klaja chrząknął i czytał dalej: – „Aleksander Rene uważa, że latem będą prowadzone celowe treningi i że Union już niedługo będzie poważnym rywalem każdej drużyny”. To myśli pan... – zawiesił głos.

Od sześciu lat Aleksander Rene był bohaterem dla pana Klai. Wtedy bowiem gubernator piotrkowski, usłyszawszy, że w Sosnowicach pewien niebezpieczny warchoł doprowadza notorycznie do nielegalnego i ekstatycznego gromadzenia się groźnych grup młodych mężczyzn (tak określił w nakazie aresztowania niepojęte i podejrzone kopanie piłki na łące), wsadził Renego do więzienia w Łodzi. Siedząc w areszcie, Rene słał petycje do gubernatora, tłumacząc, że nie przyświeca mu żaden zdrożny cel, że chciał tylko – będąc pod wrażeniem wybitnych sukcesów klubu futbolowego Union Petersburg – utworzyć w Sosnowcu jego filię. Gubernator czytał petycje więźnia, parskając śmiechem i wrzucał listy do kosza. („Odpiszcie mu, że jego propozycje są absurdalne i podejrzone,

a kara więzienia pozostaje w mocy”). Rene napisał więc bezpośrednio do zarządu klubu w Petersburgu. Wy tłumaczył, że chce założyć na rubieżach cesarstwa filię Unionu, że są tu chętni i zdolni zawodnicy, jest też wynajęty teren pod boisko, ale gubernator w Piotrkowie nie dość, że nie daje zgody, to w dodatku wtrącił go do więzienia, i on – lojalny grażdanin Aleksander Rene – uprzejmie prosi klub o zgodę na utworzenie filii TS Union, bo do czego to podobne, żeby nie można było podziwiać piłkarzy z Petersburga, zaś sprzeciw gubernatora jest antypaństwowy, by nie powiedzieć: sabotażowy. Z Petersburga przyszła zgoda. Czym prędzej wypuszczono Renego z więzienia („Ach ty, *job twoju mać*, ja ciebie jeszcze dopadnę”, obiecał mu gubernator, wręczając nakaz zwolnienia i patent na utworzenie drużyny), kazano wracać do Sosnowic i zakładać drużynę na chwałę carstwa.

Pan Klaja chodził na wszystkie mecze TS Union, a redaktor Monsiorski pozwolił mu pisać do gazety krótkie relacje ze spotkań. Chuderlawy zecer był z tego bardzo dumny i przykładał się do swoich notatek.

– Panie Klaja, dobrze, drukuj pan swój artykuł w jutrzejszym wydaniu, tylko bądź pan łaskaw nie na pierwszej stronie, bo ostatnio...

– Tak, tak – zaczerwienił się Klaja – już wiem, panie redaktorze. Ale to dlatego, że Union odniósł wówczas bardzo cenne zwycięstwo...

– No, dobrze, już dobrze, a teraz zostaw mnie pan samego.

Pan Klaja schował kartkę do kieszeni fartucha, ale nie wyszedł.

– Co jeszcze?

– No, bo panie redaktorze, jeśli będzie druk...

– A tak, rzeczywiście, przepraszam, jestem nieco zamyślony. – Redaktor Monsiorski sięgnął do kieszeni i wyciągnął pięćdziesiąt kopiejek. – Proszę. Albo poczekaj pan. – Znów sięgnął do kieszeni i wyjął drugą monetę. – No, panie Klaja, to na dobry koniec sezonu. Weź pan.

Zecer ukłonił się, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Pan Walerian otarł czoło chusteczką, zdjął okulary i ściągnął surdut. Koszulę miał mokrą od potu. Założył ręce na plecy i zaczął chodzić od biurka do okna i z powrotem. W pewnym momencie machinalnie otworzył szufladę, po czym ją zamknął, bo zapomniał, czego szukał.

– Uspokoić serce – mruknął do siebie. Z karafki wlał do szklanki nieco wody, wypił jednym haustem.

Znów zaczął chodzić z rękami założonymi na plecach.

Pani Jadwiga wróciła do domu w znakomitym nastroju. „Nie ma już odwrotu, wszystko ustalone i jasne”. Rzuciła kapelusz na komodę, a na kapelusz cisnęła czarne koronkowe rękawiczki.

– Co pani zje na kolację? – zapytała Zosia.

– Coś lekkiego. Ugotuj mi może ryż z jabłkami... I z cynamonem.

Pierwszą reakcją pana Emanuela, kiedy otworzył drzwi, wszedł do mieszkania i poczuł, że coś zaszurało mu pod butem, było zdziwienie. Nadepnął na mysz? Nie. Zdziwienie ustąpiło osłupieniu, kiedy podniósł wsuniętą przez kogoś pod próg białą kopertę (która teraz nosiła ślad jego podeszwy), otworzył ją i przeczytał karteczkę, na której wykaligrafowano starannie drukowanymi literami: „DONIÓSŁ NA PANA LECHOSŁAW”. Patrzył. Nie wierzył własnym oczom. Przypatrywał się karteczce, przypatrywał się kopercie, odwracał to w jedną, to w drugą stronę, a nawet powąchał, bo należał do tych ludzi, którzy zawsze obwąchują papier. To, że papier pachnie, wiedzą wszyscy, natomiast nie każdy wie, na ile satysfakcjonujących sposobów można wdychać woń papieru. Ale odbiegam od tematu. Pan Emanuel zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz. Przez chwilę nasłuchiwał, czy w korytarzu nie słychać żadnych kroków.

Bzdura, mruknął. Ohydny anonim. W dodatku musiał go napisać ktoś, kto zna zarówno Emanuela, jak i towarzystwo, w którym się obraca. Anonimowy donosiciel usiłuje wsypać rzekomego donosiciela.

Jednak bieg myśli nie pozwolił mu spać tej nocy.

A gdybym zapytał Lechosława i zobaczył po prostu jego reakcję?

No tak, tylko jeśli jest niewinny, ma wszelkie prawo się obrazić.

Wówczas pospołu z Lechosławem znajdą donosiciela.

Tak trzeba zrobić. Żeby się upewnić, że kolegę oczerniono, trzeba sobie pozwolić na małe *qui pro quo*, a jeśli Lechosław się oburzy i obrazi, wówczas pan Emanuel pokaże mu karteczkę i razem znajdą łotra.

Przed południem – po źle przespanej nocy – wpadł do dużej kamienicy na Targowej, gdzie Lech-Leszka wynajmował kwaterę.

Nie, nie od tej strony Targowej, gdzie mieszkali Szpilmanowie, jeśli się ktoś nad tym zastanawia, zupełnie właśnie nie od tej strony, bo to było na drugim końcu ulicy, więc można założyć, że ani pan Lech-Leszka, ani pan Emanuel nie znali Samuela Szpilmana, jego żony Edwardy, nie mówiąc już o gromadce dzieci, czyli nie znali Halinki, Reginki, Henia i tego najzdolniejszego, Władzia, który w tej właśnie chwili, bo takie koincydencje się zdarzają, dlaczego by nie, stał w mieszkaniu na drugim końcu Targowej na drewnianym, wyściełanym krześle z podłokietnikami i jako słodki dwuipółlatek pozował panu Altmanowi do fotografii, trzymając małą trąbkę w prawej dłoni, chociaż wcale nie został później trębaczem, tylko pianistą, dzięki czemu, można rzec, Sosnowiec stanie się w przyszłości niemalże matecznikiem muzyków, chociaż nic na to przez wiele dekad nie wskazywało... Zaraz, o czym to ja mówiłem, aha, że pan Emanuel wpadł do dużej kamienicy na Targowej, gdzie Lech-Leszka wynajmował kwaterę.

– Gdzie Lechosław?

– Poszedł do fryzjera – powiedziała gospodyni.

– Którego?

– Do Barona.

– A dawno?

– Będzie jakieś dwie godziny. Co pan dzisiaj taki w gorącej wodzie kąpany?

– A nic.

Pan Emanuel pobiegł na ulicę Przejazdową i zajął do fryzjera. W drzwiach zadzwieczył dzwonek. Pan Baron wychynął zza parawanu.

– Jest u pana Lech-Leszka?

– Był. Ale wyszedł jakoś przed godziną.

– A nie mówił, dokąd idzie?

Pan Baron miał w rękach biały ręcznik. Myślał przez chwilę.

– Mówił. Poczekaj pan... Przypomnę sobie. Bodajże do Jureczkowej.

Pan Emanuel popędził do piekarni.

– Był u pani Lech-Leszka?

– Był. Kupił bułki i mówił, że jeszcze musi po coś wstąpić do Bajołka.

Ale u intrologatora Bajołka na Iwangrodzkiej też pana Lechosława już nie było.

– Powiedział, że wybiera się na obiad do Hotelu Niemieckiego.

W Hotelu Niemieckim pan Lech-Leszka siedział przy stoliku, jadł zupę jarzynową i czytał gazetę.

– Szukam cię od dwóch godzin – mruknął pan Emanuel, dosiadając się bez ceregieli do jego stolika. – Byłem u ciebie w domu, byłem u Barona, u Jureczkowej, u Bajołka – machnął ręką – wszędzie!

– Chy-chyba zostawiam za sobą za du-dużo śla-a-adów. – Pokręcił głową Lech-Leszka i odłożył gazetę. – I cóż ta-takiego się sta-a-ało?

Coś we wzroku pana Lechosława – jakby spłoszenie, skrzywienie ust – dało panu Emanuelowi do myślenia.

– Mam nadzieję, że nic. Chciałem zamienić parę słów. Za pozwoleniem, bo widzę, że przeszkadzam ci w obiedzie.

– Mu-usi to być co-oś wa-ważnego, sko-oro mnie go-onisz po całym mie-mieście. – Pan Lech-Leszka odłożył łyżkę i wyprostował się. – Słucham.

Pan Emanuel zamierzał powiedzieć wszystko zupełnie inaczej, ale w końcu wypalił nie tak, jak chciał:

– Doniosłeś na mnie.

Sam się wystraszył, że stwierdził to tak stanowczo, bo wcale nie w taki sposób zaplanował rozmowę z Lechosławem.

Pan Lech-Leszka bynajmniej nie wyglądał na zdziwionego tym oskarżeniem, raczej na zirytowanego.

– Hm... Kto ci to po-powiedział?

Pan Emanuel znów powiedział nie to, co zamierzał. Jakie to jest trudne, mówić to, co się chce, kiedy mówi się to, czego się nie chce.

– To nie ma nic do rzeczy. – I dodał z naciskiem – Wiem, że na mnie doniosłeś.

Spojrzał z nadzieją na pana Lech-Leszkę, licząc na to, że ten go spiorunuje albo że mu wręcz da w twarz, wyleje mu zupę na głowę, wybatoży krzesłem po plecach. Chyba tak byłoby najlepiej. No, dajże człowieku w twarz, unieś się świętym oburzeniem, razem, ramię w ramię, poszukamy autora podłego anonimu.

Ale pan Lech-Leszka nie piorunował, w twarz nie zamierzał dawać, wcale też nie wyglądało na to, że będzie się unosił świętym oburzeniem, trząsał talerzem lub batożył krzesłem. Pan Lech-Leszka zwiesił głowę nad zupą jarzynową.

Pan Emanuel zbladł. Dopiero po dłuższej chwili zapytał:

– Dlaczego?

Cisza aż dudni w uszach.

– Dla-dla-dlaczego co? – Pan Lech-Leszka podniósł wreszcie głowę i skrzywił się.

– Dlaczego na mnie doniosłeś?

– Do-do-doskonałe pytanie. Dla-dla-cze-czego doniosłem. – Jąkał się teraz bardziej niż zazwyczaj. – A-a-a ja-ja-jakiej o-o-o-cze-ku-ku-jesz o-o-odpo-powiedzi ode-de-de mnie? Co-co-co-co ci ma-ma-mam po-po-wie-wie-dzieć?

– Prawdę.

Pan Emanuel, jak widać, miał coś z tą prawdą. Fetyszyzował ją nawet wówczas, kiedy miał sztuczne zęby. Możliwe, że wciąż uważał prawdę za afrodyzjak i stąd ta mania.

– Pra-pra-prawdę? – Głowa Lechosława jakoś samoistnie i żałośnie zatrzęsała się.

– Tak. Prawdę. Dlaczego na mnie doniosłeś? – Między brwiami pana Emanuela zarysowały się gniewne zmarszczki. – Jak się masz tyle jąkać, to lepiej mi to zaśpiewaj.

– Za-za... co?

– Zaśpiewaj! Podobno jękały nie jękają się podczas śpiewu – powiedział z goryczą pan Emanuel.

Znów cisza.

– No ta-ta-ta-tak. Dla-dla-cze-czego do-doniosłem... – Dochodził już do siebie. – A mo-mo-że to wca-ale nie ja do-do-niosłem?

Pan Emanuel zniecierpliwiony zerwał się z krzesła.

– No, to się nad tym dobrze zastanów. – A że lubił gesty szerokie, dodał jeszcze na odchodnym: – Dzisiaj jest piątek. Nie wiem, co teraz zrobię, ale sobie wszystko do jutra przemyślę. Przyjdź łaskawie wieczorem do Victorii, bo ta sprawa dotyka wszystkich nas, nie tylko ciebie i mnie.

– Ju-ju-jutro? – Lech-Leszka wyraźnie odetchnął.

– Tak, jutro, jak w każdą sobotę, o ósmej wieczorem. – Pan Emanuel wyciągnął oskarżycielsko palec. – I pomyśl, z łaski swojej, co zechcesz nam powiedzieć, bo chociaż nie zamierzam wyciągać pochopnych wniosków, to sprawa jest poważna i na pewno tak się nie skończy. Tymczasem muszę ochłonać.

– Do-dobrze. Ju-jutro będę w Victorii.

– Do zobaczenia zatem.

Pan Lech-Leszka uśmiechnął się krzywo. Zyskał całą dobę. Nie zawsze ma się w życiu tyle szczęścia.

Wczesnym wieczorem redaktor Monsiorski zapukał do drzwi małego domku. Po chwili otworzyła mu młoda kobieta o czarnych włosach.

Pan Walerian zdjął kapelusz.

– Przepraszam, że bez zapowiedzenia i o późnej nieco porze. Pani pozwoli, że się przedstawię...

– Pan do mnie?

– Tak... Redak...

– To chyba pomyłka.

– Ja bardzo przepraszam, że panią nachodzę... w taki sposób... nazywam się Wale...

– Przepraszam, ale to na pewno pomyłka. – I kobieta cofnęła się. Pan Walerian wyczuł, że za sekundę będzie za późno, że Estera za chwilę zatrześnie mu drzwi przed nosem.

– Proszę! – krzyknął w desperacji, ale drzwi już się zamknęły, a on stał w progu. – Chodzi o Szymona – dodał jeszcze, ale bez nadziei, że ktoś go słyszy. Może trzeba było nalegać, wsunąć stopę w drzwi, tak jak to widział w kinematografie u Bindera. A on stał w progu i bawił się w kurtuazję, zamiast...

Przez mgnienie oka przypomniał sobie, że widział ją wtedy, jesienią przez okno, kiedy ona... z tantym...

Nagle drzwi uchyliły się lekko.

– Niech pan wejdzie.

ROZDZIAŁ 15

CO TO ZA ZABAWA?

Emma spojrzała na zegarek. 15.50. „Nie wypada, żebym przychodziła za wcześnie. Pospaceruję jeszcze po parku. On wówczas zajmie stolik, a ja wejść za kwadrans, bo nie powinien czekać zbyt długo. W końcu jako oficer na pewno ceni punktualność”.

W południe padał deszcz. Na ścieżkach zrobiło się mokro i powyłaziły ślimaki. Wyglądały jak podłużne, brązowe liście i zostawiały za sobą srebrny ślad.

„Rodzice spacerują z dziećmi. Ja też, kiedyś. Może niedługo.

Inge ma biały porcelanowy nocnik w błękitne szlaczki z kwiatów, a na dnie nocnika delikatny wzór splątanych listków. Wydaje mi się to dosyć szczególne, tym bardziej że to ja chodzę opróżniać nocnik. Na nocniku nie powinno być żadnych wzorków. Po co powodować u dziecka niezdrowe wpatrywanie się w... ale nie będę o tym rozmyślała teraz. Chociaż, skoro już tak sobie myślę... moje dzieci nie będą miały tyle zabawek. To niczemu nie służy. Inge ma cały pokój lalek w czepkach i balowych sukniach z falbankami i kokardami, ma wózki do wożenia lalek, foteliki i krzeselka, pudełka, puzderka, panny leżące i stojące, siedzące, niektóre tak duże jak ona sama. Ma drewniane mebelki z wypisanymi imionami ulubienic. Lalki siedzą nawet na koniu na biegunach. Koń jest jasnobłękitny, ale ma czarną grzywę i prawdziwe małe siodło. Inge ma też dwupiętrowy dom dla lalek, z otwartą jedną ścianą, umeblowany według najnowszej mody,

z dywanikami na podłogach, kilimami i miniaturowymi mebelkami. Z parteru na piętro prowadzą białe schody z balustradką, a na nich położony jest czerwony dywan. Na stoliczkach leżą haftowane obrusiki. I te stoliczki zastawione są do obiadu, a zastawa jest z drogiej porcelany. W oknach wiszą muślinowe firaneczki. Taki domek musi kosztować fortunę.

Wystarczy, że Inge rozboli lekko gardło, a postępuje jak stara baba. («Wysuń język i powiedz AAAA... nie EEEE i nie YYYY, jak owca, tylko AAAA... no tak... idziesz natychmiast do łóżka». «Dobrze, Emmo, tylko proszę, zawołaj papę»). Nazajutrz służący wnoszą pudła, a w nich nowy *Puppenhaus* albo nowy *Puppenwagen*, a Inge cudownie zdrowieje, klaszcze radośnie i podskakuje na pierzynie. Jeśli jakaś choroba trzyma ją przez kilka dni, pudła się piętują: *Puppenstuben*, *Puppen-Küchen*, *Puppen-Badezimmer*, tchu brakuje. («Jak wyzdrowieję, to zrobimy lalkom Große Wäsche?». «Zrobimy»). Przychodzi czas na Große Wäsche i kąpiemy *Babypuppe*. Dla Inge to przednia zabawa, szczególnie że może się chlapać wodą. Chyba że mydło wejdzie jej w oczy, wówczas jest trochę płaczu. Skóra na palcach kurczy się od wody. («To się nazywa palec praczki». «Brzydki. Dobrze, że nigdy nie będę praczką»). A kiedy przychodzi najnowszy numer „*Moden-Zeitung fürs deutsche Haus*», kupowany w Myslowitz po piętnaście fenigów, i pani już go przejrzy przy popołudniowej herbacie, Inge uczy się z gazety, jak ubierać swoje *Puppen* według najnowszej mody, jakie im zamówić *Puppen-Perücken* i jaki *Puppenkleidung*, a nawet, jak posłać modnie *Puppenbett...*”.

Emma zerknęła na zegarek. 16.00. Ścisnęło ją w żołądku.

„...A jeśli coś się popsuje, lalki jadą do Myslowitz, do pana Thomsena, który ma warsztat: *Puppen-Reparaturen*. Ech, Niemcy! Rosjanie nawet ludzi nie naprawiają, co tu mówić o lalkach. Polacy naprawiają najwyżej święte figury, ale wszystko robią byle jak, chyba że pracują dla Niemca, to wówczas potrafią być najlepszymi robotnikami. Żyd też niczego nie naprawi, tylko lamentuje wniebogłosy o wyrządzonej mu krzywdzie.

Może już wejść? Nie.

Lalki Inge i tak są o niebo lepsze niż zabawki jej brata. Heinz ma armię ołowianych żołnierzy i nic innego go nie interesuje. Na drewniane klocki nie zwraca uwagi, na miniaturowe pociągi również. Za to całymi godzinami potrafi mozolnie ustawiać ołowianą armię w szeregach naprzeciwko siebie, sapiąc, stękając i wysuwając w skupieniu język. Potem, mrucząc coś do siebie, przewraca palcem poszczególne rzędy żołnierzy, drapie się po głowie, podśpiewuje – i co to w ogóle jest za zabawa?

Jeszcze zrobię jedno kółko po alejkach. Muszę się trochę uspokoić.

Jak już będę jego żoną... Czy oficer do ślubu musi iść w galowym mundurze? Mundur jest elegancki, to prawda, ale chyba wołałabym, żeby był ubrany tak jak mój ojciec na zdjęciu ślubnym, we frak i w białą atłasową kamizelkę. Tylko czy się zgodzi? Może mu zależy, żeby brać ślub w mundurze? Ale jeśli go poproszę? Ojciec zawsze mamie ustępuje. Czasami tylko śmieje się, że go zamknęła w klatce. Mama się wówczas oburza i mówi, że jeśli już, to klatka jest ze szczerego złota i czy gdziekolwiek byłoby mu lepiej? «Kochanie!», woła ojciec ze śmiechem, «Nigdzie! Nigdzie! Ja przecież mam złotą, wygodną klateczkę, klateczunię wyściełaną miękkimi poduszczkami...». Matka udaje obrażoną, więc ojciec gładzi ją po ręce i mówi: «No, już, już. Ale powiedz sama, czy tak nie jest?». «Nie widzę, żebyś się wyrywał na wolność». «A co mi tam wolność, jak ja do klateczuni dostaję same smakołyki», ojciec aż się klepie w kolano, taki jest zadowolony. Matka burczy: «To wchodzi tu porządnie do środka, bo ja zamykam drzwiczki. Uważaj, żeby ci ogona, dziadku, nie przytrzasnęła». Ojciec raduje się, jakby usłyszał najlepszy dowcip. A matka mówi jeszcze: «W dodatku wejdę za tobą do tej klateczuni, połknę kluczyk i tyle». «Ho, ho, ho», cieszy się ojciec.

Dom nad Lauhanlampi. Niewielki tartak nad jeziorem. Trociny jak piasek: zebrane do dłoni letnim wieczorem były bardzo ciepłe.

Ale, ale... 16.10. Tak, teraz już wypada wejść”.

Ostrożnie wstępowała po schodkach na taras restauracji, podtrzymując suknię dłońmi. Nie podnosiła jeszcze wzroku. Czuła, że się coraz mocniej rumieni. Żeby się tylko nie potknęła o rąbek sukni, bo zrobi z siebie pośmiewisko. Zaczerwieniła się jeszcze bardziej i serce mocno kołatało jej w piersi. Stała wreszcie na drewnianym tarasie, głęboko wciągnęła powietrze i podniosła głowę. Przy żadnym ze stolików nikt nie siedział.

Może dlatego że był deszcz i krzesła są mokre?

– Fräulein? – Kelner pojawił się w drzwiach i gestem zaprosił ją do środka.

Przeszła przez taras powoli i czuła bicie pulsu w szyi. Zaszło jej w gardle.

Wewnątrz było duszno. Przy jednym ze stolików siedziała jakaś rodzina z dziećmi. Przy innym dwie starsze panie piły kawę. Poza tym nie było nikogo.

– Może tutaj, przy oknie? – Kelner odsunął jedno z krzesel. Emma machinalnie usiadła.

Kelner lekkim krokiem ruszył po kartę dań.

Na stoliku leżały dwie ulotki reklamujące salony dla pań. Emma zerknęła na pierwszą ulotkę. „Moderner Damen-Salon. Atelier für Haararbeiten. Manicur – Marcel Ondulation”. Odłożyła ją i podniosła wzrok.

16.15.

„Spóźni się. Przyjdzie. Przyjdzie, tylko się spóźni. Pojawi się w drzwiach, zanim przeczytam tekst drugiej reklamy”.

Wzięła do ręki ulotkę i skupiła na niej całą uwagę. „Johanna Peters, Friseurin, empfiehlt sich den geehrten Damen zum Frisieren in und ausser...”. „Za szybko czytam. Jeszcze raz”: „Johanna Peters, Friseurin, empfiehlt sich den geehrten Damen zum Frisieren in und ausser de Hause. Kopfwaschen mit d. neusten Apparaten. Heissluft-Trocken-Apparat. System Balke, Hoflieferant, Leipzig”. Czytała coraz wolniej: „Anfertigung

sämtlicher Haararbeiten. Ankauf ausgekämmter Haare zu Höchst. Preis”. Kelner położył kartę dań na stole. Emma podniosła wzrok. Nikt nie przyszedł. Czytała litera po literze: “G-u-t-e u-n-d r-e-e-l-l-e B-e-d-i-e-n-u-n-g v-e-r-s-p-r-e-c-h-e-n-d, b-i-t-t-e-t u-m g-ü-t-i-g-s-t-e U-n-t-e-r-s-c-h-t-ü-t-z-u-n-g...”.

Odłożyła reklamę. Drżącymi dłońmi otworzyła torebkę i wyjęła ostatni liścik. Nie pomyliła się. Sobota, 27 czerwca, na tarasie restauracji Drei Kaiserreich-Ecke w Myslowitz, o godzinie czwartej po południu. Na ścianie wisiał zegar. Dwadzieścia pięć po czwartej. Zamknęła oczy.

Wrócił kelner. Emma siedziała bez ruchu. Chrząknął. Otworzyła oczy.

– Einen Moment, bitte.

Kelner uklonił się i zniknął za drzwiami.

O 16.30 wyszła z restauracji. Omiotła wzrokiem pusty taras. Szczęki miała tak mocno zaciśnięte, że aż ją rozbolewały zęby. Nie płakała. Jedną ręką ścisnęła parasolkę, a drugą dłonią przyciskała do serca torebkę.

Zatrzymała się w pustej alejce. Kilka razy mocno odetchnęła. O 17.00 siedziała już w dorożce i jechała w kierunku Sosnowca.

Kiedy o godzinie 15.00 kapitan Schulte ubrany w wyjściowy mundur zamierzał pójść na rendez-vous do restauracji, w jego kwaterze pojawili się dwaj żandarmi. Ma się natychmiast stawić w sztabie. Mobilizacja. Co? Teraz? Mowy nie ma. Żandarm wzruszył ramionami. Ma rozkaz. Albo pan kapitan pójdzie z nimi do sztabu, albo, jeśli zaistnieje taka konieczność, doprowadzi się go tam siłą. Schulte spojrzął na zegarek. 15.10. Jeśli od razu pójdzie, to jeszcze może zdążyć na 16.00 do restauracji, no jeśli nawet nie na 16:00, to chociaż na 16.15. Fakt, nieelegancko, ale kto mógł przewidzieć...

– Chodźmy.

W sztabie jednak okazało się, że o szybkim wyjściu mowy być nie może.

Pułkownik chodził w tę i z powrotem, co chwilę zdejmował z nosa okulary, chuchał na szkła, czyścił je chusteczką, zakładał okulary ponownie, po czym znów je zdejmował i czyścił. Wezwani oficerowie niepewnie przestępowali z nogi na nogę.

Okazało się, że kapitan Schulte wraz z kilkoma kolegami jeszcze tego dnia zostanie oddelegowany do innej jednostki.

– Dlaczego? – jęknął zdruzgotany Schulte.

Pułkownik zerwał okulary z nosa i energicznie przetarł je chusteczką.

– Pan wybaczy, ale „dlaczego” to bardzo złe pytanie w obecnej sytuacji militarno-politycznej, a pan jako wzorowy oficer na pewno to wie.

– Tak jest, panie pułkowniku, ale... – Zagryzł wargi.

– No, no, Schulte, nie zmuszajcie mnie do zastosowania regulaminowych... wie pan.... – Pułkownik włożył okulary na nos.

– Tak jest – kapitan odparł głucho i zrozumiał, że najprawdopodobniej nigdy nie spotka się z panną Emmą, co więcej, nigdy nie będzie mógł wytłumaczyć, dlaczego nie pojawił się o 16.00 w restauracji Drei Kaiserreich-Ecke.

O godzinie 16.15 pułkownik wciąż tłumaczył jemu i kilku innym oficerom, gdzie według rozkazów mają się udać jeszcze tego samego wieczoru. Wszystko ściśle tajne i bezwzględnie pilne.

Przed siedemnastą pułkownik wydał rozkaz: „Spocznij, panowie oficerowie, można palić”.

– Zaczyna się! I całe szczęście. Już się nie mogę doczekać jakiejś wojaczki. – Kolega kapitana Schulte, porucznik Klein, nie krył zadowolenia. – Sam powiedz, Berndt, czy ciebie szlag nie trafiał, jak tak siedziałeś na tym zakichanym posterunku granicznym? Nie umierałeś z nudów wśród tej hałastry?

– Posłuchaj, teraz muszę...

– Poczekaj minutę, coś ci opowiem śmiesznego. – Klein złapał go za rękaw. – Wyobraź sobie, że wczoraj po wieczorze w piwiarni wracam do

siebie, ściągam spodnie, a tam od pasa do krocza jedna wielka dziura, szew puścił, ze dwadzieścia centymetrów. Na długość całej dupy.

– Przepraszam cię, ale nie mam w tej chwili...

– No, ale powiedz, czy to nie znaczy, że mam się żenić, bo sam nie daję rady i robię z siebie pośmiewisko?

Kapitan Schulte odsunął kolegę bez słowa i podszedł do pułkownika.

– Tylko godzina, błagam, panie pułkowniku.

– Wy, Schulte, myślicie sobie, że armia może czekać, aż pozałatwiacie prywatne sprawy? Trzeba je było pozałatwiać wcześniej.

– Panie pułkowniku, ja błagam... chcę się tylko pożegnać z narzeczoną.

– Jezus Maria – porucznik Klein wybałuszył rybie oczy – a od kiedy ty masz narzeczoną?

Pułkownik tymczasem wygłosił ojcowską mądrość, którą wygłaszał przy każdej okazji, kiedy dawał rozkaz „spocznij”.

– Armia jest w złej kondycji, jeśli nie ma uzbrojenia, ale jest w jeszcze gorszej, jeśli żołnierze nie żądają od swych panien zaświadczeń o zdrowiu. Nie może oficer ryzykować bezpieczeństwa państwa tylko dlatego, że się wstydzi dziewczynie powiedzieć...

Kapitan Schulte spurpurowiał ze złości. Pułkownik zauważył to i dodał:

– Chodzi mi tylko o to, że ulice byłyby bezpieczniejsze i zdrowsze... – Klepnął kapitana w ramię i spojrzał na zegarek. – Daję wam godzinę, Schulte, ani minuty dłużej. Jeśli się spóźnicie, liczcie się z konsekwencjami regulaminowymi. A teraz idźcie.

O 17.00 zdyszany oficer w mundurze wbiegł na taras restauracji, wskakując po dwa stopnie naraz. Omiótł wzrokiem stoliki, po czym wpadł do środka, nieomal przewracając kelnera w drzwiach.

– Czy była tutaj o szesnastej młoda kobieta?

– Nie. – Kelner spojrzał na oficera urażony. – Nie było.

– Nie było? – Twarz mu się wydłużyła.

– O szesnastej nie było żadnej kobiety, ale przyszła kobieta kwadrans po szesnastej...

– Jest jeszcze?

– Nie. Wyszła o wpół do piątej. Niczego nie zamówiła.

– Gdzie poszła?

– A skąd ja mam wiedzieć? – Kelner wzruszył ramionami. – Poszła sobie i już.

– Zostawiła jakąś wiadomość?

– Nie.

– Żadnej? – W jego głosie brzmiało rozczarowanie.

– Żadnej.

– Nic nie powiedziała i wyszła? Tak po prostu?

– Dokładnie tak.

– A może zostawiła wiadomość innemu kelnerowi?

– Nie ma dzisiaj innego kelnera.

– Gdzie siedziała?

– Tutaj. – Kelner wskazał stolik, przy którym siedziała Emma.

Kapitan Schulte podszedł do stolika i przyglądał mu się, jakby tutaj mógł znaleźć informacje. Ale niczego nie było. Opadł na krzesło i spuścił głowę.

„Nie wierzę. Nie może tak być. Niemożliwe, żeby w taki sposób wszystko przepadło. Żeby tak się mogło stać”.

Spojrzał na zegarek.

– Przynieś mi sznapsa – mruknął do kelnera.

– Służę uprzejmie.

Mobilizacja dokonywała się po wszystkich stronach granicy. Fakt, nie każdy o tym wiedział i nie każdy mógł wiedzieć, tym bardziej, że w gazetach panował podejrzany spokój. Można by ewentualnie spekulować, że na przykład znany szarlatan i rozpustnik Rasputin – zaufany poplecznik cara – wyjeżdżając tego sobotniego poranka do rodzinnej wsi,

przeczuwał to i owo (w końcu był jasnowidzem). Ale może i on, wysiadając z powozu i wdychając wiejskie powietrze, nie myślał o mobilizacji. Zresztą już na drugi dzień miał poważniejsze problemy, ponieważ niejaka Gusiewa, prostytutka bez nosa i z okaleczoną twarzą, próbowała go pchnąć nożem, podburzona przez fanatycznych mnichów czyhających od paru lat na życie antychrysta i faworyta cara. prostytutka bez nosa? Mnisi podżegacze? A co? Każdy na swój sposób próbuje sprawy załatwić.

Nic też o pośpiesznej mobilizacji nie wiedzieli polscy automobiliści, którzy w tę piękną sobotę – ubrani w gogle i skórzane czapki – wyruszyli z Krakowa do Zakopanego na trasę trzydniowego rajdu, pierwszego w historii Polski, która zresztą wtedy nie istniała.

Ale zapewne najmniej świadomi sytuacji byli ci szczęśliwi mnisi z Galicyjskiej Prowincji Towarzystwa Jezusowego, którzy – akurat kiedy automobile z warkotem i w kłębach dymu wyruszyły z Krakowa na trasę rajdu, a Rasputin rozkoszował się świeżym powietrzem na rosyjskiej wsi nieświadom nożowniczego spisku – przybyli do tropikalnej wioski w Zambii, by założyć pierwszą wspólnotę jezuicką na terenach, gdzie nikt nie przejmował się nerwowymi poczynaniami europejskich cesarzy.

Tak... wróćmy lepiej do Sosnowca.

Pan Emanuel paradował po pokoju w dezabilu, ponieważ w sobotę nigdzie nie musiał się spieszyć. Na poźółkłej gazecie ze stycznia 1913 roku ustawił gorącą herbatę: porządnie, w filiżance, na talerzyku, z łyżeczką tuż obok. Gazetę złożył kilka razy, sprawdziwszy wprzód, czy nie ma w niej interesujących informacji politycznych. Nie było, bo te już dawno temu powycinał, ale na wszelki wypadek postawił herbatę na ogłoszeniach drobnych, bo gdyby coś się wylało, to i tak nie będzie żadnej straty.

Pan Emanuel rozmyślał, jak się wieczorem w Victorii publicznie rozprawić z Lech-Leszką. Tylko czy on przyjdzie? Przyglądał się parującej herbacie, a jednocześnie jego wzrok mimochodem rejestrował teksty

ogłoszeń. „Teresa Laura, córka... (dalszy fragment zastawiał talerzyk) ... umarła dnia (brzeg talerzyka; pan Emanuel przechylił lekko głowę) ... krótkim życiem długi żal rodzicom zostawiła”. Długi palec powoli przesunął filiżankę z herbatą. „Paulina, córka Walentego Jaworskiego i Izabelli z Grybosiów, dowcipna, przyjemna, czuła... (tu akurat spadła łyżeczka na gazetę i zrobiła się plama) ...cnót w niej wiele spostrzegął”. „Ale żeby Lech-Leszka mógł takie świństwo mi zrobić!”. „Cecylii z Dembińskich hrabiny Grabow... (łyżeczka) narodzonej dnia (łyżeczka) w roku życia 33, zbyt wcześnie dla dzieci, krewnych, przyjaciół i sierot zgasłej...”, pan Emanuel przesunął wzrok na informacje o urodzinach dzieci, ale te teksty były nudne, i o chrzcinach dzieci – te były jeszcze nudniejsze: „Adam Gierek z małżonką Pauliną, z domu Gojny, z radością powiadają, że syn ich pierworodny, Edward, urodzony 6 stycznia 1913, zostanie ochrzczony w kościele parafialnym w Porą...”. I kogóż to może obchodzić? W tym mieście, jeśli towarzysz nie donosi akurat na towarzysza, zaprawdę nigdy nic ciekawego się nie dzieje.

Stukanie do drzwi wydało się panu Emanuelowi mało subtelne, począł więc do wyjścia, mrużąc pod nosem. W progu stało dwóch żandarmów.

– O nie... – Pan Emanuel cofnął się o krok i podniósł dłonie w obronnym geście. – Znowu?

– Obywatel Appel Emanuel?

– W rzeczy samej.

– Tu jest dla was... wezwanie, na komisję wojskową.

– Na co? – Pan Emanuel wybałuszył oczy.

– Na komisję wojskową. Głusi jesteście?

– Znaczy się, do wojska? Ale jakiego?

To ich rozbawiło.

– Do carskiego, człowieka. Wolelibyście do innego?

– Ale... ja się nie nadaję.

- Z jakiego to powodu?
- Z powodu zdrowotnego. Nie nadaję się kompletnie.
- To już stwierdzi komisja.
- Kiedy się mam stawić? Chyba nie od razu?
- W rozkazie stoi, że w dniu dzisiejszym.
- Ale... tak przecież nie można.
- Czyżby?

I nagle stało się jasne, że jak wojna przyjdzie do Sosnowca, to nie tylko będą przelatywały nad miastem aeroplany.

Wcielą pana Emanuela do armii. Już wcielają. Na początku wszystko będzie ładnie wyglądało. Dadzą mundur, każą równo guziki pozapinać, czapkę elegancką też dadzą, nauczą prężyć się na baczność, ale mogą się nad nim podoficerowie pastwić, bo dostaną powiadomienie, że stanowi element rewolucyjny i trzeba go ostro traktować. Ale i to nieważne. Bo żeby to tylko to. Potem przecież wsadzą go w pociąg i skierują prosto na front, cholera wie gdzie. Dobrze będzie, jeśli zakwaterują w zapluskwionym baraku, gorzej, jeśli od razu wyślą w błoto, każą doczołgać się na jakąś pozycję albo bronić okopu, wpatrywać się w groźne ciemności, nasłuchiwać pomruków dział... mierzyć, strzelać, zabijać i nie dać się zabić – tak, byłoby to wskazane, ale kto zagwarantuje, że się taka sztuka uda? Nie dać się zabić na wojnie – to nie jest wcale takie proste.

Pan Emanuel ujrzał w wyobraźni i taką scenę. Grzęzawisko zasłane stosem skłębionych trupów ułożonych w kilku warstwach – efekt nieudanych tyralier na pozycje przeciwnika. Ziemię pokrywa mech o sinym i purpurowym nalocie. Wokół pobłyskuje brązowa, żelazista maź. To nie bagno. To zmieszana z błotem krew. Trwa jeszcze jakaś szamotanina, słychać zduszone krzyki. Ale wystarczy celnie trafić pociskiem w okop – w tę wydrążoną w glinie norę, gdzie stadami tłoczą się i żołnierze, i szczury – a w górę tryska błoto, fruwa drewno, fruwią głupie gryzonie (przecież im nikt nie dawał rozkazu, żeby siedziały w okopach, w końcu to nie jest

pierwsza szczyra wojna światowa, im strzelać nie kazano, macie zatem, latajcie jak ptaki, przynajmniej dzumy nie rozniesiecie), fruwią porozrywane części uzbrojenia i ochłapy ludzkiego mięsa.

A potem następuje cisza i unosi się mgła. Zagony rozpościerają się szeroko, przykryte szorstkim ścierniem i oślizłym ścierwem, a gdzieś hen, w dali, wśród zabudowań wiejskich szczekają psy, jakby nic się nie stało.

Pan Emanuel zmartwił się, że niepotrzebnie wprawiał zęby. Wyobraził sobie bowiem, a miał przecież prorocze zdolności, że to on leży w ubłoconej bruździe, a ludzkie hieny wyrywają mu zęby, żeby je potem w pudłach przetransportować do Ameryki.

I za kogo to wszystko? Za cara!

Niemal w tym samym czasie żandarmi dotarli do mieszkania pana Andrzeja.

– Na komisję wojskową. Mamy pana doprowadzić w dniu dzisiejszym. Tu jest wezwanie...

Pan Andrzej spojrział na nich zdumiony.

„Jakbym się znalazł nagle w oku cyklonu... Przecież należy swego życia bronić za wszelką cenę, bo ono i tak jest w ciągłym niebezpieczeństwie. Trzeba być wariatem, żeby dobrowolnie dokładać zagrożenia, skoro życie samo i tak śmiertelnie zagraża życiu... nie, nie, to trywialne postawienie sprawy, nie pomyślałem nic aż tak banalnego... wycofuję radykalnie to sformułowanie. Ono jest logiczne, ale wyświechtane”.

Otworzył kopertę i przebiegł ją wzrokiem.

„Mam prawo walczyć o zachowanie życia, mam prawo walczyć o zachowanie gatunku. Przyroda daje mi to prawo i nakazuje go respektować. A Izabela, Izabela... jest bujna, jak z miodu ulana. Więc jakże to tak?”.

– Hm – mruknął. – Faktycznie, wezwanie.

„Z jednej strony należałoby za wszelką cenę pokonać świat, żeby świat nie pokonał mnie. Albo świat mnie zeżre albo ja go zeżrę, bo świat zagraża mojemu życiu w każdym momencie, bezustannie, ale z drugiej strony ku oku cyklonu ciąży wszystko wokół i na nic nie zda się opór. Nikt jeszcze z takiej walki nie wyszedł zwycięsko”.

– W dniu dzisiejszym?

– Tak jest.

– A skąd ten pośpiech? Można wiedzieć?

– My mamy rozkaz do wykonania, to wszystko.

A po pana Tadeusza nie przyszli. Co znaczy wpływowi ojciec!

– Nie ma przecież żadnej wojny, panowie, nikt się nie uchyla, rzecz jasna, ale dla potęgi carstwa syn tu potrzebny, w Sosnowcu, kamieniołomy nadzoruje.

Niski mężczyzna siedział rozkraczony przy stole w swoim biurze na pierwszym piętrze kamienicy w centrum Myslowitz. Prawą ręką przesuwiał białe i czarne krążki na dużym drewnianym liczydło i bezgłośnie poruszał przy tym wargami, rachując coś w pamięci, dodając i odejmując. Z jego miny można było sądzić, że chociaż przesuwiał w ten sposób duże kwoty pieniędzy, wszystkie te rachunki były dość oczywiste, nie wymagały wielkiego skupienia, nie wymagały zapisywania niczego na kartce, która leżała obok. Mina mężczyzny sugerowała, że nie musiał tego dnia podejmować żadnych pilnych decyzji: ot, całkiem zwyczajne rachunki – klik w lewo dwa krążki, klak w prawo jeden, w kolejnym rzędzie. W dodatku, sunąc jedną ręką po liczydło, drugą mężczyzna bezwiednie i niespiesznie drapał się po kroczu. Chociaż nie, „drapał się” to złe słowo; przebierał rytmicznie palcami jak po strunach gitary albo jakby głaskał leniwego kota; można było sobie wręcz wyobrazić, jak jego przyrodzenie pomrukuje z zadowoleniem albo pobrzękuje niczym wysłużony instrument delikatnie pobudzany ręką wirtuoza. Nie miało to nic wspólnego

z erotyzmem. Owszem, wyglądało obleśnie, ale bawiący się liczydłem mężczyzna nie miał przy tym perwersyjnej miny; nie, po prostu ewidentnie nużyło go to stukanie krążkami. I nawet kiedy drzwi biura otworzyły się i wszedł Franz Lüder – do niedawna ordynans kapitana Schulte, a po aresztowaniu Lubelskiego człowiek do niezbyt eleganckich interesów – mężczyzna nie zwrócił na niego uwagi, zajęty sobą dosłownie i w przenośni. Nadal rozkraczony przy stole, zupełnie machinalnie i bez zażenowania pobrzękiwał dłonią o przyrodzenie, tak jak inni pobrzękują drobniakami w kieszeni; pogłaskiwał tego wymagowanego kocura.

Na stoliku stała zimna kawa w filiżance, ale chwilowo nie dało się jej pić, człowiek ma w końcu tylko dwie dłonie.

Lüder czekał, aż siedzący mężczyzna pierwszy się odezwie. Nie chciał mu przeszkadzać ani w tym, co siedzący wykonywał prawą ręką, ani w tym, co wykonywał lewą.

– Co tam? – padło wreszcie pytanie.

– Panie Weichmann, nie bardzo wiem, co zrobić.

– No?

– Przed budynkiem stoją tacy dwaj... obdartusy w łachmanach, chyba Polacy, bo bełkoczą coś łamaną niemieczyzną, nie wiem, czy są pijani, czy nie, bo wódki od nich nie czuć, ale tak czy owak strasznie śmierdzą, więc może ich smród zabija odór wódki...

– Przejdźże pan do sedna z łaski swojej.

– No więc, oni chcą, żeby im pan wystawił bilety do Ameryki.

Weichmann nie podniósł głowy, nie przestał przesuwać krążków liczydła ani brzdękać po kroczu, ale zarechotał tak szczerze, jakby dawno nie słyszał nic dowcipniejszego.

– To niech ich pan poszczuje psami i przegoni.

– Próbowałem ich przepędzić, ale to nie takie proste. Twierdzą, że na pewno pan im wystawi darmowe bilety i że...

– No?

– Że chcą się z panem widzieć.

Weichmann znowu zarechotał.

– Polacy, mówi pan?

– Tak mi się wydaje.

– Wie pan co? Jakbym ja mógł rozdawać za darmo bilety do Ameryki, to najpierw dałbym bilet sobie, a nie jakimś łachudrom. Co pan myśli, Lüder, że ja bym się nie wyekspediował statkiem do takiej, nie przymierzając, Argentyny? Ha! – rozparł się wygodniej. – Wystaw pan sobie: Buenos Aires. Bogate miasto, emigranci z cywilizowanych krajów pchają się drzwiami i oknami. Włosi. Hiszpanie... Podobno jest tam piękniej niż w Paryżu. Bulwary! Teatry! Można mieć tylu służących, ilu się zechce. Pisał mi znajomy, że takich kościołów jak w Buenos Aires nigdzie nie widział. Czy ja bym nie miał tam co robić? Tym bardziej że wysłałem do Argentyny tyle pięknych kobiet – westchnął. – Mówiono mi, że wszystkie najlepsze prostytutki w Argentynie są ze wschodniej Europy, białe, zdrowe kobiety... Mam w tym swój udział. – Spojrzał z dumą. – No więc, dlaczego niby ja miałbym wystawiać bilety do Ameryki polskim dziadom, skoro samemu sobie nie wystawiam? Może mi pan to wytłumaczyć?

– Nie mogę, panie Weichmann, tyle tylko, że ten wyższy twierdzi, że obaj mają u pana jakieś szczególne zasługi. – Franz Lüder przyglądał się swojemu szefowi z uwagą.

Weichmann przeniósł dłoń z krocza na blat biurka, zabębnił palcami i spoważniał.

– Jakie niby zasługi?

– Nie wiem. Ja chyba jeszcze wtedy u pana nie pracowałem. Coś rzekomo dla pana załatwiali i mówią, że pan na pewno pamięta.

– Gównu pamiętam! – ryknął Weichmann i zerwał się z krzesła. – Zawsze kogoś diabli nadadzą!

Otworzył okno.

Na dworze rzeczywiście stało dwóch obdartusów. Opierali się o drzewo.

– Ej, wy!

Podnieśli głowy.

– Wejdźcie na górę.

Weszli, szurnęli butami, zdjęli czapki i stanęli przy drzwiach. Weichmann podszedł do nich.

– Czego chcecie?

Ten wyższy chrząknął.

– Bilety. Do Ameryki. Jechać zaraz. Tu nie ma przyszłość. Lepsza przyszłość tam. Będzie wojna tu. Pan da bilety nam i ma szlus z nami. Dobrze i dla nas, i dla pana? – powiedział ten wyższy łamaną niemczyzną.

Weichmann jednak słuchał nieuważnie, ponieważ z zafascynowaniem przyglądał się niższemu z mężczyzn.

Ten niby stał, ale nie wiadomo, jakim cudem utrzymywał się na nogach. Co chwilę kolana mu się ugiwały i wówczas osuwał się w dół, ale kiedy wydawało się, że dłużej nie ustoi, że siedząc już niemal w kuckach, na pewno upadnie, zaczynał mozolne podnoszenie się w górę tylko po to, żeby osiągnąwszy pion, zacząć się znowu stopniowo osuwać.

– Co mu jest?

– Nie rozumiem?

– Czy on się nie przewróci?

Ten wyższy spoglądał przez chwilę na towarzysza.

– Nie.

– Coś okropnego. Ja bym się przewrócił. Musi mieć silne nogi. Góra, dół, góra, dół, a nie upada. – Weichmann nie mógł oderwać od niego wzroku. Tymczasem nie dość, że łachmaniarz co rusz osuwał się i podnosił, to wywracał oczy białkami do góry.

– Co mu jest? Umiera?

– Nic, nic.

– Pijany?

– Nie, nie.

– Morfinista – stwierdził Weichmann. – On coś widzi?
– Widzi.
– Jak może widzieć, skoro źrenice co rusz ma schowane w oczodołach?
– Nie rozumiem.
– Nieważne. A on coś w ogóle mówi?
– Rzadko. Panie Weichmann? Bilety?
– Nie mam teraz biletów – powiedział powoli i głośno. – Jest wielkie zapotrzebowanie. Rozumiesz? Nie mam biletów. – Pokręcił głową. – Ale przyjdźcie jutro. Ten pan – wskazał na Franza – będzie coś dla was miał.
– Nie bilety? To co będzie miał? Panie Weichmann, pan pamięta? Rok temu?
– Tak, tak. Dlatego jutro przyjdziecie. Jasne?
– Jutro? Nie po bilety, to po co? Pieniądze?
– Nie.
– Nie bilety, nie pieniądze?
Weichmann próbował bezskutecznie spojrzeć niżej w uciekające oczy.
– Morfina. Za darmo. Dużo.
– Morfina? A bilety kiedy?
– Wkrótce. A jutro morfina. Dobrze?
– A bilety?
– Będą. Niedługo. A morfiny nie chcecie?
– Morfina, dobrze. A bilety niedługo? Panie Weichmann?
– Morfina jutro. Bilety za miesiąc. Dobrze tak?
Ten wyższy wzruszył ramionami.
– Ale pan wie...
– Ja wiem. Ja nie zapominam. – Weichmann poklepał obdartusa po ramieniu, chociaż uczynił to z wyraźnym obrzydzeniem. – Tylko wy już nie gadajcie tyle. Rozumiesz? Nie gadać. Będzie dobrze. My się rozumiemy. Ale teraz idźcie, bo tu dużo pracy.

- Tak jest. Jutro przyjdziemy.
- Morfina.
- A bilety...
- Powiedziałem już. Za miesiąc.
- No to do widzenia, panie Weichmann.
- No, no, do widzenia.

Weichmann dał znać Lüderowi i ten niemal wypchnął ich za drzwi, a potem otarł ręce o spodnie.

– Co pan z nimi zrobi? – zapytał Franz, przyglądając się bacznie szefowi.

– Nic. Jestem zbyt poważnym człowiekiem, żeby sobie brudzić ręce takim... ścierwem. Dam im tyle morfiny, że za wszystkie swoje rzekome zasługi dla mnie odejdą szczęśliwi do ziemi obiecanej, tyle że niekoniecznie z darmowymi biletami na statek do Ameryki.

– A oni rzeczywiście coś dla pana zrobili? – zapytał Lüder z powątpiewaniem.

Weichmann spojrzał na niego wzrokiem, który nie wyrażał żadnych emocji. Po prostu spojrzał. Franz chrząknął nerwowo.

– O nic nie pytałem.

„Jeden jedyny raz potrzebowałem dwóch szwarcowników Polaczków, a już mi się to czkawką odbija”, pomyślał Weichmann. „Z nimi to właśnie tak jest”.

Tymczasem na dworze ten wyższy złapał niższego za kłapy kubraka.

– Co ty, do ciężkiej cholery, wyprawiałeś? Czy ty jesteś wańka-wstańka? I co to za sztuczka z tym wywracaniem gał?

– Bo ja chciałem wzbudzić jego litość. Kazałeś mi się nie odzywać, to próbowałem ci pomóc inaczej.

– Całe szczęście, że się nie odzywałeś, Zbyszek. Ale mogłeś sobie darować ten cyrk.

– I co teraz, Zdzisiu? Nie da nam biletów, no nie?

- Nie da.
- I nie ruszyło go sumienie?
- Co go ma ruszyć? On nie ma sumienia.
- No patrz, a mnie się ta głowa po nocach śni...
- Mówiłem ci, że nic z tego nie będzie. No, trudno. Jutro rano pójdziemy do mojego wuja. Pamiętasz, co mówił ostatnio, jak od niego brałem pół rubla?
- Nie pamiętam. Kiedy to było?
- Zimą. Był tam w jego budce przy dworcu taki jeden człowiek.
- Aha, coś mi się przypomina. Zdzisiu – jęknął ten niższy. – Ale chyba nie chcesz wydać Weichmanna?
- Chcę.
- No to Weichmann nas zatłucze jak psy.
- Będzie to chciał zrobić tak czy owak. Damy mu przynajmniej dobry powód.

Przy stoliku w Victorii siedziały tylko trzy osoby: panna Izabela, pan Lech-Leszka i pan Meyerhold. Czekali na Emanuela i Andrzeja. Pan Lechosław milczał, panna Izabela również, natomiast pan Tadeusz wyjątkowo dużo mówił. Relacjonował ze szczegółami dysputę, którą prowadził z pewną krakowską artystką przebywającą właśnie na gościnnych występach w Sosnowcu.

– ...ja jej na to, że jestem sceptycznie nastawiony do każdej teorii, a już na pewno do każdej teorii, która obiecuje, że coś komuś rozwiąże. Najbardziej zaś sceptycznie jestem nastawiony do wszelkiego autoramentu spowiedników oraz ludzi, którzy innym ludziom obiecują rozwiązać problemy. A ona mi na to mówi, wyobraźcie sobie: „Wydaje mi się pan osobą, która kieruje się rozumem nie dlatego, że nie umie kierować się czymś innym, tylko dlatego, że się boi”. No, moi drodzy, na takie dictum to ja nie mogłem nie zareagować. „Chodzi pani o to, że kieruję się rozumem zamiast uczuciami, prawda?”. Potwierdziła, a jakże. No to ja na to: „Jeśli

pani uważa, że kieruję się rozumem, to dziękuję za komplement. Niczego w życiu nie pragnę bardziej niż tego, by ludzie postrzegali mnie jako człowieka rozumnego. Kierując się rozumem, uważam, że kierowanie się rozumem jest rozumne, nie dlatego, że się czegoś boję, ale po prostu rozumne samo w sobie. Natomiast w pani stwierdzeniu jest ukryte oskarżenie, że nie kieruję się uczuciami. Tymczasem uczucia a sentymenta to zupełnie odrębne sprawy i uczuciami szastać nie należy ani w mowie, ani w piśmie”. Proszę ja was... słuchacie mnie?

Pan Tadeusz zamilkł. Oczy miał podkrążone.

– Trzeba by się wreszcie wybrać do Zakopanego. Słyszałem, że doktor Dłuski ma dobre sanatorium. Niby to jest dla chorób piersiowych, ale przecież dusza też w piersiach siedzi. Albo zatrzymałbym się w jakimś pensjonacie wśród lasów z widokiem na góry. To by mi może uspokoiło kołatanie w sercu.

– Co panu właściwie dolega? – zapytała panna Izabela, chociaż myślami była zupełnie gdzie indziej.

– Na pozór nic – powiedział pan Tadeusz ponuro. – Ale tylko na pozór. Mam przemęczone serce. Tak to czuję. I szalone migreny... Gdzież się podziewają Emanuel z Andrzejem? – niecierpliwiał się. – Bo że Siedleckiego nie będzie, to wiem. Słyszeliście o nim?

– Miał znów atak padaczki?

– Gdzie tam.

Pan Lech-Leszka i pani Izabela spojrzeli pytająco.

– Nie słyszeliście. Uciekł z jakimś parobkiem do Francji. Wyborne, prawda? Chciał obsadzić głupiego chłopaka w jednej ze swoich sztuk, bo potrzebował na scenie rozczochranego, młodego wieśniaka, który wchodzi w którymś momencie i mówi: „A gdzieżby tam, panocku kochany, u nas tak nie może być!”, i drapie się w czerep. Ot i cała jego rola. Siedlecki włóczył się przez tydzień po wsiach i znalazł, bodajże gdzieś pod Czeladzią, takiego, co był wystarczająco skołtuniony na łbie. Przez dwa tygodnie

Siedlecki narzekał, że Stasiek jest tak dumny, że nie potrafi zapamiętać swojej roli, więc musi z nim ćwiczyć całymi popołudniami ten moment, kiedy chłopak wchodzi na scenę, drapie się, gada to swoje: „A gdzieżby tam, panocku kochany, u nas tak nie może być!”, a potem schodzi z drugiej strony sceny. Mówił mi Siedlecki, że Stasiek nie wie, kiedy ma wejść, więc trzeba z nim stać za kurtyną i wypychać go w odpowiednim momencie, a on i tak się zawsze myli albo w ogóle nic nie mówi, bo zapomina co, tylko się gapi za kulisy na Siedleckiego i czeka na odpowiedź. I Siedlecki się wtedy za kulisami drapał w głowę, no to Stasiek też się drapał i schodził ze sceny, bo nie mógł tego jednego zdania zapamiętać... Lud, polski lud, doprawdy, i jego porażające zdolności umysłowe... Pytałem Siedleckiego, czy nie lepiej wziąć aktora, ale nie, chciał autentycznego parobka mieć. A tymczasem, moi drodzy, co się okazuje? Jak Siedlecki umył chłopaka, ubrał go, uczesał i przyjrzał mu się uważniej, to... pojechał z nim do Paryża. Wyobrażacie sobie coś takiego?

Pan Lech-Leszka roześmiał się niepewnie. Panna Izabela pokręciła głową.

I wówczas nastąpiło coś, co w książkach nazywa się gromem z jasnego nieba. Panna Izabela oznajmiła ni stąd, ni zowąd, że ona dwa dni temu napisała Emanuelowi kartkę, iż Lech-Leszka na niego doniósł. Nieobecność Emanuela i Andrzeja bardzo ją niepokoi i są wszelkie powody, by przypuszczać, że wiąże się ona z faktem poznania prawdy przez Emanuela. Owszem, wszyscy wiedzą, jak bliska jest Emanuelowi prawda, oby jednak jej cena nie była zbyt wysoka.

Podczas tej niespodziewanej i bardzo emocjonalnej perory panie Izabeli falowała ze zdenerwowania pierś (co zostało odnotowane z zainteresowaniem przez mężczyzn siedzących przy stole, mimo że obaj znaleźli się w stanie osłupienia – każdy zresztą z innego powodu – a to z kolei mówi to i owo o mężczyznach i ich postrzeganiu świata). Można

było wręcz zapomnieć, że panna Izabela jest sufrażystką, a nawet pomyśleć, że jest heroiną kiepskiego romansu, w dodatku całkiem atrakcyjną.

Warto by wiedzieć, dlaczego młoda kobieta nie powiedziała Emanuelowi prawdy osobiście, twarzą w twarz, tylko uciekła się do ryzykownej formy anonimu wciśniętego pod drzwi – wszak można go przeoczyć albo na przykład wkopać pod dywan z katastrofalnymi skutkami. Warto by wiedzieć, skąd młoda kobieta miała takie informacje. Warto by wiedzieć, czy poza sufrażyzmem i esperantyzmem nie parała się działalnością znacznie bardziej niebezpieczną i ekscytującą. Wreszcie warto by wiedzieć, dlaczego akurat w tym momencie powiedziała to, co powiedziała. Wiele rzeczy warto wiedzieć, których się czasem nie wie. A już na pewno nie wszystko wie się wtedy, kiedy by się chciało. Albo kiedy by wypadało. Albo kiedy by to było wygodne i logiczne, i niezbędne dla poukładania świata. Ta powieść zmierza jednak do nieuchronnego końca i wiele wskazuje na to, że pewne sprawy trzeba będzie wyjaśniać w kolejnym tomie. W dodatku należałoby zrobić wszystko, żeby nie znużyć nikogo czekaniem. W każdym razie, proszę się nie zniechęcać, bo po pierwsze sporo jeszcze zamierzam wytłumaczyć teraz, a po drugie, kolejny tom napiszę szybko.

– Do-do-prawdy...

Czy to wszystko ma sens? Ma. Bo wojna – zbliżająca się wielkimi krokami – nie takie w ludzkich losach czyni wyrwy i wykroty, nie na takie bocznicę narracyjną odstawia. A ta wojna, która wisi nad naszą powieścią, miała nie być po prostu kolejnym konfliktem zbrojnym. Ona miała położyć kres wszystkim wojnom, więc kto by za taką perspektywę nie poświęcił tego i owego.

– Pan Emanuel został pobity po donosie pana Lechosława. Wiem to na pewno. – Panna Izabela była nieugięta.

Pan Lech-Leszka spoglądał na nią nie tyle z niechęcią, ile z zainteresowaniem. Dowiedział się zatem, skąd Emanuel otrzymał

informację. Ona mu coś napisała, a on od razu przybiegł do niego. Dostyc dziwaczne metody porozumiewania się, skoro mogła mu to powiedzieć. Widocznie napisała anonimowo. Ale jeśli tak, to dlaczego się teraz wygadała? Bo nie ma Emanuela. I nie ma Andrzeja. Wpadła w panikę i liczy na pomoc Meyerholda. To się przeliczy, bo Meyerhold nic nie zrobi, poza głupimi minami.

– Lechosławie? – Pan Tadeusz spojrział na niego zdumiony. Ale i na pannę Izabelę wytrzeszczał oczy.

– W-w-wierzysz w...? – Pan Lechosław grał na zwłokę, bo jeszcze nie wiedział, jak zareagować.

– Wierzę, że gdyby panna Izabela nie miała pewności, że tak było, nigdy w życiu nie rzuciłaby na ciebie takiego oskarżenia. W to wierzę.

Nie docenił tej suki. Teraz, tak czy owak, nie ma sensu się wypierać, bo ona zna prawdę. W dodatku z jakiegoś powodu nie boi się. To akurat dosyć zdumiewające. Bała się porozmawiać z Emanuelem, a nie boi się teraz. Ktoś za nią stoi. Nie ma innego wytłumaczenia.

Wczoraj zbyt naiwnie postąpił przy Emanuelu, bo nie wiedział, co faktycznie Emanuel wie. Źle się myśli, siedząc nad zupą jarzynową. Na szczęście potem zrobił wszystko, co mógł, żeby Emanuela i Andrzeja wcielono do carskiej armii: pobiegł natychmiast do ochrony, skamlał, opowiadał niestworzone historie o zagrożeniu... ale wszystko to trochę za późno. No i Meyerholda nie udało się wsadzić w kamasze. Aż tak potężny pan Lech-Leszka nie był.

W ogóle nie był potężny. Był szeregowym szpiclem jakich wielu. Jak się człowiek zakocha w dziwce z burdelu na zapleczu u Kowalczykowej, to tak potem kończy. Jak zwierzchnika z ochrony spotyka się w tym samym burdelu, to daje pewne wpływy, ale nie przesadzajmy. Moja dziwka i pana dziwka są koleżankami zza ściany. Moja dziwka wie od pana dziwki to i owo. A ja wiem od mojej dziwki, co pana dziwka mówi o panu. Pewnie, że ten zwierzchnik nie chciałby, żeby jego zwierzchnicy wiedzieli, że

u Lubelskiego miał szczególne względy, ale nie czarujmy się, wielkiej władzy pan Lechosław nie miał, bo burdelowe ciągoty to wprawdzie żaden powód do chwały, ale kariery to one jeszcze tutaj na pograniczu nikomu nie złamały.

– Lechosławie...?

No też się sędziowie znaleźli. Po co on tu w ogóle dzisiaj przyszedł? Bo chciał się upewnić, czy Emanuel zdążył się wygadać? To się upewnił. Patrzy na tę dwójkę pałającą świętym oburzeniem. Chcieliby pewnie wiedzieć, jak to się stało, że ich towarzysz tak nisko się stoczył. Wasze niedoczekanie. Mówił im przecież zawsze, że ma grzeszną skazę na płciowości. Nigdy tego nie ukrywał.

Wszystko się zaczęło od tego, jak pierwszy raz poszedł na zaplecze do Kowalczykowej. Wszedł z hałasem, usiadł przy barze i zamówił piwo... Natychmiast dosiadła się do niego bardzo brzydka kobieta. „Jak masz na imię?”, zapytała. „Le-le...”. Parsknęła. „Lele. Ładnie. Ja jestem Lulu-Belle”. Dupa tam, a nie Lulu-Belle. „A nie Zo-zośka cza-ase?” „Nie. Lodzia”. Zapytała, czy się z nią napije. Tak. Czy zamówi szampana? Zamówi. Butelkę? Niech będzie butelka. Nie było go na to stać, ale upił się i było mu wszystko jedno. W pewnym momencie spadł z wysokiego stołka, rozlewając szampana. „Co pan wyrabiasz?”, zaskrzeczała Kowalczykowa. „Będziesz pan za wszystkie szkody płacił”. „Dobrze”, wybełkotał. Nie pamięta, kiedy znalazł się w ciemnym pokoju. Pamięta za to jak przez mgłę, że leżał na łóżku, słyszał jakieś jęki po sąsiedzku. Miał spuszczone spodnie, brzydka kobieta siedziała przy nim, a on ją podszczypywał w obwisłe cyce. Nic z tego nie wyszło, ale okazało się, że ma zapłacić pięć rubli, nie licząc dwóch za szampana. Roześmiał się. „Nie mam ty-tyle, przy-yykro mi”. Jakiś mężczyzna wyprowadził go na klatkę schodową, to pamięta. Krzyki i groźby. A potem grzeczna propozycja. Coś tam podpisał. „A co mnie to, kurwa, obchodzi?”, pomyślał. Rano obudził się w ubraniu na łóżku. Był potwornie chory do wieczoru. Postanowił, że nigdy już się tak

nie upije. Co podpisał? Wieczorem doszedł do siebie po spacerze. Dlaczego jest posiniaczony? W dodatku boli go żebro przy oddychaniu. Złamał? Ale jak?

Zamyślony pan Lech-Leszka wychrypiął cichym głosem, jakby nie odpowiadał na pytanie pana Tadeusza, tylko mówił do siebie.

– *Was ich geschrieben habe...*

– Ha! Coraz lepiej...

– *...das habe ich geschrieben* – po raz pierwszy wypowiedział całe zdanie bez zająknięcia. Chyba dlatego, że po niemiecku. Może tylko po polsku się jąkał. Może to polszczyzna w gardle mu więzła.

Pan Tadeusz nie zwrócił na to uwagi. Przez chwilę wpatrywał się w towarzysza z zainteresowaniem lekarza, który ogląda bardzo rzadki przypadek choroby, aż wreszcie powiedział dobitnie, pochylając się do przodu i wpatrując Lech-Leszce prosto w oczy:

– Tyś nie Piłat. Tyś Judasz. – Po chwili dodał jednak gwoli sprawiedliwości: – Chociaż z Emanuela żaden Chrystus.

Lech-Leszka zachnął się.

Pan Tadeusz dodał:

– Nie zapominaj, jak Judasz skończył.

– Nie-nie licz na t-to. – Pan Lech-Leszka znowu zaczął się jąkać. Na jego czoło wystąpił pot.

Wtedy, na drugi dzień, poszedł do Kowalczykowej, bo chciał się dowiedzieć, co podpisał. Kowalczykowa go pamiętała. „Zaraz przyjdzie ten pan, a tymczasem może kieliszeczek? Klina klinem. Na mój koszt, bo wczoraj pan słono zapłacił”. „Jak to? Przecież ja nie miałem pieniędzy, to jak mogłem zapłacić?”. Kowalczykowa roześmiała się. „Sprzedał pan duszę. Ale niech się pan nie martwi. Nie pan jeden”. „Co ja podpisałem?”. „Nie wie pan? A to dobre”. „Nie pamiętam”. „Został pan szpiclem ochrony”. „Aha, tak? A jakim cudem?”. „Za dług. Więc na pana miejscu pofolgowałabym sobie dzisiaj na koszt pracodawców”. Nie była zbyt

romantyczna. Jak w sklepie. Upił się. I znowu podeszła jakaś baba. Spojrzał na Kowalczykową. Kiwnęła głową. W pokoju baba położyła się, podciągnęła koszulę, rozłożyła nogi i leżała jak kłoda. Trupioblada twarz, ach nie, to makijaż w odblasku lampy naftowej. „Jak masz na imię? Lulu-Belle?”. „Co ci do tego?”, mruknęła. Chciał jej zdjąć koszulę, ale powiedziała, że to dodatkowo kosztuje, a Kowalczykowa kazała dać najtańszą usługę. Zapytał, czy może ją chociaż dotykać. Może. Ale nie bardzo mu się chciało. Uwinął się szybko, ona od czasu do czasu pojękiwała niezbyt przekonująco. Wyszedł. I wtedy w drzwiach zobaczył tę dziewczynę. Wysoka, szczupła, o długich czarnych włosach, pięknych oczach, pięknych ustach. „Następny raz przyjdź do mnie. Będzie dobrze. Nigdy mnie nie zapomnisz”, powiedziała. „Nie sta-stać m-m-mnie”, powiedział. Ale chciał jej. Na drugi dzień przyszedł do niego na kwaterę oficer z ochrony i wyłuszczył mu, co zostało podpisane, czego się od niego oczekuje. „I-ile będę z te-tego miał?”, zapytał Lech-Leszka. Tyle i tyle. Skinął głową i wieczorem poszedł do Kowalczykowej. Nie pił. Zażądał dziewczyny o długich czarnych włosach. Dostał ją. I miał z czego zapłacić. Powiedziała, że nie jest lekko. „Za duża konkurencja. Mnóstwo pięknych dziewczyn. Wyjadę stąd”. „Nie wy-wyjeżdżaj. Nie wi-widziałem tu żadnej pięknej dzie-dzie-dziewczyny oprócz ciebie”. Roześmiała się. „Dziękuję”. Wszystkie pieniądze zarobione z donosicielstwa wydał na nią.

Cisza trwała już za długo. Pan Tadeusz nerwowo zabębnił palcami po blacie.

– Nie masz nic do powiedzenia?

Pan Lechosław skrzywił się.

– To-tobie?

– Mnie.

– A co t-ty możesz z-zrozumieć? C-co t-ty wiesz o-o życiu, o s-strachu a-albo o sz-sz-szant-tażu...? O-ojca m-masz bogat-t-tego, co ciebie o-obchodzą... – Urwał i machnął ręką.

– Nie bierz mnie na litość – powiedział pan Tadeusz. – I nie próbuj we mnie wzbudzać wyrzutów sumienia. Tego, co zrobiłeś, nie da się usprawiedliwić. A jeśli ktoś jest szantażowany, choć Bogiem a prawdą nie wiem, o czym mówisz, to na ogół jest szantażowany z jakiegoś powodu, a nie ot tak, po prostu.

– Są różne ro-rodzaje s-strachu...

Pan Tadeusz milczał.

– ...i różne ro-rodzaje sz-sz-szant-tażu...

– Dziękuję ci za tę lekcję. Bardziej mnie interesuje, co z tobą teraz zrobić. Oraz... – spojrzał na pannę Izabelę – skąd pani to wszystko wie. I to drugie pytanie jest równie ciekawe, jak to pierwsze. Ale obawiam się, że dzisiaj na żadne nie znajdę odpowiedzi. Póki co, wynoś się, panie Lech-Leszka, bo nie mogę na pana patrzeć.

Lechosław otarł chustką pot z czoła i podniósł się bez słowa. Odchodząc, odwrócił się jednak jeszcze i spojrzał na pana Tadeusza.

– Prze-prze-męczone se-serce – parsknął. – Mi-mi-greny. Sa-sa-natorium...

Wyszedł sztywno. Pan Tadeusz i panna Izabela patrzyli, jak znika w drzwiach, a potem przez chwilę siedzieli zakłopotani.

– Obrzydliwe. – Skrzywił się wreszcie Meyerhold.

Panna Izabela popadła w zadumę.

Meyerhold milczał również przez jakiś czas, bawiąc się szklanką, po czym rzucił jej ukradkowe spojrzenie.

– To, co pani zrobiła, było bez wątpienia bardzo odważne. I równie nieroztropne... Lekkomyślne.

Nic nie odpowiedziała.

– No, dobrze. Co pani zdaniem miałem zrobić? Wyzwać go na pojedynek?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami.

– Zresztą, jakie ja mam dowody, że pani nie oszalała?

– Żadnych... Popełniłam błąd, zgoda, ale nie spodziewałam się... że wszystko w ten sposób i tak szybko się potoczy.

– Przecież on się będzie mścił. Sama pani wie, że ma na to sposoby.

– Nie dam mu okazji. Jutro rano wyjeżdżam.

– Na pani miejscu wyjechałbym natychmiast.

Pobladła.

– Dam sobie radę.

– Nie pytam, gdzie pani jedzie.

– To dobrze.

Krylenko! Mikołaj Krylenko! Ten spokojny, lubiany przez wszystkich nauczyciel literatury rosyjskiej! Ostatni dzień w szkole, uczennic już nie było, zostały jeszcze tylko dzienniki do uzupełnienia. Nagle popatrzył na nią z bliska i w jego wzroku był żar i piekło, i obietnica nieba. Ale to nie miało nic wspólnego z miłością. „Pamiętasz, jak ci powiedziałem we wrześnieu, że jeśli coś się zacznie dziać, wyjadę?”. „Pamiętam”. „Więc wyjeżdżam”. „Mówiłeś, że wyjedziesz, jeśli wybuchnie wojna”. Roześmiał się. „Możesz uznać, że ona już wybuchła”. „Jak to?”. „Posłuchaj, Izabelo. Nie siedź tutaj. Jedź ze mną! Będą się działy wielkie rzeczy, naprawdę wielkie rzeczy”. „Ale gdzie miałabym jechać?”. „Do Piotrogradu”. Teraz ona się roześmiała. „Zwariowałeś chyba, Mikołaju”. „Nie! Posłuchaj. W sierpniu zeszłego roku byłem w Białym Dunajcu i rozmawiałem z Leninem...”. „Ty rozmawiałeś z Leninem?”. „Wielokrotnie. Lenin mieszkał tam do października. W tym miesiącu znowu przyjechał w Tatry. Rozumiesz? Widziałem się z nim w zeszłym tygodniu. Bolszewicy przygotowują coś... naprawdę... nie wiem, jak to określić. Możesz tu zostać i wtedy wszystkich was wyłapie ochrana, tak jak tego twojego znajomego, który dużo gadał, a nic z tego nie wynikało”. „Mówisz o Emanuelu?”. „Tak”, machnął lekceważąco ręką. „To jest nic niewarte, całe to gadanie i picie, i marnowanie czasu. Albo obnoszenie się z *Tkaczami* Hauptmanna po mieście, w przekonaniu, że to bardzo

wywrotowe działanie, bo książkę wydał Związek Socjalistów Polskich w Londynie”. Skrzywił się. „Szkoda słów. Wiesz, kto na niego doniósł?”. „Skąd mam wiedzieć? Ty wiesz?”. „Wiem. To takie nieważne, nieważne. Wydał go ten kapuś jakała”. „Lech-Leszka? O Boże, nie możesz tak kogoś oskarżać, jeśli...”. „Lech-Leszka. Chyba tak. Tak się nazywa. Izabelo, to jest bez znaczenia. Dla nas. Dla naszej organizacji to są śmieszne postaci”. Wzrok mu płonął. „My nie mielimy ozorami, ale za parę lat zmienimy wszystko. Nie będzie tak jak w 1905 roku... Jedź ze mną do Piotrogradu, a weźmiesz udział w czymś... w czymś historycznym”. „Jako kto mam jechać?”. „Jako wolna kobieta. Zmieniająca świat. Towarzyszka. A ty myślałaś, że jako kto? Moja nałożnica?”. „Nie wiem. Nie mam pojęcia. To jest szaleństwo”. „No to zostań tutaj. Ja w każdym razie wyjeżdżam. Nie mogę zostawić żadnego adresu, więc musisz podjąć decyzję szybko. Są wakacje. Zanim ktokolwiek zauważy, że cię nie ma, będziemy w Piotrogradzie. Będziemy działać na rzecz świetlanej przyszłości. Działać, rozumiesz?”. „A moi rodzice? A przyjaciele? Ty chcesz, żebym ja dla jakiejś niejasnej sprawy po prostu zniknęła?”. „Niejasnej sprawy? To są... to są rzeczy kosmicznej wagi, zobaczysz sama”. „Posłuchaj. To co mi proponujesz, to szaleństwo, wiesz o tym, prawda? Ja się na coś takiego nigdy nie zdecyduję, ale jeśli chcesz, powiedz mi, kiedy wyjeżdżasz i którym pociągiem. Ale ja ci nie obiecuję niczego, poza tym, że nikomu nic nie powiem”. Roześmiał się. „Ja się tutaj nikogo nie boję. Nic na mnie nie mają. Jestem powszechnie lubianym nauczycielem literatury. Z nikim nie mam żadnych zatargów. Mam prawo jechać na wakacje, gdzie zechcę. Izabelo, my w naszej organizacji nie jesteśmy dziećmi. Wiemy, jak się działa, tak żeby nas nie wyłapano”. „Ale przecież ja się muszę zastanowić. Nie mogę po prostu rzucić wszystkiego i jechać z mężczyzną, którego... którego nawet nie kocham. I który mnie nie kocha. Jak ty to sobie wyobrażasz?”. „Nie mówmy o miłości, bo już ci powiedziałem, dlaczego jadę i dlaczego uważam, że ty też powinnaś jechać. Jeśli będziemy mówić

o miłości, to pojedziemy z fałszywych pobudek, a nie z tego powodu, dla którego powinniśmy jechać. To by nie miało żadnego sensu”. „No to dlaczego mnie tak namawiasz?”. „Przecież ja cię uważnie obserwuję! Jesteś sufrażystką. Rozumiem, że chcesz wolności dla kobiet. Jesteś esperantystką, więc chyba wierzysz w ponadnarodową przyszłość. Nam potrzeba właśnie takich kobiet jak ty. Ideowych. Wolnych. Nie rozumiesz?”. „Nie wiem. Nie wiem, nic nie wiem. Co innego jest mówić, a co innego rzucić się w taki wir. Kiedy jedziesz?”. „W niedzielę”. „Teraz? Już?”. „Tak. Jeśli nie wyjadę natychmiast, w przyszłym tygodniu mogę już mieć carski mundur na grzbiecie”. „Powołują?”. „Zaczną lada dzień. Nie ma chwili do stracenia”. „Posłuchaj, jeśli się zdecyduję, to będę w niedzielę na dworcu. Ale nie licz na to. Na który pociąg miałabym kupić bilet?”. „Siódma rano, do Warszawy. Resztę ci powiem po drodze”. „Mikołaju, ja nie znajdę w sobie dość odwagi... dość determinacji... I jeszcze jedno. Mam prośbę”. „Jaką?”. „Czy mogę przekazać Emanuelowi, kto go wydał? Może i nie jest dobrym rewolucjonistą, ale jest uczciwym człowiekiem i chciałabym, żeby wiedział. Żeby mu Lech-Leszka już nie szkodził”. Machnął ręką. „Proszę cię bardzo. Mnie sprawy sosnowieckie, takiego kalibru, w tej chwili już nie obchodzą”. „Nie powiem, skąd się dowiedziałam, pewnie mu podrzucę jakąś kartkę, sama nie wiem... tak, tak, to wciąż jest ta dziecinada, o której mówisz, ja to teraz też widzę”. „Zrób, co uważasz, że powinnaś zrobić”. „Dziękuję, Mikołaju”.

Pan Tadeusz roześmiał się.

– Doprawdy, czasy zaczynają mnie przerastać.

– Dziwię się, że panu do śmiechu.

– Trudno się nie śmiać. Pani wyjeżdża nie wiadomo gdzie, tuż po tym, jak jakimś cudem zdemaskowała pani donosiciela, Siedlecki uciekł za granicę z parobkiem, a Emanuel i Andrzej zniknęli jak kamień w wodę...

– To o nich się najbardziej martwię. Dlaczego ich nie ma?

– A ja? O mnie się pani nie martwi? – Nachylił się ku niej. – Przecież to ja zostanę tu z Lechosławem, który z pewnością dyszy żądzą zemsty. – Odchylił się w krzesło. – Cudowne mi się rysują perspektywy...

Tym razem to ona nachyliła się ku niemu.

– Jeśli Lech-Leszka tu dzisiaj przyszedł, to wiedział, że Emanuel nie będzie mógł przyjść. Rozumie pan?

Meyerhold pokiwał powoli głową.

– I dlatego go pani zdekonspirowała? Trzeba mi to było powiedzieć w konfidencji.

– Ma pan rację. – Nagle w jej oczach pojawiły się łzy. – Możliwe, że pogubiłam się w tym wszystkim.

– No, dajmy już temu pokój – mruknął Meyerhold. – Oj, będzie jutro chandra piekielna.

Słońce schodziło w dół i nad rzeką zaczynała się słać wieczorna mgiełka.

– Polacy to w niczym nie znają umiaru – powiedziała jedna ładna pani do drugiej ładnej pani, kiedy redaktor Monsiorski mijał je na ulicy.

– Święte słowa – zwrócił się do nich pan Walerian, uchylając kapelusza, i obie się uśmiechnęły.

Później już nie spotkał po drodze żadnej kobiety. Szedł w stronę przystani galarów i kobiety wiedziały, że w tych okolicach nie miały czego szukać. Redaktor Monsiorski zastanawiał się, czy i on powinien tu czegoś szukać. Im był bliżej przystani, tym bardziej wątpił w sens całego przedsięwzięcia. Co innego rozmowa z Zarządcą Rzeźni Miejskiej, panem Eustachym Goździkiem, a co innego indagowanie zbiega, który od roku ukrywa się przed policją. Właściwie to, co robiły nogi redaktora, niosąc go na przystań wbrew jego woli, urągało zdrowemu rozsądkowi.

Okolica przystani zabudowana była niskimi magazynami i stajniami dla koni pociągowych. Z kuźni, której komin wypluwał czarny dym, dochodziły stuki i brzęki, pomimo późnej pory. Naokoło piętrzyły się

pagóry węgla, koksu i kamienia, sterty przygotowanych do załadunku cegieł. Wszędzie kręcili się mężczyźni w wyświeconych, poprzecieranych ubraniach. Pan Walerian domyślił się, że to załogi poszczególnych tratw. Jacyś podchmieleni osobnicy, przenosząc z magazynu do magazynu zboże, mąkę i cukier w workach, podśpiewywali sprośne i nostalgiczne kuplety, głównie o tym, że daw-niej by-ły jak ko-by-ły te na-sze dzie-wi-ce... Od czasu do czasu słyhać było głośnie wybuchy śmiechu. Tylko jeden człowiek, w oddaleniu od reszty, siedział na burcie tratwy i łowił ryby.

Brzeg schodził łagodnie ku rzece łąką piasku, a przy tej łąsce zakotwiczono, niemal burta przy burcie, potężne tratwy. Pokłady galarów były brudne od węglowego miazgu, wszędzie walały się przetłuszczone papiery, łupiny pieczonych kartofli, niedopałki i puste butelki.

Chociaż pan Walerian czuł się niepewnie wśród barczystych mężczyzn w starych, wypłowiałych kapeluszach lub w postrzępionych myckach, nie przestawał wypatrywać tego, którego już kiedyś widział przez okno...

Ktoś przechodził z cebrzykiem i szturchnął redaktora bezceremonialnie.

– Patrz, gdzie leziesz!

Pan Walerian odsunął się przestraszony, ale z drugiej strony nadjeżdżała furmanka wyładowana cegłami i redaktor Monsiorski dosłownie w ostatniej chwili uskoczył przed końmi.

Gdyby to było w Prusach (tu mogło pomóc jedynie szybkie przeistoczenie się w von Lubitza), to nikt by nie transportował towarów do przystani wozami konnymi. Że też taki wielki węzeł kolejowy jak Sosnowiec nie ma paru bocznic prowadzących do portu. Chłopi by stracili zarobek, ale byłoby nowocześnie. Tragarze biegają po drewnianych trapach jak za króla Ćwieczka, a przecież, gdyby się ludzie skrzyknęli, toby tu zainstalowali dźwigi, urządzenia do kiprowania albo zsuwnie, a tak to każdy wymachuje łopata. Tylko wtedy trzeba by najpierw umocnić skarpe brzegową. Pisano kiedyś o tym w „Iskrze”, bo były takie plany: pogłębić koryto rzeki, ustawić znaki dla żeglugi. Przydałaby się też uczciwa

instytucja pilnująca praworządności: urząd, bodaj kapitan portu... Zamiast kłócić się o każdego klienta, właściciele galarów musieliby zameldować i odmeldować swój statek na przystani. Byłyby z tego też dodatkowe zyski. Ale sęk w tym, że właściciele tratw nie chcą tu żadnej policji rzecznej, bo to przecież głównie rabusie, przemytnicy i półświa...

Rozpoznał go.

Młody człowiek w źle leżących spodniach wyniósł z jednej z szop dużą skrzynkę, postawił ją przy ścieżce i wyprostował się. Ewidentnie usiłował być bardziej elegancki od pozostałych. Miał nawet krawat, a w nim tombakową szpilkę.

– Dobry wieczór – powiedział pan Walerian. Na szczęście zgiełk był tu mniejszy. – Przepraszam pana. Nie znam tu nikogo... Może pan mi udzieli pomocy...

Żadnej reakcji, tylko zimny wzrok.

– Nazywam się Walerian Monsiorski... Ehm... Ehm... Jestem redaktorem miejscowej gazety. „Iskra”. Może pan słyszał...

Nadal cisza. Tamten nie spuszczał z niego oczu.

– Wie pan, interesuje mnie życie załogi na galarze i chciałbym napisać artykuł, bo...

– Panie... tu się ciężko haruje. Tu nie ma miejsca na głupoty.

– Ja właśnie o tej ciężkiej pracy chciałem napisać.

– A po co to komu?

– Obywatele tego miasta... nasi czytelnicy... chcą... powinni wiedzieć. Że są tu nie tylko niemieckie kopalnie i huty, nie tylko żydowskie sklepiki i kantory komisowe, ale że jest jeszcze... że są tu jeszcze powroźnicy i bednarze, kowale, flisacy... – Umilkł.

Młody człowiek postawił but na skrzynce z piwem. Pan redaktor powędrował wzrokiem w dół i ze zdumieniem dostrzegł lśniące lakierowane trzewiki w nieregularne białe-czarne paski. Owszem, była sobota wieczór, ale kto to widział, żeby takie cudaczne buty nosić?

Kogut zauważył, w co wpatruje się ten śmieszny człowiek.

– Zebra.

– Proszę?

– Buty. Widzę, że pan patrzy na moje buty. – Kiwnął stopą.

– A tak, owszem. Bardzo... oryginalne.

– Skóra zebry.

– Aha.

„Cygański gust”, pomyślał pan Walerian.

– Mam też buty ze skóry krokodyla.

– Coś podobnego...

– A tak. Lubię gustowne rzeczy. Tanie nie są.

– Zapewne. – Pan Walerian pokiwał głową. – Zapewne.

Milczeli przez chwilę, ale jak długo można się wpatrywać w buty Koguta?

– *Graf Rjenard?* – spytał pan Walerian po rosyjsku i wskazał palcem skrzynkę z piwem.

– Słucham?

– Hrabia Renard? Z browaru sieleckiego?

– A, piwo? To na drogę, na jutro.

– Reklamują się w „Iskrze”. Browar parowy ze słodownią. Mają teraz nawet fabrykę sztucznego lodu.

Kogut wzruszył ramionami.

– Po co?

– Bo zimne piwo jest lepsze.

– Mnie tam ciepłe też podchodzi.

– Ale z tą fabryką lodu... Czego to ludzie nie wymyślą, prawda?

– Nie wiem. Ja tam wolę piwa z będzińskiego browaru, ale nie mam czasu, żeby dzisiaj za tym biegać. – Kogut wypowiedział długie zdanie, co dodało panu Walerianowi otuchy.

– A z będzińskich browarów woli pan Koronę czy Gambrinusa?

– Gambrinusa.

Redaktor Monsiorski skinął głową.

– Mają roczny obrót dwieście tysięcy rubli i produkują sto pięćdziesiąt tysięcy wiader. A Korona sto tysięcy wiader. Solidne browary.

Kogut znowu zamilkł. Pan Walerian nie poddawał się.

– A ten mały browar w Klimontowie? Nie lubi pan ich piwa?

– Nie piłem.

– Czternaście tysięcy wiader piwa rocznie.

– Mało.

– Tam pracuje tylko kilka osób. Za to mają piwo bawarskie i dubletowe, i kulmbachskie... – zaczął wyliczać. – Ja piję tylko pilzneńskie. Bawarskie jest dla mnie za ciężkie.

– Ale się pan mnie uczeplił – mruknął Kogut. – Jak rzep psiego ogona. Można by pomyśleć, że pan piwem handluje, a nie gazetami.

– Ja nie handluję gazetami. Jestem redaktorem naczelnym.

– Dla mnie bez różnicy...

– I tak jak mówiłem, chciałbym napisać artykuł o pracy na galarze, bo...

– Ale dlaczego pan akurat mnie męczy? Tyłu jest wokół... – machnął ręką.

– Bo... – No tak, co teraz powiedzieć? – ...Jakoś panu dobrze z oczu patrzy...

Kogut roześmiał się.

– No, teraz to pan nieźle przyfanzolił.

Czasami jednak warto wpatrywać się w ludzkie twarze. Każdy dojrzały człowiek ma bowiem taką twarz, na jaką zasługuje, na jaką sobie zapracował każdym dniem swego życia. W tym sensie twarz nie kłamie, ale trzeba umieć ją odczytać. Im człowiek starszy, tym czytelniejsza jego twarz, tym mniej w fizjonomii przypadkowości. Jest tylko to, co wykuwało się uporczywie całymi latami. Wszystkie myśli i uczynki, prawdy i oszustwa, każda chwila poządliwości, każdy moment zawiści, ale też każdy

szlachetny gest i szczerzy śmiech – nic się w procesie wieloletniego rzeźbienia twarzy nie marnuje, nic nie jest stracone ani zapomniane. Nic nie pozostaje ani darowane, ani niewynagrodzone. Tak, zapłata przychodzi już w tym życiu. Każdy dzień przyczynia się do takiego, a nie innego wykrzywienia ust, do wyorania specyficznych łuków zmarszczek, do odpowiedniego lśnienia oczu. Wszystko, wszystko na twarzy widać, bez żadnego zafałszowania. Byle tylko dać naturze trochę czasu. Stary człowiek chodzi po świecie z zapłatą wyrysowaną na twarzy.

Ale za młodu niczego nie widać. Ot, twarz. Ładna albo nieładna.

Kogut poprawił szpilkę przy krawacie.

– Jeszcze raz. Jak się pan nazywa?

– Monsiorski. Walerian Monsiorski.

Kogut wyciągnął rękę.

– Paweł Zazula.

„Zmienił nazwisko. Właściwie należało się tego spodziewać. Zamiast ko-ko robi ku-ku”.

– Miło mi, panie Zazula. No więc...

– A dokładnie to czego pan chce?

– Żeby mnie pan zabrał na galar. – Pan Walerian czuł, że pod kapeluszem ma mokre od potu włosy.

– Gdzie, do Krakowa?

– Tak daleko to chyba nie dam rady. Ale może chociaż kawałek?

– A potem co? Mam pana zostawić w polu?

– Gdyby to było blisko jakiejś stacji, to wsiądę w pociąg i wrócę.

Kogut (darujmy sobie Zazulę) zastanawiał się, postukując czubkiem buta skrzynkę z piwem.

– To da się tak? – zapytał pan Monsiorski.

– Dać by się dało. Zależy za ile.

Redaktor Monsiorski podał cenę.

Kogut zagwizdał pod nosem.

- A dokumenty pan masz? Bo trzeba przekraczać granicę.
- Mam dokumenty i plenipotencję...
- Przyjdź pan o świcie. Galar będzie załadowany i będziemy mogli wypłynąć.

ROZDZIAŁ 16

C

W niedzielny poranek 28 czerwca para mocnych koni ciągnęła trybarkę, czyli dwa szepione ze sobą galary. Poganiacz szedł brzegiem rzeki i pilnował zaprzęgu. Szymon Kogut stał na głowie tratwy i pracował wiosłem. Na colu, przy drewnianym sterze siedział pomocnik. Łańcuchy do cumowania złożono przy burcie. Drewniane foszty do sterowania galarami w trudniejszym nurcie leżały na hałdzie węgla.

„Okolica, mój Boże”, pomyślał pan Walerian. „A cóż to za krajobrazy? Jakieś poletka, rowy wypełnione wodą, czasami obrzeżone trawą, a czasami trzcina zarastającą skarpy. Zieleń tutejsza jest ziemista, błękit nieba wodnisty, a woda błyszczący oleiście – wszystko nie tak, jak być powinno”.

Mniej więcej po dwóch kwadransach redaktor Monsiorski z notatnikiem w dłoni stanął na dziobie obok Koguta.

– Ciężka praca. – Pokręcił głową z uznaniem.

– Czego pan tu naprawdę szuka? – zapytał cicho młody człowiek, wpatrując się w nurt wody.

Redaktor Monsiorski zrozumiał, że nadszedł właściwy moment. Albo się odważy teraz, albo nie odważy się nigdy.

– Pan pracował dla Korzeńca?

Kogut nagle odwrócił się w jego stronę i spojrzał mu prosto w oczy z taką nienawiścią, że pod panem Walerianem ugięły się nogi.

– Ty cholerny szpiclu...

– Nie jestem szpiclem, proszę pana, nie jestem policjantem – pisnął przerażony pan Walerian.

– Zaraz ci wetknę nóż między żebra – syknął Kogut.

– Proszę... niech się pan nie denerwuje... Naprawdę. Ja pana o nic nie podejrzewam – jęknął redaktor Monsiorski.

Jego ton musiał być tak żaloszny, że Kogut spojrział na niego z politowaniem i zdumieniem.

– To czego mi depczesz po piętach, cholerna powsinogo?

– Jestem... ehm... bliskim przyjacielem wdowy po Korzeńcu.

Kogut był purpurowy na twarzy.

– I co z tego?

– Pani Jadwidze zależy, żeby tę sprawę wyjaśnić.

Młody człowiek milczał przez chwilę.

– Po prawdzie na szpicla mi pan nie wygląda. Ale czego pan się w to wplątuje? Żeby źle skończyć?

– Uchowaj mnie Panie Boże.

– A ta historia z artykułem do gazety to bujda? Że niby pana interesuje życie załogi na galarze.

– Taki artykuł mógłbym napisać, oczywiście, bardzo chętnie nawet, ale ma pan rację, to był pretekst, żeby porozmawiać.

– A kto panu powiedział, jak mnie znaleźć, skoro policja mnie znaleźć nie może od roku? I od razu dodam, że jeśli pan coś piśnie policji, jeśli nagle zostaną aresztowany albo coś mi się przydarzy, to długo pan nie pożyje.

– Zapewniam pana, że o naszej rozmowie nie powiem nikomu, nikomu też nie powiem, że wiem, gdzie się pan podziewa.

– Nawet wdowie? – Kogut wyszczerzył zęby.

– Nawet wdowie.

– Niebezpiecznie się pan zabawia, bez względu na to, jakie pan ma zamiary. I myślę, że wcześniej czy później źle pan skończy. Ale ja ze

śmiercią Korzeńca nie mam nic wspólnego. – Milczał chwilę. Wsadził wiosło do wody, zmienił lekko kierunek galara, wyjął wiosło i dodał: – Nie żebym mu śmierci nie życzył. Ale z tą sprawą nie mam nic wspólnego. Ale, ale... nie wiem jeszcze, kto panu powiedział, gdzie mnie znaleźć.

Redaktor Monsiorski zawahał się.

– Gadaj pan. I tak się domyślę, bo wie o tym tylko kilka osób.

Nie mógł powiedzieć. Obiecał. Poczul ścisk w gardle.

Kogut czekał przez chwilę. Pan Walerian milczał. Młody człowiek pokiwał głową.

– Estera. Gadał pan z Esterą.

Redaktor Monsiorski milczał.

– To ona panu powiedziała, gdzie jestem.

– Tak.

– Kiedy pan z nią gadał?

– Przedwczoraj.

– I coś jeszcze mówiła?

– Tak.

– No to pan wie.

– Wiem.

Kogut zachmurzył się.

– Suka gadatliwa. Zatłukę.

– Ona mi powiedziała, bo ją przekonałem, że nie mam żadnych złych zamiarów, a wręcz przeciwnie. Jeśli śledztwo w sprawie śmierci Korzeńca zostanie zarzucone, to pan na zawsze zostanie podejrzanym i poszukiwanym mordercą, ponieważ to jest najłatwiejsze dla policji. Jeśli znajdzie się prawdziwy morderca albo znajdzie się w ogóle jakieś inne wyjaśnienie tej sprawy, to nie będzie się pan musiał ukrywać.

– Ja mam dużo innych powodów, żeby się ukrywać – mruknął Kogut.

– Ale nie aż takie. Poza tym lepiej się ukrywać za realne... postęпки, niż za takie, które się panu niesłusznie przypisuje.

– Ano, co prawda, to prawda.

– To właśnie wytłumaczyłem Esterze i przysięgłem jej, że chcę z panem porozmawiać właśnie dlatego, że policja tego nie mogła zrobić, bo pan zniknął...

– A na co miałem się oglądać, skoro od razu się na mnie zaczęli?

– Może to był błąd, że pan uciekł, bo człowiek staje się wtedy od razu podejrzany.

– Nie opowiadaj pan bzdur. Policja uznała, że to ja zrobiłem, i sąd by mnie skazał, czy coś zrobiłem, czy nie.

– Ale jeśli znajdzie się prawdziwe wyjaśnienie, to nie. Estera na to liczy najbardziej. A dla mnie rozmowa z panem jest bardzo ważna. Inaczej nie ruszę z miejsca.

– Nie wiem, co się panu stało i po co pan to robi, bo nie dla mnie.

– Nie, nie dla pana. Ale pan może na tym tylko skorzystać. Proszę się chwilę zastanowić, a przyzna mi pan rację.

– Dla wdowy? Kocha się pan we wdowie. Po prawdzie to niczego sobie niewiasta, bardzo zadbana kobita, choć niemłoda.

Redaktor Monsiorski puścił to mimo uszu.

– Dziennikarze lubią rozwikływanie takich zagmatwanych spraw.

– Nie pieprz, człowieku – zachnął się Kogut. – Czego pan ode mnie chce?

– Proszę mi opowiedzieć, jak wyglądała praca z Korzeńcem, co robił, jakie miał zwyczaje, co pan o nim myślał. Proszę mówić, a ja będę słuchał.

Kogut roześmiał się.

– No nie, pan jest albo naiwny, albo sam już nie wiem. Ale o robocie mogę opowiedzieć to i owo. Potem pana wyrzucę na brzeg i wrócisz pan sobie do Sosnowca na piechotę. To mi da czas, żeby się zmyć. Taki głupi nie jestem, żeby tu zostać. Może i pan nie jest szpiclem, ale skąd wiadomo, kto pana szpicluje? Tak. Mógłbym pana dźgnąć pod żebro i wepchnąć do

Wisły pod Krakowem. Może tak będzie najlepiej. Jak znajdą nieboszczyka z Sosnowca pod Zawichostem, to dopiero się zdziwią...

Pan Walerian kątem oka spoglądał w stronę brzegów. Tu i ówdzie wierzby zanurzały w wodzie giętkie gałęzie, które kładły się wzdłuż nurtu jak włosy topielic. To mu nie dodawało otuchy.

– ...tyle że, jeśli pana znajdą pod Zawichostem, w którymś momencie domyślą się, jaką drogą pan tam dotarł. I doczepią się galar. A ja nie zamierzam ściągnąć całej policji na przystań. I tylko to pana uratuje. Nie pana spryt, nie cokolwiek innego. Więc pytaj pan, ale szybko, a potem fora ze dwora. – Zbliżył się do pana Waleriana i bezceremonialnie złapał go za klapę surduta. – Niech mnie pan więcej nie szuka. I wara od Estery. Poleziesz do niej, człowieku, jeszcze raz, to zatłukę.

Redaktor Monsiorski nie patrzył Kogutowi w oczy, nie patrzył też w nurt rzeki, tylko w stronę brzegów i zakoli, gdzie panoszył się oślizły szlam, gdzie pojawiały się jakieś gliniastoszare mętne zatoczki przetykane rdzawymi smugami piany. Gdzieś tu gniły całe pokolenia roślin, widać to było po bagiennych pęcherzykach. Jeśli ten młody człowiek go zatłucze, pan Walerian będzie długo leżał w kępach sitowia albo w kozuchu rzęsy.

Kogut skrzywił się. Z Esterą miał same problemy. Najpierw okazało się, że Żydówki nie miały niczego w poprzek. Wszystko miały wzdłuż, jak należy. No, a potem ciągle coś było nie tak. Poszli kiedyś na tańce. „Nie chcę cię więcej widzieć”, powiedział jej, bo trochę wypił. „Szymon, dlaczego ty mnie tak dręczysz?”. „Ten twój pan, Korzeniec, co on ci robił?”. „Szymon, Szymon, błagam cię, zapomnijmy już o tym. Ty jesteś mężczyzną mojego życia, błagam cię, nie wracajmy do tego”. „Odczep się ode mnie, idę do siebie na kwaterę”. Po chwili dodał od niechcienia: „Jak będziesz miała ochotę, to drzwi i okno są otwarte”. Po kwadransie ktoś pod oknem go zawołał. Stała pod balkonem. „Szymon, proszę cię, wpuść mnie”. Zszedł na dół, otworzył drzwi. Weszła. „Jestem głupia. Nie powinnam do ciebie przychodzić”, powiedziała, kiedy znalazła się w jego niemal

nieumebrowanym pokoju. „To po co przyszłaś?”. „Bo cię Kocham. Stałam pod twoim balkonem i nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś nie wyszedł”. Wzruszył ramionami. Rzucił się na łóżko w ubraniu i patrzył w sufit. Położyła się obok niego. Nawet jej nie przytulił. „Szymon, co ci zrobiłam, dlaczego mnie tak dręczysz?”. Zaczęła płakać. O to mu chodziło. Upodlić ją. A ona dodała: „Jak ci się wydaje, po co ja przyszłam na tańce?”. Roześmiała się gorzko. „Tylko dla ciebie... Nawet nie lubię tańczyć”. I znowu się rozpłakała. „Może i jestem głupia, ale na pewno nie jestem dziwką”. Dał się wtedy udobruchać, ale i tak jeszcze buntował się czasem i wołał przed kolegami: „A czym ona się różni od innych? Że jej na mnie bardzo zależy?”. A potem i to: „Jestem w ciąży”. Cisza. „Szymon... słyszysz? Jestem w ciąży”. Cisza. „Szymon, co ja teraz zrobię?”. A skąd niby mógł wiedzieć, czy z nim jest w ciąży? Wszechwiedzący to jest tylko Pan Bóg, a zaraz po nim szatan, który też sporo wie, a jeśli czegoś nie wie, to dobrze się z tym kryje. Tak go zdenerwowała, że w końcu nie wytrzymał i przyłożył jej parę razy. No, co? Każdemu by puściły nerwy. A ta swoje: „Powiedz mi, co ja mam teraz robić?”. „A co mnie to obchodzi, do cholery? Dziewicą byłaś czy jak?”.

Kogut westchnął ciężko i kopnął burtę galara. Miał inne buty niż poprzedniego wieczoru.

– No, to raz-dwa, co pan chcesz wiedzieć? – Wyciągnął palec i pogroził redaktorowi Monsiorskiemu. – Tylko żadnych pytań osobistych, bo panu żerdzią plecy wygarbuję.

Pan Walerian szybko zebrał myśli.

– Proszę mi opowiedzieć, jaki był Alojzy Korzeniec, jak się z nim pracowało, sam nie wiem, może pan coś zauważył, co by mi się przydało. Wie pan, podobno czasem wystarczy jeden drobiazg. Komuś się wydaje nieważny, a jest kluczowy. Nie chodzi mi o takie oklepane stwierdzenia, jak to, że zbrodnię popełnia ten, kto ma z niej korzyść...

– A to akurat chyba prawda...

– Ja wiem, ale korzyść mogą mieć różne osoby, a na ogół tylko jedna z nich...

Kogut nie chciał tego wysłuchiwać.

– Pan chce, żebym opowiadał o robocie, czy żebym był pana spowiednikiem? Bo mnie to nie bardzo obchodzi, co pan sobie myśli. Chociaż, jeśli pan złapie mordercę i zdejmie mi w ten sposób policję z karku, mogę panu nawet kiedyś postawić piwo. Pilzneńskie – zarechotał – żeby nie było za ciężkie na żołądek.

Redaktor Monsiorski uśmiechnął się niepewnie.

– Trzymam pana za słowo.

– Już widzę, jak pan idzie ze mną na piwo – skrzywił się Kogut.

A jednak zaczął opowiadać to i owo o pracy u Korzeńca, tyle że niezbyt składnie: o tym, co go denerwowało („to był taki wieprz, że daj pan spokój, jeszcze żeby płacił porządnie albo szanował człowieka, ale gdzie tam, sapał tylko i krzywił gębę”) i o tym, co go nudziło („każdy dzień taki sam, na kolanach i na kolanach, zwariować można”, „wiecznie pył we włosach”), a nawet o tym, co go śmieszyło, czyli o szczególnym dziwactwie Korzeńca, o tej próżności zmuszającej go do osobistego układania ostatniego firmowego kafelka ze swoim nazwiskiem.

Pan Walerian słuchał i nie przerywał. Nie zadawał żadnych dodatkowych pytań.

Mniej więcej po kwadransie Kogut zamilkł. Stał jeszcze na dziobie, wpatrywał się w siny nurt, a potem pokręcił głową ze zniechęceniem.

– Daj mi tu hatwór na głowę! – zawołał do pomocnika.

Oburącz ujął podany mu mocny drąg, jeden koniec przesunął przez dziobową burtę galara i spuścił w wodę, aż plusnęło, o drugi koniec oparł się z całą mocą. Na szyi wystąpiły mu żyły, a twarz wykrzywił grymas. Galar zwalniał stopniowo, a ponieważ hatwór wciśnięty był w dno pod pewnym kątem względem nurtu, galar nie tylko zwalniał, ale jednocześnie zbliżał się prawą burtą do trawiastego brzegu. Z powodu ciężaru barki

wypełnionej węglem wszystko działało się bardzo powoli. W końcu jednak galar dotknął skarpy.

– Rzucić łańcuchy? – zapytał pomocnik.

Kogut wciąż wspierał się mocno na hatworze.

– Nie trzeba. Nie będziemy cumować. Pan redaktor się bardzo spieszy, więc szybko wyskoczy.

Panu Monsiorskiemu nie trzeba było dwa razy powtarzać tego polecenia. Jednym susem znalazł się na brzegu, potknął się jednak i musiał podeprzeć rękami, żeby nie upaść. Kiedy wreszcie wgramolił się na ścieżkę i odwrócił w kierunku rzeki, Kogut wyciągał hatwór, a pomocnik odbijał galar laskami, próbując skierować go znów w główny nurt.

Po chwili galar płynął w dół rzeki, a stojący na głowie Kogut nawet się nie obejrzał w kierunku redaktora Monsiorskiego. Pomocnik usiadł na colu i chwycił ster. Trzeci pomocnik w ogóle nie wyszedł z budy. Pewnie cały czas spał na pryczy. Jeśli zacumują na noc przed Krakowem, będzie pilnował tratwy i dobytku.

Do Sosnowca było daleko. Pan Walerian szedł wzdłuż brzegu i rozmyślał. Trakt był w miarę wygodny, bo wydeptany przez konie, które ciągnęły puste galary w górę rzeki.

Najpierw pan Walerian dumiał chaotycznie: na przykład doszedł do wniosku, że sitowie rośnie w kępach przypominających indiańskie pióropusze. Potem uzmysłowił sobie, że Kogut mógł go zabić, ale na szczęście tego nie uczynił. Później z kolei zmartwił się, że zniszczył flisakowi życie. „Skoro Kogut chce teraz dalej uciekać, to co ja najlepszego narobiłem?”. Młody człowiek już nie wróci do Sosnowca, bo się będzie bał. Co w takim razie może pan Monsiorski powiedzieć Esterze, która mu zaufała? Może jednak Kogut sprawy przemyśli i wróci? Może uwierzy, że redaktor Monsiorski nie stanowi dla niego zagrożenia?

Pan Walerian przez chwilę starał się nie myśleć o Kogucie i jego losie. Zwrócił uwagę na miejsca, gdzie poi się krowy. Ziemia była tam bardzo

grząska, wymłócona przez kopyta, wymieszana z krowimi odchodami; zresztą wszystkie krowy, z daleka wyglądające jak malownicze plamki rozproszone po łąkach, okazywały się mieć – jeśli patrzeć na nie z bliska – zaschnięte łajno na kościstych zadach, co odbierało im sporo uroku.

Niemal pod samym Sosnowcem, kiedy pan Walerian zbliżał się do przejścia granicznego, nastąpił moment epifanii. Historia opowiadana w kościele o tym, jak podły prześladowca chrześcijan, Szaweł, spadł z osła i dostąpił iluminacji, a w jej rezultacie nawrócenia, wydaje się naciągana i niektórzy uważają, że jeśli Szaweł w ogóle czegokolwiek doznał, to najwyżej wstrząśnienia mózgu, niemniej – nie wchodząc w teologiczne detale – olśnienia się zdarzają.

Pan Walerian stanął jak wryty, wpół kroku, i stał tak przez dłuższą chwilę.

Następnie ruszył naprzód.

Po chwili znowu się zatrzymał. Ba, zamknął nawet oczy. Pokręcił głową zafrasowany. „Ale czy to nie jest zbyt proste? Dlaczego nikt na to nie wpadł?”.

W głowie mu huczało.

„Muszę uporządkować bieg myśli. A więc tak: Korzeniec z pewnością chował coś pod kafelkami sygnowanymi nazwiskiem. Dlatego tak mu zależało, żeby robić to osobiście, żeby to był ostatni kładziony kafelek. Miał wówczas pewność, że nikt już w podłodze nie będzie grzebał. Wiedział, że to, co schował, pozostanie nietknięte. Zamuroвывał coś pod podłogami, ale tak, żeby później łatwo móc to odnaleźć. To coś nie mogło być duże, bo inaczej Kogut zauważyłby, że nie chodzi wcale o żadną sygnaturkę. Taka kryjówka jest trwała. Bez zniszczenia podłogi nie da się do niej dostać. Chował coś dla siebie? Dla kogoś? Chował pod wszystkimi znakowanymi kafelkami czy tylko pod niektórymi? Czy w kościołach też? Albo na dworcu? Czy tylko... Gdzie jest klucz? Jakaś mapa”.

Dotarł do Sosnowca.

„Czy Korzeniec wiedział, co chowa? Jeśli tak, kim był naprawdę? Jeśli nie, na czyje zlecenie działał i kto go tak potrafił omotać? Właściwie nadal nic nie wiem, ale jeśli rozbiję choćby jeden znakowany kafelek i coś znajdę, to znaczy, że ruszyłem naprzód z kopyta...”.

Był tak zaaferowany, że nawet nie zauważył, że na rogu Krzywej i Mikołajewskiej czekał na niego Ociepa z dwójką obdartusów.

– Panie redaktorze...

– A, panie Ociepa... dzień dobry, nie zauważyłem pana, ale nie mam teraz czasu, bardzo przepraszam.

– Musi pan znaleźć czas... – powiedział Ociepa, zagradzając mu drogę.

– Pamięta pan mojego kuzyna?

– Niestety nie. A powinienem?

– Wtedy, jak pan zimą przyszedł po mapę, on stanął w oknie... pan się go przestraszył.

– Coś sobie przypominam, ale naprawdę jestem teraz zajęty... Mam nadzieję, że nie będziecie mnie panowie zatrzymywali siłą. – Redaktor Monsiorski próbował ich ominąć.

– Niechże pan posłucha mnie wreszcie, bo ja panu przyprowadziłem ludzi, którzy szmuglowali głowę... – Zwrotniczy mówił konspiracyjnym szeptem i rozglądał się niepewnie dookoła.

Wyższy obdartus skrzywił się.

– Po prawdzie, wuj nas nie przyprowadził. Sami przychodzimy.

– Zaraz, zaraz. – Pan Walerian wybałuszył oczy. – Wy, to znaczy, panowie...

– Panie redaktorze, chyba nie chce pan o takich sprawach rozmawiać na ulicy. – Ociepa nie porafił ukryć emocji.

– Racja. Chodźmy na górę.

Wspięli się po drewnianych schodach.

W biurze trójka przybyszów obejrzała z zainteresowaniem wysoki sufit zdobiony sztukateriami i nieco wyblakłą tapetę we wzorki.

– Siadajcie panowie, proszę. – Pan Walerian wskazał ręką krzesła pod oknem. – I teraz na spokojnie. Co panów do mnie sprowadza?

– Sprowadza nas – zaczął Ociepa – wiadomo co.

– Ja powiem – przerwał mu wyższy obdartus.

I mówił przez kwadrans. Nikt mu nie przerywał. Potem zapadła cisza i nie było wiadomo, kto tę ciszę powinien przerwać oraz w jaki sposób.

Uczynił to zniecierpliwiony zwrotniczy. Klasnął w wielkie dłonie, aż huknęło. Cała trójka podskoczyła, tak nieoczekiwany był ten dźwięk.

– Pan to umie huknąć – powiedział niższy obdartus z podziwem.

Redaktor Monsiorski syknął i uniósł dłonie do skroni.

– Litości. Głowa mi pęka.

– No, to rozwiązało się zagadkę... – Ociepa spojrział z dumą na redaktora Monsiorskiego i zawiesił głos.

– Czyżby? – mruknął pan Walerian.

– Panie redaktorze, co też pan?

Pan Walerian starał się, żeby głos mu nie drżał.

– Nie tak prędko, panie Ociepa, jeszcze niczego się nie rozwiązało. A gdzie są dowody?

– Jakie dowody? – jęknął zwrotniczy.

– Dowody. I powody. I metody...

Niższy obdartus zachichotał i szturchnął wyższego łokciem.

– Paradny. Do rymu gada.

Wyższy oddał koledze kuksańca, ale nic nie powiedział.

Ociepa był wyraźnie rozczarowany.

– Ale te dowody i powody, panie redaktorze, to już policja wydusi z Weichmanna!

– Która policja? Pruska czy ruska? – Pan Walerian nie dodał, że w konfrontacji między wpływowym Weichmannem a dwójką obszarpańców nikt nie da wiary ich zeznaniom.

– Czyli że wszystko na nic? Ja do pana przychodzę z czymś takim...

– Mam propozycję. Zostawcie mnie, panowie, teraz, dajcie mi kilka dni, ja się spokojnie zastanowię, pomyślę, do kogo możemy z tym pójść, Jezus Maria, to są naprawdę niebezpieczne sprawy. A najważniejsze, nikomu ani słowa. I jeszcze jedno. Mam nadzieję, że nie wybieracie się do Weichmanna po morfinę...

Pokręcili głowami.

– My się wybieramy do nowego świata, a nie na drugi świat – powiedział wyższy.

– I chcemy zobaczyć czarnego Murzyna – zawtórował niższy. A po chwili namysłu dodał: – Szwarcenegera.

– Przecież w Ameryce nie mówią po niemiecku. – Wyższy spojrzał na kolegę z niesmakiem.

– Tylko jak?

– Zbyszek, ty to naprawdę jesteś kawał matoła.

Wyszli, a pan Walerian zamknął za nimi drzwi. Weichmann był bezwzględnie niebezpiecznym człowiekiem, ale wcale nie musiał być mordercą czy zleceniodawcą tej konkretnej zbrodni. Możliwe, że Korzeniec rzeczywiście dla niego pracował, a podejrzania Kredyckiego i Marywila, o których wspominał pan Eustachy Goździk, nie były wysrane z palca. Korzeniec mógł w zmyślnie znakowanych skrytkach w posadzkach chować hm... jakieś dokumenty czy plany, diabli zresztą wiedzą co. Pieniądze? Miał dostęp do różnych strategicznie ważnych budynków i urzędzeń. Pod pretekstem prowadzonych robót mógł, nie budząc podejrzeń, wchodzić, gdzie chciał, mógł szkicować, odwzorowywać i notować, co tylko miał ochotę.

„Jeśli ktoś odkrył, czym zajmuje się glazurnik i z kim współpracuje, jeśli ktoś uznał to za sabotaż, zagrożenie własnych interesów czy wręcz zdradę, wówczas zabicie Korzeńca w Sosnowcu i wysłanie głowy Weichmannowi oznaczało zemstę albo ostrzeżenie. Z kolei fakt, że Weichmann głowę odesłał do Polski, był znakiem, że się nie wystraszył.

Doskonale wykorzystał swe rozległe koneksje w policji i wśród celników, zarówno pruskich, jak i rosyjskich. Chciał dać jasny sygnał swojemu adwersarzowi czy adwersarzom, że się nie boi, że jest wystarczająco silny, że może odpłacić pięknym za nadobne. Swoją drogą, co za gest! Co za tupet! Jaka pycha! Ale morderca chyba nie zachowywałby się w tak ryzykowny sposób. Weichmann nie zdawał się na żaden przypadek, wszystko zaplanował. Nie przewidział jedynie, że polscy przemytnicy wynajęci do wykonania najbardziej parszywej części planu wrócą po dowód wdzięczności. Że nie zadowolą się pieniędzmi, że zamarzy im się szukanie szczęścia w Ameryce, a za odebranie im tego marzenia zapalają swoistą żądzą zemsty, czyli doniosą na niego, niezupełnie rozumiejąc, w czym w ogóle biorą udział... Dopóki jednak nie wiem, co Korzeniec chował pod kafelkami, dopóty nie ustalę, kim on naprawdę był i co go łączyło z Weichmannem”.

Gdzie najbliżej znajdował się kafelek sygnowany nazwiskiem Korzeńca? Pan Walerian przez chwilę wyteżał pamięć.

Duża elegancka kamienica przy Iwangrodzkiej, o pięć minut spaceru od ulicy Krzywej.

Zamknął biuro i, tak jak stał, zbiegł na dół.

– Panie Ignacy, potrzebuję młotek i dłuto!

– Na kiedy?

– Na już!

– Ależ pan dzisiaj w gorącej wodzie kąpany – stęknął stróż.

Redaktor Monsiorski wypadł na ulicę, starając się schować narzędzia do kieszeni spodni, ale nie bardzo mu się to udawało, więc przestał się przejmować i z młotkiem w jednej, a z dłutem w drugiej dłoni pobiegł na Iwangrodzką.

Wysoka, trzypiętrowa kamienica miała dwie bramy. Przed frontem lewej, mniejszej, na progu wmurowano kafelek: „A. Korzeniec. Sosnowice”. Był zakurzony i to, że znajdował się na zewnątrz budynku,

a nie w sieni, utrudniało zadanie. Przechodnie wszystko zobaczą. W dodatku tuż obok, po lewej, znajdowały się drzwi do mieszkania dozorczyńni, usytuowane w taki sposób, że nic, co działo się przed kamienicą, nie mogło ujść jej uwadze.

Redaktor Monsiorski rozejrzał się nerwowo. Nikogo nie było. Czubkiem buta starł pył z progu i w tej samej chwili zrozumiał, że przyszedł za późno. Nie trzeba było niczego rozbijać ani podważać. Kafelek był już naruszony.

Pan Walerian schylił się i dłutem uniósł brzeg płytki. Pod spodem był tylko twardo ubity piasek i cement.

Drzwi z lewej otwarły się z impetem i wypadła z nich zażywna dozorczyńni w chustce zawiązanej na rosyjski sposób.

– Czego tu węszyć?! – krzyknęła tak rozsierdzona, że aż jej się zatrząsł podwójny podbródek.

– Szanowna pani, po cóż ta irytacja? – Redaktor Monsiorski wyprostował się.

– Panie redaktorze, to pan? – Dozorczyńni obrzuciła go zdumionym spojrzeniem.

No, tak. Emilia Pietruszka – najzagorzalsza w Sosnowcu wielbicielka powieści Klandestyna Bizukonta.

– Niech pani tak nie krzyczy.

– To niech mnie pan nie straszy. A poza tym, cóż tak wszyscy ostatnio latają po mieście z młotkami i dłutami?

Pan Walerian zasepił się.

– Ktoś już tu był, prawda?

– No, przecież. Był taki jeden jeszcze jesienią ubiegłego roku i chciał grzebać, ale go przegoniłam. Będzie mi tu kopał. Jeszcze czego. Niech idzie kopać do kopalni. Narobiłam wrzasku, więc uciekł.

– Pamięta pani, jak wyglądał?

– Elegancki. Miał na lewej dłoni sygnet z białym oczkiem i był bardzo wyperfumowany.

- Wrócił jeszcze?
- Niechby spróbował.
- Myśli pani, że nie zdążył niczego zabrać spod kafelka?
- Nie zdążył.
- Ale kafelek jest naruszony.

– To ja zrobiłam, bo myślałam, że może tam są pieniądze albo pierścionki, i jak tamtego eleganta przegoniłam, to od razu podważyłam kafelek, ale tam był tylko piasek i cement.

Pan Walerian spojrział jej w oczy i poprosił:

– Pani Pietruszkowa, niech mi pani powie, co tam było. To bardzo ważne.

Gospodyni położyła rękę na sercu.

– Panie redaktorze. Jak Boga Jedyne go kocham i Matkę Boską Przenajświętszą, nic nie było.

Nie spuszczał z niej wzroku, więc dodała:

– Klnę się na zdrowie swoich dzieci, że nic nie było.

Uwierzył jej. Wrócił do redakcji zgarbiony, powłócząc nogami.

Zaczynało zmierzchać.

„Nie było żadnej skrytki. Tylko w książkach o piratach jest tak dobrze. Chyba że pod innymi kafelkami? Ech, nie będę biegał po całym mieście jak wyżeł. Jednak sama koncepcja nie była zupełnie pozbawiona podstaw, skoro ktoś, być może człowiek, który zabił Korzeńca, też myślał w podobny sposób. Inaczej nie próbowałyby rozbić kafelka”.

– Panie Ignacy, oddaję dłuto i młotek – powiedział redaktor Monsiorski do stróża. – I idę do siebie.

– Jeszcze pan będzie pracował?

– Tak.

Ignacy pokręcił głową.

– Ileż można?

Pan Walerian wspiął się powoli po schodach, wszedł do gabinetu, upadł na fotel i siedział bez ruchu.

No, dobrze. Pod kafelkiem niczego nie było. Ale przecież Korzeniec zginął. Weichmann kazał przeszwarcować jego głowę do Polski nie dla rozrywki. Redaktor Monsiorski przypomniał sobie rozmowę artystów w Victorii. Co oni mówili? Że polskie organizacje konspiracyjne wiedzą o niemieckich dużo, ale niemieckie wiedzą o polskich wszystko.

„Policja i celnicy po obu stronach granicy robili, co się dało, by sprawa nie została nagłośniona. Przeszwarcowanie głowy było okryte zмовą milczenia. Nawet Jadwiga długo wahała się, czy powiedzieć mi o miejscu znalezienia głowy. Wyjaśniła, że jej samej policja bardzo niechętnie udzieliła tej informacji, grożąc aresztem, gdyby przekazała tę wiedzę dalej”.

Redaktor Monsiorski nadal siedział bez ruchu, tak jakby bał się, że najmniejsze drgnięcie może zaburzyć tok jego myśli.

„Weichmann musiał jednak zadbać o to, by ten, kto wysłał głowę jemu, dowiedział się o jej odesłaniu. Inaczej ten butny gest nie miałby sensu. Gdybym więc miał szukać mordercy, a nie zleceniodawcy szmuglu, to musiałbym szukać człowieka, który – poza tajną policją, kilkoma zaufanymi celnikami, Weichmannem i Jadwigą – wiedział o znalezieniu głowy właśnie w Abisynii”.

– Ale to – westchnął pan Walerian – w istocie oznaczało szukanie igły w stogu...

Zmarszczył brwi. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

Wstał.

Podszedł do okna. Wrócił do biurka. Usiadł.

A więc to tak?

Czyżby już przedwczoraj miał rozwiązanie podane na tacy?

Co mu stanęło na przeszkodzie? Słabość. Akurat musiało mu się zrobić niedobrze. Akurat wtedy zachciało mu się świeżego powietrza. Usłyszał

śmiej zarządcy rzeźni odbijający się echem w hali. „Niemcy mają upodobanie do zabaw z ogniem. Sparzą kiedyś łapy”. „Znał pan Korzeńca?”. „Nie. Znałem tylko tych, którzy u mnie pracowali. Kredyckiego i Marywila”. „Słyszał pan, co się stało z Korzeńcem?”. „Tylko tyle, ile wyczytałem w pańskiej gazecie. Mnie polityka nie interesuje... te porachunki i ciemne interesy... Jeśli nawet jakiejś świni łeb w rzeźni obetnę, to jedynie w tym celu, by nasi obywatele mieli pełnowartościową głowiznę, a nie po to, żeby gdzieś głowę wyrzucać do rowu w Abisynii, jakby to był śmieć”.

Złoty sygnet z białym oczkiem na palcu i zapach perfum to stanowczo za mało, żeby kogoś oskarżyć. Ale żadna gazeta nigdy nie podała, że głowa została znaleziona w Abisynii.

„Czy mam w ręce dowód? Nie. Czy Goździk mógł o Abisynii wiedzieć z innego źródła? Tego nie da się wykluczyć, chociaż jest to mało prawdopodobne. Tak czy owak, zarządca rzeźni kłamał. Wiedział dużo więcej, niż powinien. I nie wyczytał tego w gazetach”.

Pan Walerian wstał i zapalił lampę.

„Butny gest Weichmanna nie był daremny, jego przesłanie trafiło do właściwego adresata”.

Rozłożył na biurku plany, które kiedyś przyniosła mu pani Jadwiga, i nachylił się nad nimi.

„Napisy w języku polskim były czynione ręką Korzeńca, to stwierdziła już Jadwiga. Napisy w języku niemieckim były zapewne autorstwa Weichmanna”.

W skupieniu przeglądał szablony: wszystkie po kolei, wielokrotnie. Poruszając bezgłośnie wargami, odczytywał polskie i niemieckie notatki. Żmudne wyliczenia, wykresy, krzywe słupki dodawanych liczb, materiały, robocizna, powierzchnia kwadratowa jedna, druga, trzecia i dziesiąta; różnice między sumami i sumy różnic; tu kafelki poziomo takie, a tu

panionowo takie... a w przeliczeniu to wyjdzie tyle, a w kolejnym przeliczeniu wyjdzie tyle. I jeszcze raz to samo w kolejnych budynkach.

Już wiedział, co przedstawiały szkice Korzeńca. Rzędy długich, niskich budynków na planach były barakami, w których Weichmann kwaterował przejściowo setki osób ekspediowanych później do Ameryki. Te baraki należało wykafelkować.

Pan Walerian wyprostował się.

„Nie było mowy o żadnej konspiracji. Korzeniec, owszem, zamierzał pracować dla Weichmanna, ale ich spotkania, zapewne częste, ich wspólne ślęczenie nad planszami i szablonami – to, co polska organizacja konspiracyjna, pałająca patriotycznym uniesieniem, uznała za dowody sabotażu czy zdrady i za co powierzyła Goździkowi rolę mściciela – wszystko to nie miało nic wspólnego ze szpiegostwem czy polityką. Za spotkaniami Korzeńca z Weichmannem kryła się tylko chęć zapewnienia sobie intratnego zlecenia na wyglazurowanie wielkich baraków dla emigrantów – to ze strony Korzeńca, a ze strony Weichmanna chęć zaoszczędzenia sporych sum pieniędzy podczas finansowania kosztownej inwestycji. Zapewnienie barakom higienicznych warunków – przy takiej masie ludzi, która tam codziennie przepływała, władze miejskie musiały wreszcie zażądać tego od Weichmanna – można było osiągnąć drogo, zatrudniając firmę pruską, a można było osiągnąć dużo taniej, zatrudniając Polaka zza miedzy...”.

„Zarządca rzeźni sugerował, że o Korzeńcu źle się mówiło. W dodatku kafelkarz miał ów nieszczęsny zwyczaj podsłuchiwania rozmów w Victorii. Nic dziwnego, że uznano go za niebezpiecznego człowieka. Zarządca rzeźni, zapewne utwierdzony przez podszepty Kredyckiego i Marywila, musiał w imię wyższego dobra zlikwidować dywersanta. Tymczasem Korzeniec po prostu zwietrzył szansę zarobku i rozwinięcia interesów... Znał niemiecki, więc dlaczego miałby się tego nie podjąć? Ale bał się konkurencji, więc o niczym nie pisał ani słowa. Był nieufny i skryty – tak

o nim mówiła Jadwiga – więc plany swej intratnej i obiecującej inwestycji na wszelki wypadek trzymał w domu, a nie w oficynie. O ironio!”.

„Czy Goździk działał sam? Niekoniecznie. Nie wyglądał na mocarza, który na przykład w pojedynkę dałby sobie radę z drezyną. Zresztą to bez znaczenia. Z pewnością był po prostu wykonawcą rozkazu: rzeźnikiem. Czy zrozumiał, że nastąpiła tragiczna pomyłka? Może nie, bo nie był w posiadaniu planów dowodzących, że Korzeniec prowadził tylko wojnę kafelkową”.

„Weichmann musiał się zdziwić, kiedy znalazł głowę polskiego majstra, chociaż domyślił się, od kogo dostał koszmarny prezent. Zrozumiał, że glazurnika wzięto za jego agenta i zlikwidowano. I wiedział, komu odesłać głowę. Jest niewątpliwie piekielnie niebezpiecznym człowiekiem, ale nie zmienia to faktu, że akurat z Korzeńcem chciał chyba dobić uczciwego interesu”.

„Całe to miasto, cały naród to jedna tragiczna pomyłka. Prusy gotowe są do wojny z Rosją, a w tle wielkiej polityki toczą się konspiracyjne gry, w które próbują włączać się Polacy, bo gdzieś tu znowu upatrują swojej politycznej, tyle razy zaprzepaszczonej szansy. W wyniku intryg i pomyłek jeden Polak owładnięty szlachetnymi intencjami zabija innego Polaka, którego winą było przede wszystkim to, że zbyt chętnie podsłuchiwał, zbyt mało mówił i za dużo chciał zarobić. Jakie to wszystko smutne. Jakie żałosne. I zawsze takie samo”.

Nagle serce podeszło panu Walerianowi do gardła, bo ktoś zastukał do drzwi gabinetu.

– Panie redaktorze... – Na szczęście to tylko Ignacy wsadził głowę przez drzwi.

– Tam do diaska... wystraszył mnie pan.

– Pani do pana.

– O tej porze?

– Podobno koniecznie teraz.

– Proś.

Pani Jadwiga wbiegała już po schodach, jedną ręką podtrzymując z przodu suknię. W drzwiach ominęła stróża i bezceremonialnie zamknęła mu drzwi przed nosem. Było w niej coś innego niż dotychczas. Przez chwilę redaktor Monsiorski nie mógł skojarzyć, na czym polegała zmiana. Ach tak! Pani Jadwiga po raz pierwszy nie była ubrana na czarno. Miała na sobie suknię z lekkiego jedwabiu z atłasowymi wyłogami i delikatny koronkowy szal na ramionach. W uszy wpięła złote kolczyki.

Od śmierci Alojzego Korzeńca minął dokładnie rok i czas żałoby się skończył.

– Pani Jadwigo...

– Jadwigo, Walerianie, Jadwigo...

– Jadwigo, jak ty pięknie wyglądasz! – zawołał redaktor Monsiorski. (Morał: każda pora i sytuacja jest dobra na komplement).

– Walerianie, nie czas teraz! – Była zdenerwowana (A zatem odwołuję morał). – Gdzie ty się, na Boga, podziewałeś?

– Zaraz ci wszystko opowiem. – Podbiegł do niej i chwycił jej dłoń. – Ruszyłem do przodu, jestem o tym przekonany! – mówił szybko.

Pani Jadwiga spoglądała na redaktora ze zdumieniem.

– O czym ty mówisz?

– O śledztwie! Ja już wszystko rozumiem...

– Posłuchaj, nie obchodzi mnie teraz śledztwo... Czy ty nie wiesz, co się stało?

– Co? – Zaniepokoił się.

– Na jakim ty świecie żyjesz? Dzisiaj przed południem w Sarajewie zastrzelono arcyksięcia Ferdynanda. Po południu przysłyły pilne depesze. Całe miasto o tym mówi, ja ciebie szukam, a ty gdzieś znikasz na cały dzień.

Pan Walerian zbladł.

– Kto zastrzelił?

– Jacyś Bośniacy. Nacjoniści. W czasie parady wojskowej. Był wielki spisek. – Pani Jadwiga oswobodziła dłonie i dotknęła rozpalonej twarzy. – I co się teraz stanie?

Redaktor Monsiorski przez dłuższą chwilę stał bez ruchu, a potem opuścił ręce i westchnął ciężko.

– No, teraz to już będzie koniec.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

OD AUTORA

Chociaż osadziłem akcję powieści w miarę możliwości w jak najdokładniej zrekonstruowanym Sosnowcu i jego okolicach w latach 1913–1914, *Korzeniec* jest fikcją literacką i wszelkie podobieństwo głównych bohaterów do prawdziwych postaci jest przypadkowe i niezamierzone. (I tak, na przykład, Wiktor Monsiorski nie jest pierwowzorem pana Waleriana Monsiorskiego. Użyczył mu jedynie nazwiska w podobny sposób, jak historyczny Jerzy Wołodziejowski użyczył nazwiska fikcyjnemu Michałowi Wołodziejowskiemu.)

To zastrzeżenie nie dotyczy topografii i niektórych ówczesnych realiów miasta. Starłem się ulokować akcję w miejscach, które istniały naprawdę: począwszy od dworców, poprzez redakcję „Iskry” na ulicy Krzywej, pałac Dietla, przejście graniczne do Mysłowic, Trójkąt Trzech Cesarzy, restaurację Victoria, domy z kafelkami sygnowanymi „A. Korzeniec” na ulicy Żytniej i Iwangrodzkiej itd. Nie są fikcyjne adresy większości sklepów, nazwiska ich właścicieli czy ulegające później ciągłym zmianom nazwy ulic. Swoją wiedzę w tym zakresie zawdzięczam pracom licznych regionalistów (przede wszystkim Jana Przemszy-Zielińskiego, Zbigniewa Studenckiego i Agnieszki Miki) oraz archiwalnym materiałom prasowym.

Copyright © 2011, Zbigniew Białas

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłączeniem zezwoleniem właściciela praw.

Projekt okładki: Elżbieta Chojna

Opracowanie redakcyjne: Dorota Koman

ISBN: 978-83-7779-043-4

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

The logo for Woblink features the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. Above the letters 'o', 'b', 'l', and 'i' are four colored dots: cyan, purple, pink, and orange respectively.

www.woblink.com

Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[CZĘŚĆ PIERWSZA](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[CZĘŚĆ DRUGA](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[CZĘŚĆ TRZECIA](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[CZĘŚĆ CZWARTA](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[OD AUTORA](#)

[Karta redakcyjna](#)